

RAMSEY CAMPBELL

NAJCIEMNIEJSZA

CZEŚĆ LASU

The Darkest Part of the Woods

Przełożyła z angielskiego
Iwona Michałowska-Gabrych



*Dla Angusa - kolejny powód,
by otworzyć butelkę*

Podziękowania

Jak wiele innych moich dzieł, także to nie zaistniałoby bez Jenny. Część powieści powstała, kiedy pracowałem na cały etat w Borders Books w Cheshire Oaks. Jestem bardzo wdzięczny Mary Foss i Markowi Grahamowi za takie ułożenie mojego harmonogramu, abym mógł codziennie coś napisać. Jane i Polly Byron doradzały mi w sprawie rekwizytów związanych z Severn Valley, a przede wszystkim pewnego przedstawienia. Poppy Z. Brite, Angela i Tony Heslopowie, Jeannie i Geoff Woodbridge'owie i Angus Mackenzie sami wiedzą, jak się mi przysłużyli.

Kopiec w mroku

Gdy Randall odebrał telefon, Heather skanowała właśnie do komputera księgę roztaczającą wokół siebie zapach wszystkich przeżytych wieków. Uniosła głowę i zobaczyła, że przyłożył palce do ust, uśmiechając się nieznacznie, jakby chciał powiedzieć, że zaczeka, aż będzie gotowa. Wysoko uniósł krzaczaste brwi, a gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, mrugnął jasnoniebieskimi oczyma.

- Jakaś Amerykanka do ciebie.

Podniosła z pogrążonego w swojskim nieładzie biurka Randalla płaską, niemal nic nieważącą słuchawkę.

- Heather Price.

- Heather...

W głosie matki brzmiała zarówno determinacja, jak i wyczerpanie.

- Co jest? - spytała Heather.

- Ojciec zniknął. Zabrał pięć osób i poszli do lasu. - Telefon, najwyraźniej komórkowy, buchnął nagle wściekłym szumem, ucinając początek następnego zdania: - ...śnie tam jadę.

- Chcesz, żebym też przyjechała?

- Jeśli możesz. Im więcej nas będzie... - Reszta znów utonęła w szumie, po którym przerywany głos rzekł: - Znajdziemy się.

- Muszę wcześniej wyjść - poinformowała Heather Randalla, który trzymał się za opuszczoną brodę, pocierając ją kciukiem i przyglądając się połyskującej jarzeniówce, nadającej krokwiom sufitu nieco nowocześniejszy wygląd. Gdy uniósł głowę, opuszczając jednocześnie wzrok, jakby nie wiedział, ile troski należy okazać, dodała: - A konkretnie teraz. Zostało tylko parę kartek, zeskanujesz je za mnie?

- Z największą przyjemnością.

Ku jego zdumieniu pospiesznie ścisnęła go obiema dłońmi za ramię, po czym rzuciła się w stronę wieszaka przy swoim biurku, by zabrać torebkę i płaszcz. Wyszła przez drzwiczki w kontuarze z twardego dębowego drewna i szybkim krokiem lawirowała między

masywnymi stołami, przy których nad książkami i przy terminalach komputerowych ślęczeli studenci. W sklepionym, rozbrzmiewającym echem holu z piaskowca minęła trójkę wykładowców rozmawiających o krykiecie, po czym przez ogromne, zwieńczone łukiem grubości dwóch stóp podwoje uniwersytetu wybiegła na parking.

W powietrzu unosił się późnopaździernikowy chłód. Gdy biegła w stronę samochodu, mijając młode drzewka udekorowane skropionymi deszczem pajęczynami, miała wrażenie, że do jej policzków i czoła przyłgnęła cieniutka warstewka lodu. Strzelista gotycka fasada ze swymi wysokimi, ostro zakończonymi oknami połyskiwała, jakby pokrywał ją szron. Heather uruchomiła swoją hondę civic, wzniecając chmurę spalin, która mogłaby współzawodniczyć z każdym z planowanych na przyszły tydzień ognisk.

Główne ulice Brichester już były zakorkowane. Nim dotarła do stóp Mercy Hill, żałowała, że nie pojechała autostradą. Pnąc się w górę po żebrach tarasowo ułożonych ulic i mijając wybudowany naprzeciw cmentarza szpital, przypomniała sobie, jak ojciec zawoził ją i Sylwię na szczyt wzgórza, gdy były małe, i zachęcał, by starały się dostrzec jak najodleglejsze widoki. Westchnęła ciężko, powoli, aż przednia szyba zaparowała - chyba że to jej oczy zaszyły mgłą. Światła Brichester otulała jasna mgielka, a na zachodzie, za rzeką Severn poczerwieniała od wielkiego, nisko zawieszonego słońca, niczym rozsypana garstka rozgrzanego do białości popiołu połyskiwała Walia. Na wschodzie bielą i czerwienią lśniła autostrada, a jeszcze dalej, na horyzoncie, widniały wzgórza Cotswold - zbiorowisko garbów w rozmaitych odcieniach szarości. Przed sobą, na północy, Heather widziała brązową masę, która zdawała się tak mała, że można by ją zmieścić w jednej garści. Przyspieszyła, zmierzając w tamtym kierunku, ku nowej obwodnicy.

Usłyszała ciężarówkę, zanim jeszcze niestrzyżone żywopłoty przy starej drodze na Goodmanswood przepuściły ich obraz. Kiedy tylko wjechała na obwodnicę, widok zasłoniły jej pojazdy tak wielkie, że mogłyby w nich mieszkać całe rodziny. Przynajmniej nie używały już Goodmanswood jako łącznika między autostradą a Sharpness on the Severn, ale z kolei przysłaniały jej las niemal do momentu, gdy znalazła się w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Ciężarówka przed nią zjechała bez ostrzeżenia na prawy pas, zmuszając innego olbrzyma do hamowania pośród jęku i pisku, i wtedy Heather ujrzała przed sobą rozciągający się po lewej stronie las o liściach we wszystkich odcieniach starego papieru, lśniących wśród gęstniejącej szarości niczym łuski. Ciężarówki pędziły z rykiem dalej, mijając nowy, zielonkawy w tym świetle znak drogowy, ale ona zjechała w zatoczkę, wyjęła zza siedzenia latarkę i wyskoczyła z samochodu.

Hałas autostrady zagłuszał wszystkie odgłosy lasu. Panował tam ruch, lecz brakowało

życia; ilekroć jakiś wóz wyskakiwał zza zakrętu za zatoczką, reflektory omiatały kolejne rzędy drzew, rysując kratownice mroku pochłaniającego szarość. Raczej nie mogła się zgubić na przestrzeni niecałej mili kwadratowej, biorąc pod uwagę zgiełk obwodnicy, zarazem jednak miała nadzieję, że nie zagłuszy on odgłosów obecności jej rodziny. Zeszła z betonu na miękką, śliską, usianą liśćmi ziemię.

Postępowała w ślad za kolejnymi snopami zawisającego we mgle światła. Jej cień co rusz wyskakiwał spomiędzy drzew, a nieoczekiwanie chłodne cienie prześlizgiwały się po plecach. Reflektory wkrótce pozostały z tyłu, ale latarka nie była jeszcze potrzebna; wystarczyło kierować się ku zachodzącemu słońcu, barwiącemu liście wierzchołków na karmazynowo, jakby ziemia przelewała w niebo swą krew. Może jednak niedobitki światel z obwodnicy wciąż błąkały się pośród lasu; może to one były odpowiedzialne za wrażenie, że coś porusza się zwinnie między drzewami. Ryk samochodów był tu przytłumiony, ale obróciwszy się, Heather dostrzegła poruszające się w tę i w tę światelka.

- Mamo? - zawołała niepewnie, po czym podniosła głos.

- Mamo?

Wydało jej się, że z oddali, od strony przygasającego światła, słyszy dwie sylaby. Ruszyła przez drzewny labirynt najprostszą możliwie trasą, omijając kępy łuskowatej ziemi.

- Odpowiedz, jeśli słyszysz! - zawołała, zapalając latarkę. Wilgotne powietrze smakowało mgłą i zgnilizną.

Miała nadzieję, że dzięki światłu zorientuje się, gdzie jest. Na razie latarka owszem, oświetlała jej drogę, ale zarazem uparcie wyciągała zza drzew wąskie cienie, które wyskakiwały jej przed nosem. Jako dziecko pewnie widywała takie w koszmarach. Zatrzymała się i usiłowała usłyszeć coś oprócz skraplającej się wokół mgły. Odgłosy obwodnicy całkiem już odpłynęły.

- Gdzie jesteście? - zawołała, bo czuła, że ktoś ją obserwuje.

- Heather!

A więc to była Margo, gdziekolwiek się znajdowała. Heather na wszelki wypadek wyłączyła latarkę, a wtedy niebo uderzyło w nią podbrzuszem, opuszczając się na niezliczonych odnóżach - w każdym razie tak pewnie by to postrzegła, kiedy była dziewczynką. Zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. Dostatecznie blisko, by nie wziąć ich za fatamorganę, w gęstej mgle jarzyły się światła.

- To wy? - zawołała.

- Tutaj!

No i rzeczywiście, poszukiwania zostały zwieńczone sukcesem, a światła pochodziły z

innych latarek. Gdy szła ku nim, niezliczone wąskie snopy wylaniały się zza swych towarzyszy, a cienie krzyżowały się na tle chaotycznie rozrzuconych liści. Heather zdążyła przejść kilkaset jardów, nim zyskała pewność, że wszystkie te światła zbiegają się u celu jej wyprawy. Teraz wystarczyło kilka kroków, by rozpoznać pielęgniarza z Arbour w stroju służbowym. Dotarli do polany pośrodku lasu w tym samym momencie.

Miała jakieś sto jardów szerokości. Ojciec Heather i pięć innych osób tkwili bez ruchu na ceglany kręgu, zdecydowanie zbyt niskim, aby można go nazwać murem. Po dłuższej chwili Heather rozpoznała to miejsce: pamiętała je z dzieciństwa. Wszyscy sześcioro byli rozstawieni w identycznych na oko odstępach i wpatrzni w płytki kopiec wewnątrz. Wszyscy zdawali się zahipnotyzowani zbiegającymi się światłami, które sprawiały, że ich cienie łączyły się na kopcu niczym ogromny sześcionogi owad.

Matka stała zaraz obok kręgu, dokładnie przed ojcem, z rękoma skrzyżowanymi na fartuchu, który nosiła w pracowni. Jej mała twarz była bardziej pomarszczona niż kiedykolwiek, wargi zbieleły od zaciskania, a zielonkawe oczy sprawiały wrażenie zdeterminowanych, by nie mrugnąć, póki ojciec jej nie rozpozna.

- Przed chwilą dotarłam - powiedziała do Heather, jakby chciała się wytłumaczyć z braku skuteczności, i jeszcze bardziej zmarszczyła twarz, wpatrując się w ojca. - Złaż stamtąd, Lennox. Nasza cierpliwość się kończy.

Gdy to nie odniosło skutku, nie ruszając głowy, obróciła się w stronę córki całym ciałem.

- Zobacz, kto tu jest. Przyjechała, żeby cię stąd zabrać. No zobacz.

- Właśnie, tato. Chodź z nami. Chyba nie chcesz tu sterczeć do nocy?

Nie odrywał wzroku od kopca. Prawą ręką trzymał się za lewy nadgarstek za plecami, jakby chciał sobie przypomnieć, jak to jest być profesorem. Kiedy pochylił się o cal bliżej w kierunku światła latarki, bruzdy biegnące w poprzek szerokiego czoła i w dół pociągłej, obwisłej twarzy jakby się pogłębiły, a brwi i szopa włosów sprawiały wrażenie jeszcze bielszych. Albo nie chciało mu się czesać, albo las go potargał. Duże niebieskie oczy błyszczały, lecz trudno było dociec, ile z tego blasku jest wynikiem świadomego pragnienia, by nie wyglądać na oszołomionego. Próbowwała sobie poradzić z nagłym uczuciem żalu, gdy ojciec się odezwał.

- A gdzie ta druga?

- Jaka druga, Lennox?

- Ta, co tu była ostatnio. Siostra Gałązka.

- Chodzi ci o Sylwię? Jest gdzieś w Ameryce. To Heather została, a ty nawet na nią

nie spojrzysz.

- Wszystko w porządku, mamó. Rozumiem, dlaczego tata pyta o Sylwię - rzekła szybko Heather. - Tylko co ty tu robisz, tato? Przecież nie musisz już tu przychodzić.

Jego spojrzenie powędrowało ku niej i niespodziewanie pojawił się w nim smutek. Nie była pewna, czy to odpowiedź na jej słowa, póki się nie odezwał.

- Co tu robi którekolwiek z nas, Heather?

- Nie wiem - przyznała, żywiąc wielką nadzieję, że ojciec powrócił do swego dawnego ja. - A ty?

- Nie słyszałaś?

Ktoś musiał poruszyć latarką, bo drzewa za jego plecami nagle jakby pochyliły się do przodu, nasłuchując.

- Czego niby nie słyszała? - spytała niecierpliwie Margo.

- Ty tu jesteś wykładowcą.

Klasnęła w dłonie. Dźwięk poniósł się echem przez las.

- One w ogóle nie słyszały! - rzucił z zachwytem lub niedowierzaniem.

Heather spróbowała się rozluźnić, nim jej wnętrzności ścisną się zbyt mocno. Tymczasem wszyscy pozostali chorzy wybuchnęli śmiechem: kobieta o palcach złączonych jak do modlitwy tak mocno, że aż zbieleły; mężczyzna, którego głowa wciąż niby mimowolnie kołysała się z boku na bok; kobieta wpijająca palce w policzki, jakby chciała podtrzymać wybałuszone oczy; mężczyzna, którego pięści w ślimaczym tempie otwierały się w stronę kopca; i jeszcze jeden, przykucnięty, jakby za chwilę miał paść na kolana. Czterej pielęgniarki z Arbour, którzy usiłowali nakłonić całą szóstkę do zejścia, umilkli, patrząc, jak głowy pozostałej piątki obracają się ku Lennoksovi. Spojrzał na każdego po kolei z drżącym uśmiechem na szerokich grubych wargach.

- Może nie jest głodny - rzekł w końcu.

Nie wszyscy jego towarzysze przywitali to radosnym śmiechem, lecz kobieta ze złożonymi dłońmi i przykucnięty mężczyzna zrekompensowali milczenie pozostałych.

- Cóż, w takim razie - kontynuował Lennox, gdy i tamci ulegli - w zasadzie możemy sobie iść.

Gestem pokazał, że jego zaproszenie dotyczy także Heather, Margo i pielęgniarzy, po czym zszedł z ceglanego kręgu. Ledwie ruszył, reszta pacjentów poszła w jego ślady.

- Dobrze, niech idą - usłyszała Heather szept jednego z pielęgniarzy. - Tylko trzymajmy się blisko.

Snopy światła z latarek podskakiwały pośród drzew, rzucając na Lennoksa i jego świętę

siatkę cieni.

- Dzięki, Heather - powiedziała Margo i objęła ją drżącymi ramionami. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- Świetnie byś sobie poradziła - zapewniła ją Heather - i dobrze o tym wiesz.

Margo wciąż ją trzymała.

- Mój wóz został w Arbour. Mam cię odwieźć do twojego?

- Nie powinnam chodzić sama po lesie w nocy - odrzekła Heather, pojmując, co matka ma na myśli. Po dotarciu na skraj polany ujęła Margo pod ramię i obejrzała się do tyłu. Gdyby była sama, może poświeciłaby latarką w tamtym kierunku, ale teraz zaświeciła przed siebie, oświetlając drogę. Widziała też światła latarek pielęgniarzy, prawdopodobnie prowadzących swoje stadko pomiędzy łuskowatymi kolumnami. Pomyślała, że i tak za jej plecami nie ma nic, czego nie widziałyby wcześniej. Po trzech dekadach pewnie więcej cegieł wyłoniło się spod ziemi i tyle. Kiedy ona i Sylwia były małe, nazywały to miejsce „drogą do siebie”.

Wzmianka o księdze

- Nadchodzi ofiara postępu - skomentował Randall i jakby przestraszył się własnych słów.

Heather podniosła wzrok znad dwóch niedoskonałych egzemplarzy *Opisania pieszej i konnej wyprawy poprzez angielskie hrabstwa*, które właśnie porównywała. Przez salę szedł utykający Sam, nieświadom chyba pełnych podziwu spojrzeń kilkorga studentów, głównie płci żeńskiej. Jego pociągła, poważna twarz i uparcie badawcze spojrzenie, które rzadko zniknęło z intensywnie niebieskich oczu, skierowały myśli Heather ku jej ojcu, dziadkowi chłopaka. Musiała założyć, że Randall chciał mu się podliznąć, gdy powiedział:

- Nieźle ci idzie.

- Słowem, miałbym szanse w zawodach dla inwalidów?

- Tego nie powiedziałem. - I może obawiając się, że jednak prawie powiedział, Randall dodał: - Było warto?

- Warto co?

- Protestować i wylądować w szpitalu.

- Gada pan jak mój ojciec.

- To chyba nie tak źle.

Samuel oparł się łokciem o ladę.

- Nie wiem, po co miałby się pan do niego upodabniać - rzekł, gapiąc się na Randalla.

Heather zaznaczyła strony w obu książkach i wstała.

- Czas na nas. Te starocie raczej nie ucierpią na tym, że staną się o dzień starsze.

- Mogę cię zawieźć, jak chcesz - zaproponował Sam.

- Pojedziesz obwodnicą? - zapytał z ciekawością Randall.

Samuel odwrócił się do niego plecami.

- To, że chcieliśmy ich powstrzymać przed wycinaniem drzew, nie znaczy, że ona nie istnieje - rzucił przez ramię.

- Do jutra, Randall. - Heather powstrzymała się przed powiedzeniem czegoś więcej, póki drzwi, do których Sam pokuśtykał, żeby je dla niej przytrzymać, nie zamknęły się za

nimi.

- Co cię ugryzło? - zapytała dostatecznie cicho, by głos nie odbił się echem w korytarzu z piaskowca.

- Traktuje mnie jak śmiecia.

- Nie jesteś śmieciem, ale nawet gdybyś był, nie tłumaczyłoby to twojego zachowania.

Więc o co chodzi?

- Jeśli chcesz, pójdę go przeprosić.

- Wtedy już zupełnie nie wiedziałby, co myśleć. Zostawmy to na razie. Co nie znaczy, że nie masz przeprosić mnie.

- Wybacz, mamó.

Opuścił głowę i popatrzył na nią spod brwi rozszerzonymi oczyma jak mały chłopiec, którym jej zdaniem nigdy tak do końca nie przestał być. Musiała ukryć uśmiech rozczenia.

- Daj spokój - powiedziała. - Po prostu pamiętaj, że muszę z nim pracować. Coś ci w nim nie pasuje?

- Skąd mam wiedzieć? Nie znam gościa. Poznam go bliżej?

- Może. Jeśli zaczniesz mnie częściej odwiedzać w pracy. Mam nadzieję, że nie będziesz tak traktować każdego faceta, z którym się zaprzyjaźnię?

- Na przykład kogo?

- Nie myślałam o nikim konkretnym. Obecnie jesteś jedynym mężczyzną w moim życiu.

Samuel zamknął masywne podwoje uniwersytetu.

- Odwiozę cię do Arbour, a potem mogę pojechać do domu i dokończyć przygotowywanie obiadu.

- Niewiele ci zostawiłam do dokończenia - zauważyła Heather, choć ojca Sama, Terry'ego, nie byłoby stać nawet na taki wysiłek.

- Babcia cię potem podrzuci, prawda? Jeśli zostaniesz dłużej, mogę zjeść sam i wrócić do Andy'ego i Diny?

- Jedź ostrożnie - powiedziała Heather - i w ogóle wszystko rób ostrożnie.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła się wyzbyć tych matczyńskich odruchów.

Samuel otworzył drzwi civica jej kluczami, ruszył i włączył się do ruchu szybciej, niż ona by się odważyła, po czym parokrotnie przejechał na żółtym świetle w sytuacjach, które ona uznałaby za zbyt ryzykowne. Mgła skracała uliczki wyrastające po obu stronach drogi przez Lower Brichester, pełne coraz mniejszych domów. Na skraju miasteczka znajdowały się rozsiane tu i ówdzie bungalowy, za nimi zaś droga dobijała do autostrady położonej po

drugiej stronie pół nakrapianych kałużami przypominającymi podarty brezent. Niecałe pięć minut później - szybciej, niż gdyby za kierownicą siedziała Heather - samochód zjechał z autostrady na obwodnicę Goodmanswood, a po kolejnych pięciu gwałtownie skręcił na teren Arbour.

Prywatny szpital stał na skraju leniwie wijącej się dróżki. Pierwotnie był to szeroki trzykondygnacyjny dom wybudowany przez właściciela ziemskiego. Później dorobił się sześciu nowych pomieszczeń z tyłu. Jakiś minibus właśnie cofał się po żwirze przed lewym wykuszem. Stojący za oknem mężczyzna wciskał sobie palce do uszu, a niepomyślnie na nic bus intonował w kółko wysokim, ostrym głosem: „Uwaga na cofający się pojazd”. Samuel zatrzymał samochód i wyskoczył, uchylając się przed całusem Heather. Gdy po chwili zakręcał ostro pośród chrzęstu kamieni, z szerokiego wejścia wybiegła Margo.

- Jesteś! - powiedziała, jakby zdążyła już zwątpić w przybycie córki. - Doktor Lowe czeka.

Wysoki, lekko przygarbiony lekarz oderwał się od cichej rozmowy z recepcjonistką siedzącą przy biurku pomiędzy dwiema krętymi klatkami schodowymi. Czubkiem palca odsunął kępkę siwiejących włosów z rączki srebrnych okularów, które wyglądały zbyt delikatnie na tle jego szerokiej okrągłej twarzy.

- Chodźmy do mojego biura - zaproponował, rozkładając ręce w pewnej odległości za plecami Heather i Margo i zagarniając kobiety do krótkiego korytarzyka.

Po obu stronach drzwi wisiały dwa pastelowe malowidła abstrakcyjne, które być może w pierwszej fazie miały być pejzażami. Margo zmierzyła je nieprzyjaznym spojrzeniem. Biuro sprawiało wrażenie przytłaczającego i posępnego: obite skórą krzesła, dziesiątki niemal identycznie oprawionych tomów zapełniające regały na prawo od wielkiego sosnowego biurka. Widok za oknem - pograżony w cieniu trawnik i kilka rozsianych wokół drzew, bardziej realnych niż mglisty las za obwodnicą oddzieloną wysokim murem - też raczej nie poprawiał nastroju. Doktor Lowe wskazał kanapę, a sam usadowił się nie za biurkiem, lecz na najbliższym krześle.

- Nie wiem, czy ktoś już paniom podziękował za wczorajszą pomoc - rzekł - więc od tego zacznę. Wierzę, że miały panie udział w przekonaniu Lennoksa, by do nas wrócił.

- Nie wiem, czy miałyśmy udział. A ty, Heather?

Heather nie od razu odpowiedziała. Właśnie sobie uświadomiła, że mężczyzna, który przyglądał się z okna minibusowi, był jednym z wczorajszych towarzyszy ojca. Tamto wspomnienie zdawało się teraz umykającym snem.

- Też nie - rzekła w końcu.

- Ale gdyby nas tam nie było, mogło zabraknąć ludzi do pomocy.
- Nie przeczę, że wynikł pewien problem - przyznał lekarz. - W przyszłym tygodniu będziemy omawiać kwestie polityki personalnej.

- I może zatrudnienia kilku dodatkowych osób?

- Jak zapewne pani wiadomo, na ogół nie mamy problemów z upilnowaniem pacjentów.

- Dlaczego więc wczoraj mieliście? Czy pan także za wszystko wini Lennoksa?

- Także.

- Wygląda na to, że połowa Goodmanswood czasem tak robi, prawda, Heather?

- Przynajmniej kilka osób.

Margo przyjęła tę poprawkę prychnięciem.

- Moim zdaniem znacznie więcej niż kilka osób obwinia go o wszystko, co stało się w lesie.

- Pan Price istotnie sprawia wrażenie osoby, która to zapoczątkowała - przyznał doktor. - Poprosił recepcjonistkę o poszukanie czegoś, co rzekomo zapodział, jakiejś książki, do której musiał zajrzeć. Nawet nie podał tytułu. Chciał po prostu odwrócić uwagę.

- Nie chodzi mi o wczorajsze zdarzenie. Mam na myśli powód, dla którego w ogóle przyjechaliśmy do Anglii - odparła z pewną goryczą Margo. - Nawiasem mówiąc, to nadal jest doktor Price. Tytułu uniwersytet mu nie odebrał.

- Ależ tak, oczywiście. Doktor Price. Tak powinienem był powiedzieć. Jestem pewien, że każdy, kto zna fakty, docenia jego dokonania. To tragiczne, że padł ofiarą zagrożenia, które sam zidentyfikował. Niestety pionierzy często pozostają niezrozumiani. - Przerwał, by sprawdzić, czy zdołał ją nieco udobruchać, po czym ciągnął: - Zdaniem moim i moich kolegów problem...

- Mieliście zebranie w sprawie Lennoksa?

- Wiedząc, że czeka nas rozmowa z panią, przeprowadziliśmy rozmowę.

- W takim razie mógłby nam pan łaskawie oznajmić, co postanowiliście.

- To jeszcze nie jest ostateczne. Moim zdaniem w kwestii umysłu nic nie jest ostateczne. Istotnie jednak można odnieść wrażenie, że inne nasze ofiary z lat sześćdziesiątych... Czy to nie wtedy pani się urodziła, panno Price?

- Pani Harvey - poprawiła go Heather, choć już nie była „panią Harvey”. - Miałam wtedy kilka lat.

- A jej siostra urodziła się dwa lata później. Dlaczego pan pyta?

- Na wypadek gdyby dynamika rodziny miała tu jakieś znaczenie. Zatem osoby, o

których wspomniałem, zdają się uznawać przywództwo doktora Price'a. Postrzegają go jako człowieka, który wie.

- Wie co? - mogłaby spytać Heather, lecz Margo zrobiła to za nią.

- Gdybyśmy zdołali tego dociec, być może znaleźlibyśmy sposób, by im pomóc, a nie tylko ich pilnować. Cokolwiek myślą, zachowują to w tajemnicy nie tylko przed nami, ale także przed resztą pacjentów. Nie sugeruję, że naprawdę mają coś do ukrycia; chodzi jedynie o to, że dzięki temu mogliśmy mieć lepszy wgląd w ten utrzymujący się stan umysłu. A właśnie doktor Price nimi kieruje.

- W nocy to on przyprowadził wszystkich z powrotem - zauważyła Margo.

- Owszem, ale najpierw ich wyprowadził. I nie chcielibyśmy, by takie incydenty się powtarzały. Pominąwszy to, że zaabsorbowali zbyt wielu pracowników, każdy z pacjentów mógł sobie zrobić po drodze jakąś krzywdę.

- Sugeruje pan zatem...

- Według jednej z propozycji należy rozdzielić tę grupę, wysyłając każdą osobę do innej instytucji. Rzecz jasna w promieniu ładnych paru mil nie ma czegoś takiego...

- Tylko niepotrzebnie narobiliście zamieszania. Czy pan ma świadomość...

- Mam, pani Price. To rozwiązanie zaproponował jeden z młodszych pracowników. Ja jestem tu dość długo, by rozumieć, że pani mąż i pozostali pacjenci po prostu przywędrowaliby z powrotem do Arbour.

Heather przypomniała sobie poprzedni taki powrót Lennoksa, telefon od Margo o północy, który obudził ośmioletniego wówczas Sama, wyraz twarzy ojca, kiedy go odwiedziła następnym razem: ukradkowe spojrzenie kogoś, kto chce powiedzieć: „Musiałem!”.

- Skoro za tym pan się nie opowiada - rzekła Margo - co pan proponuje?

- Sądzę, że sytuacja dojrzała do tego, żebyśmy sięgnęli po silniejsze leki.

- Chcecie, żeby był bardziej potulny - mruknęła, pocierając zgiętym palcem wskazującym kącik oka. - Żeby go było jeszcze mniej.

- Zapewniam panią, że gdyby istniało jakieś rokujące nadzieje rozwiązanie, byłbym skłonny je wypróbować.

- Wiecie chociaż, co spowodowało jego wczorajsze zachowanie? - zapytała z pewną nadzieją Heather.

- Do tej pory nie udało nam się go przekonać do ujawnienia tego.

- Może powiedziałby mnie lub matce?

- Od kiedy to ojciec mówi nam takie rzeczy, Heather? Już nawet nie wiem, czy milczy

z własnej woli czy to leki tak na niego działają.

- Ależ proszę spróbować - zachęcił je doktor Lowe.

- Zaprowadzę panie do niego.

Margo wstała ostatnia. Tak powoli, że zmęczone skrzypnięcie kanapy sprawiło wrażenie wydanego w jej imieniu. W korytarzu jednak jej krok świadczył o niecierpliwości.

- Czy doktor... - zaczął lekarz, pochylając się ku recepcjonistce. - Czy Lennox jest w swoim pokoju?

- Nie schodził na dół, panie doktorze.

Lowe poprowadził kobiety korytarzem położonym nad tym, który prowadził do jego biura. Na przeciwległych ścianach wisiały dwie akwarele mogące mieć coś wspólnego z widokiem gór. Lekarz zapukał do drzwi znajdujących się obok tej mniej konkretnej, a nie otrzymawszy odpowiedzi, uchylił je. Ojciec Heather siedział na skraju łóżka, zwrócony plecami do bladozielonych i bladoniebieskich sprzętów surowo umeblowanego pokoju. Przedramiona wsparł o parapet, tak pochylony, że można by pomyśleć, iż ukrywa się przed lasem, zamglonym i niewyraźnym z wyjątkiem świateł, które wydobywały z tej plamy pnie leżące na samym brzegu i znikwały pod połyskującym listowiem.

- Przyszliśmy w odwiedziny, Lennox! - zawołała Margo.

Heather ze zgrozą odkryła, że brak jej tchu; dopiero gdy ojciec się poruszył, zdołała odetchnąć. Lennox Price odepchnął się od parapetu i obrócił na łóżku, przerzucając przez nie nogi i uderzając o ścianę ramionami, a może i tyłem głowy. Margo się skrzywiła, Lennox jednak powitał je dość pogodnie:

- Wchodźcie i siadajcie. Starczy miejsca dla wszystkich.

Margo ujęła Heather za łokieć i pchnęła do przodu, jakby pokonywała jakiś opór, choć Heather nie była pewna czyj. Kiedy lekarz ruszył za nimi, Lennox łypnął okiem.

- Ty nie należysz do rodziny - powiedział, po czym widząc, że Lowe zamyka za sobą drzwi, wzruszył ramionami, ocierając się nimi o ścianę. - Widzę, że nic się nie da zrobić.

- To nie w twoim stylu zrażać do siebie ludzi - zauważyła Margo, wyciągając rękę i zatrzymując ją nagle, nim go dotknęła. - Zawsze byłeś uprzejmy.

- Och, Frankiem naprawdę nie musisz się przejmować. Jesteśmy starymi kumplami, nieprawdaż, doktorku?

- Chciałbym tak myśleć.

- Jak nie będziesz się porządnie zachowywał, zwiększy ci dawki leków.

- Pani Price, o ile pamiętam, ująłem to nieco...

- Spoko, doktorku. Nie ma sprawy. Chętnie więcej pokimam. - Zanim Heather zdążyła

dociec, czy jego amerykańska poza była zamierzona jako żart, Lennox uderzył ręką w łóżko tak mocno, że aż materac jęknął. - Ale naprawdę zacznę wierzyć, że jestem nieuprzejmy, jeśli natychmiast nie usiądziecie - rzekł. - Mama niech weźmie krzesło, a ty siadaj tu przy mnie. Dla ciebie też jest miejsce, doktoru, jeśli chcesz się przyłączyć.

- Jeśli to ci nie przeszkadza, postoję.

- Trzeba znacznie więcej, żeby mnie zdenerwować. Może zauważyłeś.

Heather usiadła na wyciągnięcie ręki od niego, choć niepokoila ją nieco jego witalność: trudno było powiedzieć, jak długo potrwa ani co może być jej źródłem. Ojciec obrócił się w kącie łóżka, obejmując rękoma podkurczone kolana, i patrzył na nią wyczekująco.

- Jak idzie? - zapytał.

- Po staremu. W porządku.

- W porządku? - Wyglądał na rozczarowanego, a potem zrezygnowanego, i najwyraźniej poczuł potrzebę wytłumaczenia się przed lekarzem: - Ona zawsze była pogodna. Przyjmuje życie, jakie jest, i nie narzeka. - Przekrzywił głowę, by spojrzeć na Margo, która siedziała naprzeciwko, podkuliwszy krótkie nogi pod krzesło ustawione tyłem do lustra w toalecie. - Dawno nie widzieliśmy wnuka, co?

- Powiem Samowi, że o niego pytałeś - rzekła Heather, bo Margo ograniczyła się do pokręcenia głową. - Myślę, że chętnie cię odwiedzi, jeśli chcesz.

- Lepiej niech się pospieszy - odparł Lennox nie wiadomo do której z nich, po czym znów skupił wzrok na Heather. - Co słyhać na uniwerku? Bo tam teraz pracujesz, prawda?

- Już od... od wieków - rzekła, nie spoglądając na Margo, żeby przypadkiem któraś nie wybuchnęła płaczem. - Teraz w archiwum historycznym.

- Wiedziałem! - powiedział, przypominając sobie albo próbując siebie przekonać. - Chętnie bym je odwiedził. Da się zrobić, Frankie?

- Zależy od twoich postępów.

- Daj spokój. Nie ma tam nic, czego nie mógłbym... - Obrócił się do okna, za którym niewyraźne połyskujące kształty omiatały drzewa za obwodnicą, i jego ruch uwolnił słabutki zapach stęchlizny przywodzący na myśl gęstwinę lasu. - Nie mogą dostać tej książki - wymamrotał.

- Podaj mi tytuł, to poszukam - zaoferowała Heather.

Wypuścił powietrze, które zamgliło szybę, a potem jakby zostało wchłonięte przez las, i spojrzął na jej słabe odbicie wśród drzew.

- Znajdzie się - powiedział do niej lub do siebie, po czym głośniejszym głosem zapytał: - Widziałas

coś wczoraj?

Pytanie sprawiło, że poczuła się dziwnie roztargniona.

- Ciebie i ludzi, których ze sobą zabrałeś - odparła, odnosząc wrażenie, że recytuje wersję doktora Lowe'a. - Po coście tam poszli? - musiała zapytać.

- Raczej nie mogę ci powiedzieć, Heather.

- Musiałam już w życiu przetrwać parę rzeczy - zaprotestowała i parsknęła wymuszonym śmiechem. - Zobaczmy, czy i z tym sobie poradzę.

- Nie czuj się lekceważona. Staraj się nie myśleć o sobie ani trochę gorzej.

Była urażona jego niezrozumiałą protekcyjnością, ale zarazem w słowach Lennoksa rozpoznała swego dawnego ojca, którego ledwie pamiętała, i aż odebrało jej mowę. Zauważyła, że Margo też zaniemówiła. Sytuację uratował doktor Lowe.

- Od dłuższego czasu się na to zanosilo, co, Lennox?

- Można tak powiedzieć. No i faktycznie powiedziałeś! - rzekł tonem, w którym brzmiało autentyczne zaskoczenie.

- Miałem na myśli to, że od dawna stawałeś się coraz bardziej niespokojny.

Entuzjazm Lennoksa wyparował.

- Bardziej niż kiedykolwiek, odkąd mnie tu zamknięto.

- To narastało przez kilka miesięcy.

- Kilka miesięcy? Cóż, to istotniejsze dla ciebie niż dla mnie.

- Wiesz, co cię tak niepokoi?

- Poszukaj odpowiedzi wśród drzew.

- Wiem - odezwała się Margo głosem tyleż zdecydowanym co natchnionym. - Masz na myśli ludzi, którzy mieszkali na drzewach, żeby zapobiec budowie obwodnicy. Jednym z nich był nasz Sam.

- Kiedy ich widziałeś, tato? Byli pół mili stąd.

- Mówiono o nich w radiu - odparła Margo - i pisano w gazetach.

Lennox spojrział na Heather. W jego oczach odbijała się czerń lasu.

- Może ty zrozumiesz, o co chodzi.

- Cały rok próbowali zbudować obwodnicę - usiłowała zgadnąć. - Chodzi o to, że zabrali ci część krajobrazu?

- Chciałeś sprawdzić, czy nie poczynili za dużych szkód? - zasugerowała Margo.

Lennox obrócił się ku oknu. Las rozjarzył się i wypuścił owadzie nogi, które po chwili, gdy dwie pary reflektorów odjechały, zlały się z mglistą ciemnością w dole.

- Aleście mnie zmęczyły - rzekł. - Może nawet uda mi się zasnąć.

- Niedługo znów cię odwiedzimy - obiecała Margo, gdy doktor Lowe otwierał drzwi.

- Liczę na to, że i Sam się pofatyguje - dodała Heather.

Odbicie Lennoksa pochłonęła plama powstała z jego oddechu i lasu w oddali. Mówił tak cicho, że musiały się wysilić, aby go usłyszeć.

- Poczekajcie, aż zgarnie nas wszystkich.

Spotkanie w lesie

Gruby, obcięty na języka mniej więcej piętnastoletni chłopak miał na sobie koszulkę z krótkim rękawem, którą włożył na koszulę i sweter. Widok na koszulce od razu dawał do zrozumienia, o co zapyta. Najpierw przewędrował przez sklep, palcem wydłubując z półek kilka książek w miękkich okładkach, gapiąc się na nie i odwracając, jakby przez to miały się stać bardziej atrakcyjne. Odłożywszy na miejsce ostatni rozczarowujący egzemplarz i ponownie wcisnąwszy ręce do kieszeni wyblakłych plamiastych dżinsów, spojrzął na Sama za ladą.

- Macie jakieś filmy z *Gwiezdných wojen*?

- Przykro mi, nie sprzedajemy filmów.

- A figurki?

- Też nie.

- Komiksy?

Samuel zaczął się czuć jak ktoś, kto występuje przed nierozumiejącą publicznością.

- Mamy tylko książki.

Gniewna wysypka w kącikach ust chłopaka wyglądała, jakby ściągała je w dół.

- No to co niby znaczy to „Nieograniczone Światy”? Nie widzę ani jednej książki o gwiezdnych wojnach.

- To dlatego, że można je dostać wszędzie indziej - wtrącił Andy, czując, że powinien znać odpowiedź.

- Sklep sci-fi nie może istnieć bez nich.

- My sprzedajemy raczej science fiction - rzekła Dina, gdy Andy skrzywił się na dźwięk skrótu. - Mamy też fantasy, a nawet horror.

Będąc już niemal na zewnątrz, chłopak odwrócił się i wydał werdykt:

- Ramole.

Andy usiadł przy stoliczku do kawy pomiędzy ladą a regałami z taką mocą, że fotel, będący zaledwie w średnim wieku, wydał jęk rozpaczy.

- Dwadzieścia trzy - powiedział, odgarniając blond lok z poznaczonego delikatnymi

zmarszczkami wysokiego czoła i gumką spinając całą czuprynę na karku - i gotowy do recyklingu.

- To daje Samowi i mnie jeszcze rok - rzekła Dina, w zamyśleniu szczypiąc się w brodę swojej drobnej podłużnej twarzy. - A tak na serio, może chodziło mu jedynie o to, że wielu z tych pisarzy już nie żyje.

- Ale ich książki żyły, kiedy ostatnio je czytałem.

Samuel już miał przytaknąć, gdy Andy, jak nie raz czynił, kiedy byli razem na uczelni lub nawet jeszcze w szkole, zmienił front.

- Tak czy owak mamy kolejnego gościa, który nic nie kupił.

- Ale wielu dzisiaj kupiło - zauważył Sam.

- Mniej niż połowa. Więcej sprzedajemy przez Internet niż przez ladę. Większość kolekcji ojca już poszła.

Samuel odkrył niedawno, że nawet absolwentom literatury angielskiej trudno znaleźć w okolicy w miarę porządną i stałą pracę, lecz i tak powiedział:

- Jeśli cię już na mnie nie stać, to mów.

- Oboje jesteście mi potrzebni. Wyobraź sobie, że muszę tu siedzieć przez cały dzień, nie mając z kim pogadać o książkach.

- Tego właśnie klienci życzą sobie do kawy - rzekł Samuel, po czym zreflektował się, że wyrządza niedźwiedzią przysługę Dinie, i szybko zmienił temat. - Mówiłeś wczoraj, że będę mógł wyjść wcześniej, żeby odwiedzić dziadka.

- Nie zapomniałem. Hasz nie osłabił mi jeszcze pamięci. Znikaj.

Z poziomego w zamierzeniu szeregu haczyków na drzwiach odstręczająco prymitywnego kibelka Sam zdjął swój długi do kostek płaszcz z logo Oxfamu. Kiedy kuśtykał ku drzwiom, układająca czasopisma w witrynie Dina odwróciła się.

- Nie miałam okazji cię przeprosić, Sam.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Myliłam się wczoraj. Nie mogłeś zrobić nic więcej, żeby ich powstrzymać przed wycinaniem drzew, kiedy się zraniłeś. Ja też nic nie zrobiłam. Chociaż gdybym cię wówczas знаła, pewnie bym zrobiła.

Aż do ubiegłego wieczora Sam sądził, że Andy i Dina mieszkają razem. Okazało się tymczasem, że choć dziewczyna mieszka w tym samym zrujnowanym wiktoriańskim domu, Andy dzieli łożę z mężczyzną. Na imprezie Sam był jedyną osobą, która odmówiła spróbowania marokańskiej fajki z haszyszem, co sprowokowało uwagę Diny, że jego wycofanie się z protestu było, podobnie jak to, wyrazem tchórzostwa. Zdążył już zauważyć,

że wyklócanie się jest jej sposobem na zbliżenie się do ludzi, ale nie powiedział wiele w swojej obronie, bo czuł, że w pewien sposób zawiódł zaufanie lasu.

- Fajnie by było - powiedział niezręcznie i ulotnił się ze sklepu.

Jego zielony volkswagen stał na kamienistej ziemi pomiędzy Nieograniczonymi Światami a barem z daniami na wynos, z którego zaplecza unosiły się opary i trąkotanie po kantońsku. Samochód najpierw się rozkaszał, a potem ruszył drogą pomiędzy dwiema wiktoriańskimi kamienicami sprawiającymi wrażenie, że rywalizują o to, która zdoła pomieścić więcej studentów. Niecałą minutę później mijał uniwersytet z trawnikami pełnymi szwendających się studentów, którzy już wydawali się Samowi młodzi. Pamiętał, że w zeszłym roku czuł się zubożniały na wszystko, co czytał czy pisał, nawet jeśli wykładowcy rozpltywali się w zachwytach nad jego pracą. Jakby jakaś niezidentyfikowana część jego jestestwa wciąż czekała, aż coś ją uruchomi. Czujność budząca się w nim na skraju lasu rodziła znacznie większe nadzieje - wtedy i teraz. Musiał się napominać, że jedzie odwiedzić dziadka, a nie las.

Po dziesięciu minutach zostawił za sobą Brichester i sunął autostradą ku obwodnicy, za którą widniały nabrzmałe bezruchem drzewa zwieńczone nisko zawieszonymi białymi chmurami, przywodzącymi na myśl ciągnący się przez cały horyzont skomplikowany szkielec. Cienie drzew muskały samochód, który pędem przemknął przez przerwę w barierze ochronnej, przejechał obwodnicę i wjechał na teren Arbour. Sama przeszedł dreszcz, choć popołudnie było dość ciepłe, by kilkoro pacjentów i dwóch pielęgniarzy siedziało na zewnątrz. Jeden z chorych leżał na rozkładanym fotelu w połowie drogi między szpitalem a bramą. Mijając go, Sam rozpoznał dziadka.

Zaparkował między bentleyem a minibusem i pokuśtykał przez trawnik. Nie był pewien, czy Lennox śpi; zauważył jedynie, że ma zamknięte lub przymknięte oczy. Prawą rękę opierał na łokciu, podczas gdy dłoń zdawała się odtwarzać kształt drzewa po drugiej stronie drogi. Zakradłszy się z boku na palcach, Sam popatrzył z góry na pociągłą, obwisłą pomarszczoną twarz i doznał nieprzyjemnego uczucia, że ogląda siebie jako siedemdziesięciolatka. W tym momencie Lennox ściągnął z bólu wargi, najwyraźniej nadwreżywszy sobie wygiętą rękę, i otworzył naraz oczy. Choć wydawał się spoglądać gdzieś w dal, wymamrotał:

- To ty, Sam? Jakoś niewyraźnie mi wyglądasz.

Samuel miał nadzieję, że chodzi tylko o jego nogę.

- Złamałem kostkę - rzekł.

- Zrobię ci miejsce. - Lennox usiadł gwałtownie i poklepał fotel. - Nie będziemy

musieli nigdzie chodzić.

- Powinienem częściej cię odwiedzać.

- Ważne, że teraz przyszedłeś. - Lennox częściowo odwrócił głowę od lasu, gdy wnuk usiadł obok niego. - Masz ochotę zacząć od obietnicy?

Jego bezpośredniość zaniepokoiła Sama równie mocno jak sama propozycja, ale co mógł odpowiedzieć?

- Jeśli chcesz...

- Jeśli mi odpowiesz na pytanie, które zadam, opowiem ci parę rzeczy.

- Wal. - Ponieważ Lennox przechylił głowę ku lasowi, jakby czegoś nasłuchiwał, Sam uznał to za wskazówkę, że musi sam zacząć. - Jak się czujesz? - zapytał, bo nie miał ochoty ryzykować nic więcej.

- Świadomy.

- Hm, to dobrze... - Samuel miał nadzieję, że na tym się skończy, Lennox jednak spojrzał na niego z wyraźnym rozczarowaniem. - Niedobrze? - zaniepokoił chłopak.

- Powinieneś zapytać: „Czego?”

- Czego?

- Ciemności, bez której nie byłoby żadnego światła. Ciemności, która leży ponad tym wszystkim, a także pod tym. - I jakby to było oczywiste odniesienie, dodał: - Bierzesz narkotyki?

- Próbowalem trawy, jak byłem na pierwszym roku. To zbyt straszne jak dla mnie.

- Co cię przestraszyło?

- Miałem uczucie, że mogę zobaczyć rzeczy, z którymi nie zdołam sobie poradzić.

- Gdy raz zobaczysz, będziesz dalej widywał.

Samuel potraktował to jako przytaknięcie i poczuł, że musi odpowiedzieć.

- Chodzi ci o to, że odkąd dotknąłeś tego czegoś w lesie...

- Przez prawie czterdzieści lat. - Lennox uśmiechnął się cierpko na widok przerażenia wnuka. - Powiedz mi, co o tym wiesz. A raczej co ci się zdaje, że wiesz.

- Przyjechałeś do Anglii, żeby to badać. Byłeś... to znaczy, jesteś autorytetem w dziedzinie masowych halucynacji. Prowadziłeś kursy z psychologii typowych złudzeń.

- Wygląda na to, że byłem diabelnie pewny siebie.

- Napisałeś o tym książkę. Jeśli nie masz tu jej egzemplarza, mogę ci przywieźć.

- Wzruszasz mnie. Powiem Heather, że powinna być dumna z tego, jak cię wychowała, albo sam jej to powiedz, ale nie trać czasu na tę książkę. - Lennox jeszcze bardziej sarkastycznie przekrzywił głowę i dodał: - Przypomnij mi, czym się zajmowałem w

twoim mieście.

- Profesor tutejszego uniwerku przeczytał twoją książkę i napisał do ciebie o rzeczach, które ludzie widują w lesie. A potem... nie było przypadkiem tak, że zmarł, a ty dostałeś jego posadę?

- Mówisz o starym Longmanie? Jasne, to on mnie tu ściągnął. Powiedz no jeszcze raz, co zdaniem wszystkich tu robiłem?

- Próbowałeś odkryć, dlaczego ludzie mają halucynacje związane z tym lasem.

- Mieli halucynacje? I co, odkryłem coś?

Samuel nie potrafił dociec, czy dziadek sobie z niego żartuje.

- Dotarłeś do jakichś porostów - rzekł. - Każdy kto ich dotknął, zaczynał mieć objawy.

- Jestem przekonany, że znalazłem jakieś wyjście.

- Pewne drzewa, które zmutowały, bo to coś na nich rosło albo nawet w jakiś sposób to produkowały, miały być zniszczone.

Kiedy Lennox pochylił się ku niemu, przestraszony Sam poczuł od niego zapach zgnilizny. Dopiero potem zauważył, że las się poruszył. Widocznie zawiało.

- Ile?

- Około tuzina, w środku lasu. Znacznie mniej, niż wycięto w celu zbudowania obwodnicy.

- I to był koniec, prawda? Nie licząc mnie i moich obecnych tu przyjaciół, o których twój profesor powiedział mi na samym początku.

Samuel nie był pewien, czy dziadek ma na myśli Arbour czy swoją głowę, ku której uniósł wykrzywioną dłoń.

- Paru naukowców pobrało próbki, ale rozpadły się, nim je gdziekolwiek dowieźli, więc nie doczekały się analizy.

- Tak czy owak to zły sposób - mruknął Lennox - leczyć objawy zamiast przyczyn.

- Chyba nie rozumiem.

- Mówiłeś, że odpowiesz mi na pewne pytanie.

Samuel zastanawiał się, czy słowa dziadka miały stanowić coś w rodzaju wyjaśnienia.

- Jeśli potrafię.

- Heather mówiła, że zraniłeś się, spadając z domku na drzewie. Ale dlaczego spadłeś?

- Przysnąłem.

- Jak wysoko byłeś? Dwadzieścia stóp?... Próbowałeś się do czegoś zbliżyć?

- Raczej oddalić się od policji.

Lennox skrzywił się niecierpliwie.

- Dlaczego spadłeś?

Las na skraju pola widzenia Sama wyglądał, jakby się ugiął. Najwyraźniej znowu powiało, bo zgniły zapach powrócił, choć rzut okiem za obwodnicę nie ujawnił żadnego ruchu.

- Zdawało mi się, że ktoś stoi obok mnie na platformie.

- Kto?

Zapał Lennoxsa przstraszył Sama. Nie chciał niepokoić dziadka.

- Nie wiem - odparł szczerze. - Po prostu przysnąłem.

Cały incydent istotnie przypominał sen i w tej chwili Sam ledwie go pamiętał, choć bliskość lasu zdawała się nieco w tym pomagać. Posiedział trochę na platformie, tyłem do pnia, spoglądając na zapadające się w głąb lasu słońce, po czym wczuł się do śpiwora. Początkowo widok ciemności unoszącej się z gęstwiny przypominał mu tylko o tym, że noce stają się dłuższe, ale potem poczuł się, jakby mrok bardziej rozległy niż ten las sunął ku niemu poprzez zmieniony krajobraz - jakby nocne niebo albo czerń, którego było zaledwie skrawkiem, opuszczały się na drzewa. Zamknął oczy, by odpędzić zawroty głowy wywołane przez to uczucie, a wtedy nagle wydało mu się, że ta zagadkowa obecność zmaląa i siedzi obok niego. Odsunął się od niej tak gwałtownie, że spadł z platformy. Nim dobrze otworzył oczy, przywidziało mu się, że noc go unosi. Potem ziemia uderzyła go w prawą stopę jak olbrzymi młot, nieznacznie tylko zmiękczonej przez dywan jesiennych liści. Gdy reszta ciała zderzyła się z podłożem, poczuł chrupnięcie w kostce.

- Straszna ze mnie niezgara - dodał.

- Nie zamykaj umysłu, Sam. - Lennox, spoglądając na wnuka rozszerzonymi oczami, podniósł jego głowę tak, by patrzył w stronę lasu. - Co widzisz? - zapytał niecierpliwie.

Wiatr bez wątpienia się wzmógł. Sterty liści unosiły się i tańczyły ze swymi cieniami na obwodnicy.

- A co powinienem? - zaryzykował Sam.

- Nie mogę ci powiedzieć. Zaufaj własnemu doświadczeniu. - Widząc, że wnuk nie znajduje odpowiedzi, po części dlatego, że jest tak badawczo obserwowany, Lennox dodał:

- Idź i popatrz.

- Nie chcesz, żebym tu został i pogadał z tobą?

- Dla młodego chłopaka istnieją lepsze sposoby spędzania czasu niż słuchanie stukniętych staruszków. - Najpewniej powiedział to ze względu na przechodzącego obok pielęgniarza, który zmarszczył brwi i pogroził mu palcem, sugerując, że nie powinien określać się takimi słowami. - Następnym razem będziemy sobie mieli więcej do powiedzenia

- dokończył.

Kiedy Sam wstał, dziadek ponownie ułożył nogi na fotelu i oparł policzek na kłykciach wykrzywionej dłoni, jakby się szykował do obejrzenia spektaklu.

- Podziękuj Heather za jej wysiłki - rzekł. - Nie odpowiedziałem na żadne z jej pytań.

- A zamierzasz?

Lennox wpatrywał się w twarz Sama tak długo, aż chłopak zaczął podejrzewać, iż zdaniem dziadka powinien znać odpowiedź, gdy ten nagle powiedział:

- Selcouth.

- Będzie wiedziała, co to znaczy?

- Wcześniej czy później zrozumie - odparł Lennox, podciągając ugięte nogi do brzucha.

Czy zdradzał w ten sposób, że nie radzi sobie aż tak dobrze, jak udawał? W tej chwili przypominał Samowi pomarszczony płód.

- Do zobaczenia - obiecał chłopak i pokuśtykał do samochodu.

Przejeżdżając obok fotela, zatrąbił, ale Lennox siedział skamieniały. Tylko jego włosy poruszały się w tym samym rytmie co las, poza którym prawdopodobnie nic nie widział.

Ledwie Sam przejechał przez bramę, wiatr uderzył w samochód. Najwyraźniej zmienił kierunek, teraz bowiem robił wszystko, by wypchnąć go na drugą stronę obwodnicy, gdzie drzewa na skraju drogi uchylały się, wskazując leśną gęstwinę lub sięgając ku niej. Gdy zjechał na zewnętrzny pas, wielkie ciężarówki niebezpiecznie pochylały się ku niemu. Ścisnął kierownicę tak kurczowo, że palce zdążyły mu zsinieć, nim wreszcie skręcił w zatoczkę przy lesie i obrócił samochód o sto osiemdziesiąt stopni.

Jego drzewo zostało ścięte w ramach oczyszczania terenu. Było zaledwie jednym z setek, których protestującym nie udało się ocalić, kiedy Sam był w szpitalu. Niewątpliwie protestowali teraz w jakimś innym miejscu: niewielu spośród nich mieszkało w tej okolicy. Nie mógł ich zbyt winić za zniszczenia, skoro sam także nie zdołał im zapobiec. Nie był już nawet pewien, jak bardzo mogło to zaszkodzić środowisku. Przyjechał tu nie tylko w odpowiedzi na prośbę dziadka: liczył na to, że spacer po lesie pomoże mu sobie przypomnieć, co jeszcze zobaczył wtedy z drzewa. Zdawało mu się teraz, że pamięta jakiś ruch w półmroku - gdzieś pośrodku lasu, a raczej, skoro można go było zobaczyć, prawdopodobnie ponad środkiem lasu.

Jak tylko wyczołgał się z roztrzęsionego volkswagena, wiatr wzmógł wysiłki mające na celu odepchnięcie go od drogi. Miał wrażenie, że las dyszy, próbując go wchłonąć. Odkuśtykał zaledwie kilka kroków po drżącej od wirujących liści ziemi, gdy okoliczne

drzewa zademonstrowały mu, jak doskonale schronienie oferują. Smród benzyny prześladował go jeszcze przez jakieś sto jardów, ale hałas samochodów już ustępował szumowi koron. Samuel nie musiał słyszeć odgłosów obwodnicy: wystarczyło, że będzie miał słońce po lewej stronie, by wiedzieć, że zmierza w dobrym kierunku.

Usiłował nie patrzeć prosto w słońce. Oszołomienie jego blaskiem sprawiało, że las wydawał mu się jeszcze bardziej nieodgadniony, choć oczywiście to nic innego jak samo słońce od czasu do czasu przeświecało spomiędzy liści w koronach, to jego promienie w chmurach wiatr popychał naprzód, nim Samuel zdążył im się przyjrzeć. Przed nim, ponad kobiercem liści, kolumnady drzew trwały równie nieruchomo, jak szaleńczo kołysały się ich wierzchołki. Jakiś pień zakołysał się raz po raz z długim, powolnym skrzypnięciem, któremu odpowiadało podobne z głębi lasu, jakby nawoływały się wielkie ptaki lub gady. Poza tym słyhać było jedynie wiatr i niesione przezeń stłumione odgłosy ruchu samochodowego, dobiegające co rusz z innego kierunku, tak iż Sam musiał się czasem odwracać, by sprawdzić, gdzie właściwie jest droga.

Wkrótce zasłoniły ją drzewa, a szum samochodów całkiem ucichł. Wyteżanie uszu sprawiło tylko, że chłopakowi wydawało się, iż słyszy jakiś potężny głos mamroczący coś pod osłoną wiatru. Do zmroku pozostało jeszcze kilka godzin; jak mógłby się zgubić tak blisko miasta, na obszarze mniejszym niż mila kwadratowa? Ta myśl wydawała się niewarta przedstawienia, które odgrywał dla niego las: najwyższe gałęzie wykręcały się w kształty, których pozornie nie mogłyby przybrać, liście furkotały i szybowały w powietrzu w tak skomplikowanych wzorach, że trudno było je ogarnąć, a następnie wpasowywały się w mozaikę gnijących na ziemi towarzyszy. Niektóre wierciły się, jakby wciąż jeszcze pozostała w nich odrobina życia. A każdy, który spadł, wzmagął wrażenie, że wzór jest coraz bliższy ukończenia; Sama jednak bardziej absorbował powietrzny taniec. Czy to co teraz obserwował, w jakikolwiek sposób wiązało się z tym, co ujrzał wtedy ponad gęstwiną lasu? Liście zachowywały się bardziej chaotycznie pomiędzy drzewami znajdującymi się na skraju pola widzenia, gdzie roiły się niczym owady w jakimś nerwowym rytuale. Z tej odległości wypełnione nimi powietrze wyglądało jak bryła. Samuel szybko pokuśtykał w tamtą stronę, lecz gdy zbliżył się o jakieś pięćdziesiąt jardów, liście zafalowały jak welon tancerki i rozdzieliły się, frunąc w górę zwinnie niczym popiół z ogniska. Można by pomyśleć, że wróciły na swoje drzewa, myślał, docierając do celu wędrówki.

Znalazł się na skraju polany niegdyś otoczonej skażonymi drzewami. Wiedział, jak spory kawał drogi musiał przejść, ale nie czuł, że minęło tyle czasu. Nie pamiętał wędrówki przez las ani niczego, co zobaczył po drodze. Słońce jakimś sposobem znalazło się przed nim

i rzucało oślepiające białe światło pomiędzy powykrzywianymi wierzchołkami. Miał wrażenie, że w jego oczach zbierają się katarakty światła, ledwie pozwalające zobaczyć niski kopiec szerokości małego domu, umieszczony w jeszcze niższym kręgu omszonych cegieł. Potem dwa drzewa rozsunęły się, jakby chciały skupić na kopcu całe światło słońca.

Jego wierzchołek pokrywały łuski porostów. Choć ich plama nie była większa od człowieka, którego przypominała kształtem, mieniła się tyloma kolorami, że Sam nawet nie próbował ich liczyć ani nazywać. Przekuśtykał między gestykulującymi drzewami i wyszedł na otwartą przestrzeń, a wtedy połyskująca masa poruszyła się i wystrzeliła w górę. Były to niezliczone owady, które śmigały i tańczyły w powietrzu, tworząc takie wzory, że zapierało aż dech.

Poruszył się dopiero, gdy skrzyły ku niemu. Cofał się, choć część umysłu nakłaniała go, by pozostał w miejscu i lepiej się przyjrzał. Potem drzewa otaczające polanę pochyliły się ku sobie, skrywając sporą część światła, i rój cofnął się, przeleciał nad kopcem i dalej, w głąb lasu. Tracąc je z oczu, Sam pomyślał, że teraz lśnią jeszcze jaśniej barwami, których dotąd nie widział nawet w snach. Ucieczka takiej ilości światła niemal go oślepiła. Zamknął oczy i zakrył je dłońmi, obserwując utrzymującą się pod powiekami biel, kiedy w pobliżu trzasnęła gałązka.

To nie musiał być człowiek - wiatr był dość silny, by łamać nawet grubsze gałęzie - zdawało się jednak, że dźwięk dobiegał z miejsca, które znajdowało się bliżej kopca niż jakiegokolwiek drzewo. Samuel gwałtownie otworzył oczy, ale oślepiło go słońce znów widoczne zza wierzchołków. Zdawało mu się, że czuje zapach kopca, ciepłej ziemi i czegoś słodsze. Potem odzyskał wzrok i ujrzał postać nadciągającą z zalanej światłem przestrzeni za kopcem. Przez chwilę nie widział jej twarzy. Wyciągała ku niemu ręce, jakby chciała go przywołać, a ponad każdą dłońią krążył owad jaśniejszy od słońca.

Autor księgi

- Zaraz jedziemy! - zawołała Heather i natychmiast pomyślała, że powinna była opuścić pierwsze słowo. Gdy Sam nie odpowiedział, przeszła obok litografii swojej matki przedstawiającej dziwaczne drzewo o gałęziach równie nierealnych jak przestrzenie pomiędzy nimi. Nie znalazła chłopaka w łazience, w której lustro powoli pozbywało się mgły, a prysznic przygotowywał do spuszczenia kolejnej kropli. Przykręciła kurek i rozprostowała ręcznik na suszarce, lecz po namyśle wrzuciła go do kosza na brudy i ruszyła do pokoju Sama.

- Gotowy do drogi? - zawołała, pukając do drzwi.

Chyba nie poszedł z powrotem spać? Zapukała ponownie, po czym uchyliła drzwi. Stał przy oknie zagraconego jak zwykle pokoju: malutka wieża hi-fi, wokół niej góra płyt bez pudełek, na nich słuchawki; łóżko nie tyle posłane, ile przykryte kołdrą, biurko komputerowe zasypane dyskietkami, na krzesło wczorajsze, a może i starsze ubranie. Za oknem nie było widać nic oprócz ćwierci mili porośniętej trawą nieużytku.

- Jeśli wybierasz się ze mną do miasta, informuję, że właśnie wyjeżdżam - powiedziała. - Nie ma sensu brać dwóch samochodów.

Samuel otarł parę z szyby, jakby machał drzewom, i Heather zobaczyła, że one, pchane wiatrem, odwzajemniają gest. Chłopak nie patrzył już w tamtą stronę.

- Nie ma sensu - zgodził się bez entuzjazmu.

- Kto dzwonił wczoraj wieczorem, gdy już byłam w łóżku?

- Ojciec. Pytał, czy mam czas w niedzielę. - Po tych słowach na jego zaciśniętych ustach zagościł wątyły uśmiech przypominający wzruszenie ramion, a brwi uniosły się, ukazując niewidoczne zwykle zmarszczki na wysokim czole. - Pojadę z nim, jeśli to go ucieszy - dodał Sam.

Heather zastanowiła się, czy sprawcą niezwykłego wyciszenia Sama jest myśl o tym, że ona i Terry mogliby traktować siebie z uprzejmością zarezerwowaną zwykle dla obcych w domu, w którym niegdyś mieszkali wszyscy troje.

- Na pewno go ucieszy - odparła, zostawiając Sama, by zamknął dom, i idąc

uruchomić samochód.

Honda civic stała obok jego volkswagena na kamiennych płytach. Terry swego czasu uparł się wyłożyć nimi podwórze połówki dużego bliźniaka, sprezentowanej im z okazji ślubu przez Margo, która przeniosła się do mieszkania po drugiej stronie Goodmanswood. Choć na Woodland Close nie było drzew, po chodniku wałało się kilka powykrzywianych brązowych liści. Samochody ćwierkały wyłączanymi alarmami, a zbudzony wcześniej odkurzacz bzyczał jak mucha niemogąca znaleźć wyjścia z dawnej szkoły przerobionej na dom kultury. Trzeci dom po ich stronie ulicy był wystawiony na sprzedaż.

Samuel zapiął pasy i Heather ruszyła. Po dwóch minutach jazdy znalazła się na jednej linii z High Road zamienioną w deptak, kiedy spora część samochodów zaczęła korzystać z obwodnicy. Ruch uliczny wewnątrz miasta musiał się teraz zmieścić na węższej drodze pomiędzy najstarszymi domami; nie zdziwiłaby się, gdyby Sam ponownie zwrócił jej uwagę na tę sprzeczność. On jednak siedział tak cicho, że w końcu, gdy już minęła idące do szkoły dzieci i nie musiała aż tak uważać, sama się odezwała.

- No to gdzie wczoraj byłeś po wizycie w Arbour?

Początkowo zdawał się zbyt zaprzątnięty bliskością lasu, by odpowiedzieć. Korę pni otaczał czarny jak ziemia cień, jakby wszystkie te drzewa ostatniej nocy ekshumowano.

- Tak sobie jeździłem - odparł ze zmarszczeniem brwi dziwnie przypominającym wyężanie pamięci - i chodziłem.

- Zdenerwowałaś się wizytą u dziadka?

- Może.

Odwrócił głowę i spoglądał na szeregi drzew maszerujące do tyłu, jakby chciały odtworzyć jakiś tajny wzór, choć gęstwina lasu zdawała się nieruchoma. Heather nie przeszkadzała mu, póki nie minęli Arbour, gdzie dostrzegła ojca siedzącego w oknie i obiema rękoma trzymającego rozsunięte zasłony.

- Mówił, że pytałaś go o coś w lesie - mruknął nagle Sam. - Nie powiedziałaś mi jeszcze, co tam znalazłaś.

Odpowiedź wydawała się niewarta wyężania pamięci.

- Jak to nie?... Dziadka i paru innych ludzi.

- I pomogłaś przyprowadzić ich z powrotem. Ale czy coś jeszcze się tam wydarzyło?

- No, mówisz, że podobno o coś go zapytałam.

- Kazał ci przekazać, że odpowiedź brzmi: „Selcouth”.

- Nie mam pojęcia, co to znaczy. Trzeba będzie sprawdzić.

Drzewa w lusterku stawały dęba, po czym kurczyły się, jakby chciały się ukryć przed

słońcem; ciężarówką przed hondą rzucało z pasa na pas, choć nie było wiatru. Tym razem autostrada przyniosła ulgę, zmuszając Heather do większej koncentracji na drodze i oddalenia od siebie widoku Lennoksa w oknie. Czuła niecierpliwość Sama, prawdopodobnie związaną z tempem jazdy - bo chyba nie ze słowem, którego znaczenie mieli sprawdzić.

Za pełnymi uczniów ulicami widniały wieże uniwersytetu górujące nad cmentarzem na szczycie Mercy Hill. Heather minęła miasteczko uniwersyteckie i wjechała w zniszczone wiktoriańskie uliczki, które stały się dzielnicą studencką. Gdy zastanawiała się, czy Sam będzie mógł kiedyś chodzić bez utykania, dojechali w pobliże Nieograniczonych Świątów i Heather jęknęła w imieniu syna. Jego współpracownicy znajdowali się na chodniku przed sklepem, podobnie jak większość szkła z witryny.

Jasnowłosy Andy podszedł ciężkim krokiem do samochodu.

- Dużo zabrali? - zapytała Heather.

- Prawie nic. Książki najwyraźniej ich nie obchodziły.

- Trochę porzrzucali i porobili z nimi parę innych rzeczy - dodała Dina, marszcząc nos, co wymagało ruchu całej owalnej twarzy.

- Policja już była? - zapytał Sam, nieco niezgrabnie gramoląc się z wozu.

- Dzwoniliśmy - odparł Andy. - Nie pozwolili sprzątać, póki nie przyjadą, na wypadek gdyby były jakieś ślady.

- Mogę was z tym zostawić? - zapytała z poczuciem winy Heather. - Odbiorę cię po pracy, Sam, albo ty wleć po mnie.

A więc mam kolejne zmartwienie, myślała, odjeżdżając: czy Sam będzie musiał odejść z pracy, zanim znajdzie coś stałego? Ten problem ulokował się na samym szczycie, spychając w dół pytanie, co chłopak ma zamiar zrobić ze swoim życiem, nie mówiąc już o tym, czy nie powinien był do tej pory o tym zdecydować, choć nękała ją także pytanie, czy sama dobrze zrobiła, przysysając się kurczowo do pierwszej stałej pracy, jaką udało jej się znaleźć. Te myśli i cała chmara innych tłukły jej się w głowie, gdy parkowała samochód i szła przez oświetlony słońcem, pobielony szronem campus.

Echo jej kroków stało się bardziej głuche, gdy zeszła z korytarza. Na wszystkich monitorach terminali przy stołach bibliotecznych widniała mgiełka. Heather rzuciła torbę na biurko i ruszyła do działu ze słownikami; mogła sprawdzić słowo w komputerze, wciąż jednak wolała trzymać w ręku książkę. Znalazła hasło: „selcouth (sel-couth): dziwny, niezwykle, cudowny (od staroangielskiego *seldan* - rzadko, *cuth* - znany)”.

Kilka słowników mówiło mniej więcej to samo, ale niewiele wyjaśniało. „Rzadko znany” - mruzczała pod nosem Heather. Zniosła najgrubszy słownik z powrotem na półkę,

między jego świadomych swego ciężaru krewniaków, po czym pod wpływem impulsu udała się w głąb nawy, by sięgnąć po książkę ojca.

Mechanika uludy Lennoksa Price'a stała na górnej półce oparta o potężny tom Freuda. Zgramoliwszy się z niskiej drabinki, Heather spojrzała na stronę z datami wypożyczeń. Całkiem sporo osób interesowało się książką w latach 60. i na początku 70., kiedy badania ojca w lesie trafiały na czołówki gazet, lecz od tamtej pory tom rzadko opuszczał regał. Początek opowiadał historię popularnych złudzeń doprowadzoną do rozpowszechnionych w owym czasie mitów związanych z narkotykami. Przez większą część autor zajmował się wiązaniem ubocznych wierzeń z tymi bardziej typowymi i ukazywaniem ich współzależności, a ostatnie stronicę porównywały sceptycyzm z wierzeniami, które próbował obalić, i demonstrowały, że i jedno, i drugie jest produktem tego samego mechanizmu psychicznego. Książka przypominała Heather, jak jasny był kiedyś umysł ojca, przywołując nieprzyjemne wspomnienia jego napadów niepokoju, podczas których chodził w tę i w tę po całym domu, jakby chciał wyrzucić z mózgu jakąś nieznośną zawartość; nagłych ataków tłumionej wesołości, żądań absolutnej ciszy, których potrafił nie odwoływać godzinami, nasłuchując tymczasem jakichś dźwięków spoza domu i gapiąc się na małą wóczas Sylwię, jakby nie mógł jej zidentyfikować, a czuł, że musi...

Odłożyła *Mechanikę uludy* i ruszyła ku książkom o sztuce. Dwa tomy zatytułowano po prostu „Margo Price”. Był to katalog retrospektywnej wystawy z lat 80. oraz wielka księga prezentująca jej dokonania aż do pięciu lat wstecz. Od tamtej pory Margo koncentrowała się na rzeźbieniu w drewnie znalezionym na skraju lasu pod Goodmanswood - budowa obwodnicy zapewniła jej mnóstwo takiego materiału - ale Heather najbardziej lubiła jej malarstwo, a w szczególności jeden obraz. Wyciągnęła katalog i oparła go okładką o skraj półki. Lśniące stronicę otworzyły się na obrazach Arizony, ukazując pustynne krajobrazy urozmaicone tylko pojedynczymi kwiatkami, nieznajdującymi ucieczki przed palącym słońcem. Przewracała strony, aż znalazła *Światło przedzierające się przez ciernie*, pierwsze płótno namalowane przez Margo po oddaniu Lennoksa do Arbour.

Ukazywało łuk z cierni tak ciasno splecionych ze sobą, że jedynie małe promyczki światła, ostre jak kolce, potrafiły się przedrzeć, ale im dłużej się na nie patrzyło, tym bardziej ciernie zaczynały przypominać złudzenie. Czyżby niektóre z nich tak naprawdę składały się raczej z odłamków nieba i odległego zielonkawego horyzontu? Kiedy siedmioletnia Heather zapytała, co ten obraz przedstawia, matka odparła, że to, co oglądający widzi. Być może właśnie dlatego był to najczęściej reprodukowany obraz Margo, dostępny w formie plakatu, czasem jednak patrzenie nań wywoływało w Heather poczucie, że znajduje się w ogromnej

bliskości spokoju zbyt dogłębnego, aby go wyrazić słowami. Teraz niestety nie potrafiła przywołać tego wrażenia. Odstawiła album na półkę i mimowolnie skierowała się ku działowi z folklorem.

Ktoś odłożył książkę Sylwii grzbietem w głąb. Heather ledwie stłumiła w sobie myśl, że książka ukrywa się tak samo jak jej autorka. Skoro ona postanowiła zostać w rodzinnym domu, jej siostra nie musiała tego robić, no i przecież kontaktowała się z nimi, nawet jeśli ostatnimi czasy czyniła to rzadko - szczerze mówiąc, ani razu od kilku miesięcy, od tamtej kartki z Meksyku, gdzie podobno zbierała materiały do nowej książki. Heather na chybił trafił otworzyła *Tajemne knieje: leśne mity*, trafiając na chińską baśń o chłopcu, który wspinał się na drzewa w poszukiwaniu ptasich jaj i znalazł gniazdo z pozbawionymi głów, lecz żywymi piskletami. Ten obraz, a może fakt, że czytała to w miejscu, z którego nie było widać większości pomieszczenia, tylko ją zaniepokoił, nie ujawniając żadnego przesłania. Prychnęła niecierpliwie, zła na siebie, po czym zaniósła tom i wszystkie kołaczące się po jej głowie echa na biurko.

Niektóre z zawartych w książce historii niegdyś jej się podobały, ale w tej chwili nie mogła sobie przypomnieć, gdzie są. W przedmowie przeczytała, że lasy uważano za tajemne miejsca już w czasach, z których wywodzą się pierwsze zanotowane opowieści. To tam rozgrywało się wiele baśni, mimo iż na wstępie rozdziału o Niemczech przytaczano bawarską tradycję mówiącą, że jeśli przejdzie się przez niektóre lasy nocą z dzieckiem na rękach, w chwili wyjścia zamiast dziecka będzie się niosło coś całkiem innego, skrzeczącego ci do ucha bardzo, bardzo starym głosem. Sekcja o Ameryce rozpoczynała się od legendy z Burkittsville, opowiadającej o pokracznym domku widocznym podobno z leśnej drogi - domku, który malał, w miarę jak podróżni zbliżali się do niego, a rósł, gdy usiłowali uciec. Heather zerknęła do rozdziału o brytyjskich legendach i natknęła się na opowieść pochodzącą z Derbyshire, traktującą o Leśnym Człowieku, satyrze, który w przeddzień przesilenia letniego wychodzi z lasu w przebraniu miejscowego młodzieńca i uwodzi jego narzeczoną. W innych wersjach pojawiał się jako brat spółkujący z siostrą lub ojciec robiący to samo z córką. Heather zaczęła się zastanawiać, dlaczego wciąż to czyta - może po prostu szukała potwierdzenia, że nie wszystko, czym interesuje się Sylwia, jest tak mroczne? - kiedy ktoś wszedł do pomieszczenia.

Była to szczupła kobieta w dżinsowych ogrodniczkach i czarnym golfie, z dużą wyświechtaną płócienną torebką przewieszoną przez ramię. Być może nie aż tak młoda, jeśli się zauważyło siwe nitki w niedbale przystrzyżonych rudawych włosach, kiedy odwróciła się, by zamknąć drzwi.

- Otwieramy dopiero o dziewiątej - mruknęła Heather, ale nie miała zamiaru robić z tego afery. Dalej przeglądała *Tajemne knieje*, gdy usłyszała zbliżające się do kontuaru kroki.

- W czym mogę pomóc? - zapytała, nie podnosząc głowy.

- Hej.

Głos brzmiał z amerykańska. Jeśli to słowo miało być odpowiedzią, Heather jej nie zrozumiała. *Tajemne knieje* wciągnęły ją w wir baśni. Położyła dłoń na książce i rozglądała się w roztargnieniu za zakładką.

- Już do pani idę - rzuciła.

- Zawsze przy mnie jesteś, Heather.

Zdumiona uniosła powoli głowę i ujrzała duże, ciemne, wpatrzone w nią oczy, wąskie różowe wargi zbiegające w szerokim uśmiechu, malutki nosek z nozdrzami rozszerzonymi, jakby ją obwąchiwały. Wstała tak szybko, że jej krzesło uderzyło o biurko Randalla z klekotem, którego echo brzmiało jak odgłos gałęzi spadającej przez gąszcz.

- Sylwia! - wykrzyknęła.

Powrót

Kiedy Heather uniosła klapę masywnej lady, miała wrażenie, że ta prawie nic nie waży. Już niemal uwierzyła, że dębowe drewno transmutowało w inną substancję, lecz uświadomiła sobie, że jej siostra także podnosi klapę. Kiedy się objęły, drewno opadło z głuchym dudnieniem przypominającym uderzenie siekierą, a okoliczne regały zadrżały jak pod ciosem mniejszych toporków. Heather przygarnęła siostrę z żarliwością, która miała zrekompensować fakt, że w pierwszej chwili jej nie rozpoznała - to z powodu akcentu, wmawiała sobie - i poczuła, że jej ogrodniczki zapadają się w pasie. Sylwia była chuda jak szczapa. Heather ścisnęła ją, jakby już nigdy nie miała wypuścić jej z objęć, czując, jak powracają wszystkie lata, podczas których musiała się opiekować młodszą siostrą. W końcu opanowała się na tyle, by ująć Sylwię za ramiona i spojrzeć jej w oczy, które także zdawały się nabrzmiałe wspomnieniami.

- Coś ty z sobą zrobiła? - zapytała niecierpliwie.

Sylwia z uśmiechem przekrzywiła głowę.

- Z sobą?

- Właściwie sobie. Ty w ogóle coś jesz?

- Hm, w Meksyku nie mają zbyt wielu wegetariańskich potraw...

- Więc wciąż jesteś roślinożerna.

- Zgadza się. Nadal jem jak dzikuska.

- Chciałabym, żeby tak było. Będziemy musieli się za siebie wziąć.

- Rany, wciąż ta sama starsza siostra. - Sylwia cofnęła się o krok, wysuwając się z uścisku Heather, bo do biblioteki wmaszerowało właśnie echo, a wraz z nim Randall. - Hej, nie przeszkadzam ci w pracy?

- Najwyżej wezmę wolny dzień. Albo tyle, ile będzie nam trzeba, żebyśmy sobie wszystko poopowiadały. Randall, poznaj moją młodszą siostrę Sylwię.

- To teraz dostarczają siostry w pełni wyrosnięte? - zażartował, po czym przykrył usta dłonią, jakby siebie upominał, i odchrząknął. - Niezmiernie miło mi panią poznać.

- Wieki nie było jej w domu - wyjaśniła Heather. - Przypuszczam, że nie przestaniemy

gadać, póki nie zabraknie nam tchu.

Randall położył swoją wypchaną znoszoną aktówkę na biurku i podrapał się po brwiach z dźwiękiem przywodzącym na myśl papier ścierny.

- Jeśli chcesz gdzieś wyskoczyć, zastąpię cię. Nasi pomocnicy powinni za chwilę się zjawić.

- Pewnie pójdziemy gdzieś na długi lunch. Sylwio, może na razie posiedzisz ze mną i pogadamy, a ja w tym czasie powskrzyszam trochę starych książek?

- Brzmi magicznie.

- Rozumiem, że nadal lubisz magię?

- Jak zawsze odkąd czytałaś mi bajki.

- Nie uważasz, że obie jesteśmy za stare na bajki? To co tu robię, to sama technika.

Sylwia ruszyła za nią na drugą stronę kontuaru - Randall przytrzymał klapę - a potem wskazała coś dłonią.

- Co robisz z moją książką?

- Tak tylko ją przeglądałam.

- Po co?

- Po nic - odparła Heather zaskoczona nagłym tonem siostry. - Dawno jej nie czytałam, więc postanowiłam sobie odświeżyć.

- Ale wiesz, co to oznacza?

- Hm, nie za bardzo...

- Przeczulaś, że się zbliżam - rzekła Sylwia, przesuwając palcami po opowieściach o uwodzeniu w lasach, a potem zamykając książkę. - Mówiłaś, że zamierzasz ją wskrzesić?

- Nie, ale tylko dlatego, że nie jest dostatecznie stara. Książki, które skanuję, są znacznie bardziej wiekowe. - Heather usiadła przed komputerem, lecz nie włączyła go. - Nie pogniewasz się, jeśli spytam...

- Pytaj, o co chcesz.

- Wiesz, że nie chcę być wredna, ale co cię tak nagle skłoniło do powrotu?

- Zawsze miałam wyrzuty sumienia, że sama cię z tym wszystkim zostawiłam. Może przez to, że tak się o mnie troszczyłaś, kiedy byłyśmy dziećmi, uznałam, że po prostu ty jesteś troskliwsza.

- Staram się. Nie narzekam za bardzo, prawda, Randall?

Odwrócił głowę od monitora zarumieniony, jakby go przyłapały na podsłuchiwanie.

- Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek to robiła.

- Przesadza z uprzejmości, ale tak czy owak rozmawiamy o tobie, Sylwio.

- Uważałam, że powinnam wykorzystać umiejętności badawcze nabyte na uniwersytecie... No i może chciałam napisać książkę, tak jak tata.

- Ciągłe się tłumaczysz. A ja tylko zapytałam, dlaczego tak nagle wróciłaś.

- Czułam, że jestem potrzebna. Miałam rację?

- Nie pytaj - odparła Heather, obejmując ją tak długo, aż Sylwia niezręcznie odwzajemniła uścisk.

- Myślałam raczej o tacie. Pisałyście mi trochę o jego stanie, ale chciałabym wiedzieć, jak się czuje teraz.

- Od kilku miesięcy jego umysł jest bardziej aktywny.

- To chyba dobrze?

- Mam na myśli to, że stał się niespokojny. Nie raz o ciebie pytał.

- Może podobnie jak ty przeczuł, że planuję powrót, a może to on mnie tu ściągnął.

- Może.

Sylwia przez mgnienie oka wyglądała na rozczarowaną.

- A jak mama? - zapytała potem.

- Dobrze. Niedługo ma wystawę w Londynie. Nie kontaktowałaś się z nią?

- Dopiero wczoraj wróciłam do Anglii. Chciałam najpierw zobaczyć się z tobą. Zawsze byłyśmy ze sobą najbliżej, prawda?

- I nie czekając nawet, aż Heather się uśmiechnie, zapytała:

- Mogę teraz do niej zadzwonić?

- Myślę, że powinnaś. Skorzystaj z mojego telefonu.

Sylwia wsparła się łokciem o swoją książkę i odsunęła słuchawkę od ucha. Heather słyszała gwałtowne bicie jej serca. Uderzyło sześć i pół raza, nim Margo odebrała.

- Halo? - zapytała z pewną niecierpliwością.

- Zgadnij, kto mówi.

- Przykro mi, nie wiem. Jeśli dzwoniisz z Ameryki, informuję, że tu jest dość wcześnie. Znajduję się właśnie w kluczowym momencie tworzenia nowej rzeźby. Najlepiej zostaw jakiś namiar...

- Heather też mnie nie poznała.

Odpowiedziała jej cisza, jakby matce zaparło dech, a po chwili...

- Sylwia? To naprawdę ty?

- Jeśli nie, to ktoś musi się pode mnie podszywać.

- Słyszę cię, jakbyś była bardzo daleko.

- A jednak nie jestem, prawda, Heather?

Przez chwilę Heather miała ochotę przyłączyć się do żartów, ale nie chciała się poczuć tak młodo, jak wyglądała jej siostra.

- Już nie - powiedziała.

- Jesteś u niej w pracy, Sylwio?

- Tak. Przeszkadzam jej na wszelkie sposoby.

- Dlaczego nie dałaś nam znać, że wracasz?

- Nie chciałam, żebyście się martwili, jeśli się spóźnię. Niełatwo było wrócić z miejsca, w którym byłam.

- Teraz liczy się tylko to, że tu jesteś. Czekaj tam, a ja podjadę po ciebie i będziemy gadać do późnej nocy.

- Zdawało mi się, że mówiłaś, iż jesteś w kluczowym momencie czegoś ważnego.

- Nic nie jest tak ważne jak ty. Może zaczekać jeden dzień. To tylko kawał drewna z własnym umysłem. Będę u was za jakieś pół godziny. Nie waż się oddalać. Nie pozwól jej, Heather.

- Zgoda! - odpowiedziały chórem i wybuchnęły takim śmiechem, że nawet Randall ośmielił się przyłączyć.

Kiedy się uspokoił i Sylwia odłożyła telefon, Heather oznajmiła:

- Chcę się dowiedzieć wszystkiego o Meksyku i innych miejscach, w których byłaś, ale naprawdę muszę popracować.

- Nie będę przeszkadzać. - Sylwia pomachała *Tajemnymi kniejami*, unosząc klapę w ładzie jedynie na tyle, aby się precyzyjnie przesuwać. - Odłożę siebie na półkę - dodała.

- Później opowiesz o wszystkich swoich przygodach.

- Później. Jasne. - Obróciła się, ruszając w cień regałów, które jednocześnie zwielokrotniały i przytłumiały jej głos, gdy dodawała: - Może będę musiała z tym zaczekać, dopóki nie skończę z książką.

6

Za domami

Gdy Sam kuśtykał wolno między półkami, jakby szukał jakiejś książki, której tytułu nie pamiętał, Heather podeszła do niego.

- Zaraz kończę - powiedziała półgłosem. - Jak sklep?

- Musieliśmy na razie zabić witrynę deskami, a jutro kolega taty Andy'ego wstawi szybę. Więc na razie nikt nie może zobaczyć, co sprzedajemy.

- I co, nie mieliście dziś żadnych klientów?

- Tylu. - Dwukrotnie rozwarł palce lewej dłoni, drugą ręką sięgając za plecy matki i podnosząc książkę leżącą na kilku stojących. - Co nie znaczy, że każdy z nich coś kupił.

- Wystarczy, że niektórzy kupili - powiedziała Heather, po czym zdumiała się na widok *Tajemnych kniej* w jego ręce.

- Ciekawe, że po to sięgasz.

- Co w tym takiego ciekawego?

- Ciszej, Sam. Wkrótce się przekonasz.

- Spodoba mi się?

- Jestem pewna, że tak. Zaczekaj, aż się dowiesz, na co czekamy - mruknęła i wróciła do swego biurka.

Widziała, jak syn siada na krześle, najwyraźniej nie zauważając, że naprzeciw niego zasiada co najmniej ładna dziewczyna w zbliżonym wieku, i marszczy brwi nad książką. Nurtowało ją pytanie, jak Sam przywita Sylwię. Margo na jej widok wydała okrzyk zachwytu zmieszanego ze zgrozą, który sprawił, że wszyscy studenci podnieśli głowy niczym członkowie klubu w obliczu intruza. Wspięła się na palce, by uściskać Sylwię przez kontuar w ramach wstępu do prawdziwego uścisku, w który ją schwyciła, gdy tylko blat przestał je dzielić.

- Nigdy więcej nie wyjeżdżaj na tak długo - szepnęła, po czym nie mniej żarliwie dodała: - Zobacz, co się z tobą dzieje, jak to robisz! - I natychmiast się zawstydziła. Nie tylko tych słów. - Przepraszam. Zwykle tak się nie zachowuję. Chyba starość mnie dopada. Jedziemy - oznajmiła całej bibliotece. - A ty, Heather? Za dużo masz pracy, biedulko. No nic,

wpadniemy po ciebie w drodze na lunch.

Pojechały do Peace & Beans, wegetariańskiej restauracji na drugim końcu kampusu, ale Sylwia nie zjadła nawet w przybliżeniu tyle, by usatysfakcjonować matkę.

- Będziemy musiały cię podtuczyć - oznajmiła Margo, rozgrzebując warzywną musakę jakby w nadziei, że mogło się do niej zakraść trochę mięsa. Mówiła najwięcej z całej trójki, lecz do starszej córki nie powiedziała nic ponad: „prawda?”, „co, Heather?”, „nie?” i tym podobne. Zaproponowała, by Sylwia zatrzymała się u siostry, bo tam jest więcej miejsca. Oczywiście Heather sama miała zamiar to zaproponować, ale nie dopuszczono jej do głosu. Ujęła Sylwię za chude rączki, zapewniła ją, że może mieszkać u niej tak długo, jak długo będą siostrami, po czym odmeldowała się, by wracać do pracy, Margo zaś zabrała młodszą córkę na zakupy odzieżowe. Heather nie była zazdrosna: ona także dostawała od matki prezenty, i to dość często. Teraz pragnęła tylko, żeby jak największa część jej rodziny była razem.

Wydało jej się, że to kilka studentek trąkocze i chichocze w korytarzu, ale gdy echa ustąpiły miejsca prawdziwym głosom, rozpoznała amerykański akcent. Margo przytrzymała drzwi przed Sylwią, która wtoczyła się do środka z trzema wielkimi torbami.

- Sam! - zawołała Margo, szybko, lecz filuternie kładąc palec na ustach. - Wiesz, kto to jest? - zapytała szeptem, który dotarłby do najdalszych zakątków nawet większego pomieszczenia.

Samuel położył dłonie na dwóch stronach *Tajemnych kniej* i uniósł się nieco.

- Gdzie ja mogłem ją widzieć? - zastanowił się na głos.

- Może przeniesiemy się z powitaniem na zewnątrz? - zaproponowała Heather, pozostawiając za biurkiem Nicka i Saritę na wieczorny dyżur.

Samuel wzdrygnął się, gdy dotknęła jego ramienia. Kiedy już znaleźli się na korytarzu, Margo rzuciła niecierpliwie, choć nie na tyle, by z jej głosu zniknęła czułość:

- To twoja ciotka Sylwia.

- Wiem - odparł Sam, po czym zwrócił się do Sylwii:

- Właśnie na ciebie patrzyłem.

- A co wy tacy nieśmiali? - wykrzyknęła Margo.

Ciotka i siostrzeniec uścisnęli się - zdaniem Heather przynajmniej Sam zrobił to niezdarnie.

- Kiedy na mnie patrzyłeś? - zapytała Sylwia po tym rytuale.

- Jesteś na okładce książki, którą czytałem.

- Heather też po nią sięgnęła. Wygląda na to, że książce odnowiła się dzierzawa na

życie.

- Czuję się, jakby nam wszystkim się odnowiła - wtrąciła Margo. - To pewnie ona ją nam przywiozła, co, Heather?

- Nie wiem, kto inny mógłby to zrobić.

Sylwia ujęła Sama za ramię.

- Będę z wami mieszkała, jeśli ci to nie przeszkadza

- rzekła.

- A czemu miałyby mi przeszkadzać?

Być może wyczuła w nim jakąś konsternację, bo powiedziała:

- Wychowałeś prawdziwego rycerza, Heather. Pamiętasz, jak mi mówiłaś, że jeden taki mieszka za naszym domem?

- Chyba nie.

- Kiedyś zapytałam, kim jest ten cały Goodman i dlaczego to jego las.

- Nadal nie pamiętam.

- Dziewczeta - wtrąciła się Margo - chyba nie zaczniecie się teraz kłócić? Ledwie się przywitałyście.

- Chyba już wyrosłam z rycerzy. Będę zadowolona, jeśli Sam okaże się po prostu dobrym człowiekiem - powiedziała Heather i aby oszczędzić synowi zażenowania, pogoniła Margo i Sylwię przez drzwi, które Sam trzymał otwarte.

Czuła w ustach smak opadającego na campus zmierzchu, budzącego do życia reflektory śpiące w swoich norach u stóp fasady z piaskowca.

- Już dość się tobie naprzykrzałam jak na jeden dzień - powiedziała nie wiadomo do kogo Margo. - Niech ktoś do mnie jutro zadzwoni, to umówimy się na obiad za parę dni.

- Mogę jutro odwiedzić tatę? - zapytała Sylwia.

- Pod warunkiem, że nie zawiadomisz go wcześniej o swoim przyjeździe - odparła Margo, chyba podobnie jak Heather nie wiedząc, czy jest w tym pytaniu więcej nadziei czy obawy. - W przeciwnym razie w życiu nie zaśnie.

Raz jeszcze uściśnęła Sylwię na pożegnanie, po czym ograniczyła się do jednego spojrzenia za siebie. Gdy pozostała trójka udawała się do civica, Sylwia pokiwała głową na widok powłóczącego nogą Sama.

- Ranny rycerz - mruknęła w zamyśleniu. - Mama już mi opowiedziała, jak się zraniłeś, broniąc drzew.

- Po prostu spadłem.

- Wątpię, czy tak całkiem po prostu, Sam.

Milczał jak głaz. Heather wyjęła kluczyki.

- Mam poprowadzić, żebyście mogły sobie pogadać? - zapytał Sam.

- Dziewczęta z przodu, chłopaki z tyłu - odparła natychmiast Sylwia.

Heather bez słowa włączyła się do wieczornego ruchu. Nikt nie odezwał się dopóty, dopóki większość Brichester nie zniknęła za horyzontem. Las wznosił się przed nimi niczym chmura burzowa, która spadła na ziemię. Na jego wschodnim skraju połyskiwały światła obwodnicy.

- Kiedy ostatnio byłeś w lesie, Sam? - zapytała niespodziewanie Sylwia.

Tak długo zwlekał z odpowiedzią, że Heather omal go nie pogoniła.

- Chyba wczoraj - rzekł wreszcie.

- Nic mi nie mówiłeś - zdumiała się matka.

- Dziadek chciał, żebym tam pojechał.

- W takim razie dobrze zrobiłeś. Będziesz miał mu wiele do opowiedzenia?

- Nie wiem, co chce usłyszeć.

- Myślę, że prawdę, chyba że miałyby go zaniepokoić.

- Zdaje się, że wiele rzeczy go niepokoi.

Musiałyby się odchylić na bok, by zobaczyć jego twarz. Przed nimi las rzucał trzepoczące, wydłużone cienie. Heather przyłapała się na rozmyślaniu, jak wyglądałaby ta sceneria w oczach Lennoksa: jak wielki czarny kształt poruszający licznymi odnóżami? Może i Sylwia o tym pomyślała, zapytała bowiem:

- Jak myślisz, co byśmy znaleźli tam w tej chwili?

- To co zwykle - odparła Heather.

- Czyli?

- Różne rzeczy, które zazwyczaj bywają w lasach.

- Mówisz to dlatego, że przeczytałaś moją książkę?

- To tylko las, jak każdy inny.

Na skraju promieni jej reflektorów jakaś ciężarówka zachybotała, częściowo zjeżdżając z wolnego pasa.

- Dużo tu macie wypadków? - zapytała Sylwia.

- Więcej niż przed poszerzeniem drogi - odparł Sam. - Nawet w trakcie robót pracownikom przydarzały się różne rzeczy ze sprzętem. Mówili, że ktoś w lesie ich rozprasza. Równie dobrze mogliby powiedzieć, że to my.

Sylwia wpatrywała się w coraz bliższy las, a Heather znów musiała się opierać myśli, że ojciec pewnie widziałby go jako skradającą się pod osłoną drzew wielonogą ciemność.

Albo coś całkiem innego. Jej siostra zdawała się pochłonięta obserwacją.

- To był on? - zapytała nagle.

Heather kurzowo ścisnęła kierownicę, bo samochód naraz omal nie skręcił.

- Kto? Gdzie?

- Tata.

No jasne, mijali właśnie widoczne po drugiej stronie drogi Arbour. Jakiś człowiek stał w bramie, oświetlony od tyłu przez światła szpitala. Z jego ust wydobywała się smużka dymu.

- Pewnie jakiś pielęgniarz - odparła Heather.

- A gdzie tata ma pokój?

- Na piętrze, od frontu.

Sylwia zakryła twarz i zsunęła się na fotelu, jak tylko mogła bez odpinania pasa. Dopiero kiedy samochód skręcił w stronę Goodmanswood i drzewa wygasły światła Arbour, młodsza z córek Lennoksa opuściła ręce i usiadła normalnie.

- Mama mówiła, że mam nie zakłócać mu snu.

Gdy Heather skręciła w Goodmanswood, drzewa i ich zmasowane cienie nadal czały się po obu stronach drogi, póki nie przerwał ich pierwszy szereg niezgrabnych domków. Trochę dalej domy były większe i nowsze. Samochód popłynął przez High Road z jej oświetlonymi nie wiadomo dla kogo sklepami i garstką restauracji. Boczna uliczka, nabrzmiała od bliźniaczych domów, przeniosła Price'ów na Woodland Close, gdzie rodzice właśnie eskortowali do domu kultury kilka dziewczynek w płaszczach nałożonych na jasnoniebieskie baletowe stroje.

- Chodziłeś kiedyś do tej szkoły, Sam? - zapytała Sylwia.

- Za moich czasów to już nie była szkoła.

- Z okien tyle można było zobaczyć, że nauczyciele wiecznie przywoływali mnie do porządku, bo stale się przez nie gapiłam.

Pewnie na las. Heather zaparkowała na kamiennych płytach przed domem i usłyszała monotony rytm pianina i unoszący się nad nim głos nauczycielki: „Jesteśmy drzewami”. Samuel zajął się wyładowywaniem zakupów, a Sylwia przewiesiła przez ramię torebkę.

- A gdzie twój bagaż? - zainteresowała się dopiero teraz Heather.

- Wolałam go zostawić w Londynie, póki nie będę wiedzieć, czy mam gdzie mieszkać.

- Jak mogłaś w to wątpić?

- Może sądziłam, że nie było mnie tak długo, iż stałam się kimś obcym?

- Nie bardziej obcym niż kiedyś, Sylwio.

- Powiedzmy, że uznam to za komplement. Nie potrafię wyrazić, jakie to uczucie być w domu.

Heather pomyślała, że wzruszenie musiało odebrać siostrze ostrość widzenia, bo sprawiała wrażenie, jakby wcale nie patrzyła na dom, lecz przez niego. Ledwie Sam otworzył drzwi, Sylwia przestąpiła próg. Chłopak wyłączył alarm, który pisnął pod jego palcami, a ona powiesiła torebkę na skraju barierki i rozłożyła szeroko ramiona, jakby chciała objąć cały widok.

- Tu zawsze stała choinka - powiedziała, wskazując kąt, w którym schody stykały się ze ścianą.

- Nadal stoi - rzekła Heather. - Co roku.

- A tu opierałam rower, aż w końcu mamę zniecierpliwiły ślady na dywanie - kontynuowała Sylwia, otwierając drzwi.

- Tu zdaniem mamy oglądałyśmy zbyt wiele telewizji, tyle że dla niej każda ilość oznaczała zbyt wiele. A do czego teraz służy ten pokój? Do siedzenia i czytania? To też często robiłyśmy, Sam, ale poza tym bawiłyśmy się tu. Założę się, że ten pokój nadal jest jadalnią. Kuchnia też pozostała na swoim miejscu. A moja sypialnia?

- Możesz ją odzyskać, urządziliśmy w niej pokój gościnny. Wcześniej tata miał tam pracownię.

Sylwia pognała na górę tak szybko, że omal nie zapomniała o torebce.

- Tu zawsze wieszaliśmy torby po przyjściu ze szkoły - zauważyła. - A kto teraz gości w moim pokoju?

- W tej chwili nikt - odparła Heather. - A to sypialnia Sama.

- Mam nadzieję, że pozwolisz mi tam czasem zajrzeć, Sam, przez pamięć dawnych lat.

Otwierając drzwi pokoju gościnnego, Heather usłyszała szczekanie psów gdzieś w pobliżu. Pokój ciągle przypominał pracownię. Słowniki i szafkę z papierami ojca przeniesiono na uniwersytet, ale Margo pozostawiła jego biurko i krzesło, jakby miały mu pomóc wrócić i kontynuować pracę. Heather przyłapała się na pragnieniu, aby Sylwia polubiła resztę pokoju - puszystą zieloną kołdrę, grube zielone poduszki, tapetę ze wzorem liści. Jej siostra ruszyła prosto do biurka. Usiadła na krześle, rzuciwszy obok torebkę, i wsparła brodę na splecionych palcach.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo to doceniam.

Jeśli miała na myśli widok, który jej pokój dzielił z pokojem Sama, Heather musiała założyć, że chodzi jej o to, co można stąd zobaczyć za dnia. Teraz bowiem poprzez odbicie pokoju mogła jedynie dojrzeć mglisty obraz łąk ciągnących się od wysokiego na siedem stóp

plotu ich ogrodu po spowity mrokiem las.

Samuel położył torby z zakupami na łóżku.

- Jeśli chcecie, mogę zrobić obiad - rzekł.

Heather stanęła obok siostry.

- Zostawić cię, żebyś... - Urwała, gdy rozległo się szczekanie psów. Przechyliła się w stronę okna. - Co to było?

Ale szczekanie już ucichło. To musiała być gra świateł, może jakiś rozkołysany snop z reflektora, który spowodował, że zobaczyła sunący szybko w stronę lasu czarny kształt przypominający człowieka, lecz długi jak zimowy cień. Gdy już, już miał się zrównać z linią drzew, Heather poczuła, że ciemność za nim gęstnieje.

- Wzrok mi płata figle - powiedziała. I wtedy gdzieś w pobliżu rozbrzmiały dziecięce krzyki.

Kleisty

Kiedy Sylwia uniosła dolną połowę okna, w pokoju zapachniało. To musiały być jakieś nocne kwiaty, których Heather nie potrafiła zidentyfikować. Spod słodkiego, niemal dławiącego aromatu wyzierał drugi zapach, zapach rozpadu, rozrostu lub jednego i drugiego... Ale szybko się cofnął w noc, pozostawiając tylko wrzaski dochodzące od strony byłej szkoły. Przechyliła się przez skraj biurka, wyjrzała przez okno i zadrżała. Było teraz znacznie zimniej, niż gdy wchodzili do domu. Nim zdołała dostrzec coś więcej prócz opuszczonego boiska i czarnych kwadratów tylnych ogródków, Sylwia zawirowała jak derwisz na obrotowym krześle i już była przy drzwiach.

- Lepiej chodźmy zobaczyć.

Wybiegła z domu tak szybko, że Heather mogła jedynie ruszyć za nią. Gdy dotarła do drzwi wejściowych, Sam był już na schodach.

- Będę wam potrzebny? - zapytał bez wielkiej nadziei.

Nie wiedziała, czy którekolwiek z nich będzie czymś więcej niż tylko przeszkodą.

- Lepiej pomyśl, czym jesteś w stanie skusić ciotkę - doradziła i zamknęła za sobą drzwi.

Oplotła się ramionami w obronie przed zimnem, tymczasem ze zdumieniem odkryła, że jest całkiem ciepło. Tylko od strony łąk lekko ciągnęło chłodem. Krzyki cichły, może dzieci po prostu wpuszczono do budynku. Sylwia prześliznęła się przez starą żelazną bramę, a z przeciwległego domu wybiegła zdenerwowana przyjaciółka Heather, Jessica.

- Jessico! - zawołała Heather, biegnąc za Sylwią do bramy. - Czy to Rosemary?

O ile to możliwe, Jessica była jeszcze bardziej rozczochrana niż zwykle. Szopa rudych włosów, które zawsze wyglądały jak miotane wiatrem, teraz strzelała lokami na wszystkie strony, a grube okulary w ciemnych oprawkach groziły ześlizgnięciem się po mikroskopijnym nosku w szerokiej twarzy. Kobieta miała na sobie plisowaną ciemnozieloną suknię i plastikowy fartuch z wizerunkami pęków czereśni wielkości jabłek oraz śladami obiadu, który właśnie przygotowywała.

- Nigdy by tak nie krzyczała, gdyby nie stało się coś złego - powiedziała.

Nie były pewne, czy to oznacza, że Jessica rozpoznała głos swojej wnuczki wśród krzyczących. Heather weszła za nią do holu szkoły i psy w sąsiednich obejściach wreszcie ucichły. Hol okazał się mniejszy, niż wydawał jej się w dzieciństwie. Z jednej z sal wyrzła kilkoro emerytów w fartuchach malarskich, spoglądając wzdłuż korytarza, obwieszonych plakatami reklamującymi kursy układania kwiatów, naukę oprawiania książek i degustację wina, na podwójne drzwi dawnej sali konferencyjnej. Sylwia otworzyła je i zobaczyła zbitą grupkę onieśmielonych balerin. Jedna z nich rzuciła się w stronę Jessiki.

- Rosemary! - wrzasnęła kobieta. - Chciałaś mnie wystraszyć na śmierć?

- To Willow i Laura nas straszyły - odparła dziewczynka, rozwierając ramiona najszerszej, jak mogła, by objąć babcię w pasie.

Na drugim końcu szerokiej i wysokiej kamiennej sali stały dwie osamotnione dziewczynki.

- Nikt się nimi nie zajął? - zapytała z oburzeniem Jessica.

- Ich mamy jeszcze nie przyszły.

- Zaopiekujmy się nimi, Heather - rzuciła Sylwia, ruszając ku dziewczynkom.

Nauczycielka baletu i pianistka, obie w średnim wieku, z rozmazującym się w kącikach oczu makijażem, nerwowo usiłowały uspokoić pozostałe dziewczęta.

- Przepraszam, kim panie są? - zawołała nauczycielka tym samym wysokim, ostrym głosem, który wcześniej nakazywał baletnicom być drzewami.

- To moja koleżanka, mieszka na tej ulicy - odparła Jessica.

- A to moja siostra - dodała Heather tak opiekuńczym tonem, o jaki nigdy by siebie nie podejrzewała.

- Mogą pomóc, nim przyjdą rodzice - powiedziała dość energicznie Jessica.

- Jesteście drzewami, tak jak ja - mówiła tymczasem do dziewcząt Sylwia. - Niech zgadnę. Ty musisz być Willow.

Dziewczynka, jeszcze chudsza i bardziej wielkooka niż jej przyjaciółka, pokręciła głową, przeciągając jasne loki po chudych ramionach.

- To ona.

- W takim razie jeden zero dla was. Ale założę się, że obie macie po dziewięć lat.

- Ona ma osiem i trzy miesiące, a ja prawie dziewięć.

- Kurczę, dwa zero. Tak czy owak prawdziwe z was księżniczki, no nie, Heather? Całkiem jak my w ich wieku.

- Czasami.

Dziewczęta były zbyt zafascynowane akcentem Sylwii, by poświęcić Heather coś

więcej niż tylko jednoczesne mrugnięcie. Najwyraźniej nie zauważały też, że drżą.

- Nie macie nic do ubrania? - zapytała Heather.

- Płaszcz są w szatni - odparła Willow.

- No to chodźmy po nie. Możemy, prawda?

Obie opiekunki dziewcząt skinęły łaskawie głowami. Heather zagoniła dziewczęta do szatni znajdującej się przy wyjściu z budynku. Pachniało tam drewnem wieszaków. Choć zapach ów przywodził Heather na myśl dzieciństwo i hałas, który ona, Sylwia i reszta dzieciaków robiły w pozbawionym drzwi pomieszczeniu, wydawał się starszy i bardziej przytłaczający, niż mogłaby się spodziewać. Gdy Willow i Laura wbijały się w swoje kolorowe płaszczyki z podszewką, Sylwia zapytała:

- Jak myślicie, co pani powie waszym rodzicom?

- Że wystraszyliśmy Lucy - odparła Willow.

- I Gwyn - dodała Laura, jakby w głębi duszy była z tego dumna.

- Powiedziałyśmy, że jak wyjdą na dwór, to go zobaczą.

- Kogo? - zapytała Sylwia z takim zaciekawieniem, że Heather skrzywiła się z niesmakiem.

Dziewczynki zerknęły na siebie z ukosa.

- Kleistego - ledwo dosłyszalnie powiedziała Willow.

Sylwia przybliżyła się do niej i Heather poczuła się zmuszona do tego samego.

- Dlaczego tak go nazywacie? - wymruczała Sylwia.

- Widać, że taki jest - powiedziała Laura równie nieśmiało jak jej przyjaciółka.

- I taki chudy, że umie przełożyć całą rękę między szczękami.

- A jak ktoś dotknie jego ręki, to będzie posmarowany miodem.

- Ale nie wiadomo, czy to miód.

- I nie chce się lizać tych palców, ale i tak się liże.

Heather właśnie otwierała usta, by powiedzieć, że wystarczy już tego tematu, gdy Sylwia zapytała:

- I co jeszcze o nim wiecie?

- Nieraz jego oczy są całe zielone - zdradziła Laura.

- A jak na nie patrzysz następnym razem, to są większe - dodała Willow.

- Ale teraz są brązowe i pomarszczone.

- To znaczy, że ma wokół nich zmarszczki?

- Nie wokół - sprostowała półgłosem Willow. - W nich.

- I pachnie cukierkami - dodała Laura.

Szatnia też nimi pachniała. Jasne, że tak, w końcu korzystają z niej dzieci, pomyślała Heather.

- Tylko czasem - zaproponowała Willow. - A czasem kwiatami.
- Niesamowita historia - rzekła Heather. - Same ją wymyśliłyście?

Odpowiedziało jej gniewne milczenie, tym bardziej szokujące, że przyłączyła się do niego jej siostra.

- Jaką ma twarz? - zapytała.
- Sylwio, naprawdę...
- Całą w zmarszczkach - odparła Willow.
- Jak stare drzewo pełne robali - dodała jej przyjaciółka.

- Nic dziwnego, że inne dziewczynki narobiły tyle hałasu, skoro nagadałyście im takich strasznych rzeczy - zauważyła Heather.

- Nie nagadałyśmy! - zaprzeczyła Willow.
- Wystarczy, że powiedziałyście część z tego.
- Nie musiałyśmy! On tu był!
- Widziałyście go - mruknęła Heather z wyraźną kpina.
- Nie trzeba go widzieć!

- Słyszysz się jego głos - wyjaśniła Willow.

- W takim razie może mi powiecie - zażądała Heather bardziej pompatycznie, niżby chciała - jak on niby brzmi?

- Jak drzewa.
- Tak jak się słyszy drzewa, gdy leży się w łóżku - dodała Laura.

Heather musiała niechętnie przyznać przed sobą, że zapach drewna i słodczy jakby się wzmógł. Nagle za jej plecami coś zaskrzeczało i zapiszczało. Wzdrygnęła się. W wejściu do budynku stanęły dwie kobiety.

- Laura jest w szatni, pani Bennett! - zawołała nauczycielka. - Willow też, pani Palmer.

Heather zawsze starała się lubić ludzi i teraz też robiła co w jej mocy, by nie uprzedzać się do dwóch pań w drogich spodniach i grubych swetrach, które wmaszerowały do korytarza z takimi minami, jakby bardzo chciały znaleźć kozła ofiarnego. Ich nadąsane pulchne buźki były świeżo umalowane, a zapach perfum zabijał wszelkie inne wonie.

- Czy były niegrzeczne? - zapytała ta z większymi i czerwieniszymi ustami.
- Obawiam się, że tak, pani Palmer.

Pani Palmer rozstawiła nogi i ujęła się pod boki, najwyraźniej pragnąc tym wzmocnić

wymowę spojrzenia, jakie rzuciła na córkę.

- Co tym razem nawyprawiała?

- Powiedziała ci, że ktoś się czai za budynkiem, prawda, Gwyn?

- Ktoś wstrętny - odparła dziewczynka, do której skierowano te słowa. - I straszny.

- Ale tak naprawdę go nie było - dodała inna, prawdopodobnie Lucy.

- Ciągłe gadały, że się chowa i że zaraz go zobaczymy - przypomniała sobie z nerwowym chichotem Gwyn. - Tak jakby ktoś mógł się chować za szczeblami.

- To Laura i Willow są wstrętne i straszne - oznajmiła drobnousta pani Bennett.

- Tym razem przesadziły - poparła ją pani Palmer, robiąc jeszcze groźniejszą minę.

- Trochę za bardzo im się spodobało denerwowanie ludzi tymi bzdurami.

- Wczoraj przez nie omal się nie rozbiliśmy w drodze z Brichester, bo ciągle opowiadały, że ktoś biegnie za drzewami.

- Nie bójcie się, dziewczęta - oznajmiła pani Bennett baletnicom w holu. - Już ich tu nie zobaczycie.

Laura natychmiast się rozpląkała. Willow wyglądała na niezdecydowaną, czy pójść w jej ślady, więc pani Palmer jej pomogła:

- I wybij sobie z głowy pójście jutro do salonu fryzjerskiego.

Obie dziewczynki zaniósł się szloch, kuląc się, gdy matki podeszły bliżej, by wywlec je z budynku.

- Czy wy nie rozumiecie, co ludzie powiedzą, jeżeli nadal będziecie wymyślać takie rzeczy? - perorowała pani Bennett.

- Pomyślą, że zażywacie narkotyki!

- Takie, od których tutejsi ludzie wariowali, jak was jeszcze nie było na świecie - dodała pani Palmer, a potem spojrzała groźnie na Sylwię. - Pani na kogoś czeka?

- Przyszliśmy tylko sprawdzić, co się stało.

- Przyszłyście prosto z Ameryki? - zapytała pani Bennett, prawie jakby w to wierzyła.

- Nie musicie nam mówić, jak wychowywać dzieci. Poradzimy sobie bez was. Wszystkie problemy zaczęły się od tego waszego doktora Spocka i innych tam.

- Przyszliśmy z mojego domu - zdołała wreszcie powiedzieć Heather. - To niedaleko, na tej ulicy. Jessica mnie zna.

Nie zrobiło to na żadnej z matron wrażenia.

- Mam nadzieję, że już pani zobaczyła to, co chciała - zwróciła się do Sylwii pani Palmer, mając na myśli coś wręcz odwrotnego.

- Zaczynam widzieć.

Obie kobiety wlepiły w nią wzrok, lecz milczały. Dopiero gdy już zaciągnęły swe nieszczęsne córki do drzwi, pani Bennett skomentowała na pożegnanie:

- Nie wyglądają mi panie na matki.

- Gdybyśmy miały wyglądać jak te dwie, to i dobrze - mruknęła na stronie Heather, po czym odczekała, aż matrony zatrzasną sobie i swe córki w samochodzie, i dopiero zawołała:

- Pójdziemy już, Jessico!

- Dziękuję za pomoc! - zawołała nauczycielka.

- Dziękujemy! - dodała pianistka.

Ich wdzięczność nie wydawała się szczególnie głęboka, ale myśli Heather zaprzętało coś innego. Na chodniku wiało chłodem, jakby pozostawionym przez dwie matrony.

- Myślisz, że pod tym co mówiły dziewczynki, coś się kryje? - zapytała w zamyśleniu.

- Willow i Laura? Myślę, że zawsze należy szukać drugiego dna.

- Zastanawiam się, czy uznanie tego wszystkiego za wymysł nie jest zbyt proste. Może próbowały nam powiedzieć, że ktoś je skrzywdził?

Sylwia gapiała się na nią jak sroka w gnat.

- Heather, czasem twój umysł bywa naprawdę ciasny.

- Nie uważam, żeby troszczenie się o dzieci świadczyło o ciasnocie umysłu. A jeśli o tym mowa, na twoim miejscu byłabym ostrożniejsza w zadawaniu pytań, nawet jeśli zbierasz materiały do kolejnej książki.

Chociaż, pomyślała od razu, Sylwia wróciła do domu przede wszystkim ze względu na ojca. Potwierdziły to jej słowa:

- Nie chcę, żebyś uważała, że jestem tu tylko z powodu zbierania materiałów.

Pozostawiając za sobą światła ulicznych lamp, weszły w ciemność otaczającą ich dom i Heather nagle odniosła wrażenie, że ta ciemność wypływa z oczu Sylwii, przysłaniając jej twarz niczym woalka.

Zapomniane sny

Heather z ociąganiem budziła się z głębokiego, bezkształtnego jak mgła snu, gdy uświadomiła sobie, że oprócz niej i Sama jest teraz w domu ktoś jeszcze. Przypomniawszy sobie, że trzecią osobą jest Sylwia, próbowała przewrócić się na drugi bok w nadziei, że znów zapadnie w sen, który perspektywa odzyskania pełnej rodziny uczyniła jeszcze spokojniejszym. I wtedy odkryła, że nie może się ruszyć. Kołdra wgniatała ją w prześcieradło, unieruchamiając na plecach z rękoma po bokach, jakby otoczono ją kokonem i przyciśnięto ciężarkiem, kiedy spała.

Rozwarła palce i lekko uchyliła powieki. Na drugim końcu łóżka siedziała Sylwia z założonymi rękami i przekrzywioną głową, przyglądając się siostrze. Miała na sobie czarną suknię, dostatecznie długą i luźną, by w miarę dobrze ukryć jej mizerne kształty. Cokolwiek wyrażała jej twarz, zostało to natychmiast zmiecione przez powitalny uśmiech.

- W końcu się obudziłaś!

Heather usiadła, opierając się na obitym zagłówku.

- Dawno tu jesteś?

- Mniej więcej od wschodu słońca. Nie śpię zbyt długo.

Zerknięcie na zegar wsparty o książkę, którą czytała przed snem, uświadomiło Heather, że jest prawie dziesiąta, co oznaczało, że Sylwia musiała tu siedzieć już od paru godzin.

- I co przez ten czas robiłaś? - czuła się w obowiązku zapytać.

- Wspominałam.

- A konkretniej?

- Czasy, kiedy mieszkaliśmy razem w tym pokoju.

- Rany, nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio o tym myślałam.

- A pamiętasz, jak przed snem opowiadałyśmy sobie historyjki?

- To było jak marzenie na głos, prawda? Mówiliśmy o wszystkim, co będziemy robić, jak dorośniemy. Miałaś fazę, w której chciałaś być pilotem samolotu rejsowego i wozić nas wszystkich za darmo dookoła świata. A ja miałam być lekarką albo naukowcem i wyleczyć

tatę.

- Może coś po prostu go zmieniło. Nikt nie może być zawsze taki sam. - Sylwia wstała, jakby ta myśl poderwała ją na nogi niczym marionetkę, którą przy swojej patykowatej sylwetce mogłaby być. - Kiedy go odwiedzimy? - zapytała.

- Kiedy tylko będziesz chciała. I kiedy będziemy gotowe.

- Ja już dawno jestem gotowa. Samuel pojedzie z nami?

- Musiałabyś spytać jego.

- W porządku.

Ledwie to powiedziała, już była przy drzwiach. Zatrzymała się z jedną nogą na podeście, by zapytać:

- Pewnie nie chciałabyś dzielić z kimś pokoju?

- Odzwyczaiałam się, odkąd ojciec Sama uznał, że Goodmanswood jest dla niego za ciasne.

- Nic nie jest ciasne, jeśli twój umysł taki nie jest. Od tamtej pory nie było nikogo?

- Samuel jest teraz jedynym mężczyzną w moim życiu i to mi wystarczy.

- Wyobrażam sobie. Ale chodziło mi o to, czy nie chciałabyś dzielić pokoju ze mną.

- Nie sądzisz, że jesteśmy już na to za duże? Jeśli coś ci się nie podoba w twoim pokoju, to powiedz.

- Jest idealny. Po prostu myślę, że ze słuchania opowieści w ciemnościach tak naprawdę nigdy się nie wyrasta.

Czyżby zamierzała podzielić się z Heather swoimi opowieściami? Czy też raczej bała się być z nimi sam na sam przez całą noc? Nim Heather zdążyła zapytać, Sylwia zapukała do drzwi Sama, wywołując nieprzyjemny pomruk, który był do przewidzenia, skoro Sam nie pracował w sobotę. Jego ciotka niezrażona przestąpiła jednak próg.

- Będę w łazience! - zawołała Heather, słysząc, że tamci rozmawiają cicho.

Liczba przedmiotów w łazience powiększyła się o kilka przyborów Sylwii: szczoteczkę do zębów, szczotkę do włosów z wetkniętym w nią grzebieniem, zapinaną na zamek plastikową kosmetyczkę. Heather długo brała prysznic, lecz kiedy wyszła z kąpieli, jej siostra i Sam wciąż rozmawiali. Na lustrze zebrała się para, ujawniając, że ktoś wcześniej bazgrał po nim paznokciem, rysując kółko i pień lub wieżę. Artysta raczej nie miał przed sobą wielkiej przyszłości w branży. Heather wytarła ćwiartkę lustra zajętą przez obrazek, a potem resztę.

- Nie wiem jak wy - zawołała po wyjściu z łazienki - ale ja mam zamiar coś zjeść!

Była w połowie miseczki „kleistych łachudrów”, gdy usłyszała, że otwierają się drzwi

pokoju Sama. Sylwia zbiegła do niej na dół.

- Nie udało mi się go namówić, by z nami pojechał - rzekła.

- Pewnie uważał, że powinnaś pogadać z tatą sam na sam.

- Ale ty mi potowarzyszysz?

- Chyba że wolisz, abym cię tylko zawiozła i poczekała, aż sobie wszystko poopowiadacie.

- Nie. Chcę, żebyś przy tym była - odparła Sylwia, potrząsając głową w odpowiedzi na zaproszenie do śniadania. - Poczekaam, aż skończysz.

- Kawy?

- Od samego zapachu robię się roztrzęsiona - powiedziała, demonstrując swój stan piskiem nóg od krzesła po linoleum. Wtedy zadzwonił telefon.

Heather przechyliła się z krzesłem i zdjęła słuchawkę ze ściany.

- Heather Price.

- Margo z tegoż rodu. Jak się czuje zjednoczona rodzinka?

- Lepiej nie mogłabyś sobie życzyć.

- Mam nadzieję, że nie tylko ją.

- Jasne. Ale tylko ciebie nam tu brakuje do pełni szczęścia.

- Mnie i tego drugiego - odparła Margo nieco zbyt pogodnie. - Przyzwyczyłam się, że mam własny dom i własny rozkład dnia, który nikomu nie przeszkadza. Wystarczy mi świadomość, że jestem mile widziana, kiedykolwiek zachce mi się wpaść.

- Wiesz, że możesz to zrobić w każdej chwili. Chcesz porozmawiać z Sylwią?

- Za chwilę. Dzwoniłam do Arbour. Podobno Lennox kiepsko spał ostatniej nocy. To ciekawe, bo ja też. Rzeźba, nad którą teraz pracuję, wzbudza we mnie zbyt wiele myśli.

- Ja za to spałam jak kłoda. Jak kawał drewna, który nie ma żadnych myśli.

- Ty zawsze byłaś najspokojniejsza z nas. Tak czy inaczej próbowałam wybadać, czy wasza wizyta bardzo go wzburzy. Nie twoja, Heather. Ty nigdy byś go nie zdenerwowała.

Heather starała się odpędzić nieprzyjemne wrażenie, że została zlekceważona jako osoba do bólu przewidywalna.

- Masz na myśli Sylwię.

- Nie tyle ją, ile sam fakt, że się pojawi. Lekarz jest jednak przekonany, że Lennoksowi wyjdzie to na zdrowie. Tyle razy o nią pytał.

- Powie mu, że może się jej spodziewać?

- Uważa, że nie trzeba jej anonsować. Jest tam z tobą?

- Tak, i zastanawia się, co też my o niej gadamy, prawda, Sylwio?

Siostra w odpowiedzi wzięła z jej ręki słuchawkę.

- Świetnie się czuję - powiedziała do matki. - Jakbym wróciła do miejsca, którego wcale nie powinnam była opuszczać. - I po chwili: - Nie mogę się doczekać. I niepokoję się, jak mnie przyjmie.

Gadała tak dalej, gdy Sam nie całkiem równym krokiem zszedł na dół, bosy i do tego we wczorajszym ubraniu.

- Kąpałeś się? - zapytała Heather.

- Zaraz. Chciałem najpierw zjeść śniadanie. Chcecie też?

- Kto miał ochotę, już zjadł, dzięki. Ale wiesz, myślę, że nic się nie stanie, jeśli ciotka zobaczy cię w samym szlafroku.

Tak zwykle zasiadał do śniadania w wolne dni, teraz jednak wyglądał na strasznie zawstydzonego, więc Heather szybko zmieniła temat, bo Sylwia właśnie odkładała słuchawkę.

- Kto bazgrał po lustrze w łazience?

Przez moment Sylwia i Sam spoglądali na nią z identycznie tępych minami, jakby łączyła ich jakaś wspólna tajemnica.

- Przepraszam - rzekł w końcu Sam. - Ja.

- Nie musisz przeproszać, ale co to był za rysunek?

- Nie mam pojęcia. Zrobiłem to prawie przez sen. Kto gadał w nocy i mnie obudził?

Sylwia znów zrobiła tępą minę. Ponieważ najwyraźniej nie miała zamiaru się odezwać, uczyniła to Heather:

- A niby kogo słyszałeś?

- Kogoś.

- I co mówił?

- Nie zrozumiałem. Mamrotał coś, ale umilkł, gdy wstałem.

- Pewnie ci się przyśniło.

- Tak samo jak to, co próbowałem narysować na lustrze.

- Skoro już to ustaliliście - wtrąciła się Sylwia - to może pojedziemy?

- Jasne - odparła Heather, zastanawiając się, jak ojciec zareaguje na widok jej siostry.

To było znacznie ważniejsze od spekulacji, jak długo Sylwia mogła siedzieć na jej łóżku. Nie było sensu nad tym dumać, nie było też powodu, by sądzić, że głos, który rzekomo słyszał w mroku Sam, należał do niej.

W kręgu

Heather zobaczyła Lennoksa, gdy tylko przejechała przez bramę. Znajdował się najbliżej ze wszystkich pacjentów siedzących na trawniku w rozkładanych fotelach. Trudno było określić, czy on i jego towarzysze patrzą na drogę czy na las, który uwięził poranną mgiełkę, choć listopadowe niebo było czyste. Wszyscy czworo przekroczyli się w fotelach, by obserwować samochód sunący po podjeździe. Ich zainteresowanie zdenerwowało Heather, ucieszyła się więc, widząc, że na podwórzu znajdują się także pielęgniarki, a w drzwiach Arbour stoi doktor Lowe.

Czyścił właśnie okulary. Bez nich jego okrągła twarz wydawała się bezbronna, a on sam nie tak kompetentny, jak zapewne by chciał. Uniósł okulary w górę, jakby chciał się przyjrzeć jakiemuś konkretnemu aspektowi lasu, westchnął, prawdopodobnie nie sądząc, że ktoś to zauważy, a gdy jedno ze szkielek zaszło parą, wyczyścił je ponownie dużą błękitną chustką. Kiedy Heather parkowała pod wykuszem, założył okulary z powrotem, palcami wskazującymi odsuwając przeszkadzające oprawkom siwe włosy, i podszedł do samochodu, czekając w powitalnym ukłonie, aż kobiety wysiądą.

- Będzie pani długo oczekiwaniem wydarzeniem - rzekł do Sylwii.

Lennox i pozostali spoglądali na nią, przybrawszy różne pokraczne pozy.

- Powiedział mu pan, że przyjedziemy? - wymamrotała Heather.

- Tylko tyle, że może się spodziewać odwiedzin, ale to go nie zaskoczyło. Będę w pobliżu.

Prawdopodobnie powiedział to, by dodać otuchy Sylwii. Gdy szły przez trawnik, Heather nie była świadoma niemal niczego z wyjątkiem zdenerwowania siostry. Siedzący pacjenci obrócili się w stronę Lennoksa, który wyglądał, jakby zaraz miał wystrzelić w powietrze. Odepchnął fotel, który wylądował na boku, i ruszył ku Sylwii z rozwartymi ramionami, jakby chciał zmierzyć jej obwód.

- Mówiłem wam, że ona nas nie zawiedzie! - wykrzyknął.

Sylwia ujęła go za ręce i nawzajem patrzeli sobie w oczy, jakby dzielili się jakąś tajemnicą lub próbowali ją odkryć.

- Skąd wiedziałeś, że przyjadę? - zapytała.

- Bo zostałeś wezwana!

Heather mogła jedynie założyć, że jej siostra udaje, iż taka odpowiedź ją zadowala.

- Nie zmieniłaś się. Jesteś taka sama jak zawsze - rzekł Lennox. - Nabrałaś tylko ciała w odpowiednich miejscach.

Przesunął dłonią po czubku jej głowy, jakby ją błogosławił, a potem luźno, jakby w obawie, że ją złamie, otoczył ramionami. Siedzący w pobliżu pacjenci klaskali i tupali tak głośno, że pewnie było ich słychać aż w lesie, który jakby w odpowiedzi wycofał nieco mgłę, ukazując, acz tylko częściowo, rząd nasiąkniętych wodą kształtów.

- Widzisz, jak cię tu cenią - powiedział Lennox. - Ciebie też, Heather.

Kiedy tupanie ustało i wiwatującym zabrakło tchu, siedzący najbliżej mężczyzna wychrypiął:

- Przedstaw nas.

- Dziewczeta, to jest Vernon. Kiedyś był przyrodnikiem. Nadal jest, gdy na naszym terenie wyrastają jakieś kwiatki.

- To one przyciągnęły mnie do lasu - rzekł z jakąś niezręczną dumą Vernon. - Rarytasy.

- A to Delia. Matka co niedziela zabierała ją na spacer.

Delia poklepała się palcami po policzkach, jakby wybałuszone oczy potrzebowały oparcia.

- Nawet gdy była już martwa i pogrzebana.

- Nadal spacerowałaś? - zapytała Heather, nie bardzo wiedząc, co kobieta ma na myśli.

- Z mamą. Albo z czymś, co wyglądało jak ona.

Heather pożałowała, że się odezwała, między innymi dlatego, że Lennox uśmiechnął się, jakby Delia powiedziała coś dowcipnego.

- A ta obok Delii to Phyllis - kontynuował prezentację.

- Mniej więcej o tej porze roku zwykle zbierała grzyby w lesie.

- Pokaż mi, co jesz, a powiem ci, kim jesteś - obwieściła Phyllis, wykreślając szarawym językiem coraz bardziej nieapetyczne kształty wokół ust.

- Ja jestem Timothy - rzekł siedzący obok niej mężczyzna, kołysząc głową z boku na bok. - Zawsze wiedziałem, że w lesie żyją rzadkie ptaki. Po prostu nigdy nie udało mi się ich sfotografować.

- Coś lata po tym lesie, ale to nie ptaki - sprostował jego sąsiad. - Jest za duże. Czasem

pod gałęziami, czasem nad. I ma twarz. Jestem Nigel - dodał bez wyraźnego związku.

- Najgłębiej w lesie widzi Lennox - poinformowała Delia, ciągnąc się za skórę pod policzkami.

- Na razie. Dacie mi teraz trochę побыć z rodziną? - zapytał Lennox i ruszył w stronę budynku.

Heather była zadowolona, mogąc się oddalić od jego przyjaciół. Nie tylko wszyscy oni w latach sześćdziesiątych padli ofiarą zmutowanych porostów, ale co właśnie sobie uświadomiła, stanowili gromadkę, którą ojciec niedawno poprowadził w las. Lennox tymczasem przepuścił córki przodem i cała trójka wspięła się po skręcających w lewo schodach do jego pokoju, ciepłego i jakby tęskniącego za przesileniem letnim. Ojciec uniósł okno na wysokość równą szerokości dłoni - widać bardziej się nie dano. Gdy powietrze wypełnił zapach mgły i gnijącej roślinności, pan Price usiadł w nogach łóżka i skinął na Sylwię, by do niego dołączyła.

- Ty też się zmieścisz, Heather - dodał.

Ledwie.

- Nie jestem sylfidą jak ona - rzekła. - Lepiej wezmę stołek.

- Pod warunkiem, że nie poczujesz się przez to oślicą. Na takich stołkach nauczyciele sadzali ciężko kapujących uczniów.

- Wiem przecież - powiedziała na wszelki wypadek Heather, niepewna, co ojciec miał na myśli.

- Jasne, przecież jesteś moim książkowym. - Być może to wcale nie miała być pochwała, bo dodał: - Powinnaś się skupiać na tym, co ważne. Zerwałem z większością wspomnień - mówił dalej - ale pamiętam ciebie, nim jeszcze się urodziłaś. Pamiętam, kiedy zostałaś poczęta, Sylwio.

- Rany!...

- Wiesz, co wtedy zobaczyłem?

- Nie.

- Wszystko, co musi się zdarzyć.

Gdy się odwrócił, by popatrzeć na zamazane południowe cienie pod drzewami, Heather usiłowała odzyskać jego uwagę.

- Co jeszcze pamiętasz na nasz temat?

- Widziałem, jak matka was rodziła. Twoja siostra przyszła na świat z otwartymi oczami, tak była ciekawa świata.

- Ty tego chyba nie pamiętasz, co, Sylwia?

- Może sobie przypomnę.

Heather pomyślała, że jej siostra w ten sposób chce sprawić przyjemność ojcu.

- Nie ma powodu do zazdrości, Heather - zapewnił Lennox.

- Nie jestem zazdrosna - zaprzeczyła.

On jednak dodał, jakby chciał ją udobruchać:

- Pamiętam, że w dzieciństwie zawsze zabierałaś ją do lasu.

- Nie tyle zawsze, ile wtedy, kiedy mnie prosiła.

- A wasza mama myślała, że to takie bezpieczne. - Po czym, być może zwracając się do niespokojnych, nieodgadnionych gęstw in leśnych, zapytał: - No więc co zamierzacie dla mnie zrobić?

- A czego potrzebujesz? - zaryzykowała pytanie Sylwia.

- Sprawdźmy, czy twoja siostra nam to powie.

Heather uznała to za próbę wciągnięcia jej do rozmowy, ale niewiele miała do powiedzenia.

- Lepiej sam powiedz.

- Historia lasu.

- Znajdziemy w twojej bibliotece, prawda, Heather?

- Tylko to, co się wydarzyło, odkąd zaczęto to spisywać - odparł Lennox. - Musiało jednak być coś jeszcze przed tą manifestacją, która nas tu przywiodła.

- Manifestacją... - powtórzyła Heather, pytając, a może rzucając wyzwanie.

- Nie martw się, Heather. Nie oczekujemy, że od razu wszystko zrozumiesz.

Nie miała zamiaru pytać, w którym imieniu oprócz swojego mówił.

- Tylko nie zwlekaj za długo - dodał. - Nie chcemy, żebyś musiała przyswajać wszystko naraz.

- Tak jak ty? - wyrwało jej się.

- Ja jeszcze nie przyswoiłem. Widzę na horyzoncie zmiany.

Jedyny widoczny horyzont tworzyły wierzchołki drzew. Ale nie dlatego zaproponowała:

- Opowiedz nam o nich.

- Tu - rzekł, postukując się w głowę, jakby przypisywał swoje szaleństwo komuś innemu - i tam, jeśli to jakaś różnica.

- Myślę, że jest. Prawda, Sylwio?

- Nie wtedy, kiedy w grę wchodzi las - wyjaśnił ojciec.

- Naprawdę sądzisz, że można go dotknąć i wszystko pozostanie takie samo?

Zapewne chodziło mu o ścinę drzew w celu wybudowania obwodnicy. Heather zastanawiała się, czy z nim dyskutować, i miała nadzieję, że Sylwia to zrobi, kiedy ojciec wyciągnął w jej stronę rękę, którą potem ugiął w kierunku okna takim gestem, jakby obejmował starszą córkę.

- Wyjrzyj no tam - powiedział - i powiedz nam, co widzisz.

- Drzewa. - Bo tak było: oświetlone słońcem szeregi ociekające wodą jak armia topielców, a za nimi kolejne, zamazane. Takie jak to, z którego spadł Sam. Przez moment szara, bezkształtna głębia zdawała się drzeć, jakby szukała właściwej formy. - I nic więcej.

Nie zdziwiłaby się, słysząc w jego głosie rozczarowanie, ale on całkiem beznamiętnie rzekł:

- Sylwio?

Młodsza z sióstr nachyliła się ku uchylonemu oknu. Do pokoju wdarł się zapach liści skropionych mgłą i Heather zauważyła potajemny ruch na całej szerokości lasu. Mimowolnie wstrzymała oddech.

- Jeszcze nie wiem - powiedziała Sylwia.

- Tak trzeba. Dowiesz się - obiecał Lennox i podniósł się, zamykając zarazem okno. - Myślę, że na jeden dzień tyle wystarczy. Wychodzę z wami - dodał, uśmiechając się jakby tęsknie na widok wątpliwości na twarzy Heather. - Tylko do samochodu - wyjaśnił.

U stóp schodów czekał na nich doktor Lowe.

- Jak poszło?

- Myślę, że zrobiliśmy dobry początek - odparł Lennox.

- Chyba tak - przyznała Sylwia, a Heather poczuła się w obowiązku mruknąć potakująco.

- A dokąd teraz się wybieramy? - zapytał lekarz z wymuszoną swobodą.

- Ja wracam do siebie. - Lennox oddalił się nieco od samochodu, pozwalając córkom wsiąść. - Wpadnijcie znowu - pożegnał je. - Sprawdzimy postępy.

Przez chwilę truchtał obok sunącego przez podjazd samochodu, po czym skręcił w stronę swego fotela. Dojeżdżając do bramy, Heather obejrzała się i omal nie zapomniała zahamować. Gdy odzyskała kontrolę nad samochodem, nim wyjechała na obwodnicę, mokra gęstwina lasu jakby przybliżyła się do niej o cal. Heather z wysiłkiem skupiła się na szybkiej jeździe i niemal zdołała wyprzeć z pamięci to, co zobaczyła w ostatnim rzucie oka na teren szpitala: Lennox i pozostali siedzieli w kręgu, tak samo jak przedtem stali pośrodku lasu. To wspomnienie zdawało się nie bardziej rzeczywiste niż dawny sen, którego nie można ani w pełni uchwycić, ani się pozbyć. Nie była pewna, ale też absolutnie nie mogła wykluczyć, że

krąg foteli na trawniku był dokładnie tej samej wielkości co krąg z cegieł pośrodku lasu.

Wizja przyszłości

Samuel ocknął się na dźwięk dzwonów. Kościół znajdował się w Goodmanswood, za jego plecami, lecz wiatr, który próbowały pochwycić drzewa po drugiej stronie łąki, sprawiał, że odgłosy dobiegały jakby z głębi lasu, zniekształcone i stłumione przez mech. Chłopak wiedział, że to co słyszy, jest w istocie taśmą, tak zdartą, że prawie przestała przypominać bicie dzwonów, ale z niepokojem uświadomił sobie, że nie wie, jak długo już siedzi przy biurku.

Powinien wkrótce wyruszyć. Spojrzenie na grubego czarnego zegarek na rękę zdradziło, że ojciec spóźnia się o kilka minut. Samuel nie siedziałby bez celu przy biurku, którego monitor odbijał niewyraźny kontur jego twarzy z ledwie zarysowanymi ustami i niemal bez oczu, gdyby nie wstał wcześniej niż zwykle w wolne dni. Poczł potrzebę wyjrzenia przez okno, choć w gruncie rzeczy nie mógł tam zobaczyć nic konkretnego. No i oczywiście nie pomogło mu to w przypomnieniu sobie, dlaczego kiedy ostatnio wrócił do domu z lasu, miał kolana uwalane biotem.

Szkliste światło nieba splecione z szybko przemieszczającymi się cienkimi białawymi chmurami sprawiało, że wierzchołki drzew zdawały się łuszczyć na wietrze jak martwy naskórek. Słońce tańczyło w gałęziach, w każdej chwili gotowych do jednoczesnego ukłonu. Drugi koniec łąki pełen był stłoczonych cieni, które pochyliły się, jakby zrywały ziemię i wrzucały ją w las. Oczywiście to wiatr, a nie cienie, sprawiał, że trawa falowała w stronę drzew, ale Sam i tak nie mógł się pozbyć wrażenia, że wydłużonych, wrzecionowatych cieni jest więcej niż drzew na skraju lasu, które mogłyby je rzucać. Nim zdołał dociec, jak to możliwe, zadzwonił dzwonek.

Słyszcząc ojcowski głos, zmusił się do odejścia od okna. Sylwia wpuściła ojca. Pewnie się uczesał przed wyjściem z samochodu, lecz wiatr rozczochrał mu nieuleczalnie kręcone czarne włosy i potargał jasnoniebieski fular założony pod kołnierz granatowej koszuli, by osłaniać gardło. Ojciec spojrzał w górę schodów i jego puciołowata twarz przywitała Sama mrugnięciem.

- Cześć, stary. Właśnie poznałem twojego cudownego gościa.

- To moja ciotka.

- Sylwia!... - Ojciec cofnął się gwałtownie, by zlustrować ją wzrokiem. - Nie wiem, czy mnie pamiętasz - rzekł. - Jestem staruszką twego siostrzeńca. Terry Harvey.

- Heather mi powiedziała, że przyjedziesz.

- Mam nadzieję, że nie mówiła tego zbyt złowróżbnym tonem.

- Tak neutralnym, jak to tylko możliwe.

Jeśli to miał być flirt, to przysłuchujący mu się Sam czuł się dość niezręcznie. Może dlatego, że obecność Sylwii w domu i na niego wywarła pewien wpływ. Pokuśtykał w dół, słysząc po drodze słowa ojca:

- Jakie to uczucie wrócić do wioski po tym, jak zobaczyło się taki kawał świata?

- Wszystko, co jest częścią mnie, znajduje się tutaj.

- Przepraszam, nie chciałem powiedzieć... Hm, jasne. To przecież twój dom.

- O to chyba musiałbyś zapytać Heather.

- Wiesz, że nie musi, Sylwio! - zawołała z kuchni jej siostra.

- Przepraszam, jeśli doszedłem do pochopnych wniosków - rzekł mimo wszystko pan Harvey. - Myślałem, że już z tego wyrosłem.

Samuel zszedł o kolejny stopień w dół, pomagając ojcu przerwać niezręczną ciszę.

- Chciałem tylko powiedzieć, że musiałaś sporo zobaczyć, nim postanowiłaś wrócić do domu.

- Niektórzy z nas nie mieli wielkiego wyboru - rzuciła Heather takim tonem, jakby jej nie obchodziło, czy ktoś to usłyszy.

- Czy nie jest to odrobinę nierozsądne? Nie myślałem o tobie.

- Nie pierwszy raz.

- Myślałem o tym tu młodzieńcu - kontynuował, po czym zwrócił się do Sylwii: - Ciągłe mu powtarzam, że powinien się dowiedzieć, ile jest życia poza tą wioską i pobliskim miasteczkiem. Dokąd więc dziś się udamy, Sam?

- Może do miasta na lunch?

- OK, pod warunkiem że następnym razem wpadniesz do mnie. Hotel Harvey zaprasza w dowolną sobotnią noc. Możesz i w piątek, jeśli masz ochotę.

- Nie do Londynu. Do Brichester. Obiecałem Andy'emu, że zajrzę do sklepu, jeśli będę w pobliżu.

- Hm, jeśli rzeczywiście jedziemy tylko tam, każdy, kto chce być nakarmiony, może się przyłączyć.

- Nie, jedźcie we dwóch - rzekła jakoś nieśmiało matka Sama. - Nami się nie

przejmujcie. Powiedzmy, że dziś jest Dzień Chłopca.

Lśniący czarny rover ojca nie naruszył przestrzeni osobistej civic i volkswagena na płytach przed domem. Nad drogę nadleciał rój powykrzywianych liści o barwie pergaminu; jeden z nich, przypominający gadzi pazur, rzucił się w kierunku Sama, gdy ten zamykał za sobą drzwi rovera. Kiedy samochód toczył się wzdłuż Woodland Close, ojciec zapytał:

- Naprawdę tak się przystawiałem do twojej ciotki, jak wszystkim się wydawało?

- Mnie nie.

- Bo nie jesteś kobietą. Jak tam ci idzie z dziewczynami?

- Chwilowo jestem wolny.

- Pamiętaj, jak będziesz chciał się poradzić w jakiejś sprawie, wystarczy zadzwonić. -

Samuel miał nadzieję, że to nie znaczy, iż ojciec traktuje go jak klienta. - A co sądzisz o Sylwii? - kontynuował pan Harvey.

- Próbuję się oswoić z faktem, że u nas mieszka.

- Szczęściarz z ciebie. Nie uważasz?

- Dziwnie jest, kiedy ktoś jeszcze mieszka w twoim domu.

- Zaraz tam dziwnie... - mruknął ojciec i odchrząknął, aby się pozbyć odrobiny tęsknoty w głosie. - No, ale nie o mnie rozmawiamy.

- Szkoda.

- Matka i ja wyjaśniliśmy ci w swoim czasie całą sytuację.

- Teraz możesz używać dłuższych zdań.

- Kiedy moja firma wyniosła się z Brichester, mogłem albo zabrać się z nią, albo zacząć od nowa z ludźmi, za którymi nie przepadałem, i w dodatku za mniejsze pieniądze. Sądziłem, że mnie rozumiesz.

- Nie powiedziałem, że nie.

- Uznaliśmy wtedy, że będzie lepiej, jeśli tu zostaniesz, bo Margo mogła pomagać w opiece nad tobą, i staraliśmy się dopilnować, żebyś często się ze mną widywał. Nie zmienia to faktu, że czuję się winny.

- Niby czemu chcesz się tak czuć?

- Wcale nie chcę! - zaoponował ojciec, po czym przyznał:

- A zresztą może i chcę. Może wcale nie muszę. Zobaczymy, co z ciebie wyrośnie.

Zabrzmiało to jak groźba nadzorowania tego procesu. Ojciec najwyraźniej uznał, że dość już powiedział, bo włożył do odtwarzacza płytę z symfoniami Beethovena. Samochód tymczasem wyjechał poza Goodmanswood. Ledwie zabrzmiały pierwsze takty, ojciec tak ściszył muzykę, że nie było jej słychać poprzez wiatr.

- Nawiasem mówiąc, przepraszam za spóźnienie. Mało brakowało, a zrobiłbym coś głupiego na obwodnicy.

Samuel wyglądał przez okno, nie mogąc się oprzeć uczuciu, że las zacieśnia się wokół niego.

- Niby co?

- Próbowałem uniknąć zderzenia z czymś, czego wcale nie było.

- To znaczy? - zapytał niecierpliwie Sam.

- To musiał być cień drzewa. Albo wielu drzew. W pierwszej chwili myślałem, że ktoś przebiega przed samochodem. Tak jakby ktokolwiek mógł się rozciągnąć na całą jezdnię.

- Spóźniłeś się z powodu cienia?

- Najpierw zahamowałem, potem próbowałem go wyminąć i kilka ciężarówek omal nie wjechało mi w tyłek. Po tym zdarzeniu musiałem przez kilka minut odpocząć na parkingu.

- Nadal nic nie rozumiem - odparł niepewnie Sam. - To nie mógł być cień. Słońce nie jest jeszcze za lasem.

- Po tej stronie drogi też stoją drzewa, stary. Konkretnie rzecz biorąc, wydaje mi się, że to było tutaj - wyjaśnił ojciec, wskazując drzewa rosnące na skraju terenu Arbour.

Samuel usiłował sobie wyobrazić, jakim sposobem któreś z tych drzew mogłoby rzucić cień na całą obwodnicę, nawet gdyby słońce stało niżej. Miał wrażenie, że głębia lasu albo coś, co się w niej kryje, bez wysiłku sunie obok samochodu. Nie mógł zebrać myśli, bo Beethoven powtarzał tę samą frazę coraz głośniejsze, jak ktoś kto krzyczy do głuchego albo cudzoziemca, podczas gdy wierzchołki drzew zdawały się rysować bardziej pokrętne kształty i złożone wzory niż jakakolwiek muzyka. Nie mógł pojąć, jakim cudem samochód potrzebuje tyle czasu, by minąć las. Widział, jak drzewa kurczą się w lusterku, robiąc miejsce ruchliwej autostradzie przed nimi, ale wydawały się znikać tylko po to, żeby na ich miejsce wskoczyły kolejne, większe i liczniejsze. Nawet kiedy dojeżdżali do Brichester, Sam wciąż czuł w głowie i na karku ich ruchliwą, wieloręką obecność. Prawie nie zauważał wysokich wież uniwersytetu górujących nad uliczkami pełnymi takich samych domów, póki ojciec się nie odezwał.

- Musisz mi powiedzieć, jak jechać, stary.

Pierwszym miejscem, jakie przyszło mu do głowy, były Nieograniczone Światy.

- Tędy, nie, miałem na myśli tędy. Prosto. Cały czas prosto. - Czuł się, jakby grał w grę wideo, a monitorem była przednia szyba. Raczej nie miał zadatków na mistrza. - Tu z prawej, nie, nie w prawo, tylko po prawej stronie. Tak. Na tej ulicy. O, tu.

Bez wysiadania widział, że nowa witryna jest nienaruszona, ale pokuśtykał do drzwi,

by sprawdzić, czy są zamknięte na klucz. Książki na wystawie bardziej przypominały sterty makulatury.

- Nie dziwię się, że nie lubisz przebywać w tej obskurnej dzielnicy - zauważył ojciec, gdy chłopak wrócił do samochodu.

Kartka wieczornej gazety snuła się od drzwi do drzwi jak posłaniec wyprzedzony przez swoją wiadomość. W rynsztoku leżały dwie roztrzaskane butelki po piwie.

- Jedziemy dalej? - zapytał ojciec.

- Możemy.

- A gdzie konkretnie?

- Do pubu.

- Uwielbiam zagadki, ale mimo wszystko byłbym wdzięczny, gdybyś mi zdradził, do którego.

- Zawróć. Musimy się cofnąć.

Rzeczywiście, minęli już Azyl Mędrców, będący jedynym lokalem, jaki przychodził Samowi na myśl. Zwieńczony filuternie zapadniętym łupkowym dachem niski budynek z piaskowca stał naprzeciwko campusu, na którym kilka samotnych młodych drzewek uczyło się poruszać na wietrze. Każde okno pubu miało wybrzuszenie przypominające wielkie ślepe oko. Gdy tylko przeszli przez wklęsły od kilkusetletniego używania próg i małe solidne drzwi, Sam przypomniał sobie, że wyłożone boazerią wewnątrz skrywa w półmroku regały pełne książek. Pozwolił, by ojciec kupił mu pint najmocniejszego ze sprzedawanych tam piw, witch's brew - „wiedźmiej mikstury” - i wychylił duszkiem ćwierć kufla. Po chwili kolejną. Ojciec przyglądał się temu z mieszaniną podziwu i rozbawienia.

- Jemy też tutaj? - zapytał.

- Mają tu jakieś jedzenie.

- Zauważyłem. Sprawdźmy, czym mogą nas skusić - rzekł ojciec, otwierając nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do zawartości menu z rysunkiem akademickiego biretu. - Łazanki doktorskie. Sałatka studencka. Pieczeń absolwencka. Krewetki profesorskie. Chili koedukatorskie. Burger kwestorski. Warzywa prodziekańskie. Stek licencjacki...

- Łazanki brzmią nieźle.

- Tak? - zapytał ojciec takim tonem, jakby jego dowcip okazał się niedostatecznie oczywisty. - W takim razie poprosimy łazanki - powiedział do barmana w tozde - a dla mnie przysmak portiera.

Nim barman skończył wystukiwać zamówienie na ćwierkającej niczym ptak kasie, Sam wypił już połowę tego, co jeszcze miał w kuflu.

- Jeszcze jedno, zanim usiądziemy? - zaproponował ojciec.

- Zamówić?

- Najpierw rozpraw się z tym. - Tylko odrobinę skrzywił się na widok opróżnionego natychmiast kufła Sama. - Ja stawiam - dodał. - Całość.

Samuel zaniósł drugi kufel piwa do stolika skąpanego w świetle słonecznym, które nie zdołało jednak przeniknąć do pustego otworu na kałamarz. Ilekroć pub mijały samochody lub przechodzili obok niego piesi, ich zniekształcone ruchy w napuchniętych oknach wywoływały w chłopaku uczucie, że patrzy na ulicę cudzymi, zbyt licznymi oczami. Próbował dostrzec, co kryją otaczające ich regały - dziecięce powieści starsze od niego, poradniki psychologiczne z lat pięćdziesiątych, nieaktualne historie, zapomniane bestsellery - ale w tym usiłowaniu przedarcia się przez półmrok było coś niewytłumaczalnie złowróbnego.

- Szukasz czegoś konkretnego? - zapytał ojciec.

- Nie.

- Jestem pewien, że tak, nawet jeśli nie tutaj. Chyba się nie pogniewasz, jeśli powiem, że nie sądzę, aby ten wasz sklep był szczytem twoich marzeń?

- Możliwe, że się z tobą zgadzam.

- Może więc przyjrzymy się twojej przyszłości?

W głowie Sama było już dość alkoholu, by jakiegokolwiek nieproszone rady miały na czym podryfować.

- Jeśli chcesz...

- Miałem nadzieję, że raczej ty tego chcesz.

Przyniesienie lunchu - niezbyt obficie wypełnionego, lecz parującego półmiska łazanek i dużego talerza z chlebem, serem i piklami, gdzie indziej nazywanego lunchem oracza, nie zaś portiera - musiało być jedynym powodem, dla którego Sam nie domyślił się, co się szykuje. Nabrał do ust łazanek, by odwlec odpowiedź, i przeżuwał je tak długo, jak tylko się dało, aż ojciec rzekł:

- Mnie zawsze najlepiej szła matematyka. Dlatego zostałem księgowym. Ty jesteś dobry z angielskiego, więc może powinieneś to wykorzystać?

Otoczająca Sama sceneria nagle go olśniła.

- Niedługo to zrobię.

- Już mi lepiej. Mógłbyś uchylić rąbka tajemnicy?

- Nadal będę się zajmował książkami. Zostanę wydawcą.

- Hm, przynajmniej nikt ci nie zarzuci braku ambicji.

- Nie od razu. Znajdę jakąś pracę w branży i będę się powoli piął w górę.

- Podoba mi się twoje nastawienie. Ale wiesz, że będziesz musiał się stąd wynieść, żeby coś osiągnąć. Mówiłeś już Heather?

- Jeszcze nawet nie byłem na żadnej rozmowie kwalifikacyjnej. Wspominam o tym tylko dlatego, że zapytałeś.

- Doceniam to, stary. Zatem trzymamy to w tajemnicy do odwołania?

- Zbyt wiele się ostatnio pozmieniało w jej życiu - zauważył Sam, po czym kontynuował swą mglistą wizję: - Jak już posiedzę parę lat na rynku wydawniczym, będę wiedział, kiedy ktoś ma ochotę zainwestować w nową firmę, i zdążę sobie wyrobić dostateczną renomę, żeby chcieli na mnie postawić. Przeczuję, którzy pisarze się sprzedadzą, i wykupię do nich prawa. Może sam będę jednym z nich. Mam ochotę napisać książkę.

- Jeśli zdołasz wyrzeć takie wrażenie na potencjalnym pracodawcy, jakie w tej chwili wywarłeś na mnie, to nie będziesz mieć wielkich kłopotów. Nawet jeśli nie wszystko pójdzie dokładnie po twojej myśli, będziesz miał prawdziwą pracę.

Samuel pochylił głowę i przyglądał się widelcowi pełnemu łazank.

- Czyżby coś jeszcze się tam wykluwało? - zapytał ojciec.

- Gdzie?

- Pod starą czaszką. W starej mózgownicy.

Ten dobór słów dziwnie zdenerwował Sama. Ojciec dodał jednak:

- Zastanawiałem się po prostu, czy masz jakiś pomysł na tę swoją książkę.

- Las większy od świata.

- Fantasy?

- Ktoś, kto mieszka w lesie, kto się tam urodził, usiłuje dotrzeć do jego kresu, by zobaczyć, co jeszcze istnieje. Ciągłe wspinanie się na drzewa, ale nigdy nie udaje mu się dojrzeć nic więcej.

- Jak to powiedział jakiś pisarz?... „Pisz o tym, co znasz”?... Twoje wspinanie się na drzewo może się ostatecznie okazać całkiem przydatne. - Ojciec pociągnął łyk piwa z minimalną zawartością alkoholu i dodał: - Ma jakieś imię? Ten twój gość?

Szczegóły dotyczące książki brzmiały jeszcze bardziej nierealnie niż marzenia Sama o branży wydawniczej.

- Lesiec - odparł.

- Łatwe do zapamiętania. Opowiesz mi o nim coś jeszcze?

- Spotyka kogoś, kto prowadzi go do tajemnicy lasu.

- Pewnie dziewczynę, co? - Samuel skinął głową. - A tajemnicą jest...

- Coś, co zakopał pewien mag.

- Wiesz już, co to będzie? A może nie chcesz zdradzać?

Samuel poczuł, że brwi mu się ściągają, jakby chciały uchwycić odpowiedź.

- Zachowaj to dla siebie, jeśli wolisz najpierw o tym napisać - rzekł ojciec. - Masz już tytuł?

Umysł Sama znów go zaskoczył.

- *Jedyne wyjście leży w dole.*

- Wiesz, myślę, że warto to uczcić. Co powiesz na szampana?

- Prowadzisz.

- W takim razie odłożmy szampana na twój przyjazd do Londynu.

Samuel nie był w stanie przewidzieć, kiedy to będzie.

- A co tam słysząc? - zapytał tytułem rekompensaty.

- Otworzyli tajską restaurację koło mojego domu, za rogiem. Jak wpadniesz, postawię ci tam obiad... - Ojciec wygłosił coś, co brzmiało jak opis atrakcji na co najmniej tydzień, po czym przeszedł do sprawozdania ze swoich sukcesów zawodowych, chwając się nimi tylko w takim stopniu, w jakim jego zdaniem mężczyzna powinien. Ilekroć wydawało się to na miejscu, Sam wydawał z siebie odgłosy imitujące zainteresowanie, entuzjazm lub podziw, choć przedmiot rozmowy wydawał mu się niemal tak nierealny jak przyszłość, którą dla siebie wymyślił. Bliższa była mu opowieść o Leścu, ale nawet ona wydawała się tylko powtórką jakiejś innej, choć nie pamiętał, kiedy mógł ją słyszeć.

Nagle uświadomił sobie, że uwaga ojca przeniosła się na jego kufel.

- Jeszcze raz piwo? - zapytał pan Harvey. - Czy też wypełnimy resztę dnia czymś innym?

Wystarczyło jedno spojrzenie, by się przekonać, że na zewnątrz jest równie szaro jak wewnątrz.

- Czym na przykład?

- Może mały spacerek dla zrzucenia lunchu? Im sprawniejsze ciało, tym sprawniejszy umysł. Jeśli kiedyś będziesz mieszkał bliżej mnie, możesz chodzić na moją siłownię.

- A będziesz bardzo zły, jeśli pojedę do domu? Nie za wiele spałem zeszłej nocy.

- Mam nadzieję, że twoja bezsenność wynikała z nadmiaru pomysłów.

- Pewnie tak - zgodził się Sam, wstając pospiesznie, by uniknąć kontynuacji tematu.

U wyjścia z pubu przywitał go deszcz poskręcanych liści, ale choć wiedział, że przywiało je od strony młodych drzewek na kampusie, bez trudu mógłby uwierzyć, że to drzewa rosnące na południe od Goodmanswood przysłały je, aby sprowadzić go do domu. Zanim jeszcze las pojawił się w polu widzenia, komasując ciemność po drugiej stronie

autostrady, Sam czuł jego narastanie w sobie. Gdy samochód dotarł do skraju lasu, ten zdawał się chronicznie pozbawiony wszelkiego światła. A może gdzieś tam znajdowała się komnata, w której jakaś postać obracała w mroku głowę, by podążyć wzrokiem za samochodem?

- Samuelu... - odezwał się ojciec. - Jeśli myślisz nad książką, każ mi być cicho.

- Cicho - rzekł Sam, choć na dźwięk ojcowskiego głosu las w jakiś nieokreślony sposób zamknął się w sobie, udając, że jest zwykłym lasem. Chłopak potarł kolana, by zmyć z siebie wspomnienie wilgotnej ziemi.

Kiedy mijali Arbour, zauważył w oknie pokoju na piętrze swego dziadka obserwującego coś w skupieniu. Zacisnął zęby, by milczeć, i trzymał je tak, aż drzewa przysłoniły światła szpitala. Póki były widoczne, czuł pokusę poproszenia ojca, żeby go tam zawiózł. Chciał zapytać Lennoksa, czy wie o istnieniu komnaty w lesie.

Ukryty koszt

Randall ograniczał się do odchrząkiwania w nadziei, że ktoś zwróci na niego uwagę, aż wreszcie do kontuaru podeszła jakaś studentka.

- Przepraszam - rzekła, po czym kontynuowała do kogoś:

- Jasne, jasne. Zaraz... - Wzięła głęboki oddech, wypuściła go z równą siłą i obróciła się do Randalla, który machnął ręką na znak, że nic się nie stało, i uniósł krzaczaste brwi.

- Czym mogę służyć? - zapytał.

- Mógłby pan poprosić tę panią, żeby była trochę ciszej?

- Och, z pewnością nie chciała nikomu przeszkadzać - powiedział dostatecznie głośno, by Sylwia to usłyszała, ale nie poskutkowało. - Porozmawiam z nią - dodał pośpiesznie, zerkając na Heather. - Może...

Westchnęła i wstała.

- Ja to zrobię.

Nie zdążyła dotrzeć do stolika, przy którym w otoczeniu książek siedziała Sylwia z notatnikiem, kiedy ta wyrzuciła z siebie kolejny chichot.

- Sylwio!... - mruknęła Heather.

- Hej, chodź, zobacz! Im więcej czytam, tym więcej znajduję.

- Świetnie, tylko czy mogłabyś się trochę postarać, by zachowywać swój entuzjazm dla siebie? Nie chodzi o to, że nie masz mi o tym opowiadać. Po prostu większość tych osób uczy się do egzaminów albo zbiera materiały do prac.

- Tak jak my kiedyś. No i zobacz, jak daleko zaszliśmy. - Nim Heather zdołała dociec, czy dostrzega ironię w wielkich oczach Sylwii, ta dodała: - Oczywiście spełnię prośbę mojej starszej siostry. Przepraszam wszystkich!

- Myślę, że tym razem ci wybaczą.

Większość studentów pokiwała głowami, choć niektórzy dość nieznacznie. Heather już miała odejść od stolika, gdy Sylwia powiedziała:

- Skoro już tu jesteś, zobacz przynajmniej to.

Heather ściszyła głos, mając nadzieję, że siostra zrobi to samo.

- Co takiego, Sylwio?

Sylwia przesunęła ku niej opasły tom historii Brytanii z czasów rzymskich i wskazała koniuszkiem palca pewien fragment. Heather przypomniała sobie, że tak samo wodziła palcem po opowieściach, które niegdyś czytała siostrze.

O ile ofensywa Rzymian pozostawiła Stonehenge nietknięte, o tyle istnieją dowody na zniszczenie co najmniej jednego neolitycznego miejsca kultu. Prawdopodobnie był to kamienny krąg położony mniej więcej piętnaście mil na północ od obecnej granicy Bristolu. Późniejsze cytaty z ówczesnych, nieistniejących już źródeł sugerują, iż zrównanie z ziemią obszaru, na którym znajdował się krąg, ujawniło ślady praktykowania jeszcze starszych obrzędów. Jeśli wierzyć tym relacjom, zniszczenie kręgu było tak doszczętne, że kamienie obrócono w pył, który następnie wsypano do rzeki Severn. Nie wiadomo, czy to Rzymianie obsiali ten teren drzewami, ale już w siódmym wieku, gdy pobliskiej osadzie nadano nazwę Godman's lub Godmund's Wood, znajdował się tam las.

- Aha - rzekła Heather. - Chcesz powiedzieć, że już wiemy, kim był Goodman.

- Czyżby?

- Sądząc po imieniu, musiał być Anglosasem.

- Może i tak. Ale chodziło mi o fragment, w którym mowa, że był to jedyny kamienny krąg, którego Rzymianie nie zostawili w spokoju. Wiedziałaś, że podczas zlodowacenia czoło lodowca zatrzymało się zaledwie o kilka mil na północ od Goodmanswood?

- Zdaje się, że uczono nas o tym w szkole, tylko nie wiem... - Heather uświadomiła sobie, że studenci spoglądają na nie ze zniecierpliwieniem. - Za pół godziny idę na lunch - dokończyła półgłosem.

- Chyba wytrzymam. Nie chciałabym, żebyś narobiła tu za dużo hałasu, gdy ci coś powiem.

Heather nie wiedziała, czy ma to być po prostu kąśliwa uwaga czy coś więcej, ale tak czy owak odciągało ją to od skanowania kolejnej książki. Kiedy po raz drugi zerknęła na zegarek, przekonując się, że do pierwszej pozostało jeszcze trochę czasu, Randall powiedział:

- Idź, jeśli chcesz. Ja sobie poradzę do przyjscia zmienników.

W późnolistopadowym powietrzu oddechy siostr manifestowały się w formie pary. Cienkie pojedyncze drzewa z nielicznymi liśćmi wyglądały jak wtłoczone w lodową tafłę nieba. Sylwia w milczeniu przedzierała się przez grupki studentów w szalikach.

- Strasznie jesteś zapracowana - zauważyła Heather.

- To znaczy?

Mogła mieć na myśli badania prowadzone przez Sylwię w imieniu ojca albo to, że ta odwiedzała Lennoksa częściej niż jej starsza siostra, czy też to, że pomagała Margo zbierać materiały do rzeźb i służyła pomocą w pracowni, lub w końcu to, że odwoziła Sama do i z pracy w zamian za możliwość używania jego wozu.

- Muszę nadrobić czas, kiedy mnie nie było - odparła, nie czekając na wyjaśnienia.

- Rozumiem - rzekła Heather, choć na widok osobliwego uśmiešku Sylwii przestała być tego pewna.

Większość stolików w Peace & Beans była zajęta przez studentów i paru dorosłych amatorów zdrowego żywienia, ale dwójka nobliwych akademików właśnie zwolniła stolik. Sylwia zajęła miejsca, a Heather po chwili dołączyła do niej z tacą pełną falafelu, ziemniaków po bombajsku i różnorodnych sałatek.

- Chcesz najpierw zjeść? - zapytała Sylwia, wyjmując z płóciennej torebki notatnik.

- Mów, co cię tak zaciekało.

Sylwia rozpostarła palce na froncie luźnych dżinsowych ogrodniczek, po czym zaczęła wertować notes.

- Istnieje wzmianka z czasów mniej więcej arturiańskich, czyli o parę wieków wcześniejszych od tych, w których to miejsce otrzymało nazwę. Dobry Człowiek, Good Man, rzekomo opiekował się osobami, które zgubiły się w lesie, zwłaszcza nocą.

- Wygląda na porządnego gościa.

Sylwia milczała dostatecznie długo, by dać do zrozumienia, że to niewłaściwa odpowiedź.

- Tego rodzaju nazwy często służą usypianiu czujności. Na przykład szkocka posiadłość Goodman's Croft zdaniem taty należy do diabła.

- Chciał przez to powiedzieć, że tak uważają okoliczni mieszkańcy.

- Już nie. - Nim Heather zdążyła zdecydować, czy ma ochotę zażądać dalszych wyjaśnień, Sylwia kontynuowała: - Tak naprawdę książka nie mówi konkretnie, że Good Man opiekował się tymi ludźmi. Mówi, że torował im drogę. Pewnie się zastanawiasz, jak to robił i dokąd ona prowadziła, co?

- Bynajmniej.

- Nie ma sprawy. Posłuchaj czegoś innego. W trzynastym wieku krążyły słuchy o panu Goodmanie, który nie pozwalał zamożnym podróżnym przejechać przez las, póki nie zostawili czegoś dla biednych. Myślę jednak, że fragment o biednych mógł zostać dodany dla świętego spokoju, bo znalazłam też to.

- Przewróciła stronę i przeczytała: - „Przez kilka dekad nocami nie zapuszczano się w głąb Goodman’s Wood w Gloucestershire ze strachu przed człowiekiem lub innym stworem, który ścigał nierozważnych ludzi szybciej, niż koń potrafił galopować”.

- Skąd to u licha wzięłaś?

- *Z Podań staroangielskich*, 1863 - wyjaśniła Sylwia, podkreślając fragment z takim zacięciem, że zadrapała paznokciem kartkę. - Chyba nie sądzisz, że to zmyślam?

- Jestem pewna, że nie, skoro tak mówisz, ale nie rozumiem, dlaczego tak cię to cieszy.

- Bo od dawna czekało, aż ktoś to poskłada do kupy.

- Cieszysz się, bo jesteś pierwszą osobą, której się to udało?

- Nie wiem, czy pierwszą - przyznała Sylwia. - Mam tu fragment z przedstawienia na przesilenie letnie odgrywanego w Gloucester:

*Panie i panowie, tańczujcie, śpiewajcie,
Lecz w krąg Goodmana się nie zapuszczajcie,
Bo duchy ziemi i powietrza już się palą
By w świat wypuścić braci sforę całą.*

Spojrzała wyczekująco na Heather.

- Zdaje się, że wiemy, gdzie był ten krąg, prawda? - zapytała.

- Nie mamy pewności.

- Powinnaś przeczytać niektóre z tych swoich książek - rzekła Sylwia, zaciskając dłonie na brzuchu, jakby próbowała powściągnąć zniecierpliwienie. - Na przykład tę pod tytułem *Opisanie pieszej i konnej wyprawy poprzez angielskie hrabstwa*.

- Parę dni temu ją skanowałam. Nie pamiętam, żeby tam było coś na ten temat.

- W takim razie nie pamiętasz też tego. - Sylwia zamknęła akapit między kciukiem a resztą palców, tworząc coś w rodzaju bramki. Heather wyciągnęła szyję, by przeczytać tekst.

Wiem od niezmordowanego pana Lyndseya, który na odmianę dowiedział się tego od pewnej staruszki z hrabstwa, że w minionych latach podróżni pomiędzy Berkeley a Gloucester widywali niekiedy w lasach na zachód od rzymskiej drogi koronę krągłej siedziby wyższej niżli drzewa. Jakie zdarzenie położyło kres temu szaleństwu, staruszka rzec nie umiała.

- Nie mów, że nie wiesz, gdzie to było - powiedziała Sylwia.

- Chciałaś powiedzieć: „gdzie się wymykałam, kiedy miałaś mnie pilnować”.

- Nasze tajne miejsce.

- Tylko dlatego, że mama by się martwiła, gdyby wiedziała, że zapuszczamy się tak głęboko w las, nawet jeśli było tam już bezpiecznie.

- Tobie też się to podobało - upierała się Sylwia. - Lubiłaś udawać, że to cyrkowy krąg pełen dziwaczných zwierzaków. Kiedy indziej była to fosa otaczająca czarodziejski zamek albo też w środku znajdował się szczyt najwyższej góry lub wyspa, która wynurzyła się z morza po milionach lat. Czasem krąg był tylko ścieżką, którą chodziliśmy w kółko, by zobaczyć, co jest dookoła, ale ty zawsze mówiłaś, że tylko kręci ci się w głowie. Ja byłam pewna, że jest tam coś więcej.

Heather czuła się niezręcznie, że prawie nic z tego nie pamięta, i obronnym gestem wskazała notes.

- Po co ci to wszystko, Sylwio?

- Może nie pamiętasz, że tata mnie prosił.

- Pewnie, że pamiętam, ale co on może z tym zrobić? W jaki sposób miałoby mu to pomóc?

- Nie podnieca się tym aż tak bardzo, jeśli tego się obawiasz. Raczej znajduje potwierdzenie swoich przypuszczeń.

- I uważasz, że to dla niego dobre? - Heather ściszyła głos i pochyliła się ku siostrze. - Jaki sens ma podtrzymywanie jego iluzji? To nie pomoże mu odzyskać zmysłów.

- Lekarz wydaje się zadowolony z jego obecnego stanu.

- Ale chyba tylko w sensie względnym, co? Ojciec przyjechał tu, żeby badać omamy, a skończył jako ich największa ofiara. Kiedyś powiedziałyby, że te wszystkie wzmianki, które dla niego znalazłaś, pokazują, że przez całe wieki istniało tu coś w rodzaju zbiorowej halucynacji. Pewnie napisałyby o tym wspaniały rozdział, a może i całą książkę. Ale teraz tylko gromadzi wszystko w głowie. Skąd mamy wiedzieć, jakie kształty to przybiera? Czy naprawdę nie wolałabyś części przed nim zataić?

Najwyraźniej zrobiło to na Sylwii wrażenie, choć nie takie, jakiego oczekiwała Heather. Jej siostra oderwała rękę od brzucha, przycisnęła palce do ust i wstała tak gwałtownie, że krzesło się zachwiało. Nim znieruchomiało, Sylwia znikła już w toalecie, nad której drzwiami widniała tabliczka z wyżłobionymi wizerunkami porów. Heather uśmiechnęła się do kilku świadków incydentu, starając się nie wyglądać na bardzo skonsternowaną. Zastanawiała się, czy powinna pójść za siostrą. Właśnie się zbierała, gdy Sylwia wyłoniła się z łazienki ze śladami wody na twarzy. Heather otarła je serwetką, kiedy

siostra usiadła, wpatrując się w nią natrętnie.

- Co się stało? - zapytała.

- Nic. A co miało się stać?

- Nie wiem, ale wyglądasz, jakby się stało.

- Już wszystko w porządku. Mam nadzieję, że jeszcze coś zjesz. W przeciwnym razie będę się czuła winna, że cię tu przywlokłam.

- Nie przywlokłaś. Zjem więcej, jeśli i ty zjesz.

- Może za chwilę. Na razie zastanawiam się, na co jeszcze przyjdzie mi chęćka.

- Że co? Chcesz powiedzieć, że masz dość wegetarianizmu?

- Tego jeszcze nie wiem. To ty powinnaś wiedzieć, jak to jest.

W końcu Heather pojęła, co ma oznaczać spojrzenie siostry.

Aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Sylwio, czyżbyś...

- Dojdzie nam jeszcze jeden koszt.

Tak zrozumiąłby jej słowa postronny słuchacz. Ale nie Heather.

- Koszt przez duże „K”! - wykrzyknęła.

Ich rodowe nazwisko, Price, właśnie to oznaczało.

- Tak sądzę.

Heather miała wrażenie, że cała restauracja pojaśniała - jakby jej twarz potrafiła ją rozświetlić.

- A więc to nie jest zwykły powrót do domu.

- Nie. Przywiozłam pasażera. Albo pasażerkę.

- Od kiedy wiesz?

- Od niedawna. Nie musisz szeptać, Heather, niedługo wszyscy zauważą.

Ona jednak wolała mówić cicho.

- A jego ojciec?

- Nie widzę powodu, by mu o tym mówić.

- W takim razie nie pojawi się na naszej scenie.

- Na ile miał się pojawić, na tyle już to zrobił.

- Ma chociaż jakieś nazwisko?

- Jasne, i niech je sobie zatrzyma. Ja nie muszę go przyjmować. A co, chciałabyś tego?

- Jeśli ty nie chcesz, to i ja nie.

- Spróbujmy nie mieć przed sobą żadnych sekretów prócz tego jednego. - Sylwia zapatrzyła się w stół i mocno potarła wargi kłykciami. - Może byśmy już poszły? Chwilowo

mam dość widoku jedzenia. Podejrzewam, że wkrótce zacznę wcinać za dwoje, a wtedy nie będę już miała wyboru.

Heather ujęła ją za łokieć i poprowadziła między stolikami. Kiedy tylko wyszły na zewnątrz, ich oddechy znów zmieniły się w parę. Sylwia powinna mieć płaszcz, a nie dżinsową kurteczkę, pomyślała natychmiast starsza z sióstr. Dowieziono już jej dobytek w postaci trzech walizek, na pewno więc ma jakąś odzież na każdą porę roku. Gdy Heather poganiała ją w stronę ciepłego schronienia uniwersytetu - acz nie tak szybko, by ciężarnej znów nie zrobiło się niedobrze - Sylwia powiedziała:

- Jak mama to przyjmie?

- Jestem przekonana, że będzie równie zachwycona jak ja. W przypadku Sama tak było.

- Ale ty byłaś mężatką, prawda? Mogłaś się pochwalić także mężem.

- Nie sądzę, by mama kiedykolwiek była tak staroświecka. W dzisiejszych czasach niewiele osób ma takie poglądy.

- Nie chcę, żeby się za bardzo podniecała przed przyszłotygodniową wystawą. Nie sądzisz, że lepiej będzie jej powiedzieć dopiero po spotkaniu z publicznością?

- Dobrze, niech to będzie nasza tajemnica - odparła Heather, dotykając ręki siostry, która okazała się zimna i cienka jak witka. - Jak w dawnych czasach - dodała.

- Za ich powrót! - powiedziała Sylwia, ściskając dłoń Heather tak mocno, że ta poczuła jej kości.

Więcej niż cień

Tottenham Gallery leży przy Tottenham Court Road. Choć przelotowa droga była niemal równie zatłoczona jak leżąca na jednym jej końcu Oxford Street i leżąca na drugim Euston Road, Heather miała wrażenie, że uwzięły się na nią drzewa. Gdy podążała za Margo po płytkich betonowych stopniach ku drzwiom z ornamentowego szkła, drogą przejechał drugi już samochód z przypiętą do dachu choinką, a w witrynie sklepu RTV co najmniej tuzin telewizorów pokazywało drzewka wśród śnieżnej burzy, jakby były ozdobami gwiazdkowymi, które ktoś przed chwilą poruszył. Nawet wyrastający ponad dachy czubek BT Tower przypominał pień wznoszący się ku połyskującemu mrozem niebu. Przez wysokie, szerokie, zaczynające się na wysokości kolan okno galerii Heather ujrzała wystarczająco spory tłumek ludzi skupionych przed obrazami Margo lub wokół umieszczonych w gablotach rzeźb. Kilkoro gości wyszło z kieliszkami szampana na próg, żeby zapalić. Heather wyteżęła słuch, by usłyszeć jakieś opinie na temat wystawy, ale najwyraźniej nikt o niej nie rozmawiał. Szczupła młoda kobieta w długiej, równie czarnej jak ona sukni była całkowicie zaprzątnięta wodzeniem palcem po obwódce kieliszka w celu wywołania pisku. Heather pomyślała, że portier, osiłek w wieczorowym stroju, lecz o ogolonej głowie bramkarza, lepiej by zrobił, interweniując w imieniu kieliszka, niż zatrzymując Margo uniesieniem grubej ręki.

- Mogę zobaczyć pani zaproszenie? - powiedział z leciutkim tylko akcentem z East Endu.

- Lucinda niczego takiego nie przysłała - odparła matka.

- Jestem Margo Price.

- Artystka.

- Bohaterka dnia we własnej osobie.

W odpowiedzi jego mina stała się jeszcze bardziej nieprzenikniona. Otworzył dla Margo lewe drzwi. Samuel puścił przodem matkę i Sylwię, portier jednak znów zatrzymał całą trójkę.

- Mogę zobaczyć państwa zaproszenia?

- To moja rodzina - rzekła Margo. - Są ze mną.

- Przykro mi, ale każdy gość ma prawo zaprosić tylko jedną osobę. To dlatego, że spodziewana jest duża frekwencja.

- Cieszę się, że jestem tak popularna, i wiem, że pan tylko wykonuje swoją pracę, ale to chyba żart. Gdzie jest Lucinda?

Palacze uciszyli się, obserwując z zaciekawieniem Margo i przysłuchując się kłótni.

- Mogę przyjść na wystawę, jak będę następnym razem u taty. On na pewno też chętnie zobaczy. Wrócę do domu pociągiem.

- To miłe z twojej strony, Sam, ale nie rozwiązuje problemu - odezwała się Heather, znów myśląc o tym, że jej syn ostatni raz zachowywał się w podróży tak niespokojnie, kiedy był dzieckiem. - Nadal będzie o jedną osobę za dużo.

- Ja też mogę poczekać - zaoferowała się Sylwia. - Przyjadę potem razem z Samem.

- Dzięki za troskę.

Heather zastanawiała się, czy w słowach Margo skrywa się odrobina urazy, i wbijała sobie do głowy, by nie pytać Sylwii o samopoczucie, póki nie zostaną same, gdy oba skrzydła drzwi otworzyły się na oścież i stanęła w nich kobieta w średnim wieku, wyraźnie usiłująca się odmłodzić za pomocą połyskującej srebrnymi łuskami, wyciętej na plecach i sięgającej do kostek sukni oraz niedbale przyciętych popielatych włosów.

- Margo, kochanie! - wykrzyknęła. - Dlaczego się tu zatrzymałaś? Chodź i wnieś kieliszek na swoją cześć!

- Dopiero jak będę miała przy sobie całą rodzinę, Lucindo. Podobno nie mogą wejść bez zaproszeń.

- Ależ oczywiście, że mogą. Czyżbym zapomniała ci powiedzieć, że są na specjalnych prawach, George? Bardzo wszystkich przepraszam.

- Nie ma sprawy, pani Hunt - rzekł portier z dyskretnym kaszlnięciem kamerdynera. - Ma pani tyle na głowie...

- Proszę, proszę - zachęciła całą gromadkę Lucinda Hunt. - Nikt nie jest milej widziany niż państwo. Szybko, zanim skończy się szampan.

Lśniąc niczym zestaw noży, pomaszerowała przez tłum w stronę stołu, na którym stały kieliszki z szampanem i szklaneczki z sokiem pomarańczowym.

- Ktoś niepijący?

- Ja nie bardzo - zastrzegła Heather.

- Jak to: nie bardzo? - oburzyła się Margo. - W tej rodzinie wszyscy piją.

- Ja poproszę o sok - wtrąciła Sylwia.

- Rozumiem, że Heather prowadzi, ale czy nawet ty mi nie potowarzyszysz?

- Potrzebuję trochę czasu, by dojść do siebie po podróży.

- No, przynajmniej ktoś nie zamierza pozwolić, żeby wyszło na to, że piję więcej niż moi goście - powiedziała Margo, widząc, że Sam opróżnił już pół kieliszka.

Heather poczekała, aż podadzą jej szampana, po czym ruszyła za Sylwią, mrucząc jej do ucha:

- Powiedziałas mamie prawdę czy coś ci jest?

- Musiałam się jakoś wytłumaczyć. Chyba wiesz, dlaczego nie piję.

- Ja tylko się troszczę o moją młodszą siostrę.

- Tutaj nie musisz. Czuję się prawie tak, jakbym wróciła do łona mamy.

Heather nie nazwałaby tego w ten sposób, ale miała dość podobne odczucia. Pierwszą salę wypełniały obrazy tak znajome - wśród nich nawet oryginał niesamowitego drzewa z jej holu - że od razu się tam zadomowiła. Następne pomieszczenie poświęcono angielskiemu okresowi twórczości Margo, a trzecie - dziełom z ostatniego roku. Heather ruszyła właśnie w tym kierunku, marszcząc w duchu brwi pod swoim - bo z pewnością wyłącznie swoim - adresem.

Większość tych dzieł widziała już w pracowni Margo i uważała je za najlepsze prace matki. Były to rzeźby wyrażające poczucie nieskończoności zaklętej w małym kawałku, czyli to samo, co tak kochała w obrazach. Teraz jednak te same rzeźby wyglądały wyłącznie jak coś, czym kiedyś były: kawałki martwego drewna udużnione przez Margo. Heather tłumaczyła sobie, że jest zmęczona podróżą, a przede wszystkim parkowaniem. Okrążyła jedną rzeźbę po drugiej w samotnym, coraz bardziej niespokojnym tańcu, gdy jakaś kobieta powiedziała:

- Straciła dar, prawda?

Z lekko zmarszczonymi brwiami przyglądała się najnowszemu dziełu Margo. Po bokach jej pociągłej bladej twarzy zwisały okrągłe kolczyki udające, że wyrwały się z masy czarnych loków.

- Niektóre z jej wcześniejszych rzeczy nawet mi się podobały - rzekł jej towarzysz. Jego usta niemal zupełnie zasłaniała górna część krzaczastej rudawej brody, która z łatwością zakryłaby jego łysy skalp.

- Z okresu escherowskiego - przytaknęła kobieta.

- A teraz jakby próbowała odgrzać na nowo to samo danie.

- Jeśli organizatorzy chcieli nam pokazać, jak się powtarza, źle to wszystko rozplanowali.

- To się nazywa temat przewodni - odezwała się Heather na tyle głośno, że wszyscy

obecni w pomieszczeniu spojrzeli na nią. Kilka osób uśmiechnęło się uprzejmie, a kobieta z kolczykami zripostowała:

- Raczej brak nowych pomysłów.

- Albo w ogóle brak pomysłów - poparł ją mężczyzna rekompensujący łysinę brodą.

Bóg wie, co mogłaby odpowiedzieć Heather, gdyby w tym momencie nie ujrzała Lucindy Hunt wprowadzającej do sali Margo i ekipę Metropolitan Television.

- Znajdzie się tu jakiś kącik dla naszej gwiazdy? - zasugerowała obecnym Lucinda. - Proszę się nie spieszyć, poczekamy.

Tak bardzo skupiła się na zaganianiu ekipy w wybrane miejsce, że nie zauważyła, iż niemal cała publiczność uciekła.

- Czy mogliby państwo trochę ożywić tę salę? - zawołała przez drzwi do drugiego pomieszczenia.

Tylko Sam i Sylwia połknęli haczyk.

- Mogą państwo coś mówić? - nie tyle zapytała, ile nakazała Lucinda.

- Co? - zapytał Sam.

- To co myślicie - odkrzyknęła z drugiego końca sali Margo Samuel zaczął się snuć od jednego eksponatu do drugiego, a dziennikarka - filigranowa, lecz robiąca wrażenie młoda blondynka o włosach równie szerokich i długich jak jej plecy - wymierzyła w Margo mikrofon dwukrotnie większy od swej dłoni.

- Start - powiedziała do kamerzysty. - Holly Newsome, „Sztuka po zmroku”, witam państwa. Jest ze mną Margo Price. Pani Price, co mają nam przekazać wystawione tu dzieła?

- Proszę po prostu popatrzeć.

- A gdy już ktoś to zrobi, co zobaczy?

- Mniej więcej wszystko, co chcę ludziom pokazać.

- A zatem wybór eksponatów należał do pani.

- Do mnie i do Lucindy Hunt. Kiedy zobaczyła w pracowni moje najnowsze dzieła, nalegała, żeby je włączyć.

Właścicielka galerii gestem nakazała rodzinie Price'ów przerwanie ciszy.

- Co o tym sądzisz, Sylwio? - wykrztusiła Heather.

Holly Newsome tymczasem mówiła:

- A pani nie chciała ich pokazać?

- Ależ chciałam. Poprzednim razem czułam takie natchnienie krótko po przyjeździe do Anglii.

- Nie chciałabym przegapić czegoś, co mama uważa za ważne - powiedziała Sylwia.

- W takim razie nie zapomnij od czasu do czasu spojrzeć w lustro. Masz jakieś ulubione dzieła?

- Zawsze lubiłam *Światło przedzierające się przez ciernie*.

- Ja też. A z tej sali?

- Wygląda na to, że mama jest na drodze do czegoś nowego.

- Moja twórczość to ekspedycja badawcza - mówiła teraz Margo. - Wciąż odkrywam, co znajduje się w moim drewnie.

Sylwia stłumiła śmiech i rozpostarła palce na brzuchu.

- Samuel jeszcze nic nie powiedział.

Chłopak niezbyt się kwapił, by do nich dołączyć.

- Co publiczność powinna wynieść z pani wystawy?

- Hm, może na przykład wynieść któryś z eksponatów.

Dziennikarka miała dość nieszczęśliwą minę, więc Heather zrobiła co w jej mocy, by zmienić temat.

- Które ci się podobają, Sam?

- Ten obraz, który jest u nas w holu - mruknął chłopak, drepzcząc w miejscu, jakby nie mógł się doczekać, kiedy stąd wyjdzie.

- Gdyby artysta potrafił wyjaśnić sens tego, co robi - mówiła tymczasem Margo - nie musiałby malować, rzeźbić czy czym tam się zajmuje.

- Poproszę o kilka słów na zakończenie.

- Przyjdźcie i sami popatrzcie.

- Dziękuję za rozmowę. Moim gościem była Margo Price. - Dziennikarka opuściła przypominający pałkę mikrofon i zwróciła się do kamerzysty: - Parę kiwnięć.

Gdy kamerzysta zaczął filmować jej kiwnięcia głową, mające rzekomo zachęcać rozmówczynię do powiedzenia tego, co w istocie już powiedziała, Margo pospiesznie odnalazła Lucindę Hunt.

- Byłam tak wymowna, jak mi się zdawało?

- Była świetna, prawda, rodzinko? Zachowałaś się dokładnie tak, jak chciałaby twoja publiczność. Ludzie byliby wściekli, gdybyś wyłożyła im na tacy, co mają myśleć.

- Byliśmy z ciebie dumni - poparła ją Heather.

Holly Newsome gestem nakazała kamerzyście, by nakręcił zawartość najbliższej gabloty. Margo już się szykowała do przyjęcia pochwał, gdy dziennikarka powiedziała:

- Co tu się stało, Lucindo? Co to jest?

Margo i Heather dotarły do eksponatu przed Lucindą. Na białym cokole widniała

zweżająca się czarna plama, przypominająca przedłużenie cienia ostro zakończonej, wysokiej na stopę rzeźby.

- Nie do wiary! - zdumiała się Margo. - Nigdy mi się to nie zdarzyło! Obrabiałam to drewno tak samo jak wszystkie inne.

- Zaraz przyniosę klucz - obiecała Lucinda i ruszyła do biura.

Heather pochyliła się nad gablotą, tłumacząc sobie, że to niemożliwe, by dostrzegła jakiś ruch w miniaturowym labiryncie poskręcanych cienkich gałązek i misternie przewierconego pnia. Zdążyła jedynie rozpoznać przyczajone cienie, gdy Lucinda wróciła, podzwaniając kilkoma kluczykami zawieszonymi na ekstrawagancko dużym kółku. Wepchnęła jeden w bok cokołu i uniosła szkło. Do sali zdążyło już napłynąć pół tuzina gości. Margo podniosła rzeźbę i obróciła do góry nogami.

Ona pierwsza krzyknęła. Kiedy z ręki wypadła jej rzeźba, która z hukiem runęła na cokół, dwie kobiety z wrzaskiem uciekły z sali. Spód rzeźby lśnił jak śluz ślimaka, lecz nie dlatego Margo ją upuściła. Podstawę opanowało mrowie maleńkich, rojących się stworzeń, które natychmiast podjęły wędrówkę w dół cokołu. Heather pomyślała, że to jakiś gatunek żuka, ale nie miała czasu dokładnie zobaczyć kolorów ani kształtów. Przez chwilę miała wrażenie, że układają się na podłodze w złożony wzór. Potem z zapalem przewyższającym ten, który wykazała wobec wystawy, trójka gości rzuciła się naprzód, by rozdeptać robactwo.

Niewidoczne towarzystwo

Heather otwierała właśnie drzwi, gdy do bramy podbiegła w swój niezdarny sposób Jessica.

- Przyniosłam ze sklepu gazety - wysapała - na wypadek gdybyś ich jeszcze nie widziała.

- Parę już widziałam - odparła Heather, wydychając obłoczek gazów, który w świetle latarni przybrał pomarańczową barwę. - Wejdz.

- Tylko na chwilę. Akurat piekę ciastka do sklepu, a jak tylko będą gotowe, muszę lecieć z powrotem.

Była bardziej rozczochrana niż zwykle, z mąką na niesfornych włosach i grzbietach dłoni. Sposób, w jaki wraz ze swym mężem Joem prowadziła narożny sklep, wydawał się Heather zdezorganizowany do rozmiarów ekstrawagancji, ale najwyraźniej im to służyło.

- Jestem! - zawołała do domowników. - A ze mną Jessica!

Samuel i Sylwia wynurzyli się z kuchni, z której wionął zapach przypraw.

- Obiad prawie gotowy - rzekła Sylwia.

- Pokazuję właśnie Heather, co napisali w gazetach o waszej przygodzie - powiedziała Jessica.

- Przygodzie? - zapytała Sylwia, krzyżując nadgarstki nad brzuchem.

- O tych nieproszonych gościach waszej mamy.

- O robakach - wyjaśniła Heather, bo Sylwia nadal patrzyła na Jessicę bez wyrazu, a Sam miał co najmniej nierozgarniętą minę. - Mogę na razie zatrzymać gazety, żeby pokazać mamie? Przychodzi na obiad.

- Jasne, są wasze - odparła Jessica. - Wpadnij do nas czasem kupić parę ciastek. O, czyżby nadchodziła nasza gwiazda?

Stukot obcasów na ścieżce zakończył się króciutkim dźwiękiem dzwonka. W progu istotnie stała Margo w starym płaszczu narzuconym na wczorajszą nakrapianą suknię.

- Czyżby nam przybył kolejny członek rodziny?

Heather dopiero po chwili uświadomiła sobie, że matka ma na myśli Jessicę. Ta zaś

wyjaśniła:

- Ja tylko przyniosłam trochę prasówki, bo na co dzień chyba nie czytacie tych gazet.

- Przepraszam, Jessico. Po prostu nie spodziewałam się tylu osób. Musimy się kiedyś umówić i poplotkować.

- Z rozkoszą. Ale teraz muszę lecieć - powiedziała Jessica. Zatrzymała się w drzwiach.

- Słyszeliście? Finchowie, ci obok starej szkoły, znaleźli kupca na swój dom.

- To dobrze - odparła Heather, sądząc, że to właściwa odpowiedź.

- Było dobrze do czasu oględzin. Podobno rzeczoznawca poczuł jakiś zapach w pokoju gościnnym, nie wiadomo skąd. Odsunął szafę i okazało się, że cały jej tył to jeden wielki grzyb!

- Kurczę!... I co, będą mogli sprzedać?

- Mają nadzieję, że tak, kiedy już odkryją, którędy dostaje się wilgoć. Człowiek ma ochotę iść i odsuwać wszystkie meble, żeby sprawdzić, czy nie ma nieproszonych gości, co? - Po tych słowach Jessica wybiegła z domu.

Margo przewiesiła płaszcz przez barierkę i skrzywiła się na widok brukowców.

- Jezu, czy ja mam ochotę wiedzieć, co te szmatławce o mnie piszą?

- Weźmy je do kuchni i zajrzyjmy - zaproponowała Heather i rozłożyła gazety na stole.

Jessica pozaznaczała odpowiednie tytuły narysowanymi długopisem rozmazanymi krzyżykami: ZAROBACZONA MALARKA. INWAZJA POŻERACZY RZEŹB. ARTYSTKA PODCINA POD SOBĄ GAŁĄŻ. NAPRAWDĘ WSZAWY WERNISAŻ. O TY LARWO! - MÓWI ARTYSTKA.

- W ogóle z nimi nie rozmawiałam - oburzyła się Margo.

- Wszyscy wiedzą, że ta gazeta zmyśla - uspokoił ją Sam.

- Jakbym nie miała dość zgryzoty z innymi rzeźbami. Wiem, że wczoraj nic w nich nie znaleźliśmy, ale ta też wyglądała całkiem normalnie, gdy nad nią pracowałam.

- Może cały ten rozgłos przysporzy ci klientów - próbowała ją pocieszyć Heather.

- Jasne. Będą chcieli poznać szaloną twórczość zarobaczonej damy.

- Nikt tu nie jest szalony. - Sylwia odwróciła się do kuchenki, a jej fosforyzujące odbicie wykręciło piruet w półmroku ogrodu, za którym nagie drzewa wbijały w czarne niebo niezliczone szpony. - Już nakrywać?

- Pomogę - zaoferował się Sam.

- Chyba jest nas tu więcej, niż trzeba - zauważyła Heather. - Chodźmy do pokoju - rzekła do Margo. - Jeśli masz ochotę, otworzę wino.

Było to chablis, które uwydatniało wszystkie aromaty zupy rybnej Sama, a wegetariańskiej opcji Sylwii także raczej nie czyniło krzywdy. Margo mruknęła coś z aprobatą, której dla przyrządzonej przez Heather wołowiny po burgundzku nigdy jej nie brakło. Kiedy powoli jadła, Heather zaczęła się zastanawiać, co jest przyczyną wyjątkowej małomówności matki. Już myślała, że Margo po prostu się martwi o wieczorną relację w „Sztuce po zmroku”, gdy ta się odezwała:

- Czy ktoś z tu obecnych szykuje dla mnie jakąś niespodziankę?

Gdyby Sylwia wyjawiała teraz swój sekret, z całą pewnością wywiad telewizyjny zszedłby na dalszy plan, a to byłoby niesprawiedliwe.

- Dlaczego tak sądzisz? - zaryzykowała pytanie Heather.

- Przeczucie. To ty, Sam?

Bynajmniej nie spieszył się z przełknięciem jedzenia, które najwyraźniej potrzebowało pomocy połowy kieliszka wina.

- Co ja? - zapytał.

- Czy to dlatego udajesz niewiniątko? Czyżbyś się zaręczył? A może już się ożeniłeś, nikomu o tym nie mówiąc?

- Dwa razy nie. Nic się nie dzieje na tym froncie.

- Po prostu nie może się doczekać, kiedy zobaczy cię w telewizji - przyszła mu z odsieczą Heather. - Prawda?

- Jak wszyscy.

- Ale jest coś jeszcze - upierała się Margo, wpatrując się w niego niemal oskarżycielsko.

Heather bała się zerknąć na Sylwię w obawie, że mogłyby wybuchnąć śmiechem. Gdy zobaczyła, że siostra otwiera usta, wstrzymała oddech.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytała Sylwia.

- Jeśli nie mam racji w kwestii mojej rodziny, to w niczym nie mogę jej mieć.

- Jasne, że masz rację - zapewniła pospiesznie Heather. - Nigdy byśmy cię nie okłamali.

- Tyle że dzisiaj ty jesteś najważniejsza, mamo. Postaraj się na chwilę o nas zapomnieć.

- Myśl o sobie. Jak my wszyscy.

- I wielu innych - dodał Sam.

- Czy odpowiednio wyglądałam? - zapytała Margo, a Heather odetchnęła z ulgą.

Obie z Sylwią umiejętnie podtrzymywały temat przez cały deser, zapewniając matkę,

że zachowywała się rewelacyjnie w odróżnieniu od innych i że już chyba czas udać się do dużego pokoju z kieliszkami w dłoniach.

Wcześniejszy program się przedłużył. Gejowska opera mydlana skończyła się, jeśli w ogóle można mówić o końcu, dziesięć minut później, niż powinna. Margo wzdychała niecierpliwie, cmokała na siebie i pociągała z kieliszka łyżki tak mikroskopijne, że wydawały się specjalnie zaprogramowane, by zademonstrować jej powściągliwość. Podczas końcowych napisów lektor odczytał wprowadzenie do następnego odcinka, potem nastąpiła zajawka serii o wykorzystywaniu dzieci, po niej zaś elektroniczne fanfary i atak błyskawicznych grafik komputerowych stanowiące czołówkę „Sztuki po zmroku”. Tytuł rozpadł się na fragmenty, ukazując Holly Newsome i trzy inne osoby siedzące na maleńkich metalowych krzesłkach przed zakrętasem z materiału w kolorze gęstej mgły.

„Dziś w »Sztuce po zmroku«” - mówiła dziennikarka - „będziemy rozmawiać z efemeralistami wystawiającymi swoje dzieła wyłącznie w Internecie. Przyjrzymy się także transgresyjności w kinie. Który kraj łamie najwięcej tabu i czy w ogóle jakieś jeszcze pozostały? Posłuchamy utworu kompozytorki, której muzykę można usłyszeć, dotykając nut na partyturze; która nienawidzi wszystkich wykonań swoich dzieł i twierdzi, że muzycy to historia. Najpierw jednak odwiedzmy dużą wystawę mieszkającej w naszym kraju amerykańskiej malarki i rzeźbiarki Margo Price, otwartą dziś w odpowiedzi na uzyskany ostatnio rozgłos. Rozmawiałam z panią Price podczas pokazu dla gości specjalnych”.

- Co ona chce powiedzieć przez „uzyskany ostatnio rozgłos”? - zapytała zniecierpliwiona Margo, gdy prezenterka odwróciła się, by obserwować siebie i ją na ekranie.

- Pewnie nic takiego. Pamiętaj, że powiedziała: „duża” - odparła Heather, którą szybko uciszono.

Dziennikarka pozostawiła niemal wszystkie swoje pytania, wklejając przy okazji kilka kiwnięć głową będących rzekomo jej reakcjami, choć cały wywiad rozpoczął się od wezwania Margo: „Sami zobaczcie”. Mówiła o nowej inspiracji, ciągłym odkrywaniu i potrzebie kierowania się intuicją, a w tle słychać było głosy członków rodziny, choć nie dało się wychwycić słów. Załapali się nawet na niektóre ujęcia. Kiedy padły końcowe słowa: „Przyjdźcie i sami popatrzcie”, Margo uniosła kieliszek, acz tylko po to, by przetrzeć nim czoło.

- Co za beznadzieja.

- Wcale nie - zaprotestowała Heather, ale Margo przerwała jej:

- Po co to pokazują?

Kamera najechała na rozbitą rzeźbę. O ile Heather z ulgą odnotowała, że robaki

znikły, o tyle chętnie by się dowiedziała, czym tak naprawdę były. Obraz zastygł na ekranie wewnątrz studia, w którym Holly Newsome obróciła się do publiczności, mówiąc:

- Ten obraz z wystawy Margo Price większość z państwa zapewne już widziała. Do dyskusji zaprosiłam Dougiego Leavera, krytyka z „Beacon”, Marię Perez, historyka sztuki, i Abdula Kidda, wykładowcę kultury popularnej na Uniwersytecie Birmingham.

- Widzisz, jaka jesteś popularna? - zauważyła Heather.

- Zależy, co powiedzą - odparła Margo.

Holly Newsome tymczasem pytała:

- Jak znaczący jest państwa zdaniem ten widok?

Dougie Leaver ułożył ręce na wielkim brzuszysku i otworzył usta, rozwijając kilka podbródków.

- Myślę, że właśnie on najbardziej wbije się ludziom w pamięć.

Maria Perez uniosła nagą kościstą rękę, by odgarnąć do tyłu długie kręcone włosy przypominające kaskadę oleju. Jej chuda twarz wyglądała, jakby Maria zaraz miała dziobnąć Dougiego.

- Chyba dzięki pańskiej gazecie.

Abdul Kidd zamknął pięść we wnętrzu drugiej dłoni i pochylił górną połowę ciała ku pani Perez, nie patrząc jednak na nią.

- W gruncie rzeczy społeczeństwo już dawno wyrobiło sobie zdanie o współczesnej sztuce, a media tylko to potwierdzają, zamiast mu mówić, co ma myśleć.

Heather skrzywiła się, próbując dociec, o co właściwie mu chodzi.

- Chce pan powiedzieć, że media faworyzują Margo Price?

- Gdy im się ostatnio przyglądałem, tak było.

- Nie zmienia to faktu, że jej dzieła wiszą na ścianach w wielu domach - zauważyła Maria Perez.

- Jeden i ten sam plakat - zripostował Dougie Leaver, szczypiąc się w podbródki.

- Czasem jeden plakat wystarczy, by zagwarantować artyście miejsce w świadomości społecznej.

- Na jak długo? - zapytał Dougie Leaver.

- Próba przewidzenia renomy to ryzykowna gra. Na polu sztuki wczoraj łatwo może stać się jutrem.

- Price jest integralną częścią tego wczoraj, którego lepiej nie wskrzeszać.

- Proszę nas oświecić którego - rzekł Abdul Kidd.

- Narkotycznych lat sześćdziesiątych. Można to wyraźnie zobaczyć w sztuczkach,

które lubi odgrywać z tym, co rzekomo widać. No i wystarczy posłuchać tego, co mówi.

Holly Newsome próbowała interweniować:

- Chyba nie powinniśmy...

- Nie twierdzą, że zażywa narkotyki. Nie twierdzą nawet, że kieruje swą twórczość do osób, które to robią, ale opowiada to samo co one: o podróży połączonej z odkrywaniem, której nie da się opisać komuś, kto w niej nie był.

- Ja umiejscowiłabym ją w dawniejszej tradycji - wtrąciła Maria Perez. - W tradycji iluzjonizmu, jeśli nie samego *trompe l'œil*.

Holly Newsome obróciła się ku niej.

- Jak ważna jest pani zdaniem dla tej tradycji?

- Nie sądzę, by ta wystawa pokazywała nam coś, czego nie widzielibyśmy wcześniej. Odniosłam raczej wrażenie, że pani Price usiłuje przywołać z powrotem natchnienie towarzyszące jej w latach sześćdziesiątych, do czego zresztą się przyznaje, ale w rzeczywistości udaje jej się jedynie powielać samą siebie. Sądzę, że efekty tych prób były do przewidzenia, nim się do nich zabrała.

Heather czuła, że twarz płonie jej zarem wściekłości i wstydu, jeszcze zanim Leaver rzekł:

- Można by się zastanawiać, z czego czerpała natchnienie w tamtych czasach.

- Panie Kidd? - zapytała pośpiesznie Holly Newsome.

- Lubię od czasu do czasu zanurzać się w nostalgii. Polecam każdemu, kto też to lubi i będzie akurat przechodził w pobliżu, by zajrzał do środka.

- W szczególności zaś każdemu, kto kiedykolwiek nosił kwiaty we włosach - dodała dziennikarka. - Dla innych, mówię to w imieniu większości osób obecnych wczoraj w galerii, wniosek jest taki, że Margo Price naprawdę się starała ożywić przeszłość, ale nie całkiem jej się to udało.

- Rzekłbym, że rzeźba, która na naszych oczach rozpadła się na kawałki, dobrze to podsumowuje - dodał Dougie Leaver.

- A teraz porzućmy przeszłość na rzecz przyszłości - niemal przerwała mu Holly Newsome, na powrót zwracając się twarzą do kamery. - To może przypominać zwyczajną partyturę, ale kompozytorka Ellen Ogunduwe...

Kiedy wyłączono telewizor, Heather miała już w zanadrzu gotowy komentarz.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek zainteresowany sztuką brał sobie do serca słowa tego całego Leavera albo program, w którym on występuje.

- Miło, że tak mówisz - powiedziała Margo z wymuszoną obojętnością. - Może ktoś

jeszcze powie mi coś życzliwego?

- No przecież to ludzie, którym płacą za czepianie się.

Samuel przyszedł Heather z odsieczą.

- Chyba za wygłupianie się - sprostował.

- Jestem pewna, że znacznie mniej osób słyszało o nich niż o tobie, mamó - rzekła Sylwia.

- Myślę też - dodała Heather - że jeśli zadzwonisz do Lucindy, dowiesz się, iż bynajmniej nie wyrażają zdania większości.

- Chyba jednak zaczekam, aż ona zadzwoni. Nie zamierzam też pytać nikogo z was, co sądzicie o wystawie, bo wiem, że czulibyście się zobowiązani do jej wychwalania. Nie obrażcie się, jeśli teraz się odmelduję. Myślę, że spokojny spacer do domu dobrze mi zrobi.

- Nie wolno ci wychodzić, póki się nie rozchmurzysz - zaprotestowała Sylwia.

- Oj, to będziecie musieli mnie przenocować.

- Z przyjemnością - zapewniła Heather.

- Doceniam to. Doceniam postawę was wszystkich. Jeśli jednak pozwolicie, chciałabym przez chwilę побыć sama. Nie przejmujcie się, nic mi nie będzie.

- A nie chcesz usłyszeć najpierw mojej nowiny? - zapytała Sylwia.

- Nie wiem. A powinnam?

- Całkiem możliwe - wtrąciła Heather. - Myślę, że to kolejny powód do otwarcia butelki.

Już była w kuchni i wyciągała z lodówki flaszkę ulubionego wina Margo, które trzymała w rezerwie, gdy dobiegł do niej głos matki:

- Dostanę jakąś podpowiedź?

- Jest tu z nami jeszcze jedna osoba - rzekła Sylwia. - Ktoś, kogo nie widzisz.

Heather wolałaby, by siostra ujęła to jakoś inaczej, a nie tak, jakby chodziło o kogoś, kto ukrył się i podsłuchuje. Zamknęła lodówkę i ruszyła do holu. Może to wrażenie pozostawione przez słowa Sylwii sprawiło, że obejrzała się przez ramię, jakby z opóźnieniem uświadomiwszy sobie, że sceneria za plecami, której nawet się nie przyjrzała, kryje w sobie coś dziwnego. I rzeczywiście: nad płotem na końcu ogrodu widniała sylwetka głowy.

Gdyby nie to, że ścisła butelkę obiema rękoma, z pewnością by ją upuściła. Zdołała postawić ją na stole, jakby to miało utrzymać rzeczywistość w jednym kawałku, i dopiero wtedy pognała ku oknu. To co zobaczyła, nie mogło być realne, ponieważ płot miał siedem stóp wysokości. Być może rysujący się nad nim kształt był w istocie splątana masa gałęzi, a niewyraźne, pełzające po nim obiekty to po prostu poruszane wiatrem liście. Tylko jakim

cudem mogło się wydawać, że drzewo rośnie tak blisko płotu?... Heather opierała dłonie na chłodnych płytkach pod oknem i starała się zwalczyć idiotyczne wrażenie, że kształt zaczyna rzeźbić sobie twarz, gdy nagle pomyślała, że jeśli zgasi światło w kuchni, zobaczy wszystko lepiej. Przez moment jej dłonie nie chciały się ruszyć z płytek, ale w końcu oderwała je i sięgnęła do wyłącznika.

- Zgubiłaś się? - zawołała Margo. - Nie dowiem się, co to za niespodzianka, póki nie wrócisz.

- Już, już... - Heather zamknęła drzwi, odcinając światło dobiegające z holu, i odwróciła się w stronę okna. Wciągnęła gwałtownie oddech, powstrzymując wybuch śmiechu. Nad płotem nie było niczego. Daleko za nim dostrzegła falującą ciemność, znaczącą skraj lasu, i lekko połyskującą, nisko zawieszoną chmurę, która zdawała się tonąć wśród koron. Pewnie to jakaś sztuczka z perspektywą sprawiła, że chmura jakby się przybliżyła, a druga sztuczka upodobniła ją do głowy.

- Idę! - zawołała Heather, chwytając butelkę. Las napsuł jej już wystarczająco dużo krwi i zdecydowanie nie miał nic wspólnego z tajemnicą, którą Sylwia za chwilę zdradzi Margo i Samowi.

Niedzielne plotki

Heather zbudziło ciche pukanie do drzwi.

- Przymierzasz się już do wstania? - zapytała Margo, uchylając je. - Chętnie byśmy coś zjedli.

- Która godzina? - Drugie mrugnięcie potwierdziło, że wskazówki stojącego przy łóżku zegara pokazują dziesięć po dziesiątej. - Tak to jest, jak się gada nie wiadomo do której - mruknęła Heather. - Za parę minut śniadanie będzie gotowe.

- Już jest. Z przyjemnością je zrobiłam. Od dawna nie przygotowywałam śniadania dla nikogo prócz siebie.

Heather poczuła zapach boczku, tak przysmażonego jak zawsze w wykonaniu Margo, a rzadko w wykonaniu Anglików. Aromat unosił się w powietrzu, nawet kiedy matka zesłała na dół. Heather poleżała jeszcze pół minuty, wsłuchując się w niedzielne dzwony, głośne, a zarazem jakby przytłumione. Gdyby sobie na to pozwoliła, mogłaby się poczuć jak dziecko w rodzinnym domu, wolne od wszelkiej niechcianej odpowiedzialności. Westchnęła bez większej nostalgii i udała się do łazienki.

W trakcie wykonywania skróconych porannych ablucji słyszała głównie głos Margo. Minionej nocy, po usłyszeniu nowiny dotyczącej Sylwii, matka uroniła łzy, które wcześniej, po programie telewizyjnym, zachowała dla siebie. Przygarnęła obie córki i dała im ognistą reprimendę za to, że wcześniej jej nie powiedziały, a o tym, że Sam też nic nie wiedział, trzeba ją było długo przekonywać. Chłopak już wcześniej wyglądał dość nieszczęśliwie, a gdy kobiety zaczęły na przemian płakać i śmiać się, umknął do swego pokoju. Sylwia przygotowała się na to, że padną pytania, na które nie chciała odpowiadać, ale tak się nie stało. Być może matka była zbyt uszczęśliwiona faktem, że jej córka przywiozła do domu nowego członka rodziny.

- Zatem jesteście w komplecie - oznajmiła Margo, kiedy Heather weszła do kuchni. - Przynajmniej jeśli chodzi o tę część rodziny, która jest w tym domu. - W milczeniu nałożyła na talerze jajecznicę na boczku. - Czy wyjawiałaś już ojcu dobrą nowinę? - zapytała.

- Chyba nie myślisz, że powiedziałabym mu prędzej niż tobie? Ale mam nadzieję, że

go to nie wyprowadzi z równowagi - powiedziała Sylwia, próbując wybadać matkę.

- Nie wiem, czemu by miało, nawet w jego stanie. Może jesteśmy starzy, ale nigdy nie przejmowaliśmy się zbytnio konwenansami. Całkiem sporo sobie używaliśmy, zanim... - Margo spojrzała raczej na las w oddali niż na kogokolwiek z domowników i skwitowała kasznięciem potencjalny ciąg dalszy. - Wybacz, Sam. Znów wprawiam cię w zażenowanie.

Heather pomyślała, że to rycerskie z jego strony, gdy odparł:

- Nie wiem, co ma znaczyć to „znów”.

- Powiem tacie dziś po południu - obiecała Sylwia.

- A imię też mu powiesz? - indagowała Margo.

- Tak, chyba już wiem, jak je nazwę.

- Nie myśl, że jestem dziwaczką, ale musisz mi obiecać, że nigdy więcej nie powiesz o swoim dziecku „ono”. To tak jakby się chciało, żeby nie było człowiekiem. Zawsze uważałam, że to przynosi pecha. - Margo odczekała, aż zobaczy coś na kształt aprobaty, po czym dodała: - No to jak z tym imieniem?

- Nathaniel.

- Nathaniel Price - rzekła Heather. - Nat Price... Natty Price... Jestem pewna, że potrafi z tym żyć, o ile jest chłopcem. Inspirowałaś się czymś konkretnym, Sylwio?

- Przyśniło mi się.

- A jeśli - wtrąciła Margo - nowy członek rodziny okaże się dziewczynką?

- Natalie.

- Widzę, że dokładnie to przemyślałaś - stwierdziła Margo, choć przez moment, bez żadnego wyraźnego powodu, Heather wcale nie była pewna, czy rzeczywiście tak było.

Po śniadaniu Margo wstała.

- Czas rozprostować moje stare kości. Wpadnę do Jessiki, zanim wyprzedzą wszystkie niedzielne gazety.

- Pójdę z tobą - zadeklarowała Heather.

- Mnie też przyda się spacer - dodała Sylwia.

- A ja zostanę i pozmywam - rzekł Sam.

- Mam nadzieję, że Natty okaże się równie rozsądny jak ty - powiedziała Margo i zawstydziła go energicznym, długim uściskiem.

Powietrze na dworze miało mroźny smak. Na ulicy panowała cisza, jeśli nie liczyć przeraźliwych odgłosów skrobania szkła. Przez noc szyby wszystkich zaparkowanych samochodów stały się równie białe i matowe jak niebo, a okna domów pobielały przy futrynach.

- Mamo - odezwała się Sylwia, gdy były w połowie drogi do sklepu - czego nie chciałaś powiedzieć przy Samie?

Margo rozejrzała się wokół. Mężczyzna ze skrobaczką został daleko w tyle, a chodniki świeciły pustkami, nie licząc drzew rzadko rozstawionych na podobieństwo wartowników. Mimo to odpowiedziała dość ostrożnie:

- O czym?

- Zaczęłaś coś mówić o sobie i tacie.

- Hm, no... I co?

- Chciałaś coś jeszcze dodać, ale zamilkłaś ze względu na Sama.

- Ze względu na ciebie też. - Margo zatrzymała się na rogu ulicy wiodącej do Goodmanswood, a także do sklepu.

- Nie chciałam, żebyś myślała, że w jakiś sposób cię obwiniam.

- O co?

- Kiedy tata i ja ostatni raz się... - Margo rozłożyła ręce i poruszyła koniuszkami palców, jakby chciała złapać pomiędzy nie coś niewidzialnego. - Wtedy ty się poczęłaś.

- Nie mam pojęcia, dlaczego miałabym się czuć winna z tego powodu.

Heather nie chciała zadać pytania, które jeszcze bardziej schłodziłoby powietrze, lecz zadała je sama Sylwia.

- Dlaczego to był ostatni raz?

- Bo właśnie wtedy z ojcem zaczęło się dziać to, co trwa do dziś.

- Ale nie skrzywdził cię? - chciała się upewnić Heather.

- Fizycznie nigdy. Po prostu odszedł ode mnie.

- Dokąd? - zapytała Sylwia.

- W głąb siebie, gdzie nadal przebywa. - Margo zerknęła na nią, sprawdzając, czy to wystarczy, i przekonała się, że nie.

- Myśleliśmy, że ma to wszystko już za sobą - kontynuowała.

- Minęły dwa lata, odkąd ostatni raz był w lesie i znalazł się pod wpływem tego diabelstwa. Nawet już nie brał leków uspokajających, bo od dawna nie odczuwał żadnych skutków. Ale wtedy to wróciło, i to w jeszcze gorszej formie.

- Co, mamo?

Heather pomyślała, że Sylwia zachowuje się jak ciekawskie dziecko, lecz matka odrzekła:

- Zaczął mówić. Nie do mnie. Ja nawet nie miałam tego słyszeć. Nie patrzył ani na mnie, ani na nic, co znajdowało się w pokoju. Może próbował coś zobaczyć przez ścianę, a

może... może raczej starał się czegoś nie widzieć. Nie rozumiałam ani słowa, ale gadał jak najęty. A potem mówił, że nic z tego nie pamięta. Nic! - dodała z nutką goryczy.

Umysł Heather wyprodukował obraz twarzy ojca zawieszonyj ponad odwróconą twarzą matki i wpatrującego się w las, jakby sypialnia przestała istnieć. Pozbyła się tej wizji, myśląc, że każdy, kto je teraz zobaczy stojące na rogu, pomyśli, że zatrzymały się na codzienne plotki.

- To nie mogła być jego wina, prawda? - zaryzykowała.

- Nigdy nie mówiłam, że jest winien, a już w szczególności nie mówiłam tak przy nim. Nie potrzebował wiele perswazji, żeby się przenieść do szpitala. Chodźcie - zakomenderowała Margo, chcąc albo zamknąć ten temat, albo jak najszybciej stawić czoło temu, co ją czekało. - Sprawdźmy, co dziś o mnie piszą.

Za wspartymi o siebie nawzajem dwoma wysokimi na pięć stóp regałami, na których rysowały się leciutkie cienie wymalowanego szablonem na szybie logo „J's & J's,” Jessica służyła starszemu klientowi zarówno towarem, jak i rozmową, a jej mąż Joe, okutany w wyświechtany płaszcz, w wysłużonej wełnianej czapce na głowie, śpiewał przerobione kolędy ich wnuczce, posadzonej na stołku za ladą i rysującej coś w bloczku.

Mędrcy świata, monarchowie, gdzie się udajecie,

Idziemy się napić piwa, ile tylko wlezie...

- Idą do stajenki, żeby zobaczyć Dzieciątko - zaprotestowała ośmioletnia Rosemary z mieszaniną rozbawienia i znużenia.

- W takim razie sprawdzmy, czy tę też znasz - oznajmił Joe i zaśpiewał ochryplym barytonem, który jakoś zdołał wyciągnąć większość dźwięków:

Stała pod śniegiem panna zielona,

nikt prócz zająca nie kochał jej.

Nadeszły święta i przyszła do nas...

- Och, odwiedziła nas nasza gwiazda! - rzekł nagle, poniewczasie zaprzestając śpiewu.
- Widzieliśmy cię wczoraj w telewizji, Margo. Nie ma czegoś takiego jak zła reklama, prawda? Zawsze nam to powtarzają. Czym możemy wam służyć, Margo, Heather i... czyżby to najmłodsza latorośl wróciła na stare śmiecie?

- Przyszłaś się nią pochwalić, Margo? - zapytała Jessica, odliczając klientowi resztę i

kładąc mu ją na dłoń.

- Z wielką radością chwałę się i nią, i Heather, ale przede wszystkim chciałam zobaczyć, co o mnie piszą w niedzielnej prasie.

- Spokojnie możesz ją tu przeczytać - odparł Joe. - Nie chcemy, żebyś płaciła za coś, co ci się nie spodoba.

Heather zaparło dech, gdy Margo znalazła swoje nazwisko. SZTUKA MARGO PRICE TRUDNA, LECZ NIEPOTRZEBNA. Matka wydała z siebie coś pomiędzy stęknieniem a śmiechem. Heather nie wiedziała, czy powinna jej teraz dotykać, więc ograniczyła się do przebiegania wzrokiem po artykule, póki Margo nie złożyła gazety i nie rozpostarła następnej. Wszystkie recenzje dobrze uzupełniały swoje tytuły: GŁĘBIE, W KTÓRYCH BRAK GŁĘBI; TYRANIA DETALU; SZTUKA POWIELANIA SIĘ; ZAGUBIONA WŚRÓD drzew... Margo już bez żadnego dźwięku przeczytała całą resztę i starannie złożyła gazety, by wyglądały na nieczytane.

- No to sprawa jasna - podsumowała. - Biedna Lucinda.

- Biedniejsza ty - rzekła Sylwia, biorąc ją za rękę.

Heather sięgała właśnie po drugą, gdy Margo powiedziała:

- Jakoś nie czuję się biedna.

- Póki masz rodzinę, nie ma mowy o biedzie - zgodziła się Jessica.

- Nie powinnaś się przejmować, co ludzie o tobie myślą - dorzucił Joe.

- Z wyjątkiem tych, którzy lubią twoją twórczość - dodała szybko Heather.

- Wiesz, co moim zdaniem zrobiłaś źle? - zapytała Sylwia. - Nie powinnaś była wystawiać swoich najnowszych prac w Londynie. Powinnaś zaprosić ludzi, żeby je oglądali w twojej pracowni. Pamiętasz? Właśnie tam Lucinda zobaczyła je po raz pierwszy i spodobały jej się. Może tracą ten urok, kiedy się je stamtąd wywozi, bo należą do tego miejsca.

Nikt oprócz ośmioletniej Rosemary nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie.

- Należą do lasu - sprostowała dziewczynka.

- Sylwia zawsze miała bujną wyobraźnię - rzekła Margo do Jessiki i Joego. - No ale teraz, kochanie, masz dobry powód do pewnych dziwactw - dodała do Sylwii. - Pamiętam, że jak ty byłaś w drodze, też czasem wydziwiałam.

Zakryła dłonią usta i spoglądała na córkę szeroko otwartymi oczyma, pytając niemo, czy powinna ostatecznie ujawnić, dlaczego recenzje wcale jej nie zmartwiły, lecz akurat w tym momencie dzwonek nad drzwiami sklepu zadzwonił, jakby obwieszczał początek

kolejnej rundy, i do środka weszły dwie kobiety, roztaczając wokół siebie gęstą woń perfum.

- Dzień dobry - przywitały Jessicę i Joego. - Witaj, Rosemary.

- Kiedy Willow i Laura zaczną znów chodzić na balet? - zapytała dziewczynka.

- Kiedy się nauczą, że nie wolno opowiadać tych historyjek - odparła pani Bennett, zaciskając wargi. Jej wąskie czerwone usta ani trochę nie pobladły.

- Innymi słowy nigdy - dodała pani Palmer z lśniąco karmazynowym grymasem.

- Ja lubię historyjki.

- Ale nie takie, jakie one opowiadają - rzekła pani Bennett.

Obie kobiety obracały się już w stronę sklepikarzy, gdy Rosemary powiedziała:

- Nie było sensu ich zabierać. Dziewczyny i tak wciąż opowiadają. Gwyn i Lucy.

- Tylko dlatego, że nasze bachory robiły to pierwsze - odparła pani Palmer. - Poproszę „Sunday Beacon”, Jessico.

- To są inne historyjki.

- Dla mnie też „Beacon”.

- Jakie to historyjki? - zapytała Sylwia.

- O człowieku, który podchodzi do płotu.

- Brzmiały jak te same brednie - oznajmiła pani Palmer i wydeła wargi, ponieważ żałując, że przyznała się, iż słyszała tę wymianę zdań.

- Nie te same. Nowe. Lucy mówi, że on robi się taki chudy, że niedługo będzie mógł się przecisnąć między prętami, a tam jest tylko tyle miejsca. - Rosemary uniosła dłoń. - A Gwyn mówi, że ciągle odpadają od niego kawałki i jak się przyjrzeć, to można je zobaczyć, jak latają po łące.

- A ty widziałaś? - zapytała Sylwia.

- Już nie wychodzimy na podwórze. Cieszę się, że babcia i dziadek mieszkają po drugiej stronie drogi.

- No chyba! - oświadczyła pani Bennett i fuknęła zniecierpliwiona. - Nie chodzi o to, że masz się bać, bo nie ma czego. Ale po co chodzić i wypatrywać rzeczy, których nikt nigdy nie widział?

- Tylko ćpuny! - poparła ją pani Palmer.

- Niemało ich tu mamy, więc lepiej pilnuj, żebyś nigdy się w to nie wdała. Ani ty, ani twoje koleżanki.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby paru takich było w tej bandzie, co chciała zablokować budowę obwodnicy.

- W każdym razie niech wiedzą, że nie są tu mile widziani.

Obie kobiety stały tyłem do rodziny Price'ów, ale oczywiście mówiły wystarczająco głośno, by cała trójka je słyszała, podczas gdy Joe i Jessica bez większego powodzenia starali się ukryć zażenowanie. Margo przyglądała się, jak matrony kupują swoje brukowce. Poczekała, aż się odwrócą, a potem rzekła:

- Przepraszam, czy miały panie na myśli kogoś konkretnego?

Pani Bennett gapiała się na nią tak długo, że można by pomyśleć, iż spojrzenie zastąpiło jej mowę, gdyby nie mruknęła:

- Była pani w telewizji.

Pani Palmer spoglądała gdzieś ponad głowami pań Price.

- Każdy kto myśli, że mówiłyśmy o nim, wie, czy tak jest.

- Na niektórych wystarczy spojrzeć, żeby wiedzieć - kontynuowała pani Bennett, wpatrując się w kogoś nieobecnego ponad głową Sylwii.

- Proszę w to nie wierzyć - rzekła Margo i parsknęła śmiechem, potem odkaszlnęła i machnęła ręką przed swoją twarzą.

- Chodźcie, dziewczęta. Trochę mi duszno, a wam? Wspaniale było was zobaczyć, Joe i Jessico. Musimy częściej tu przychodzić.

- Wiesz, kiedy mamy otwarte - pożegnał ją Joe.

Heather miała wrażenie, że nie brzmi to zbyt zachęcająco, ale być może sklepikarz ze wszystkich sił starał się zachować neutralność. Ruszyły ku wyjściu - Margo przodem, obie córki za nią - i zostały wyprzedzone przez dwie matrony, które przemknęły obok w obłoku perfum i zaczęły trajkotać, nim jeszcze oddaliły się dostatecznie, by nie było ich słychać. Margo patrzyła, jak znikają w sąsiadujących ze sobą domach, strzeżonych przez imitacje lamp gazowych.

- Wiecie co? - powiedziała. - Zdaje mi się, że te dwie głupie krowy mogły mieć na myśli mnie.

Córki spoglądały za nią, gdy wysforowała się do przodu i mijając dwie pseudogazowe latarnie, uniosła głowę wyżej.

- No to została jeszcze jedna rewelacja - rzekła Sylwia.

- Znaczy? - nie zrozumiała Heather.

- Trzeba powiedzieć drugiemu z rodziców.

- Chcesz, żebym pojechała z tobą?

- Nie zawsze potrzebuję starszej siostry - odparła Sylwia z uśmiechem pomyślanym jako przepraszający. - Z tatą dam sobie radę. Jeśli kiedykolwiek będzie w odpowiednim nastroju, by przyjąć tę wiadomość, to chyba właśnie teraz. W końcu niedługo święta.

Drewniany gość

Heather czytała właśnie w gazecie kolumnę zatytułowaną „Zawsze jakiś koszt”, gdy ktoś otworzył bramę. Kolumnistka pisała, że materiał z wystawy Margo przypominał jej, jak to w swoich studenckich czasach miała na ścianie jej najśłynniejszy plakat. Przeszukanie strychu w poszukiwaniu tego plakatu skończyło się fiaskiem, ale znalazła mnóstwo innych rzeczy wiążących się ze wspomnieniami, którym poświęciła resztę artykułu. „Jeśli jest dla ciebie tak ważny, to kup nowy” - mruknęła pod nosem Heather i zmarszczyła brwi. Sądząc po dobiegających odgłosach, ktokolwiek szedł w tej chwili ścieżką, używał większej liczby nóg, niż ktokolwiek powinien mieć.

Ruszyła do holu, nie zapalając światła, bo nawet późnym popołudniem nie było tam aż tak ciemno. Otworzyła drzwi. Spodziewała się kogoś o lasce, a nie Sama trzymającego za wąski pieńek małą jodłę.

- Sam! - zawołała. - Jak daleko musiałeś z tym kuśtykać?

Na moment puścił jodłę i potarł czoło, które lekko się zazieleniło.

- Niedaleko.

- Wiem, że już czas na zakup choinki, ale gdybyś coś powiedział, zawiozłabym cię.

- Nie wiedziałem, że ją wezmę - powiedział, chwytając osuwające się w jej stronę drzewko. - Po prostu ją zobaczyłem i pomyślałem, że będzie dla nas dobra.

- Jasne, że tak. Ile kosztowała?

Odpowiedział jedynie wzruszeniem ramion, od którego gałęzie zatrzeszczały. Pewnie uważał, że jest za stary, aby się godzić na zwrot pieniędzy. Pomyślała, że w zamian sprawi mu dodatkowy prezent pod choinkę.

- Oprzyj ją o coś, a ja odkurzę wiadro - powiedziała.

Plastikowe wiaderko oklejone świątecznym papierem spędzało większość roku w komodzie pod schodami, czekając na zmartwychwstanie w towarzystwie światełek i innych ozdób choinkowych. Gdy Heather postawiła je w holu, drzewko przechyliło się przez otwarte drzwi, drapiąc gałęziami oszronioną szybę.

- Nie może się doczekać wejścia, Sam - zauważyła Heather. - Pomóż mu.

Przekuśtykał z drzewkiem wzdłuż holu, jakby oboje zostali zmuszeni do niezgrabnego tańca, i umieścił cieniutkie korzenie w wiadrze, by Heather mogła zaklinować pień kawałkami cegły.

- Wykopali je dopiero, jak kupiłeś? - zapytała, lecz właśnie wtedy zadzwonił telefon.

Samuel wyglądał na skonsternowanego; pewnie nie wiedział, czy odpowiedzieć na pytanie, czy podnieść słuchawkę.

- Możesz odebrać? Ja muszę ją tu jeszcze zabezpieczyć - rzuciła Heather.

W dwóch nierównych krokach dotarł do aparatu zawieszzonego naprzeciw schodów.

- Halo?... O, cześć... Jeszcze nie... Zaraz zapytam... Kiedy ciotka wraca?

- Powinna być w każdej chwili. A kto pyta?

- Margo.

Heather musiała niechęć poruszyć drzewko, bo zadrżało niczym odbicie w wodzie i natychmiast znieruchomiało. Wzięła słuchawkę z rąk Sama, który pokuśtykał ku schodom.

- Właśnie o tobie czytałam - oznajmiła matce.

- Nie pozwolę, żeby mnie to poruszyło.

- Możesz, jeśli masz ochotę. To całkiem przyzwoity tekst o tym, jak kolumnistka poszukiwała twojego plakatu.

- Myślę, że jeśli faktycznie będzie chciała, na pewno go znajdzie, ale naprawdę już mnie nie obchodzi, co ludzie o mnie mówią teraz, gdy dzięki twojej siostrze czeka mnie coś tak wspaniałego.

- Cieszę się. No właśnie, dzwonisz do niej.

- Do was obu, Heather. Jak zawsze. Ale rzeczywiście chciałabym zamienić z nią słówko.

- Jeszcze nie wróciła z Arbour. To coś ważnego?

- Nie jestem pewna. Jakaś babka próbowała się z nią skontaktować. Rozpoznała ją w „Sztuce po zmierzchu” i zadzwoniła do mnie.

- Dałaś jej mój numer?

- Tak, a teraz zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam. Była co najmniej dziwna.

- Skąd zna Sylwię?

- Podobno z Ameryki.

- Nie sądzę, żeby było się czego obawiać. Adresu chyba jej nie dałaś?

- Jasne, że nie. Pochlebiam sobie, że nie stałam się aż tak beznadziejna.

- Nie jesteś beznadziejna i nie sądzę, byś kiedykolwiek miała się taka stać - odparła Heather.

Nie zdążyła zdjąć ręki ze słuchawki, gdy telefon znów zadzwonił. Chyba podskoczyła, bo najdłuższe gałęzie choinki zakołysały się, jakby chwyciły powietrze. Z plastikowym trzaskiem podniosła słuchawkę.

- Halo?

Nie usłyszała nic prócz cichego skrzypienia gałęzi. Kiedy otworzyła usta, by znów się odezwać, rozległ się sygnał.

- Chyba tracę swój czar, Sam! - zawołała, zadzierając głowę, ale i to pozostało bez odpowiedzi. Gdy odwracała się od telefonu, zadzwonił raz jeszcze.

Nie miała powodu, by obwiniać dzwoniącego.

- Tak, słucham?

- Mówiła coś pani? - zażądał odpowiedzi szybki, wysoki głos o kalifornijskim akcencie.

- Owszem, powiedziałam: „Tak, słucham”?

- Ale wcześniej - wyjaśnił głos jeszcze szybciej i bardziej piskliwie.

- Jeśli to pani dzwoniła przed chwilą i rozłączyła się, to tak, wtedy też się odezwałam.

- Z kim rozmawiam?

Powiedziała to tonem, którego równie dobrze mogłaby użyć Heather.

- Heather Price - odparła z cierpliwością, która zdumiała ją samą. - A pani jest...?

- Merilee. Czy mi się zdaje, że pani jest Angielką?

- Nie zdaje się pani. A mogę wiedzieć, po co właściwie pani dzwoni?

- Szukam pewnej osoby, której matka powiedziała, że mam zadzwonić pod numer, pod który jak mi się zdawało, zadzwoniłam dwa razy.

- Istotnie, i z tego co wiem, chodzi pani o moją siostrę.

- Nie nabiera mnie pani?

- Niby dlaczego?

- Pani siostra napisała *Tajemne knieje*.

- W rzeczy samej.

- Nie mam pojęcia, jakim cudem jej siostra może być Angielką.

- Takim samym jak ona.

- Chwila moment. Jej matka nie mówi ani trochę bardziej brytyjsko niż ona, więc jakim sposobem pani się zangielszczyła?

- Przez urodzenie.

- To jakaś sztuczka.

Heather parsknęła wymuszonym śmiechem, starając się pozbyć uczucia, że jej

istnienie jest dla rozmówczynie wysoce niewygodnym faktem.

- Jeśli sztuczka, to nie moja. Któż z nas ma wielki wpływ na to, gdzie się urodzi? No, ale - dodała z odrobiną goryczy, której wolałaby nie czuć - chce pani rozmawiać z moją siostrą.

- Skoro pani twierdzi, że nią jest... W porządku, proszę ją zawołać.

- Nie ma jej teraz w domu.

- Ciekawe, dlaczego mnie to nie dziwi.

Heather z trudem powstrzymała się od odwieszenia słuchawki na widełki.

- Poprosić, by do pani zadzwoniła?

- Chce pani, żebym podała swój numer, bo jest pani jej siostrą.

- Można tak powiedzieć.

- Jasne. Zaraz w to uwierzę i go pani podam. - Po tych słowach Merilee rozłączyła się.

- Miejmy nadzieję, że Sylwia nie ma więcej takich znajomych - zawołała Heather, odwieszając słuchawkę. Jako że Sam nie odpowiedział, ruszyła do kuchni. Kolejny dzwonek telefonu doprowadził ją niemal do furii.

Dzwonił tak długo, aż Sam wyszedł z pokoju. Heather powlokła się z powrotem, a choinka wygięła kilka gałęzi, podczas gdy jej na wpół ukryty w kącie cień zakolysał czułkami.

- Heather Price.

- To tylko ja - odezwał się w słuchawce głos Margo.

- Nie żadne „tylko”, mamuś. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak miło cię słyszeć po poprzedniej rozmówczynie.

- Czemu? - zapytała Margo bardziej nerwowo, niż można by oczekiwać. - Kto dzwonił?

- Ta kobieta, o której mówiłaś. Przedstawiła się jako Merilee, choć nadal nie wiem, co ją łączy z Sylwią. Nawiasem mówiąc, nie dała się przekonać, że mam cokolwiek wspólnego z Sylwią lub z tobą.

- Mówiłam ci, że to jakaś dziwaczka. - Oschły ton Margo mógł być reprimendą dla Heather za szukanie niepotrzebnego wsparcia. - Ale mniejsza z nią - kontynuowała matka. - Będzie musiała poczekać. Właśnie dzwonił z Arbour z pytaniem, czy nie wiem, gdzie są Lennox i Sylwia.

Heather zdołała zdławić atak paniki, pytając:

- A gdzie mają być?

- Podobno Lennox tak się ucieszył, że będzie mieć drugiego wnuka, iż postanowił to

uczcić poza murami, ale nie wiedzą gdzie.

- Myślałam, że nie może pić, dopóki bierze leki.

- Obiecał ponoć, że poprzestanie na czymś bezalkoholowym, a Sylwia miała go przypilnować. Wiesz, że ma dar przekonywania.

Heather nie była pewna, czy Margo chce przez to powiedzieć, że jej siostra przekonała ojca czy personel szpitala.

- Tyle że miało ich nie być godzinę - kontynuowała matka - a nie ma ich ponad dwie.

Wkrótce się ściemni.

- Pewnie już wracają.

- Żałuję, że nie pojechałaś z nią.

- Nie chciała.

- Nadal jesteś jej starszą siostrą. Martwi mnie, że prowadzi. Ja nigdy nie siadałam za kółkiem, gdy byłam w tym stanie.

- Na pewno będzie ostrożna. Pamiętasz? W galerii nic nie wypła. Jak tylko wróci, każę jej do ciebie zadzwonić, o ile oczywiście nie zadzwoni jeszcze z Arbour.

- Może nawet w tej chwili próbuje. Lepiej już zostawię cię w spokoju. Przepraszam, jeśli pomyślałaś, że cię krytykuję. Po prostu nic na to nie poradzę, że martwię się o swoją rodzinę.

- Nie sądzę, by w tej chwili istniał ku temu powód, mamuś - rzekła Heather, której stan ducha nijak się nie miał do spokoju.

Kiedy się pożegnały, stała ze słuchawką w ręku, jakby dobiegający z niej sygnał miał przynieść jej ukojenie. W końcu dotarło do niej, że ktoś może próbować się dodzwonić. Powiesiła słuchawkę i ponownie ruszyła do kuchni.

Rzuciwszy okiem za okno, pomyślała, że noc jest bliżej, niż być powinna, ale ciemny horyzont za płotem składał się głównie z drzew. Podniosła pęczek selera, a wówczas jedna łądzka trzasnęła jak zdeptana gałązka. Zazwyczaj Heather lubiła szatkować seler, teraz jednak te same odgłosy, które zwykle sprawiały jej satysfakcję, działały na nerwy. Może dlatego, że wciąż nasłuchiwała, czy nie nadjeżdża należący do Sama samochód, którym jeździła Sylwia. Ale nie ten dźwięk sprawił, że upuściła nóż, rozrzucając kawałki warzywa, tylko ponowny dzwonek telefonu.

Pobiegła do holu tak, że aż choinka zagrzechotała gałęziami.

- Halo? Słucham?

- Heather.

Głos matki był tak cichy, że serce podeszło Heather do gardła.

- Co jest? - zapytała z wysiłkiem.
- Znaleźli samochód.
- Znaleźli... - powtórzyła, po czym równie głupio zapytała: - Kto?
- Pielęgniarz. Wóz był niedaleko. - Nim zdążyło to sprawić Heather jakąś ulgę, matka dodała: - Stał niedaleko lasu, ale po Sylwii i ojcu nie ma śladu.

Z kopca

Byli w lesie - w to jedno Heather nie wątpiła. Gdy honda wjechała na obwodnicę, jej właścicielka wypatrywała ich wśród drzew, jak tylko mogła. Skarłałe słońce, przypominające raczej wciśniętą w szare niebo matową soczewkę niż źródło światła, wciąż prześwitywało spomiędzy wierzchołków, przypominając jej, że wkrótce zniknie za nimi. Pęd samochodu sprawiał, że cały las się poruszał - wysokie, cienkie, łuskowate, powykrzywiane kształty to wyskakiwały zza innych, to znów się chowały, by wyskoczyć raz jeszcze. Miała dziwne wrażenie, że te najbardziej zamazane, odległe kształty maszerują jakoś inaczej, niż powinny, ale zabroniła sobie o tym myśleć.

- Mów, jak coś zobaczysz - powiedziała.

Samuel pochylił się do przodu.

- Coś... - powtórzył.

- Wiesz, co mam na myśli. - Jeśli to miał być żart, choć ton chłopaka nie świadczył o tym, Heather go nie doceniła. - Jak ich zobaczysz - uściśliła.

- Niczego innego nie szukam.

Mówił tak beznamiętnie, że równie dobrze mogło to być pytanie albo próba przekonania samego siebie. Nim zdecydowała, co odpowiedzieć, przed nimi pojawiło się Arbour. Reflektory oświetlające teren placówki były włączone, wydobywając z mroku cienie rozsianych po trawniku drzew, jak gdyby las nakłaniał je, by dołączyły do jego mrocznej jedności. Ledwie samochód podjechał do budynku, z wnętrza wybiegła Margo. Zrobiła krok do przodu i uniosła rozłożone ręce. Wtedy zauważyła, że jedynym pasażerem hondy jest Sam, i jej twarz zastygła.

- Nie wiem, czy jedno z was nie powinno zostać w domu - zaczęła protestować, nim jeszcze Heather wysiadła. - A nuż ktoś zadzwoni?

- Uznaliśmy, że możemy się przydać przy poszukiwaniach.

- Ja też myślałam, że się przydam, ale szuka ich połowa pielęgniarzy. Musieli zauważyć, że się ściemnia.

Samuel pokuśtykał wokół samochodu.

- Jak myślisz, po co tam poszli?

- Na spacer. A niby po co? W końcu Lennox nie jest sam ani z innymi pacjentami. Tym razem ma ze sobą Sylwię - rzekła Margo, szukając wsparcia u doktora Lowe'a, który właśnie wyłonił się z budynku.

- Jestem pewien, że przypilnują się nawzajem. - Nie poważył się na uśmiech, lecz w jego spojrzeniu prócz troski malowała się zachęta. - Nie muszę pani mówić, jak bardzo uradowała go ta wiadomość. Przyszedł do mnie, żeby się pochwalić. Naprawdę sędzę, że znalazł punkt oparcia poza swoim wewnętrznym światem. - I jakby zbywało mu entuzjazmu, dodał: - Swoją drogą, nie wiedziałem, że jest pani artystką, póki nie zobaczyłem programu. Może zainteresuje panią, że zamierzam kupić jedną z pani książek.

Margo odczekała chwilę, by się upewnić, że skończył.

- Dziękuję - powiedziała.

- Może mogłaby... - Ledwie zaczął rysować w powietrzu autograf, nagle jego palec wystrzelił w stronę lasu. - Chyba kogoś widzę.

Heather bolały już oczy od wpatrywania się w gąszcz. Splątana masa drzew i ich zamazanych współbraci w dali była tak nieruchoma, że wyglądała jak martwa natura. Było w tym coś pretensjonalnego. Przez chwilę zdawało jej się, że jedno z drzew w głębi poruszyło się, lecz zaraz zrozumiała, że patrzy na postać kryjącą się za pniem.

- To Lennox! - zawołała Margo.

Ojciec minął trzy drzewa, obrócił się w prawo, stając plecami do kolejnego, i ruszył naprzód.

- Jest sam! - zdenerwowała się Margo. - A gdzie Sylwia?

Wykrzykiwała to pytanie, biegnąc już przez trawnik. Heather i Sam biegli za nią. Jeszcze przed bramą, korzystając z chwilowego osłabienia ruchu samochodowego, Margo zawołała:

- Lennox, przestań natychmiast i posłuchaj mnie. Co zrobiłeś z Sylwią?

Choć zwinęła dłonie w trąbkę przy ustach, ojciec nie od razu spojrzął w jej kierunku. W skupieniu wpatrywał się w ziemię, jakby myślał tylko o wzorze, który próbował wykreślić. Kiedy już uniósł głowę, przez chwilę zdawało się, że musi im to wystarczyć za całą odpowiedź. Był jednak ciągnął dalszy: Lennox skrył się za kępą drzew, choć z pewnością nie zrobił tego z poczucia winy, ponieważ niemal natychmiast wynurzył się z niej, robiąc kilka zygzakowatych kroków.

- Gdzie Sylwia? - zawołała Heather, a Margo zawtórowała jej z jeszcze większą mocą.

- Gdzie Sylwia???

Dopiero teraz jego twarz stała się w miarę widoczna. Sprawiał wrażenie, jakby ledwie je rozpoznawał - jakby jego świadomość została uwięziona w zamazanej łuskowatej klatce lasu. Rozłożył jednak ramiona, unosząc dłonie w górę, jakby chciał wskazać cały las. Być może to była odpowiedź.

- Nie wzruszaj mi tu ramionami, Lennoksie Price! - wykrzyknęła Margo, wmaszerowując na drogę.

Znalazłaby się wprost przed ciężarówką, najwyraźniej oczekując, że ta zahamuje jej przed nosem, gdyby Sam nie otoczył jej w pasie i nie pociągnął z powrotem. Samochód przemknął obok z rykiem klaksonu i strumieniem reflektorów, a Margo obrzuciła wnuka spojrzeniem pełnym wystudiowanej godności.

- Możesz mnie już puścić, dziękuję - obwieściła. - Nie jestem twoim dziadkiem.

- Przejdźmy, póki jest bezpiecznie - wtrąciła się Heather.

Zarówno Sam, jak i Margo popatrzeni na nią tak, jakby nie doceniała ich wieku, zwłaszcza gdy schwyciła oboje za ręce. Kiedy przestępowali przez sięgającą do kolan metalową barierkę dzielącą na pół betonowy pas obwodnicy, zauważyła na metalu zielonkawą narośl. Minęło ich kilka pędzących w tę samą stronę samochodów, trąbiących na nich lub na siebie nawzajem. Margo zadrżała. Może po prostu niecierpliwiła się, chcąc jak najszybciej dotrzeć do Lennoksa. Reflektory aut omiatały najbardziej wysunięte drzewa, a cienie zdawały się przeszukiwać puste głębie lasu w poszukiwaniu Sylwii. Margo pociągnęła Heather za rękę, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w mroku za drogą.

Las sprawiał wrażenie, jakby zarezerwował trochę światła dla siebie. Poszatkowane gałęziami niebo tylko leciutko się jarzyło, za to misterny gobelin uschniętych liści pod stopami zdawał się emitować jaśniejszy blask. Gdyby Heather miała więcej czasu, mogłaby wyodrębnić kształty poszczególnych liści i tworzony przez nie wzór, ale w jej umyśle już wdzierало się wołanie Margo.

- Skończ natychmiast z tymi idiotyzmami i gadaj, gdzie jest nasza córka!

Kiedy cała trójka weszła do lasu, Lennox zatrzymał się i obserwował ją, jakby bardzo chciał się podzielić jakąś tajemnicą, lecz rozłożył tylko ramiona - być może po to, aby łatwiej utrzymać równowagę w bezruchu.

- Przestań! - wykrzyknęła Margo. - Gadaj, powiedziałam!

- A co chcesz usłyszeć? Jeśli tylko posłuchasz, mogę gadać godzinami.

- Lennox, postaraj się skupić - odezwał się doktor Lowe, który szedł szybko między drzewami, rozkopując liście. - Pamiętasz, kto cię zabrał dziś po południu?

- Oczywiście - odparł ojciec tonem urażonej dumy.

- Wszystko pamiętam.
- Więc musisz też pamiętać, kiedy ostatnio ją widziałeś.
- Chyba było ciemno.

Margo chwyciła go mocno za ramię.

- Lennox, jeśli natychmiast nie udzielisz nam prostej odpowiedzi...
- Tu nic nie jest proste. Może od tego powinnaś zacząć.
- Nie próbuj mi tu kręcić. Nie obchodzi cię, że zgubiłeś Sylwię?
- Nie ma mowy o zgubieniu. Ona z pewnością by tak tego nie nazwała.

Margo odsunęła się od męża na odległość ramion i ze wszystkich sił starała się coś wyczytać z jego twarzy.

- Więc gdzie ją zostawiłeś? Nie widzisz, że już prawie ciemno?
- Tam jeszcze ciemniej.

Gęsty zmierzch zdawał się pachnieć ziemią i zgnilizną, jakby wszystkie drzewa uniosły korzenie i podkładały się niepostrzeżenie coraz bliżej. Margo puściła Lennox'a i uniosła rękę, tak że wydawało się, iż zaraz zamieni się w szpony.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Co jej zrobiłeś?
- Jej nic - odparł z urażoną miną. - Dla niej zrobiłem wszystko, co mogłem.
- A konkretnie? - zasugerował doktor Lowe.
- Zawsze jestem konkretny. Gdybym nie był, nie zaszedłbym w świecie zbyt daleko, prawda?

- Mam na myśli twoją córkę.

- Dałem jej butelkę, tak jak kiedyś, Margo. Widzisz? Coś jednak pamiętam.

- To może pamiętasz także, że nigdy tego nie chciałam. Wolałam sama ją karmić, tak jak Heather - oznajmiła wszystkim zebranym Margo, po czym pożałowała straconego czasu i zapytała natarczywie: - O co chodzi z tą butelką?

- Pamiętasz, jak dodawaliśmy czegoś do jedzenia, żeby mogła spać, kiedy budziły ją sny?

- Chcesz powiedzieć, że ją upiłeś? I gdzieś ją zostawił?

- Właśnie. Dolewaliśmy jej alkoholu - rzekł Lennox, jakby to wystarczyło za całą odpowiedź, po czym zwrócił się do lekarza: - Mogę również przyznać, że od paru dni nie biorę leków. Może powinienes zwrócić uwagę, jak łatwo pacjentowi udawać, że je połyka. Zachowałem je na wypadek, gdyby miały się przydać, i tak się stało.

- Niby że dałeś je Sylwii... - mruknęła beznamietnie Margo.

- Kilka. Nic jej nie powiedziałem, rozumiesz. - Najwyraźniej uważał to za co najmniej

rozsądne, Heather zaś nie mogła dłużej udawać, jak przez te wszystkie lata, że nie dostrzega, jak bardzo jego umysł oddalił się od nich. - Próbowałem jej to ułatwić - powiedział z odrobiną żalu.

- Co? - zapytała Margo. Zabrzmiało to bardziej jak jęk niż jak słowo.

- Ją o to spytaj.

Heather obróciła się gwałtownie, podążając za jego wzrokiem. Nie musiała odrywać stóp od śliskiej, obsypanej liśćmi ziemi. Najpierw zobaczyła jedynie drzewa ocieniające się nawzajem w hipnotycznej, rozedrganej ciemności. Potem kształt odległego o jakieś sto jardów pnia jakby się zakolysał i wypuścił kształt, który odskoczył od niego i zaczął wykreślać trasę nie mniej złożoną od tej, którą wcześniej podążał Lennox. Dopiero kiedy postać potknęła się i schwyciła drzewa z taką siłą, aż echo poniosło trzask kory, Heather rozpoznała swoją siostrę.

Sylwia podążała naprzód tak niepewnym krokiem, jakby musiała sobie przypominać, jak się chodzi. Pobiegły ku niej. Szukając oparcia, Margo dwukrotnie ścisnęła Heather za ramię tak mocno, że zostawiła sińce, ale ostatnie jarde przebyła pędem. Chwyciła Sylwię za łokieć, a drugą ręką otoczyła w talii i spojrzała jej w twarz, po czym wydała zdławiony krzyk i spojrzała spode łba na Lennoksa pomiędzy nieporuszonymi drzewami.

- Co on ci zrobił?

Samuel odkaszlnął z zażenowaniem, a jego dziadek natychmiast zaprotestował:

- Sylwio, dlaczego wstałaś? Byłem przekonany, że rozumiesz. Selcouth.

Heather schwyciła w obie dłonie wolną rękę siostry. Twarz Sylwii była umazana błotem, łzami lub jednym i drugim; oczy zdawały się nie wiedzieć, jak złapać ostrość, a cała postać cuchnęła nagą ziemią. Długo nie otwierała ust, tylko wzmagając obawy Heather, lecz gdy w końcu to zrobiła, rzekła tylko:

- Jakoś słabo słyszę.

- Selcouth! - powtórzył Lennox najgłośniej, jak potrafił.

Mogło to równie dobrze być wyjaśnienie, jak i zew. Przez moment Heather czuła, że las jest gotów ujawnić im jakiś sekret - że jest zbyt ciemno, by dalej udawali. Obwodnicą przetoczyła się ciężarówka, rozhuśtując cienie drzew, jakby w misternym wzorze gnijących liści otworzyła się wielka brama. Heather poprowadziła siostrę ku światłu.

- Chodźmy gdzieś, gdzie będziesz mogła usiąść - mruknęła.

Sylwia szła chwiejnie. Mężczyźni tymczasem obrócili się w stronę poszatkowanych prętami świateł Arbour. Samuel sprawiał wrażenie niepewnego, do której z grup się przyłączyć, więc szedł pomiędzy nimi, podczas gdy doktor Lowe trzymał się blisko

Lennox. Jedynym dźwiękiem w lesie był szelest liści i gałązek pod stopami. Dopiero po chwili Lennox przerwał milczenie:

- Tyle są warte wasze leki.
- Nie rozumiem?
- Myślałem, że mają usypiać.
- Tylko w tym sensie, że uspokajają pacjenta na tyle, by mógł zasnąć.
- Szkoda, że mi tego lepiej nie wyjaśniłeś - rzekł Lennox, oglądając się przez ramię. -

Przepraszam, Sylwio. Gdybym wiedział, spróbowałbym znaleźć dla ciebie coś innego.

Sylwia nie odpowiedziała, być może nadal ogłuszona. Margo natomiast krzyknęła:

- Jak śmiesz się do niej odzywać po tym, jak nafaszerowałeś ją prochami! Własną córkę! Modliłam się o twoje zdrowie, ale już nie będę. Za daleko od nas odszedłeś, żeby wrócić.

- Słusznie. Będziecie musieli mnie dogonić.
- Lepiej trzymaj się z daleka.

Na moment głos Margo zaplątał się gdzieś między drzewami, jakby osobiście odebrały jej reprimendę. Jedyną odpowiedzią Lennox, jeśli można to uznać za odpowiedź, były słowa skierowane do lekarza:

- Jak myślisz, po co to tutaj rosło, nim je zniszczyli?
- Zniszczyli?...
- Czy to echo?... Nie pierwszy raz słyszę tu coś takiego.

- Obrócił głowę ku drzewom i zmasowanej ciemności, która zdawała się z nich wyłaniać, zarazem je otulając. Może dzielił się komentarzami z lasem, a może nawet las podpowiedział mu, co dodać: - Spróbuj ponownie. Po co rosły tutaj te porosty?

- Pewnie były częścią ekosystemu, jak cała reszta - powiedział doktor Lowe w równym stopniu do Sama co do Lennox.

- Nic nie rozumie, prawda, Sylwio?

- Ona z tobą nie rozmawia - obwieściła Margo tak szybko, że Sylwia nie zdążyłaby odpowiedzieć, nawet gdyby chciała. - I nie ma zamiaru wysłuchiwać twoich farmazonów.

- Nie to nie. Farmazonów?... Spróbuj coś pojąć, póki tu jesteś. Tak będzie łatwiej - rzekł, wskazując za plecy kobiet, jakby przyzywał na pomoc pożerającą las ciemność. - Nie rozumiecie? One miały nam to ułatwić. Przygotować nasze umysły.

Zatrzymał się na skraju lasu, jakby nie miał ochoty go opuszczać. Sylwia zachwiała się, a Margo krzyknęła na męża:

- Zejdź nam z drogi!

Doktor Lowe schwycił Lennoksa za ramię w blasku reflektorów nadjeżdżającej ciężarówki. Kiedy przetoczyła się z hałasem i mężczyźni przekroczyli metalową barierkę, Margo i Heather przeprowadziły przez drogę Sylwię. Heather nie miała czasu, aby się poddać wrażeniu, że pozostawiają za sobą coś więcej niż zwykły las, i pozbyła się go, gdy tylko dotarli do bramy. Mężczyźni przystanęli na początku podjazdu, jakby ich przedłużone cienie spajały ich z lasem. Żwir sprawił, że cień Lennoksa stał się łuskowaty niczym pień. Podobnie było z Samem. Na cień lekarza nie zwróciła uwagi.

- Zawiadomię wszystkich, że można przerwać poszukiwania - powiedział tymczasem Lowe.

Lennox podszedł do rozkładanego fotela pozostawionego na trawniku.

- Posiedzę tu chwilę.

- Sylwia bardziej potrzebuje odpoczynku - zaproponowała Margo. - A nie ma zamiaru siedzieć z tobą.

Ona jednak najwyraźniej miała taki zamiar, a przynajmniej nie przeszkadzało jej to, bo ruszyła chwiejnie w stronę fotela.

Margo posadziła ją jak najdalej od Lennoksa, po czym usadowiła się między nimi i obdarzyła męża wściekłym grymasem.

- Posiedzą państwo tu, aż wrócę? - zapytał doktor Lowe i nie czekając na odpowiedź, ruszył pospiesznie przez trawnik.

Margo pochyliła się do przodu i spoglądała żałośnie na twarz Sylwii. Nagle coś dostrzegła.

- Jezu! - zawołała. - Co to jest? To dlatego nie słyszysz?

Heather zdołała jedynie zauważyć, że uszy Sylwii są ciemne nie tylko z powodu cienia, a matka już wyciągnęła ze swej mikroskopijnej torebki chusteczkę, zwilżyła skraj miękkiego materiału i łagodnie wcisnęła go w lewe ucho córki. Część wydłubanej substancji osunęła się po policzku Sylwii i spadła na fotel. Margo przyjrzała się dokładnie brzegowi chustki i obróciła głowę do Lennoksa.

- Coś ty jej zrobił? - wybuchnęła. - Przecież to błoto!

Choć głos matki był niski z furii, Sylwia skinęła głową i wysunęła poczerniały język, by wytrzeć go o palce.

- Fakt. Błoto.

Jej beznamiętność tylko wzmogła furię Margo.

- Odpowiedz! - zażądała od Lennoksa.

- Sama może ci powiedzieć, prawda, Sylwio? Powiedz jej, dlaczego musiało tak być.

Sylwia wciąż czyściła sobie język. Jej przytłumiona odpowiedź zabrzmiała dość dziecinnie:

- Nie wiem, czy wiem.

- To pewnie przez te lekarstwa, które ci dałem. Przepraszam. Przypomnij sobie, cośmy słyszeli.

Margo odwróciła się do niego plecami, opuszczając jedno ramię na znak odrazy.

- Chodź, Sylwio. W środku będzie przyjemniej.

Sylwia otrzepała rękoma przód dżinsów, ciemnych nie tylko od cieni, lecz także od błota.

- Próbuję sobie przypomnieć! - zaprotestowała jeszcze bardziej dziecinnie.

- Grób...

- Czyj grób? - wykrzyknęła Margo. - Zaraz zacznę żałować, że nie twój, Lennox!

- Mój - odezwała się Sylwia.

- Chcesz powiedzieć, że on... - wykrztusiła Margo.

- Dokończ, tato - poprosiła Sylwia.

- Grób będzie kołyską - dokończył, spoglądając na nią niemal równie błagalnie.

Sylwia przejechała palcami po języku i obejrzała je, po czym strzepnęła ziarenka piasku.

- Przepraszam. Nie rozumiem.

- I ciesz się, inaczej byłabyś równie stuknięta jak twój ojciec - rzekła Margo, otaczając ją ramieniem. - Odsuń się od niego.

- Nie, Sylwio - zaproponował Lennox. - Przez to zapominam. Pomóż mi sobie przypomnieć.

- Jak? - zapytała podobnym tonem Sylwia, a po jej ubłoconym policzku spłynęła łza.

- Nigdzie z tobą nie pójdzie - oznajmiła Margo, przygarniając Sylwię.

- Wybaczcie zatem, że pójdę sam.

Ten poryw dumy wydał się Heather czystą retoryką, nie zdążyła więc zareagować, gdy ojciec nagle podniósł się z kucek. Zdażył już ruszyć szybkim krokiem w stronę bramy, nim zawołała:

- Tato, zaczekaj! - choć nie miała pojęcia, na co miałby czekać. Kolejną sekundę straciła, dając Samowi znak, by ruszył za dziadkiem, a jeszcze jedną dodając: - Szybko!

Lennox był już blisko obwodnicy, kiedy wreszcie za nim ruszyli. Usłyszał ich i przebiegi przez bramę, jakby próbował naśladować swój wydłużony, brykający cień. Gdy Heather usłyszała grzmot, w pierwszej chwili wydało jej się, że dobiega z lasu. Była gotowa

uwierzyć, że ciemność, pod którą skryły się drzewa, zaczyna odsłaniać swoją prawdziwą twarz.

W następnej chwili zrozumiała, co słyszy.

- Tato! - nieomal wrzasnęła.

Nie zawahał się, a może nawet przyspieszył. Wypadł na drogę. Światła nadjeżdżającej ciężarówki otoczyły go poświatą, a ryk klaksonu brzmiał jak fanfara. Lennox stanął jak wryty. Nie ruszał się z drogi z tułowiem wykręconym w stronę samochodu i rękoma rozwartymi w parodii uścisku i w takiej pozycji został zmieciony z odgłosem przypominającym uderzenie wielkiego bębna, przelatując przez barierkę, jakby go składano lasowi w ofierze. Poświata zniknęła, a ciało rozpląszczyło się na linii pierwszych drzew. Kiedy ciężarówka ze stękaniami i sapaniami zatrzymała się w końcu w żywopłocie za Arbour, Heather drżała już nie tylko od grudniowego chłodu. Przez moment była pewna, że trzask łamanych gałązek dobiega od leżącego po drugiej stronie drogi powykęcane kształtu, którym tylko raz wstrząsnęły drgawki, po czym znieruchomiał jak las.

Święto przesilenia zimowego

Wigilia byłaby spokojna, gdyby nie wiatr od strony lasu. Ilekroć się wznęgał, Heather widziała, jak drzewa wykrzywiają swe obnażone szpony, i mimowolnie szykowała się na uderzenie zimna sięgającego przez łąkę.

Powietrze zdawało się nieść ze sobą woń wykopanej ziemi, choć raczej pochodziła z cmentarza, gdzie na nielicznych drzewach wiatr kołysał resztkami liści, które skrzeczały na nim jak splaszczone suche ptaki, wzbijały się chaotycznym stadem i osiadały z furkotem wśród pomników. Wiatr robił co w jego mocy, by zedrzeć Margo chustę z głowy, targał sutanną księdza i grubym płaszczem Heather, jakby ktoś kopał je od środka. Jeden z pomocników grabarza przyglądał niesforną kępkę włosów, które przy skórze nie były tak czarne jak reszta, i wraz z kolegami pochylił się, aby zdjąć trumnę z karawanu. Margo ruszyła za nimi pierwsza, trzymając pod rękę Sama. Za nią szła Heather - blisko Sylwii na wypadek, gdyby trzeba ją podtrzymać. Z drugiej strony ubezpieczał ją Terry.

Zbliżali się do kaplicy. Pochodziła z czasów wiktoriańskich, ale architekt najwyraźniej stanął na głowie, żeby wyglądała na normañską. Heather miała wrażenie, że liście wręcz zawładnęły budynkiem: były gęsto wyrzeźbione na grubych łukach drzwi i okien, pokrywały podstawy grubych okrągłych filarów, otaczały ich kapitele pod ciężkim czerwonym sklepieniem. W późniejszym okresie ktoś próbował złagodzić surowość budowli, zastępując zwyczajne okna witrażami, z których większość przedstawiała kompozycje z liści. Heather z niewiadomych przyczyn zwracała na te szczegóły większą uwagę niż na własny smutek, który zdawał się krążyć gdzieś ponad nią niczym nabrzmiała uwięzionym deszczem chmura. Ciężkim krokiem przeszła obok dwóch rzędów ławek, zajętych w mniej niż jednej trzeciej, i poczekała, aż Sam odsunie się, kuśtykając, by wpuścić Margo na przednią lewą ławkę. Gdy Heather do niej dołączyła, matka zapytała, bynajmniej nie cicho:

- Czy oni muszą tu być?

- Przecież powinni, prawda? - mruknęła Sylwia.

Większość zebranych stanowili wykładowcy uniwersytetu, wielu już w stanie spoczynku, ale Heather wypatrzyła rozsianą pośród nich piątkę pacjentów Arbour - tych

samych, którym Lennox przedstawił ją i Sylwię.

Wyglądało na to, że próbowali uformować krąg, jeszcze wyraźniejszy poprzez obecność dwóch pielęgniarzy i doktora Lowe'a. Lekarz skinął z powagą Price'om, którzy zwrócili się twarzami do ołtarza.

Pomocnicy grabarza opuszczali właśnie trumnę na katafalk tak bezdźwięcznie, że Heather nagle zaczęła myśleć o tym, jak cichy i nieruchomy potrafi być las. Przyglądała się, jak ksiądz idzie po schodkach ociężale, jakby unosił go na wpół nadmuchany balon jego krągłej, bladej, mdłej pomarszczonej twarzy. Splótł pulchne paluszki na ozdobionym liściastymi ornamentami pulpicie i pochylił łysiejącą głowę, po czym ją uniósł, przemawiając miękim głosem pocieszyciela:

- Zebraliśmy się tu, by uczcić pamięć Lennoksa Weavera Price'a. Hołd złożą zmarłemu byli współpracownicy z Uniwersytetu Brichesterskiego, gdzie cieszył się szacunkiem zarówno jako wykładowca, jak i badacz...

- Zanim próbował pochować swoją córkę żywcem - mruknęła Margo.

Sylwia sięgnęła poprzez Heather ku ręce matki.

- Mamo, daj spokój.

- Może to ja nie powinnam tu przychodzić.

- Dobrze wiesz, że powinnaś - rzekła Sylwia i prześliznęła się obok siostry, by usiąść pomiędzy nimi. - Człabyś się gorzej, gdybyś została w domu. On nic na to nie mógł poradzić.

- Nie mów mi takich rzeczy. Każdy by mógł, zwłaszcza gdy chodzi o jego własne dziecko.

- Nie, mamo. Musisz mi uwierzyć. Pamiętaj, że tam byłam.

Mimo wszystko nie było do końca jasne, ile z tamtych wydarzeń zapomniała lub ilu wolała nie pamiętać. Heather nie potrafiła nawet określić, kiedy minęło działanie leków. Przez kilka dni po śmierci ojca Sylwia sprawiała wrażenie, jakby ledwie rozumiała, gdzie jest i co czuje. Margo nie ustawała w wysiłkach mających jej dać chociażby poczucie bezpieczeństwa i nie kryła ulgi, kiedy córka odmówiła przyjęcia rad osób trzecich. Powiedziała policji tylko, że ojciec podał jej leki i że z pewnością był przekonany, iż nie żyje, kiedy ją zakopywał, nie wie jednak, dlaczego to zrobił. Policjanci znaleźli płytki dół, który Lennox wykopał w obrębie odkrytych fundamentów w głębi lasu, a koroner zaakceptował wersję Sylwii.

- Mnie nie przekonasz - oznajmiła jednak teraz Margo.

- W takim razie nie będę już próbować. Zamiast tego posłuchaj tylko, co wszyscy

mamy o nim do powiedzenia.

Ksiądz tymczasem zamilkł i obserwował ich dyskusję z taką miną, jakby zamierzał zamienić się miejscami z wizerunkiem Chrystusa na witrażu.

- Czy mogę kontynuować? - zapytał.

Margo tylko uniosła ręce, nie obracając ich nawet wnętrzem do góry.

- Proszę - wyręczyła ją Sylwia.

- Były wicekanclerz uniwersytetu, profesor Dyson, podzieli się teraz z nami swymi wspomnieniami o doktorze Preisie - rzekł zatem ksiądz.

Profesor podszedł do ołtarza wsparty na dwóch kulach. Samo podejście zabrało mu sporo czasu, a wspięcie się na ambonę z pomocą księdza drugie tyle, lecz wszystko to było niczym w porównaniu z długością jego wspominek o Lennoksie, które w odczuciu Heather zawierały niemal tyle samo świszczących oddechów co słów. Pochwaliwszy profesjonalizm jej ojca i jego osiągnięcia w pracy ze studentami, zwłókl się z ambony i pokuśtykał wzdłuż nawy. W końcu odgłosy drewna stukającego o kamień umilkły, ale tylko na chwilę. Ksiądz zapowiedział bowiem wystąpienie doktor Bowman, która podjęła stukotanie, choć tym razem tylko jedną laską. Miała wiele do powiedzenia na korzyść *Mechaniki uludy* i poświęcenia jej autora dla swojej pracy. W końcu ruszyła z powrotem w stronę swojej ławki. Heather nie wiedziała, w jakim stopniu denerwuje ją głuchy stukot laski o posadzkę, a w jakim oczekiwaniu na kolejną mowę. Skraj ławy sprawiał wrażenie wilgotnego jak świeże drewno, może dlatego, że jej dłonie takie były, gdy ksiądz obwieścił:

- A teraz Sylwia Price przemówi w imieniu rodziny.

- Nie musisz nic mówić - mruknęła Margo.

- Ale chcę, mamó.

- Chcesz przez to przechodzić w twoim stanie?

- Chcę właśnie dlatego.

Margo spojrzała jej w oczy, marszcząc brwi, a potem wypuściła ją z ławki z czymś na kształt desperacji.

- Skoro to tyle dla ciebie znaczy, nie mogę ci zabronić - powiedziała. - Tylko proszę, uważaj.

Nie było całkiem jasne, czy Sylwia ma uważać na to, co mówi, czy na siebie. Badanie USG w szpitalu na Mercy Hill wykazało, że dziecku nie stała się żadna krzywda. Kiedy siostra przechodziła obok Heather, ta pogładziła ją po ręce.

Sylwia weszła po schodkach na ambonę, przytrzymując się poręczy obiema rękoma. Jej długa, szeroka spódnica była czarna jak sutanna kapłana. Przesunęła dłonie na liściasty

wzór na brzegu ambony, jakby badała jakiś aspekt drewna. Gdy mówiła, koniuszki jej palców tańczyły w przód i w tył niczym gałęzie na wietrze.

- Większość osób znających moją rodzinę myśli zapewne, że wiedziałam o swoim ojcu jeszcze mniej niż moja siostra i że nigdy nie znałam go takiego, jaki był naprawdę. Byłam małą, kiedy przestał z nami mieszkać, ale odwiedzałyśmy go, a on często pytał, jak sobie radzę. Czasem chciał słuchać o wszystkim, co robiłam od naszego poprzedniego spotkania, a ja czułam, że mam zbyt mało do powiedzenia, by go zadowolić. Myślę, że zawsze chciał być prawdziwym ojcem, choć nie było mu to dane.

Heather pomyślała, że matka może to odebrać jako oskarżenie, i położyła dłoń na sztywnej, nieruchomej chłodnej ręce Margo.

- Tak czy owak dorosłam i wyjechałam - mówiła tymczasem Sylwia. - Muszę przyznać, że próbowałam być taka jak on, być wszystkim, co w nim podziwiałam. Być może wróciłam do domu między innymi dlatego, że sądziłam, iż mi się udało. I sądzę, iż ojciec chciał mi dać do zrozumienia, że i on tak myśli.

Umilkła. Przez moment Heather myślała, że Sylwia postanowiła zachować wspomnienia dla siebie, potem nagle usłyszała, co jej przeszkodziło: rytmiczny dźwięk przypominający drapanie paznokciem, dobiegający od strony trumny - od okna za nią, gdzie liść albo duży owad telepał się obok stopy Chrystusa. Ujrzała, że dziwnie symetryczny listek odpada od szyby, do której przyparł go wiatr, i znika w pochmurnej szarości jakby wysysającej cały kolor z figury na witrażu.

- Wiem, że niektórzy mówią, iż ojciec przed śmiercią próbował mnie skrzywdzić - kontynuowała Sylwia. - Tak pisano w gazetach. Mogę jedynie powiedzieć, że być może nikt z żyjących nie wie, co naprawdę zamierzał zrobić. Chwileczkę, to nie wszystko - rzekła na widok oznak zniecierpliwienia ze strony Margo. - Tamtego dnia bardziej niż kiedykolwiek indziej przypominał ojca, którym pragnął być i którego pragnęłam mieć. Jeśli ktokolwiek z państwa jeszcze o tym nie wie, to jestem w ciąży, i myślę, że właśnie ta wiadomość pozwoliła mu być wszystkim, czym mógł być. Takiego chcę go pamiętać: jako dziadka mojego dziecka. Miał już jednego wnuka i mogę tylko żałować, że nie było mu dane zobaczyć drugiego.

Kiedy Margo wydała z siebie przytłumione prychnięcie, Heather odniosła nieco wstydlive wrażenie, że Sylwia w jakiś sposób wygrała. Samuel ograniczył się do zażenowanego spojrzenia. Jego ciotka tymczasem zrobiła trzy kroki w dół schodków, tak wyważone, że Heather niemal sobie wyobraziła, iż znajdujące się wewnątrz niej dziecko prowadzi ją za rękę. Zauważyła, że Terry waha się, czy nie podejść i nie pomóc jej, ale nie stan Sylwii sprawił, że brakło jej sił.

Sprawił to głos, który skwitował jej ostatnie słowa.

- Zobaczył go - rzekł.

Heather obróciła się, przesuając dłońmi po śliskiej ławce. Niemal wszyscy zebrani gapili się na Timothy'ego, tego samego, który twierdził, że las zamieszkują rzadkie gatunki ptaków. Tylko pozostali pacjenci wciąż wpatrywali się w Sylwię, która odezwała się tak cicho, jakby wcale nie chciała poznać odpowiedzi:

- W jakim sensie?

Timothy sprawiał wrażenie, jakby chciał równocześnie głową potakiwać i zaprzeczać.

- Potrafił zajrzeć w głąb ciebie - powiedział.

- Chodzi panu o to, że umiał przejrzeć ludzi?

- Zwłaszcza swoją rodzinę. Kiedyś nam powiedział, że nic nie widzi tak dobrze jak krew.

To było już za wiele dla Margo.

- Na końcu jakoś przestał widzieć! - wypaliła.

- Na pewno nie - upierał się Timothy. - Mówił, że nic nie jest ważniejsze od tego, kogo się stworzyło. Im bliżej się jest, tym lepiej się rozumie.

Ksiądz odchrząknął energicznie.

- Jeśli mogę przypomnieć państwu, gdzie się znajdujemy i po cośmy się tu zebrali...

- Porozmawiamy później - rzekła do Timothy'ego Sylwia.

- Im później, tym lepiej - mruknęła Margo. Poczekala, aż Sylwia usiądzie obok. - Czemu chcesz z nimi gadać? - zapytała cicho, acz niecierpliwie.

- Bo znali tatę. Z pewnością spędzili z nim więcej czasu niż ja.

Margo albo uznała, że to nie zasługuje na odpowiedź, albo że zasługuje na taką, którą lepiej przemilczeć. Udała niezwykle przejętą słowami księdza, który zaprosił żałobników, by kontemplowali lub modlili się w milczeniu. Heather przeszukiwała swoje myśli, starając się wydobyć z nich więcej ojca, niż była w stanie tam odnaleźć - być może obecność jego współpacjentów sprawiała, że ciągle widziała w głowie scenę poszukiwania go w lesie - gdy ksiądz przerwał ciszę pożegnalnymi słowami. Kiedy pomocnicy grabarza podeszli, by unieść trumnę, nagrany sopran zaczął śpiewać *Lecz ja wiem, Wybawca mój żyje*. Nieco buńczucznie, nie zwracając się do nikogo konkretnego, Margo zauważyła:

- Mawiał, że Haendel jest jedną z rzeczy, które najbardziej lubi w Anglii.

Heather z kolei przypomniała sobie profesora, który zaprosił Lennoksa do studiów nad wpływem lasu, po czym padł ofiarą alzheimera, zgubił się w lesie i w jego gęstwinie umarł z głodu.

Kiedy trumna i żałobnicy opuszczali kaplicę, owionął ich zimny, pachnący ziemią wiatr. Margo obejrzała się, niewątpliwie po to, by kazać Sylwii zapiąć płaszcz, ale ta już to robiła. Piątka pacjentów z Arbour obróciła się twarzami do mijającej ich trumny, po czym Heather usłyszała, jak powłócząc nogami, idą w ślad za nią. Nie tylko oni, napomniała się. Wiatr mierzwił włosy na głowach tragarzy, którzy nieśli trumnę do części cmentarza położonej najbliżej lasu. Późnopołudniowe niebo naprawdę było tak zachmurzone i posępne, jak wyglądało z wnętrza budynku; Heather wyobraziła sobie, że sękata płatanina drzew przyciąga ciemność ku ziemi. Czterej mężczyźni w czerni zatrzymali się przy pomniku lśniącem białym pierwszym zębem dziecka. Gdy stawiali trumnę na podeście w otwartym grobie, ksiądz złożył ręce, jakby dyskretnie zachęcał do modlitwy, i stanął za płytą, na której widniało nazwisko Lennoksa i daty. Ponieważ nikt inny nie kwapił się do jakiegokolwiek ruchu, Sylwia podniosła w końcu garść ziemi i rozsypała ją po wieku trumny.

Heather odsunęła od siebie pytanie, czy jej siostra wspomina teraz moment, w którym sama została pogrzebana. Pochyliła się, by wziąć garść ziemi i rzucić ją na trumnę. Margo zrobiła to samo, po niej Sam i Terry, a następnie inni. Kwintet z Arbour stanął w kręgu, sypnął ziemią jednocześnie i w tej samej chwili rozległo się ciche skrzypnięcie, prawdopodobnie przyniesione przez wiatr od strony drzew. Margo chyba miała ochotę zaprotestować wobec ich gestu, ale tylko potarła usta koniuszkami palców, bo właśnie zaczęto opuszczać trumnę. Wtedy piątka pacjentów odwróciła głowy w kierunku lasu.

Heather odniosła wrażenie, że las reaguje. Wierzchołki drzew naprzeciwko cmentarza zaczęły się wić i emanować światło, które stało się niemal oślepiające, nim zrozumiała, że to słońce wyłania się zza wielkiej szarej chmury. Ona i las ścisnęły je, sprawiając, że wyglądało jak zamrożona w czasie błyskawica, nieubłagana i zimna. Wiatr ucichł, jakby uwięziło go światło lub tysiące warstw cienia, które ożyły i rozciągały się coraz bardziej przez opuszczoną łąkę ku cmentarzowi. Jedynym dźwiękiem był teraz lekki szum mechanizmu opuszczającego trumnę, która stawała się coraz czarniejsza. Nim dotknęła dna, na cmentarz wsunął się jakiś kształt.

Prześliznął się ponad darnią, wyginając się jak czerw, ilekroć docierał do kolejnego pomnika, po czym jakby zniknął w otwartym grobie. Gdy Heather zmrużyła oczy, aby zobaczyć, co rzuciło ten dziwny cień, to coś zdążyło już zniknąć. No jasne! Skoro czuła pod stopami uciekające w stronę lasu wibracje, które nagle umilkły, musiały pochodzić od mechanizmu opuszczającego trumnę. Głosy zaś, które nie tyle usłyszała, ile poczuła, musiały należeć do gapiących się teraz w niebo członków kwintetu. I wtedy Sylwia odezwała się podnieconym, a może tylko zdenerwowanym głosem:

- Co to było?

Heather potarła skostniałe dłonie, mając wrażenie, że ściera z nich warstewkę lodu. Pacjenci z Arbour drżeli i szczyrzyli zęby w uśmiechach zza mgiełki oddechów. Już miała powiedzieć, że to po prostu cień, gdy odezwał się Timothy:

- To ptaki. Mnóstwo ptaków.

- A ja myślałem, że to twarz, którą kiedyś widywałem - rzekł Nigel. - Latająca twarz.

- Ja też widziałam twarz, ale pełzającą po ziemi - dodała Delia, odciągając skórę pod oczami.

- I rosnącą - dopowiedziała Phyllis, tak mocno przyciskając do siebie dłonie, że drżały bardziej niż zwykle.

- W takim razie jego czas jest bardzo bliski - zawyrokował Vernon roztrzęsionym głosem.

Doktor Lowe dał pielęgniarzom znak, by pomogli mu w interwencji, ale Sylwia była szybsza.

- Czyj?

- Tego, o którym opowiadał nam twój ojciec.

- Tego, który zdradził Lennoksowi swoje imię.

- Imię i mnóstwo innych potrze...

Timothy, Nigel i Vernon gadali jeden przez drugiego, a kobiety były zbyt niecierpliwe, by dać im skończyć. Delia i Phyllis jednocześnie zaczerpnęły tchu i zagrzały:

- Sel...

Margo klasnęła w dłonie z taką siłą, że aż się skrzywiła.

- Dość tego. Koniec! - powiedziała, jakby strofowała niegrzeczne dzieci, wśród nich Sylwię. - Cokolwiek zrobił Lennox, już go nie ma. Okażcie trochę szacunku i pozwólcie mu spoczywać w pokoju.

Piątka z Arbour zakryła usta i mogłoby się wydawać, że wzięła sobie do serca reprimendę, gdyby Timothy zdołał lepiej powściągnąć parsknięcie.

- Fakt. Nie ma go już. Poszedł sobie.

- Słyszeliśmy go - mruknęła przez palce Phyllis.

- Ale ze spoczywaniem będzie kłopot - prychnął Vernon.

- W lesie nic nie spoczywa - wymamrotał Nigel.

Jeśli Delia miała coś do dodania, przeszkodził jej Terry.

- Proszę państwa, to już naprawdę za wiele - powiedział, a jego twarz z każdym słowem bardziej się czerwieniła. - Chyba mają państwo świadomość, w czym uczestniczymy.

Nie zaszkodzi zadać sobie pytanie, kiedy należy zamilknąć - zakończył, spoglądając wyczekująco na doktora.

- Chodźże już, Sylwio - odezwała się Margo. - Nie przejadły ci się jeszcze te pogrzeby?

Sądząc z miny, zaraz pożałowała tych słów, które jednak zdążyły przyprawić Heather o lekkie mdłości. Sylwia oddaliła się od pacjentów Arbour i wsparła na ramieniu Sama.

- W porządku, już skończyłam - rzekła.

Mechanizm opuszczający trumnę ucichł, wykonawszy swoją pracę. Heather wzięła matkę pod rękę i odwróciła się od grobu. Wiatr ruszył za nimi, tym razem niosąc nie zapach ziemi, lecz kilka odległych taktów *Cichej nocy*. To zawsze była ulubiona kolęda Heather. Przypomniała sobie, jak w dzieciństwie zastanawiała się, któż to może śpiewać w lesie podczas świąt. Zapewne wiatr zaburzał poczucie kierunku, podobnie jak zniekształcał głosy. Już po chwili w ogóle nie było ich słychać, ale przez ten jeden moment, nim umilkły, trudno było powiedzieć, czy to dzieci śpiewają czy ptaki. Zdawało się niemal, że kpią zarówno z podobieństwa, jak i z samej kolędy.

Korzenie

Gdy Heather usłyszała, że Sam przemierza korytarz na piętrze, sprawdziła, czy ogień pod piekarnikiem pełnym indyka dobrze się pali, po czym poszła na górę i zapukała w drzwi łazienki.

- Samuelu? - mruknęła, a wobec braku reakcji powtórzyła głośniejszym głosem: - Sam??

- Co?! - odburknął gulgoczący głos.

- Na początek wesołych świąt.

Po kilku sekundach chłopak odsunął zasuwkę.

- Wesołych świąt - powiedział w ramach przeprosin.

- Wyglądasz, jakbyś się przystroił na tę okazję.

Nie miała na myśli nagiego tułowia, który wystawił przez drzwi, tylko wąsy i brodę z pianki nałożonej na twarz.

- Czemu szepczemy? - szepnęła, oblizując usta, a wraz z nimi otaczającą je piankę.

- Przestań jeść piankę, bo nie będziesz miał apetytu na mój świąteczny obiad - odparła, ocierając mu kciukiem niespokojne usta. - Nie chcę budzić Sylwii. Mogłabym skorzystać z twojego komputera i poszukać czegoś w sieci? Mam akurat wolną chwilę.

- Musiałbym cię podłączyć do sieci - powiedział tonem niemal skargi, po czym zamknął drzwi i po chwili wyłonił się owinięty w pasie różowym ręcznikiem kąpielowym.

- Gdybyś chciał oszczędzić sobie kłopotu, wystarczyłoby podać mi hasło.

W milczeniu włączył komputer i wpisał słowo, którego z grzeczności nie przeczytała, choć zauważyła, że zaczyna się od „k” i „n”, a gdzieś w środku ma „j”.

- Gotowe - powiedział, gdy modem zaczął furkotać.

Pokój był w takim nieładzie, jakiego się spodziewała: wieża otoczona stertą kompaktów i zwieńczona słuchawkami, komputer wyglądający, jakby okocił się dyskiectkami, przed nim biurowe krzesło obwieszane mnóstwem ubrań, jakby wcielało się w rolę Sama - a jednak doznała dziwnego uczucia, że ten chaos nie jest do końca prawdziwy, że dziwnie przypomina swoje wcielenie z czasu jej poprzedniej wizyty. Za łuką, pod niebem barwy cienkiego lodu pokrywającego czarną wodę, kości lasu wykręcały się na wietrze. Heather

pochyliła się do przodu na zagraconym krześle, weszła w wyszukiwarkę i wpisała „Selcouth”.

Nie miała pojęcia, co może znaleźć. Spodziewała się zaledwie kilku trafień; nawet jeśli część znalezionych stron była powtórzeniem poprzednich, i tak było tego więcej. „Webster’s Dictionary 1913, str. 1384”, „Słownik słów osobliwych”, „Usługi finansowe, Portland, Oregon”, „Słowo tygodnia”. Już miała wejść na stronę ze średniowieczną poezją, gdy zauważyła ostatni link.

Aleister Crowley, Peter Grace, Roland Franklyn i John Strong to tylko niektóre z osób uznających Nathaniela Selcoutha za najbardziej dalekowzrocznego...

Jak często bywa, wyszukiwarka wyświetliła tylko początek pierwszego zdania strony. Heather zacisnęła dłoń na myszy i położyła palec na lewym klawiszu. Wybór imienia Nathaniel musiał być przypadkowy, chyba że... Czyżby Lennox zasugerował coś Sylwii? Kliknęła na link, woląc nie trwonić czasu na jałowe rozmyślenia. Niedokończone zdanie przebarwiło się z niebieskiego na czarne, a u dołu strony pojawił się pasek otwierania, stopniowo wypełniając się błękitem, jakby kwintesencja owego zdania koncentrowała się w tym miejscu. Choć strona otwierała się powoli, Heather ze wszystkich sił starała się nie odwracać uwagi od ekranu; nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że ktoś pojawił się na skraju lasu i obserwuje ją. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła tylko szkieletowate sylwetki drzew. Komputer tymczasem wyświetlił wiadomość: „Przekroczony czas oczekiwania na połączenie”.

Cofnęła się i jeszcze raz kliknęła na link, który nadal był czarny. Niebieska wstążka przepełzła mniej niż jedną trzecią długości, po czym komputer obwieścił: „Nie można wyświetlić strony” i odesłał ją do strony głównej serwera. Po kliknięciu ujrzała tę samą wiadomość, więc znów kliknęła na podświetlone zdanie. Ledwie niebieska wstążka zaczęła wpływać do swojej rurki niczym jakiś środek chemiczny, ekran nagle zrobił się całkiem czarny. W tej samej chwili las sprowadził z nieba jakiś niewyraźny blady kształt, który najpierw się z nim stopił, a potem wyskoczył ku niej. To było odbicie Sama, który pochylił się i spoglądał jej przez ramię.

- Co zrobiłaś? - zapytał takim tonem, jakby zwracał się do kogoś młodszego od siebie.
- Szukałam czegoś, co chyba nie chciało zostać znalezione.
- Pierwszy raz coś takiego widzę. Może ja spróbuję?
- Lepiej najpierw się ubierz - powiedziała, bo Sam nadal paradował w ręczniku, najwyraźniej nieświadom bijącego od okna chłodu. - Spróbuję ostatni raz - dodała, naciskając

„wróć” tylko po to, by odkryć, że link z Selcouthem zniknął. - No nic. Sprawdzę, jak wrócę do pracy.

Samuel odwrócił się od okna na dźwięk otwieranych gdzieś w korytarzu drzwi.

- Już święta? - zawołała Sylwia.

Zadawała to pytanie w każdy gwiazdkowy poranek, gdy ona i Heather były dziećmi. To wspomnienie i poczucie straty większej niż ta, którą potrafiła zdefiniować, wypełniły oczy Heather łzami.

- I to radosne! - obiecała. - Tym bardziej teraz, skoro wstałaś.

- W takim razie nie kładę się z powrotem. Czy mogę ucałować okolicznościowo mojego siostrzeńca? - zapytała Sylwia, pakując się do pokoju z łopotem obszernej podomki i natychmiast z powrotem się wycofując. - Ojej. Nie wiedziałam, że nie jesteś ubrany.

- Chyba nie jest tak źle, co? - zapytała Heather. - Przecież niedługo zostaniesz matką, możesz więc powoli zacząć się przyzwyczajać do takich widoków, Sylwio. Nadejdą gorsze.

- Jeśli ktoś ma ochotę na kawę, to właśnie idę robić - oznajmiła Sylwia.

Heather zlustrowała wzrokiem chude ramiona Sama, błądy tułów z wystającymi żebrami i dumnie owłosioną klatkę piersiową, wspominając czasy, gdy tors był jeszcze chudszy i całkiem niewinnie bezwłosy. Chłopak wyglądał na tak zażenowanego, że zostawiła go w spokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Dotrzymam towarzystwa tobie i indykowi - rzekła do siostry.

Na schodach przywitał ją sosnowy zapach. Pomyślała o tym, jak wszystko zacznie rosnać, kiedy noce poczną się kurczyć. Sylwia napełniała właśnie ekspres do kawy, zerkając na granatowe szczeliny w niebie utworzone przez wierzchołki drzew.

- Jest jeszcze coś do zrobienia w kuchni? - zapytała.

- Trzeba przygotować warzywa, póki mama nie przyjdzie i nie zacznie się naprzykrzać z pomocą.

- To może zajmę się ziemniakami? Zawsze lubiłam je obierać.

Jeśli pokrywająca kartofle ziemia nie budziła w niej nieprzyjemnych wspomnień, Heather nie miała zamiaru o tym wspominać. Ograniczyła się do umycia brukselki i wrzucenia jej do rondla z dźwiękiem niegdyś przyprawiającym ją i Sylwię o napady śmiechu, który tylko się wzmagał, gdy Margo pytała, z czego tak rechoczą. Melodię uzupełniało perkotanie ekspresu.

- Obiecasz mi coś? - zapytała nagle Sylwia.

- Czemu nie?...

- Nie pozwól, żebyśmy dokuczała Natty'emu. Zwróć mi uwagę, jeśli kiedyś zacznę.

Heather spojrzała w okno, szukając odbicia Sylwii, ale zobaczyła jedynie wystające znad żywopłotu drzewa w oddali.

- Ktoś ci podsunął to imię?

- Niby kto?

- Myślałam, że może tata.

- Może. Nie pamiętam. Jeśli tak, to przynajmniej zostawił mi po sobie jakąś pamiątkę.

To jak, obiecujesz? - dokończyła, nie robiąc nawet przerwy.

- Dlaczego miałabyś komukolwiek dokuczać?

- Dziś w nocy nie mogłam spać. Rozmyślałam o tym, jaka kiedyś byłam wredna.

- Daj spokój, Sylwio. Powinnaś była przyjść i ze mną porozmawiać, zamiast się z tym męczyć. Niby kiedy taka byłaś?

- Kiedy byliśmy dziećmi. W stosunku do ciebie.

- To chyba nie było nic wielkiego, skoro nie pamiętam.

- Dopiero zaczynam. Przypominałam sobie, jak chodziliśmy do lasu.

- Wszystko się do niego sprowadza, co?

- W każdym razie wszystko w naszym życiu - przyznała Sylwia, unosząc głowę tak, jakby zmusiły ją do tego szponiaste gałęzie drzew. - Pamiętasz, jak mówiłam, że musimy walić w ziemię kijami?

- Coś tam pamiętam - odparła Heather. - Wtedy gdy bawiliśmy się w dzikusów? Uważaliśmy, że jako pierwsi ludzie w Goodmanswood musimy bębnić w ziemię.

- W ziemię wewnątrz ruin. Nie tylko waliłyśmy. Potem uciekałyśmy.

- Jak to dzieciaki.

- Z wrzaskiem.

- Niewiele z tego pamiętam. Pewnie to była twoja zabawa, bo byłaś mała.

Sylwia wydawała się coraz bardziej zniecierpliwiona.

- W takim razie może pamiętasz spokojne miejsce.

- Przypomnij mi.

- Patrzyliśmy stamtąd, jak cienie wokoło się poruszają, ale tam gdzie siedzieliśmy, panował taki bezruch jak teraz w tych drzewach.

Musiała zerknąć przez okno, skoro to wiedziała, choć Heather nie zauważyła, kiedy to zrobiła. Wierzchołki istotnie były tak nieruchome, że wyglądały, jakby podpierały niebo, jednocześnie wysysając z niego kolor.

- Musiało być dobrze osłonięte - rzekła.

- Bynajmniej, Heather. To było to samo miejsce wewnątrz ruin. Musisz to pamiętać.

Heather miała wrażenie, że usiłuje sobie przypomnieć sen sprzed lat, gdy Sylwia dodała:

- I ta czarna sadzawka, do której wrzucałyśmy patyki i miałyśmy nadzieję, że nic ich nie pociągnie, niczego nie obudzą. To było na szczycie kopca, który pewnego razu zaczął się zapadać. Potem za bardzo się bałyśmy, żeby wrócić.

- Może i tak było, ale czy nie odbiegamy od tematu?

- Czyli...?

- Mówiłaś, że byłaś wredna.

- A nie byłam? Kiedy ci pokazałam, jak się chować przed mamą?

- Hm, wygląda na to, że ja też nie byłam lepsza, choć starsza.

- Więc jednak pamiętasz, cośmy robiły.

- Chyba pamiętam, jak próbowałyśmy być bezszelestne. Ale tu już od lat nie padał śnieg.

- Świat się zmienia. Dlaczego pomyślałaś o śniegu?

- Nie mów, że teraz ty nie pamiętasz, jak próbowałyśmy iść tak cicho, jakby spadały śnieżne płatki.

- Ty tak robiłaś. Ja próbowałam udawać zwiędłe liście. Czułam, jak osiadają na ziemi i zaczynają się z nią spajać, i tak właśnie chciałam iść. To chyba wtedy się zaczęło.

- Co? - zapytała Heather, choć wolałaby nie wiedzieć.

- Uczenie się, co można robić w lesie.

- Jakoś niewiele sobie przypominam.

- Przed chwilą mówiłaś, że pamiętasz, jak się chowałyśmy przed mamą.

- Chodzi ci o to, że podczas zabawy na łące czasami zakradałyśmy się do lasu i chowałyśmy tam, żeby nas nie widziała, gdy przychodził czas powrotu do domu?

- Właśnie! - przytaknęła z ożywieniem Sylwia. - A pamiętasz, jak blisko byliśmy skraju lasu? Teoretycznie powinna nas była zobaczyć, stojąc przy tylnej furcie.

- Może widziała.

- Nic nie pamiętasz. Nawet nie próbujesz.

- Daj spokój, Sylwio, jaki sens ma rozpamiętywanie...

- Naprawdę nie pamiętasz tego uczucia?

Heather nie wiedziała, czy siostra oskarża ją o sklerozę czy o brak chęci.

- To prawie czterdzieści lat.

- Dla niektórych to mniej niż jeden oddech. - Sylwia zacisnęła pięści, nieświadoma chyba, że są czarne od ziemi. - One ciągle są w nas - upierała się. - Dzieciaki, którymi

byłyśmy. My tylko rośniemy wokół nich.

- Myślę, że trochę upraszczasz.

- W ostatecznym rozrachunku nie, Heather. One są głębią w nas. Musisz tylko pozwolić sobie je poczuć.

- W swoim czasie robiłam to całkiem często.

- Nie masz już powodu czuć się samotna - rzekła Sylwia, być może odebrawszy uwagę Heather jako oskarżenie. - Chodziło mi o to, żebyś sobie przypomniała, co kazałam ci kiedyś robić.

- Dziwne, jak często to robiłaś, gdy byłyśmy dziećmi.

- Może po prostu lepiej widziałam. Przypomnij sobie, co mówiłam o drzewach.

- Przypuszczam, że obie wyobrażałyśmy sobie różne rzeczy. Jak to dzieci.

- Wszyscy jesteśmy dziećmi w porównaniu z niektórymi - powiedziała Sylwia, wyciągając ku siostrze powalane ziemią dłonie. - Powiedz, że pamiętasz, jak próbowałyśmy stać się drzewami, które były tak cienkie, że można było jednocześnie widzieć to, co jest za nimi i przed nimi.

Heather miała wrażenie, że zaczyna śnić na jawie, i niespecjalnie jej się to podobało.

- Nigdy nie...

- Zrobiłaś to, kiedy ci wytłumaczyłam, że nie chodzi o to, jak wyglądają, tylko jak się czują. Naprawdę nie pamiętasz, jak czułaś się tak cienka, że mogłabyś się schować za najcieńszą gałązką? Ciągle się bałaś. Mówiłaś, że to jest jak śmierć, ale to było po prostu tak, jakby nas nie było. Tylko drzewa.

I nagle Heather ujrzała Margo wykrzykującą poprzez łąkę ich imiona, robiącą kilka zryzgowanych kroków w stronę drzew, składającą i rozkładającą ręce, bijącą się w pierś. Potem już nigdy się przed nią nie chowały, pamiętając, jak się wtedy zdenerwowała - tak bardzo, że bały się wyjść z ukrycia, nawet kiedy wróciła do domu. A może Heather najbardziej bała się tego, że nie zdoła stać się na powrót widoczna? Jeśli tak, to był to jedynie dziecinny lęk, powiedziała sobie, słysząc dzwonek.

Odłożyła wspomnienia na bok i pospieszyła do drzwi. Hol pachniał raczej leśną gęstwiną niż jednym drzewkiem.

- Wcześniej przyszłaś, mamo - zdziwiła się.

- Mam nadzieję, że nie za wcześnie - odparła Margo, udając gotowość do wyjścia.

- No co ty?... Chodź, bo zmarzniesz - ponagliła ją Heather, lodowate powietrze bowiem zdawało się kraść im oddechy.

Margo najpierw rozładowała reklamówkę prezentów, jakby składała hołd choince, a

dopiero potem zdjęła płaszcz, przewieszając go przez barierkę. Pod spodem miała tę samą suknię co na otwarciu wystawy.

- Miałaś ostatnio jakieś wieści z galerii? - zapytała Heather.

- Lucinda zasugerowała, że mogłabym poszukać innego sposobu robienia tego, co robię, więc zafundowałam sobie kamerę.

Heather może by się zastanowiła, co matka przemilczała, gdyby Sylwia w tym momencie nie zawołała:

- Nalej sobie kawy, mamó! Myśmy już piły.

Z pewnym niepokojem Heather skonstatowała, że tego nie pamięta, jakby oddawanie się wspomnieniom wymazało wszelką bieżącą świadomość.

- Wesołych świąt wszem wobec! - mówiła tymczasem Margo. - Zejdź na dół, Sam, jeśli podołasz trójce dziewcząt!

Samuel zdążył już zamienić ręcznik na spodnie i jeden z kilku istniejących swetrów firmowych Nieograniczonych Światów, ale wydawał się zażenowany jej kokieterijnym tonem, czego na szczęście nie zauważyła, biegnąc już do Sylwii.

- Jak się czujesz? - wymamrotała, chwytając ją za rękę.

- Trochę winna.

- A to z jakiego powodu?

- Wyłącznie z własnego.

- Póki któraś z nas jest w pobliżu, możesz się z czystym sumieniem tego pozbyć. Mam nadzieję, że to wiesz. - Margo poczekała, aż jej słowa wywołają tęskny uśmiech. - A czemuż to się tak czujesz?

- Myślałam o tym, jak ukryłyśmy się przed tobą wśród drzew, kiedy miałyśmy wrócić na noc do domu.

- W takim razie nie ty jedna powinnaś się czuć winna, prawda? Twoja starsza siostra miała przecież cię pilnować. - Nim Heather zdołała jakoś wyraźnie zareagować, Margo dodała: - Tak czy owak wybaczam wam obu. Powinnam była wiedzieć, że potraficie poruszać się po lesie, nigdy się nie gubicie i zawsze trzymacie się z dala od miejsca, w którym rośnie trucizna, bo sama was o to prosiłam. Ja też wkrótce taka będę, jeśli się lepiej rozeznam.

- Jaka? - nie zrozumiała Heather.

- Obeznana z lasem. Mam zamiar dokładnie go zbadać. Po to właśnie kupiłam kamerę.

- Jeśli chcesz, mogę pochodzić z tobą.

- Nie ma potrzeby, kochanie. Będę go zgłębiać krok po kroku. Bez obaw, nie straciecie mnie.

- Chodziło mi o to, że chętnie pospacerowałabym po lesie.

- A nie pogniewasz się, jeśli na razie będziesz musiała spacerować beze mnie? Najlepiej mi się pracuje, gdy jestem sama. Mam nadzieję, że ktoś dotrzyma ci towarzystwa, jeśli ci go brakuje.

Samuel dołączył do nich i właśnie nalewał sobie kawy do kubka z napisem „Nie oddamy drzew”.

- Może ja? - bąknął i od razu jakby się spłoszył.

- Sylwio - odezwała się Heather zbyt zaniepokojona, by ugryźć się w język - po co chcesz tam wracać?

- Wszyscy cię kochamy, Heather, i za nic w świecie nic byśmy w tobie nie zmienili - rzekła Margo - więc nie czuj się skrzywdzona, jeśli powiem, że nigdy nie miałaś tak bujnej wyobraźni jak inni członkowie naszej rodziny. Niech mnie Sylwia poprawi, jeśli się mylę, ale sądzę, że chce po prostu odzyskać to miejsce dla siebie.

Sylwia dwukrotnie skinęła powoli głową, jakby brzuch ściągał ją w dół, toteż Heather jej pozostawiła decyzję.

- Wróćmy może do dnia dzisiejszego - zaproponowała.

- Nie mam nic przeciwko otwarciu prezentów.

Dokończyli kawę i udali się do frontowego pokoju, gdzie Heather z hukiem otworzyła butelkę czegoś szampanopodobnego i załała cztery kieliszki kurczącą się masą bąbelków. Kiedy napełniła kieliszek Margo, ta podniosła się z wystudiowaną gracją.

- Najstarsza zaczyna - oznajmiła, idąc po swoje prezenty.

Kupiła obszerną suknię dla Sylwii, inną, bardziej obcisłą dla Heather, a dla Sama koszulę tak drogą, że niemal zakrawającą na reprimendę dla jego gustów. Wręczając im swoje prezenty, chłopak wydawał się nieco zażenowany, że tylko na takie było go stać: kupił historię sztuki dla Margo, wegetariańską książkę kucharską dla Heather i książkę z legendami z doliny rzeki Severn dla Sylwii.

- Jest używana, ale pomyślałem, że cię zainteresuje, bo to chyba rzadkość - bąknął.

- Wydaje mi się, że nie ma jej nawet w naszej bibliotece - zauważyła Heather.

Sylwia sprezentowała siostrze i matce delikatne naszyjniki z nasionek, a Samowi drewniany kuferek czarny jak cień.

- Na twoje sekrety - powiedziała.

Paczuszki od Heather były na tyle małe, że przez całą noc mogły wisieć na choince, zamiast leżeć pod nią. Gdy wyłuskała je spomiędzy gałęzi, nieregularne migotanie lampek sprawiło, że wokół pnia zaczęły pęłzać macki cieni. Prezenty wydały jej się lekko wilgotne,

przetarła je więc chusteczką i dopiero potem wręczyła. Każdy dostał srebrne kolczyki, bo i Sam od jakiegoś czasu paradował zwykle z ozdobą w lewym uchu. Otrzymał zwykły krążek, natomiast pary ofiarowane Margo i Sylwii miały wzory w kształcie maleńkich listków.

- Teraz jesteśmy jeszcze bardziej podobne - zauważyła Margo, gdy Heather ruszyła do kuchni, by sprawdzić, co z obiadem.

Nic nie bawiło się z nią w chowanego za choinką - nic oprócz cienia o niezliczonych owadzych odnóżach. Mimo to w drodze powrotnej przyklęła i wyłączyła lampki z gniazdka umieszczonego nad listwą przypodłogową, aby dowieść swojej bujnej wyobraźni, że potrafi zapanować nad tym zjawiskiem. Choinka wyglądała, jakby za chwilę miała się na nią rzucić - bo Heather, rzecz jasna, patrzyła na nią z dołu, przez co wyraźnie widziała, że drzewko jest lekko przechylone w jej stronę. Wyjęła cegły z plastikowego wiaderka i chwyciła chropawy kłujący pień, żeby go wyprostować. Na jej dłoń natychmiast wpełzła sfera robali.

Nie krzyknęła; nawet się za bardzo nie wzdrygnęła. Po prostu podniosła się z namaszczeniem, pomaszerowała ku frontowym drzwiom i otworzyła je ręką, na którą nie patrzyła, wmawiając sobie, że jest naga, pusta i czysta.

- Ktoś przyszedł? - zawołała Margo.

- Nie, tylko... - Heather wołała nic nie wyjaśniać, póki nie skończy. Popchnęła drzwi, otwierając je na oścież, po czym roztrzęsiona popędziła z powrotem do choinki, wyłączyła światelka z prądu i chwyciła drzewko obiema rękoma. Choć na pierwszy rzut oka nic się na nim nie poruszało, pień aż drżał od ukrytej aktywności. Wyglądał, jakby zaraz coś miało się z niego wykluć. Heather uniosła go, drżąc z wysiłku i zimna, które otoczyło ją jak nagła mgła; korzenie zahaczyły się o wiaderko - zawzięły się najwyraźniej, że nie dadzą się wyrwać ze swego gniazda. Właśnie otwierała usta, by zawołać Sama na pomoc, gdy drzewko wyskoczyło z wiadra, wymachując korzeniami.

Potrzebowała zaledwie sześciu kroków, aby wstrzymując oddech wynieść je za próg, ale w ciągu tych kilku sekund miała wrażenie, że drzewo wije się w jej uścisku, w dotyku zaś przypominało nie tyle drewno, ile miękkie łuskowate cielsko. Na zewnątrz nie położyła go, lecz odrzuciła jak najdalej od siebie. Uderzyło o dom z głuchym łomotem, dzwoniąc ozdobami niczym błazeńskimi dzwonekami.

- To ty? Coś się stało? - zawołała Margo.

- Tak! - odkrzyknęła. - Nie! - Właściwie nie wiedziała.

Kiedy Margo i reszta towarzystwa wyjrzeli na dwór, Heather właśnie sięgała po lampki, pragnąc je zedrzeć z choinki.

- Co ty u diabła wyprawiasz? - zapytała Margo.

- Coś żyje w tym drzewie. Niech ktoś... Sam, przynieś wiadro i resztę.

- Żyje? - zapytała Sylwia, marszcząc brwi i patrząc na nią dziwnie szeroko otwartymi oczyma. - Ale co?

- Nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Wiem tylko, że nie chcę go mieć w swoim domu - odparła Heather, potwornie drżącymi rękoma zwijając kabel z lampkami. - Przynieś wiadro i cegły, Sam.

Margo poczekała, aż chłopak wejdzie do domu, po czym mruknęła:

- Hej, nie mówiłam przecież, że wcale nie masz wyobraźni. Nie musisz mi tu szaleć, żeby pokazać, że ją masz.

Przez chwilę Heather miała wrażenie, że może zareagować tylko gniewem, powstrzymała się jednak. Zamiast tego wytknęła drzewko palcem.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że to moja wyobraźnia? Widać to jak na dłoni.

- To znaczy co?

- Coś tu wyrosło - upierała się Heather, postukując paznokciem w wyraźnie pozieleniałą srebrną bombkę i wydobywając z niej krótki głuchy dźwięk.

- Nie dziwi mnie to. Od narodzin Sylwii takie rzeczy od czasu do czasu się u nas pojawiały. Nie przeziębcie się. Zwłaszcza ty, Sylwio. Wejdźcie do domu.

- Najpierw muszę się dowiedzieć, co ze sobą zabieram. - Heather wielkim wysiłkiem woli powstrzymywała drżenie, lustrując dokładnie każdą lampkę i każdy cal przewodu. Dopiero po tych oględzinach zaniósła plastikowe pnącze do komody pod schodami. - Wynieś to szybko na dwór - poleciła Samowi i dla pewności przyglądała się, jak chłopak ładuje wszystkie cegły do wiadra i niesie ku drzwiom. Poszła za nim z kartonem na resztę ozdób. - Nie dotykaj! - niemal krzyknęła na widok Margo podnoszącej z ziemi srebrne bombki. - Proszę.

- Dobrze, dobrze, już palcem nie kiwnę - mruknęła Margo, przyglądając się, jak Heather dokładnie bada wszystkie ozdoby i dopiero potem ośmiela się włożyć większość z nich do kartonu, pozostawiając tylko sześć, które zdawały się lekko omszone.

- Już? - domagała się głośno Margo. - Możemy wrócić do świętowania?

- Najpierw niech to wszystko zniknie mi z oczu - oświadczyła Heather, chwytając za rączkę wiadra. - Ktoś musi mi pomóc wynieść to za płot.

Powiedziała to nie tylko dlatego, że sama brzydziła się dotknąć drzewka. Chciała, żeby któryś z pozostałych członków rodziny doświadczył choć cząstki tego co ona. Sylwia uczyniła ruch w stronę choinki, ale powstrzymała ją Margo.

- Ty to zrób, Sam.

- Uważaj, czego dotykasz - ostrzegła syna Heather.

- To zwykle drzewo - mruknął, lecz na wszelki wypadek trzymał je na odległość ramienia, niosąc wokół domu. Korzenie powiewały, jakby szukały punktu zaczepienia. Gdy Heather stawiała wiaderko koło kubła na śmieci, Sam otworzył furtkę wiodącą na łąkę i opuszczył drzewko w wysoką trawę. Najwyraźniej nic szczególnego nie poczuł.

- Nie zapomnij zamknąć furtki na zasuwę - poleciła mu Heather.

Być może zimno unieruchomiło wszystkie czające się pod korą robaki i dlatego Sam nic nie zauważył. Najważniejsze, że nie wpełzły z powrotem do domu. Na długo przed obiadem Heather zdołała zagrzebać ten incydent głęboko w pamięci, częściowo dzięki otwarciu kolejnej butelki. Przy posiłku, kiedy na zewnątrz zapadał zimowy zmrok, otwarto kilka kolejnych, a jeszcze jedna ułatwiła Price'om grę w szarady po długiej debacie i ustaleniu, że będą się trzymać brytyjskiej wymowy.

Gra zakończyła się, gdy Margo przysnęła, co stanowiło sygnał dla Sylwii i Sama, by pozbiali swoje prezenty i udali się do pokoi. W końcu seniorka rodu obudziła się i obwieściła, że pierwszy dzień świąt był znacznie bardziej udany, niż się spodziewała. Nie zgodziła się na propozycję eskorty do domu.

- To nadal nie jest miejsce, gdzie człowiek musiałby się bać chodzić po nocy - powiedziała.

Gdy Heather zmywała naczynia, dopiero pod koniec wsparta przez Sama, wzrok ciągle uciekał jej ku tylnej furtce. Zostawiła syna, by wycierał talerze, a sama wytarła ręce i poszła wyjąć spod schodów latarkę. W komodzie nic się chyba nie załęgło, ale wolała sprawdzić, czy ukryci mieszkańcy drzewka znów nie wypełzli. Ruszyła za swoim znikającym cieniem ku furtce i odciągnęła zasuwę. Otwierając furtkę, uniosła latarkę wyżej.

Początkowo widziała tylko parę z własnych ust unoszącą się nad łąką, a i potem niewiele więcej. Drzewko znikło - pozostała po nim jedynie ścieżka spłaszczonej trawy. Kiedy Heather drżącą ręką poświeciła wzdłuż niej, wydało jej się, że drzewa na skraju lasu poruszyły się niczym rozmyta forpoczta skradającej się armii kości. Czuła, że tylko promień latarki zmusi je do bezruchu, gdy nagle u jej boku pojawił się Sam. Jego milczenie było niemal równie elokwentne jak słowa, które w końcu wyrzekł.

- Wygląda, jakby popęzło z powrotem tam, skąd przyszło.

Rekonfiguracja

Jakiś mężczyzna prowadził ją i Sylwię ku skrajowi lasu. Jego pieśń nikła wśród huku drzew, trzeszczącego chóru brzmiącego jak coś, co tylko udaje, że jest drzewami, a jeśli nawet ktoś dałby się na to nabrać, wyprowadziłby go z błędu ich synchroniczny gest chwytania pazurami czarnego jak atrament nieba. Same drzewa jednak emitowały pewne światło, jakby wysysane gdzieś spoza mroku i tak ostre, że trudno się było w nim dopatrzeć jakiegoś koloru. Iluminacja koncentrowała się na przedmiocie wyrastającym z ziemi pośrodku polany, do której dotarli wędrowcy. Początkowo Heather myślała, że ma przed sobą kwintesencję lasu, choć obiekt był idealnie okrągły i pozbawiony gałęzi; potem zrozumiała, że to wieża, popękana i poplamiona jak stare drzewo. Dwa widoczne okna zapchano ziemią. Gdy wieża wznosiła się w górę - lub też ziemia zapadała, stopniowo ją odsłaniając - piach z górnego okna zaczął się sypać w dół po łuskowatej ścianie, odsłaniając wymachujące ręce lub coś podobnego do nich. Eskortujący mężczyzna pchnął ją do przodu, wykrzykując jakieś imię.

Nie wiedziała, czy ostatecznie zbudziły ją własne wysiłki, aby rozpoznać mieszkańca wieży czy aby uniknąć rozpoznania go. Tak czy owak cieszyła się, że jest we własnym pokoju i widzi jedynie jego ciemne kontury. Tyle że... nie tylko senny obraz ją przebudził.

Coś było za oknem.

I usiłowało się dostać do środka. Słyszała jego donośny, nieregularny oddech. Ona w ogóle przestała oddychać - leżała struchlała, póki w końcu nie zrozumiała, z czym ma do czynienia. Prognoza pogody zapowiadała silne wiatry, ale to był niemalże huragan. Chyba niezupełnie się jeszcze ocknęła, bo wydało jej się, że wyodrębniła z jego ryku dwa głosy: Sama i Sylwii. Musiała odsunąć kołdrę od twarzy, by się upewnić, że dobiegają one z wnętrza domu.

Niechętnie podniosła się z łóżka, czując chłód na ramionach, i mrugnęła jednocześnie z dwukropkiem na przyłóżkowym zegarze, według którego zbliżała się czwarta nad ranem. Zlokalizowała swoje pantofle na dywanie i zdołała wsunąć w nie stopy, po czym powlokła się ku drzwiom. Kiedy wkładała ręce w powykręcane rękawy szlafroka i chwytiała końce

zabłąkanego paska, aby związać je mniej więcej na wysokości talii, usłyszała głos Sylwii:

- ...i wkrótce reszta je dogoniła.

Heather cicho uchyliła drzwi, ale mina jej zrzedła, gdy się okazało, że choć pokoje Sama i Sylwii są otwarte, nigdzie nie pali się światło. Wyszła na korytarz i zobaczyła, że oboje stoją przy oknie w pokoju Sama, patrząc na skręcające się w konwulsjach drzewa. Wichurę niósł ich skrzywienie, tylko odrobinę przypominające dźwięk, który słyszała we śnie. Zdążyła niemal wejść do pokoju, nim obserwujące spektakl sylwetki obróciły się, choć jedynie na moment.

- Chodź i popatrz, Heather - rzekła półgłosem Sylwia.

- Nie możesz tego przegapić. Jak słońce wszędzie, to już nie będzie ten sam las.

- Jak to? - zapytała Heather, mając wrażenie, że wciąż śni. - A czym będzie?

- Właśnie się przyglądamy, jak wiatr po prostu go zmiata - wyjaśnił Sam.

Rozpaczliwie próbowała się obudzić, zadając sobie pytanie, czy Sylwia naprawdę to chciała powiedzieć czy tylko Sam taką miał nadzieję. Wtedy kolejne uderzenie wichury rozdzwoniło szyby i rozległ się huk spadających gdzieś w pobliżu dachówek. Sekundę później las wydal ostatni udręczony jęk. Heather nie wiedziała, które z drzew runęło, choć Sam i Sylwia przyglądali się przez szybę tak bacznie, jakby dokładnie wszystko widzieli.

- Jak długo to już trwa? - zapytała.

- Chyba ładnych parę godzin. Zdaje się, że straciliśmy rachubę czasu, co, Sam?

- Tak długo tu stoicie?

- Samuel nie miał nic przeciwko temu.

Heather nie dostrzegając w mrocznych, gwałtownych podrygach lasu nic, co usprawiedliwiłoby aż takie zainteresowanie, nie mówiąc już o wtargnięciu do pokoju Sama nawet teraz, gdy i ona poszła w ślady siostry. Niepokoiło ją jednak coś innego.

- O czym mówiłaś tuż przed moim wejściem? - zapytała.

Sylwia zawahała się.

- Chybaby ci się to nie spodobało.

- Jeszcze bardziej nie podoba mi się, że nie wiem, o czym się mówi w moim domu.

- To kiedyś był także mój dom. Myślałam, że może nadal jest.

- Wiesz, że tak. Twój i twojego dziecka. Czy jednak nie oznacza to, że powinnam mieć jasność co do pewnych rzeczy? - I jakby wcielała w życie własny postulat, dodała: - Nie będzie wam przeszkadzało, jak zapalę światło?

Kolejny paroksyzm wstrząsnął lasem. Wydało jej się nagle, że to co tam buszuje, wyrwało się i pędzi przez łąkę ku domom. To tylko wiatr, powtarzała sobie, naciskając

włącznik światła. Las zniknął, ustępując miejsca odbiciom Sama i Sylwii, którzy po chwili odwrócili się, mrugając synchronicznie. Na ich twarzach malował się taki żal, jakby ich przebudziła lub przeszkodziła im w dzieleniu się jakąś tajemnicą.

- Oświeć mnie więc - zażądała.

Las odpowiedział łomotem przywodzącym na myśl wielkie przemeblowanie.

- Po prostu opowiadałam Samowi pewną historię - rzekła Sylwia.

- W ciemnościach?

- Dzięki nim efekt był lepszy, co, Sam?

Samuel zamknął oczy, jakby chciał wrócić duchem do tamtej chwili.

- Pewnie tak.

- To może sprawdzimy, czy przy świetle też da się ją opowiedzieć?

- Nie dodałam jeszcze, że zawdzięczam ją właśnie jemu.

- To coś z tej książki, którą ci sprezentował - odgadła Heather. - Jakaś legenda.

- Więcej niż legenda. Jest tam rozdział dotyczący wypadków, które są zbyt świeże, by być legendami.

- Sądziłam, że proces obrastania legendą jest dość szybki, jak wszystko w dzisiejszych czasach.

- To się wydarzyło w latach trzydziestych. - I jakby powtarzała na głos wyuczony materiał, Sylwia kontynuowała: - Było to w lesie. Pewna kobieta zaginęła na prawie tydzień.

Okno zadrżało, a Heather miała wrażenie, że cały las unosi się ku nieprzeniknionym głębinom nieba.

- Kto mógłby zrobić coś takiego? - spytała z niedowierzaniem.

- Miała opinię lekkiej dziwaczki, jeśli to ją masz na myśli. Niektórzy mówili, że jest stuknięta, ale większość uważała ją za kogoś w rodzaju wiedźmy, bo często widywano ją w pobliżu ruin, chodzącą wokół nich albo rozmawiającą z kimś, kogo nikt inny nie widział. Wiesz przecież, że w tych okolicach wierzono w czarownice, dopóki zamiast nich nie zaczęto się bać halucynogenów. Myślę, że to z powodu otaczającej ją aury nikomu nie chciało się jej szukać.

- Ale mówiłaś, że wróciła.

- Zjawiła się w niedzielę. Tylko że była odmieniona, prawda, Sam? Pewnie tę część dosłyszałaś.

- Wyglądała, jakby bardzo żarliwie się modliła - dodał Sam. - Nikt nie potrafił rozłączyć jej dłoni.

- W takim razie chyba za długo już nie pożyła. A może przez resztę życia ktoś ją

karmił?

- Wiele jej nie zostało. Nie pozwoliła się karmić - wyjaśnił Sam.

- No to faktycznie - przyznała Heather zirytowana, że syn mówi tak cicho, jakby się bał, że ktoś go podsłucha.

- Nie dlatego, że nie jadła. Była niewiele starsza ode mnie, ale gdy wyszła z lasu, wypowiadając słowa, których nikt nie rozumiał, miała dłonie starej kobiety. A kiedy reszta ciała je dogoniła, kobieta zmarła.

- Podejrzewam, że głód powoduje, iż człowiek zaczyna wyglądać staro. A kto wie, co jeszcze przydarzyło jej się w tych lasach. - Heather zbyt późno ugryzła się w język.

- Bez obaw, Sylwii ani mnie to się nie przydarzy. Będziemy pilnować, żeby zawsze wyjść stamtąd przed zmrokiem.

Heather była wstrząśnięta, że Sam tak jawnie okazał niepokój, zwłaszcza przed nią.

- Nie miałabym nic przeciwko temu, żebyście w ogóle tam nie chodzili.

- Nie masz się czego bać - zaproponowała Sylwia.

- Ależ ja się nie boję. Sądziłabym raczej, że po tej historyjce to ty mogłabyś mieć lekkiego pietra.

- Dlaczego chcesz mi to wmówić?

- Nie chcę ci niczego wmawiać - zachnęła się Heather, choć miała problem z ustaleniem, czego właściwie chce. - Po prostu nie mogę przestać myśleć o tym, że grozi ci popadnięcie w obsesję na punkcie tego lasu.

- Jest tak, jak mówi mama: muszę dojść z tym do ładu. Gdybyś tam była, zrozumiałabyś.

Heather dostrzegła wierzchołki drzew wyciągające się wśród burzliwej nocy, by dotknąć nieba, i pomyślała o Sylwii wygrzebującej się spod ziemi.

- Tak czy owak - dodała jej siostra - od tej pory Sam będzie miał na mnie oko.

- Jesteś pewien, że starczy ci czasu, Sam?

- Jasne. Andy mówi, że przez dłuższy czas nie będzie potrzebował w sklepie mnie ani Diny.

- Może powinienes zacząć się rozglądać za inną pracę.

- Ta jest w porządku. Nie lubię zostawiać ludzi na lodzie.

- Jak będziesz miał dość łażenia ze mną po lesie, zawsze możesz mi o tym powiedzieć - wtrąciła Sylwia.

- Na pewno nie będę miał dość. Tyle jest tam ciekawych rzeczy do zobaczenia, czasem więcej niż raz.

Heather woląa nie pytaó o konkrety; i bez tego czuła sió niezręcznie.

- Spróbujó nadrobió troché snu - rzekła.

- A ja jeszcze chwiló popatrzą. Jeśli chcesz íó spaó, Sam, mogó sió przenieó do swojego pokoju.

- Możesz zostaó. Ja też chcó jeszcze popatró.

Heather usiłowała sobie wmówió, że nie jest to kolejny dowód ich obsesji na punkcie lasu. Zrozumiała, że dotknó to Sylwió, ale Sama? Może kiedy sió przeópi, zdoła to sobie jakoó ułóżyć.

- Wyłącz ówiatło - powiedziała Sylwia, a Heather nie zdołała znaleó sensownej wymówki. Odwracając sió, zobaczyła jeszcze, że wierzchołki drzew unoszą sió, jakby pozdrawiały sylwetki w oknie.

Ten, który wołał

Aleister Crowley, Peter Grace, Roland Franklyn i John Strong to tylko niektóre z osób uznających Nathaniela Selcoutha za najbardziej dalekowzrocznego ze swych poprzedników. Wiadomo, że Joseph Curwen odwiedził Anglię w poszukiwaniu dzienników Selcoutha, których jednak nie zdołał odnaleźć. Selcouth w młodości wiele podróżował po świecie, spotykając się z Paracelsusem i Agrippą we wczesnych stadiach ich badań. Anegdoty głoszą, że rozgniewał się zarówno na nich, jak i na Johna Dee, który konsultował się z nim w późniejszym okresie. Selcouth miał twierdzić, że żaden z jego współczesnych nie ma odwagi zajrzeć w ciemność, a co dopiero poza nią - nawet hrabia Magnus de la Gardie, o spotkanie z którym bezskutecznie zabiegał w Szwecji. Selcouth otwarcie przyznawał się do uczestnictwa w europejskich sabatach czarownic i do pewnej znajomości nekromancji uzyskanej podczas studiów nad brukolakami - wampirami żyjącymi na wulkanicznej greckiej wyspie Santorini.

Choć urodził się i spędził młodość w Londynie, po powrocie do Anglii wybudował swoją ostateczną siedzibę w lasach pomiędzy Bristolem a Gloucester, w miejscu, które określił jako siedlisko potężnych mocy okultystycznych. Obszerna wysoka budowla była całkowicie okrągła, a jej właściciel utrzymywał, że jest „równie zakorzeniona w ziemi jak drzewa”. Jej kształt umożliwiał obserwację dowolnego miejsca w lesie. Selcouth planował poświęcić swe dojrzałe życie stworzeniu pośrednika lub sługi, który byłby mediatorem pomiędzy nim a najdalszymi krańcami wszechświata, tak fizycznego, jak i duchowego. Przeprowadził serię eksperymentów, zwieńczonych tylko częściowym sukcesem. Obserwacje ich skutków w pobliskiej wiosce i jej okolicy doprowadziły do aresztowania Selcoutha pod zarzutem uprawiania czarów, a później także nekromancji - odkryto bowiem, że przetransportował z Londynu zwłoki swojej matki, najprawdopodobniej mając nadzieję na ich ożywienie. Stracono go w roku 1567, a najodważniejsi spośród mieszkańców wioski zburzyli wieżę. Selcouth pozostaje jednym z najbardziej tajemniczych pionierów okultyzmu w Anglii. Nie udało się ustalić daty ani miejsca jego narodzin. Wiadomo jednak, że nazwisko Selcouth jest przybrane.

Twórcy strony internetowej podpisywali się jako Międzynarodowa Fundacja na rzecz Studiów Okultystycznych. Heather nie wiedziała, czy skrót angielskiej wersji jej nazwy, IFOR - International Foundation for Occult Research - ma pomóc organizacji sprawiać przyjazne wrażenie, czy też jest wskaźnikiem całkowitego braku poczucia humoru ze strony jej członków. Musiała jednak przyjąć to drugie, biorąc pod uwagę łatwowierność, na jaką zdawał się liczyć anonimowy autor. Być może jego raport wcale nie oznaczał, że członkowie organizacji popierają poglądy Selcoutha, ale Heather miała co do tego wątpliwości. Tak czy owak strona pomogła jej zrozumieć, jakim sposobem Selcouth zagnieździł się w głowie jej ojca.

Lennox musiał się czegoś o nim dowiedzieć, gdy zgłębiał historię Goodmanswood. O ile nie wyjaśniało to jeszcze, dlaczego ta sprawa nabrała dlań takiego znaczenia, przynajmniej wydawało się jasne, że zaraził swoją obsesją przyjaciół z Arbour. Przychodząc jednak na uniwersytet w ten niedzielny poranek, zamiast czekać na nowy rok, spodziewała się znaleźć więcej. Chciała mieć coś, co mogłaby przeciwstawić Sylwii i jej niezdrowej obsesji na punkcie lasu.

Jeśli Lennox zetknął się z postacią Selcoutha tu, w bibliotece, najprawdopodobniej było to w dziale „okultyzm”. Heather wyłączyła komputer i ruszyła między regały, gdzie echo milkło, a stukot obcasów miękł. Wyglądało na to, że książki ujęte w katalogu nie zawierają żadnych odniesień do Selcoutha; przekartkowała też pozostałe, ale i tam nic nie znalazła. Jeśli ojciec znalazł wzmiankę o nim w którymś z tomów zamkniętych w sejfie - niegdyś rzadko udostępnianych ze względu na treść, a później na unikatowy charakter - jej nie było dane do niego dotrzeć, ponieważ krótko po tym, jak hospitalizowano Lennoksa, pewien muzułmański student uzyskał dostęp do sejfu, oblał jego zawartość benzyną do zapalniczek i podpalił. Heather nie mogła powiedzieć, żeby jakoś strasznie ubolewała nad utratą ksiąg, do których nigdy nie chciało jej się zajrzeć - *Necronomiconu*, *Objawień Glaaki*, *De vermibus mysteriis* i innych równie złowróżbnych tytułów - ale teraz żałowała, że nie może ich przeczytać, choć pewnie wolałaby nie robić tego w samotności. Powrotowi każdej książki na półkę towarzyszył drewniany stukot, a zapach starego papieru przywodził jej na myśl gnijącą roślinność, była więc szczerze uradowana, gdy jej poszukiwania, choć bezowocne, dobiegły końca. Zabrała torebkę z biurka, wyłączyła światła, zamknęła bibliotekę na klucz i pospiesznie ruszyła przez przywołujący echa hol.

Wprawdzie już rano było ciepło, lecz i tak nie spodziewała się takiej pogody, jaką zastała po wyjściu z budynku. Niebo było jasne, jakby przedwcześnie nadeszła wiosna, a w samochodzie panowała niemal letnia temperatura. Otaczające uniwersytet drzewa wytrzymały

napór zeszlotygodniowych wiatrów - szczerze mówiąc, wyglądało na to, że huragan szalał głównie w Goodmanswood - i dały się nabrać późniejszym łagodnym dniom, wypuszczając pąki. Świat się zmieniał, ale dźwięk niedzielnych dzwonów, który usłyszała, wyjeżdżając z Brichester, przywiódł jej na myśl dzieciństwo.

Na skraju lasu leżała platanina przewróconych drzew. Przewrócone na jezdnię uprzątnięto, choć pozostały rozsiane tu i ówdzie gałązki, pękające pod kołami z dźwiękiem, który przywodził jej na myśl zadeptywanie robaków i także wzbudzał uczucie. Mijając Arbour, powstrzymała się od wyobrażania sobie, co pomyśleli o wicherze i jej pokłosiu przyjaciele ojca. Otarła z oczu kilka łez i przyspieszyła, by jak najszybciej zostawić za sobą okno ojcowskiego pokoju, za bardzo przypominające ramkę po starej fotografii, która dopiero po zniknięciu uświadamia nam, jak bardzo ją kochaliśmy. Potem, przejeżdżając obok kolejnej plataniny zwalonych drzew, niespodziewanie dostrzegła swoją matkę.

Przyhamowała i spojrzała w lusterko. Margo obserwowała przez celownik kamery rozrzucone bezładnie gałęzie. Heather już miała zatrzeć, ale zastanowiła się, czy nie przeszkodzi matce w pracy. Patrząc, jak drzewa zacieśniają się wokół Margo, niemal straciła panowanie nad samochodem, a kurczowe zaciśnięcie dłoni na kierownicy jeszcze się do tego przyczyniło - wszystko to zaś dlatego, że dostrzegła coś, czego matka zupełnie nie zauważała, tak samo jak nie zauważała jej samochodu.

Ujrzała mianowicie Lennoksa, a raczej jakąś jego wersję. Przykucnął w cieniu drzewa, chudy jak olbrzymi wysuszony pajak albo jego ofiara, i zdawał się wykręcony w kształt, w jakim jej ojciec pożegnał się z życiem. Chwilę później pochylone drzewa odcięły Heather od widoku matki i przyczajonej za nią figury.

Gwałtownie skręciła z drogi, znalazłszy odrobinę wolnej przestrzeni, i omal nie wjechała w przewrócone drzewo, po którym ta przestrzeń pozostała. Nie miała czasu sprawdzić, czy dobrze zamknęła drzwi: natychmiast pobiegła z powrotem, mając do pokonania kilkaset jardów do miejsca, w którym widziała matkę. Nie mogła jej zawołać, ponieważ oniemiała ze strachu. Rozkołysana ciężarówka przetoczyła się drugą stroną pustej poza tym drogi. Heather niestrudzenie przedzierała się przez masę pochyłych drzew, chwytających ją gałęziami. Kora sypała jej się spod palców. Nim zdołała zobaczyć matkę, narobiła tyle hałasu, że Margo przestała filmować i spojrzała w jej kierunku, nadal ignorując zaczajoną postać.

Tyle że tam nikogo nie było - z wyjątkiem pęków gałęzi zawieszonych nisko na drzewie. Ich kształt rzeczywiście trochę przypominał Lennoksa w swej ostatecznej pozie, Heather więc powiedziała sobie stanowczo, że cała reszta musiała być urojeniem. Obrazu

dopełniły cienie, które teraz zdążyły już się przesunąć, oraz widok Arbour przywołujący na pamięć pogrzeb i komentarze przyjaciół ojca. Usiłowała się uśmiechnąć, bo przypuszczała, że minę ma nietęgą.

- Istne wejście smoka - skomentowała jej widok Margo. - Co się stało?

- Nie chcę cię stracić.

- Chyba ci to nie grozi. Jestem już dość duża, żeby odnaleźć drogę.

- Nie wątpię - musiała przyznać Heather. - Zobaczyłam cię, kiedy przejeżdżałam, ale musiałam jechać dalej, póki nie znalazłam miejsca do zaparkowania. Przeszkadzam?

- Już skończyłam na dzisiaj - rzekła Margo pobłażliwym tonem, podnosząc zapakowaną w futerał kamerę. - Musisz zobaczyć, co nakręciłam. Zdziwisz się, jak bardzo kamera wszystko zmienia.

Heather zerknęła na kępę gałęzi. Ich kształty na tle czystego nieba rysowały się równie precyzyjnie jak wtedy, gdy przybrały postać jej ojca. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że owo zjawisko odtworzyło się teraz w innym miejscu, lecz rozejrzawszy się wokół, nie dostrzegła nic prócz płataniny drzew.

- Jak zmienia? - zapytała.

- Kolory, perspektywę, nawet to, co widzisz, a czego nie, gdy eksperymentujesz z ekspozycją. Przed chwilą to wszystko wyglądało, jakby była głęboka noc, i nie można było mieć pewności, co właściwie tu jest.

- To dobrze?

- Z pewnością jest to lepsze od wszystkiego, co ostatnimi czasy robiłam. I podsuwa mi więcej pomysłów, niż kiedykolwiek miałam. Może powinnam tu wrócić w środku nocy i sprawdzić, co wtedy zdołam nakręcić.

- Myślisz, że to by było...

- Ojej, Heather, nie bierz tego poważnie - odparła Margo z uśmiechem tak cierpkim, że jego adresatem równie dobrze mógł być ktoś inny niż jej córka. - Próbuję ci tylko pokazać, ile mam pomysłów.

Mam nadzieję, że pozostałe są lepsze niż ten - pomyślała Heather, ale zachowała to dla siebie, chyba że jej mina coś zdradziła.

- Skoro to działa... - mruknęła na głos.

- Działa jak nic. I powiem ci coś jeszcze: Lennox właśnie tego by chciał.

Heather nie spuszczała wzroku z twarzy Margo, usiłując przekonać siebie, że nie ma potrzeby rozglądać się wokół.

- Nie sądziłam, że to aż tyle dla ciebie znaczy.

- Wybacz, Heather, pewnie ci się nie spodoba to, co powiem, więc spróbuję to ująć pozytywnie. Być może fakt, iż nie posiadasz tak bujnej wyobraźni jak reszta rodziny, działa na twoją korzyść.

- W takim razie powinnam się tego trzymać - wycedziła sztywno Heather.

- Jasne. Nie zmieniaj się. Jestem pewna, że żadne z nas nie chciałoby tego.

Heather dołożyła wszelkich starań, żeby przyjąć to z uśmiechem, po czym szybko zmieniła temat.

- Gdzie twój samochód?

- Przed domem.

- Chcesz powiedzieć, że przeszłaś taki kawał lasem?

- Nadal potrafię, kiedy mam ochotę. To tylko godzina drogi - rzekła Margo, po czym spojrzała na zegarek. - No, może więcej. Tak mnie wciągnęło, że straciłam poczucie czasu.

- Podwieźć cię?

- Będzie mi bardzo przyjemnie. Możemy po drodze porozmawiać.

Heather szła za matką, by jej pomóc w razie jakichś kłopotów, ale chyba jednak to Margo lepiej się czuła w lesie. Okoliczne drzewa, choć nieruchome, wydawały się niezauważalnie przesuwać, jakby wykonywały jakiś powolny, tajemny taniec. Ilekroć chwytła za zwalony pień, żeby nad nim przejść, kora jakby się usuwała, albo szykowała do przemieszczenia, przypominając jej o chwili, gdy choinka robiła to samo w jej rękach.

Otworzyła matce drzwi, po czym obeszła samochód, usiadła na miejscu kierowcy i szybko wyjechała na drogę.

- Skąd wracałaś? - zapytała Margo.

- Z pracy. No, niezupełnie z pracy, ale z biblioteki.

- Miło słyszeć, że tak lubisz swoje zajęcie - mruknęła Margo, jakby nie w pełni zarejestrowała słowa córki. - A twoja siostra ma na oku jakąś posesję?

- Nic mi nie wiadomo. Nie zauważyłam, żeby jakoś intensywnie szukała.

- Pewnie ma zbyt wiele na głowie. Pamiętasz, jak to jest. No i w dodatku pracuje nad książką.

Heather pamiętała, że pracowała, dopóki Sam nie zaczął się prosić na świat i nie wylądowała w szpitalu na Mercy Hill, lecz nie miała zamiaru dyskutować.

- Nie jest zbyt droga w utrzymaniu, prawda? - zapytała matka.

- Bynajmniej.

- To trochę niepokojące, biorąc pod uwagę, że jest ich teraz dwoje.

- Nie mogę nad nią stać i tłuczkim wpychać jej jedzenia do gardła. Nigdy nie byłam

w stanie jej zmusić do zrobienia czegoś, czego nie chciała.

- Może się boi, że będzie za dużym ciężarem, zwłaszcza że Sam też nie ma porządnej pracy. Nie mów jej tego, bo będzie się poczuwała do wdzięczności, ale pomogę ci. Będę gotować wszystko, na co ma ochotę, i tak dalej.

- Tylko żebyś sobie nie odejmowała od ust - rzekła Heather, mając nadzieję, że nie brzmi to, jakby była zazdrosna.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, po co jechałaś do pracy. No dobrze, zanim mnie poprawisz: nie do pracy.

- Chciałam się dowiedzieć, dlaczego ojciec ciągle mówił „Selcouth”.

- I co?

- To był pewien człowiek, który mieszkał w tych okolicach.

- Tylko tyle odkryłaś?

- Nie - przyznała Heather, niby to zerkając na Margo, a tak naprawdę chcąc się przekonać, że to co wydaje się biec za samochodem, to w rzeczywistości tylko leśne ostępy. - Legenda głosi, że był kimś w rodzaju... hm... powiedzmy, czarnoksiężnika. Ruiny jego domu wciąż są widoczne. To to miejsce, gdzie znalazłyśmy ojca i jego przyjaciół tamtej nocy, gdy przeprowadził ich przez drogę.

- Powiesz o tym Sylwii?

- A co? Uważasz, że nie powinnam?

- Nie wiem, czemu miałabym tak uważać. Po prostu będzie miała jeszcze jeden powód, by się pokreć po lesie.

Przerażenie tą perspektywą musiało się odbić na twarzy Heather, Margo bowiem zapytała gwałtownie:

- Chyba nie próbujesz jej przed tym powstrzymać, co?

- Już dałam spokój.

- Ucieszy się. Potrafisz uszanować jej uczucia, nawet jeśli ich nie rozumiesz.

- Jej uczucia to jej prywatna sprawa, ale chyba nie za bardzo mi się podoba, że wciąga w nie Sama.

Poczuła na policzku wzrok Margo.

- Trochę empatii mu nie zaszkodzi.

- Może się obawiam, że będzie go prosiła o zbyt wiele?

- To raczej nie w jej stylu, prawda? Powiedziałabym, że prosi nas wszystkich o zbyt mało. - Margo nadal wpatrywała się w Heather, choć już mniej intensywnie. - Nie czuj się odrzucona tylko dlatego, że zbliżyli się do siebie - dodała.

- Nie o to chodzi - zaprzeczyła nieco na siłę Heather.

Las skrył się za pierwszymi domami Goodmanswood. Kilka minut później zatrzymała się przed wysokim, szerokim budynkiem, niegdyś będącym siedzibą sędziego pokoju. Margo zajmowała górną kondygnację domu.

- Wejdiesz? - zaproponowała matka. - Dokończymy rozmowę.

W tej chwili jednak Heather nie miała wielkiej ochoty na ponowne przeżywanie uczucia konsternacji, którego doznała, odwiedzając pracownię matki w ubiegłym tygodniu. Te rzeźby, które nie pojechały na wystawę, wyglądały nad wyraz żywotnie - o wiele lepiej niż cokolwiek, co wystawiono w Londynie. Nie miała pojęcia, dlaczego wydaje się jej, że wynika to z jakiegoś związku między kształtami drzew a kształtami widocznego ponad dachami lasu.

- Lepiej już pojedę i sprawdzę, co porabiają - powiedziała.

Nim jeszcze skończyła mówić, pożałowała doboru słów. Zabrzmiało to niemal jak: „co wyprawiają”.

- Uściskam ich od ciebie - dodała, ujmując dłoń matki wysiadającej właśnie z samochodu.

Poczekala, aż Margo wejdzie do domu - w drzwiach obróciła się i pożegnała ją machnięciem, które wydało się Heather niepewne lub niedokończone - i ruszyła do siebie.

Kilka budynków przy drodze wspierały rusztowania. Niektóre dachy wymagały naprawy; ich dach potrzebował jedynie wymiany kilku płytek, a dom Margo wcale nie ucierpiał. Niekiedy najstarsze rzeczy są najsilniejsze, pomyślała Heather, mając nadzieję, że dotyczy to także jej matki. Sunęła wzdłuż Woodland Close przy akompaniamencie odległych dzwonów kościelnych, brzęących jakby staczały się w bezdenną głębię. Zahamowała przed bramą, wysiadła i łagodnie zamknęła drzwi. Brama była na wpół otwarta, a w ogrodzie jakaś kobieta zaglądała do domu.

Mimo ciepła miała na sobie płaszcz myszowatej barwy, wyglądający na kupiony co najmniej z drugiej ręki. Czarne kręcone włosy wymykały się spod dwóch niezbyt symetrycznie rozmieszczonych po obu stronach głowy gumek. Przytknęła dłonie do szyby i zaglądała do salonu. Obiekt spoczywający u jej stóp nie był, jak początkowo sądziła Heather, psem, lecz kudłatą torbą na ramię.

- Czym mogę służyć? - zapytała, otwierając drugą połowę bramy.

Musiła podejść bliżej i powtórzyć pytanie, nim kobieta w końcu obróciła górną połowę ciała, pozostawiając na szybie szybko znikające ślady palców. Wyglądała na młodszą od niej, ale twarz miała bladą, kościstą i pooraną jak zmięty papier.

- Nikogo nie ma - powiedziała szybko wysokim głosem Kalifornijki.

- Ja jestem.

Po tych słowach kobieta zlustrowała Heather wzrokiem, mrużąc lewe oko nawet bardziej niż prawe.

- Wygląda pani trochę na jej siostrę - zawyrokowała w końcu. - Jakby podobna.

- Miło mi to słyszeć. Zdaje się, że już rozmawialiśmy.

- Nic o tym nie wiem - odparła kobieta, zamykając lewe oko i wpatrując się w nią spod uniesionej prawej brwi. - Jakoś mi pani głos nikogo nie przypomina.

- To wina telefonu. Pani jest Merilee, prawda?

- A jeśli tak, to co?

Heather doszła do wniosku, że lepiej zareagować na tę ostrożność humorem niż urazą.

- W takim razie może pani być pewna, że jestem siostrą Sylwii. Heather.

- Czyją siostrą?

- Och, już to przerabialiśmy. Sylwii, Sylwii Price.

Merilee spróbowała zamknąć prawe oko, a wybałuszyć lewe, i dopiero potem przyznała z pewnym ociąganiem:

- No dobrze, może faktycznie rozmawialiśmy. Muszę być ostrożna. Z nieznanymi nigdy nie wiadomo.

Heather nie zamierzała pytać o przyczynę tej ostrożności. Zaparkowała civica obok auta Sama, a Merilee powróciła do zaglądania przez szybę. Ledwie Heather zaczęła wysiadać z samochodu, tamta odwróciła się, przeciągając dłońmi po szkle, tak że rozległ się pisk.

- Mogę poczekać?

- To może potrwać, ale jeśli pani niespieszno...

- No, akurat mi spieszno. Muszę wieczorem wylecieć do Stanów. Urlop mi się kończy.

- Pewnie zostawiła pani bagaż w przechowalni.

- Wszystko co mam, jest bezpieczne - ucięła Merilee, jakby jej rozmówczyni była zbyt wścibska.

Heather włożyła klucz do zamka frontowych drzwi, lecz nie przekręciła.

- Czy Sylwia wiedziała, że pani się do niej wybiera?

- Gdyby wiedziała, to czemu by wychodziła?

Choć kusilo Heather, by dać odpowiedź, ważniejsze wydało jej się pytanie:

- Skoro nie byliście w kontakcie, skąd pani wiedziała, jak nas znaleźć?

- Spytałam.

- Spytałam...?

- Ludzi. Wygląda na to, że wszyscy was tu znają.

- Może lepiej wejdźmy - rzuciła Heather, świadoma, że brzmi to trochę tak, jakby próbowała ukryć swego gościa przed sąsiadami. Otworzyła drzwi na oścież i zobaczyła leżącą na schodach kartkę wyrwaną z notesu. Właśnie po nią sięgała, gdy Merilee, niemal depcząca jej po piętach, zapytała natarczywie:

- Od kogo to?

Była tak ewidentnie podejrzliwa, że Heather poczuła się w obowiązku pokazać jej kartkę. „Samuel zabrał mnie na spacer” - widniało tam. „Wiesz dokąd. Wrócimy przed zmierzchem”.

Merilee wykonała swoje rytualne mrugnięcia, jakby chciała sobie zakpić z czującej się coraz bardziej nieswojo Heather, po czym skrzywiła się.

- Nie mogę tak długo czekać.

- Czy mam jej coś przekazać?

- Nie powiedziałam, że nie poczekam.

Heather uznała jednak, że Merilee to właśnie powiedziała i że jej urażony ton jest nie na miejscu. Przeszła przez leżącą na dywanie torbę tamtej i zamknęła drzwi wejściowe. Gościnność nakazała jej powiedzieć:

- Proszę usiąść. Przypuszczam, że szła pani spory kawał.

Merilee najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu przypuszczeniu, bo tylko powlokła się za nią do pokoju gościnnego, gdzie rozejrzała się badawczo, jakby czegoś szukała. W końcu usadowiła się na samym środku kanapy, kładąc torbę u stóp i gwałtownie naciągając płaszcz na kolano, które na moment się odsłoniło.

- Napije się pani czegoś? - zapytała Heather.

- Wody. Sama naleję - rzuciła kobieta, chwytając swoją torbę.

Tak dokładnie zlustrowała podaną szklankę, że Heather nie zdziwiłaby się, gdyby ją oddała i jeszcze udzieliła reprimendy.

Potem Merilee co najmniej przez pół minuty spuszczała z kranu zimną wodę, wreszcie zaryzykowała napełnienie w jednej trzeciej naczynia, które następnie zaniósła do pokoju i postawiła na podłodze, po czym wznowiła szczegółową procedurę rozsiadania się. Heather usiadła naprzeciw niej i bardzo się starała nie gapić, nawet gdy tamta odpięła na kilka cali zamek swojej torebki i wcisnęła w szparę dwa palce, by wyłowić pudełko z pastylkami. Pstryknięciem odemknęła wieczko, wysypała sobie na dłoń kolorową tabletkę, wrzuciła pudełeczko do torby, zamknęła i upiła tylko tyle wody, żeby wystarczyło do przełknięcia pastylki. Uczyniwszy to, spojrzała wojowniczo na swoją gospodynię, która szukała właśnie

neutralnego tematu do rozmowy. Merilee jednak ją ubiegła.

- Nadal jest jej lepiej?

Bez wątpienia zakładała, że jej rozmówczynie powinna wiedzieć, o czym mowa. Heather dobierała więc słowa bardzo ostrożnie mimo uczucia nagłego ucisku w gardle.

- Dlaczego nie miałyby być? - zaryzykowała.

- Wróciła tu.

- Właśnie.

Przestraszyła się, że może zdradziła, iż nie bardzo rozumie odpowiedź, bo Merilee zaczęła wybałuszać lewe oko. Chyba jednak się udało, gdyż po chwili kobieta oznajmiła:

- Ona też się bała.

- Niby czego?

- To miało jakiś związek z jej ojcem, co nie? Nie byli czasem... no wie pani... zbyt blisko?

- Zbyt blisko?

Merilee najwyraźniej potraktowała ostry ton Heather jako potaknięcie.

- Czy on jej coś robił, jak była dzieckiem? Nigdy jej nie mówiłam, ale ja właśnie przez to ześwirowałam.

- Przepraszam bardzo - wycedziła Heather, po czym pospiesznie kontynuowała: - Ojciec nigdy nie skrzywdziłby żadnej z nas. A nawet gdyby chciał, w co oczywiście nigdy nie uwierzę, nie miałby okazji.

- No to musiał być jakiś inny facet.

- I niby co miał ten facet zrobić?

- Bo ja wiem? Może po prostu ją wołał?

- I mówił...?

- Tego to nie wiem. Ale chyba samo słyszenie go ją przerażało. Raz mi powiedziała, że był pomieszany ze wszystkimi historiami w jej głowie i ciągle się pojawiał zamiast jakiejś postaci.

- W takim razie nie szło o kogoś, kto ją nachodził.

Początkowo Heather przestraszyła się, że zdradziła się z niewiedzą, ale wzbudziła tym raczej rozbawienie niż podejrzliwość.

- A po cholere by się zwierzała z tego, że jakiś fagas ją nachodzi?

- Jasne - powiedziała, czując się, jakby dostała pięścią w żołądek. - Czy mogę zapytać, skąd pani to wie?

- Mieszkałyśmy razem w pokoju. Mówiła mi więcej niż lekarzowi.

Tysiące myśli kołatały jej się po czaszce, lecz nie potrafiła wyłowić z nich odpowiedzi.

- No więc gdzie ona jest? - zapytała natarczywie Merilee.
- Na spacerze z moim synem.
- Na kartce pisało, że pani wie gdzie.
- Przy odrobinie szczęścia powinni już być w drodze do domu.
- Ale wciąż nie wiem skąd.
- Istotnie. Nie mam powodu, by pani o tym mówić.

Merilee w odpowiedzi uraczyła ją całą gamą tików ocznych.

Gdy żaden z nich nie wywołał odzewu, wyciągnęła jedną białą rękę, o wiele za cienką dla okrywającego ją rękawa, po czym spojrzała na Heather spode łba, jakby ją obwiniała za nieobecność zegarka.

- Jak długo już mnie tu pani zagaduje?
- Nie tak długo, jak się wydaje - wyrwało się Heather.
- Skąd pani może wiedzieć, co mi się wydaje? - mruknęła Merilee. - Pani nie z tych, co wiedzą. Jak długo? - powtórzyła jeszcze bardziej oskarżycielsko.

Była tak natarczywa, że Heather wreszcie spojrzała na własny zegarek.

- Obawiam się, że nie wiem, o której dokładnie zaczęłyśmy - przyznała, nie mogąc się doczekać, aż zostanie sama ze swoimi myślami.
- Ale chyba może pani powiedzieć, która teraz jest?
- Za dziesięć trzecia.
- Za późno - jęknęła Merilee, dodając, o dziwo, jedynie ze swoją zwykłą nieufnością: - Nie wiem, jak długo byłam na zewnątrz. Na pewno cienie już się obudziły.

Heather pomyślała, że jej rozmówczyni ma na myśli zbliżający się zmierzch, po czym uświadomiła sobie, że chyba coś więcej.

- Podrzucić panią gdzieś? - zapytała głównie po to, by jak najszybciej pozbyć się gościa.
- Potrafię chodzić - odparła Merilee, demonstrując to, podniósłszy uprzednio torbę tak gwałtownie, że omal nie przewróciła szklanki z resztką wody. - Wiem, skąd odchodzi autobus na dworzec. Nie musi pani za mną iść.

Heather bez słowa odprowadziła ją do drzwi. Miała taki mętlik w głowie, że dopiero rzut oka na kartkę od Sylwii podpowiedział jej, by zapytać:

- Może chce pani chociaż zostawić wiadomość?

Merilee wlepiała wzrok w kartkę, jakby chciała z niej wyczytać, czy pozostawienie

notki nie będzie zbyt ryzykowne. Potem w milczeniu zacisnęła palce na zasuwie, a po pokonaniu tej przeszkody popędziła do bramy, zza której zlustrowała Woodland Close tak bacznie, że z pewnością nie rozglądała się wyłącznie za Sylwią. Nie wiadomo, dlaczego zaufała Heather dostatecznie, by szepnąć:

- Niech jej pani powie, że jeśli ja mogę się poczuć lepiej, to każdy może.

Heather zacisnęła palce na metalowych prętach bramy. Były twarde, ale żadną miarą nie dawały jej takiego oparcia, jakiego potrzebowała. Patrzyła, jak Merilee odchodzi niezdarnie w dal, jak dyndają jej związane loki niczym klapnięte antenki, jak torba uderza przy każdym kroku w prawe biodro, wywołując grymas tak automatyczny, że sprawiał wrażenie tiku. Gdy już znikła, Heather zamknęła się w domu, najpierw pragnąc, by Sylwia i Sam wrócili, a potem żeby jeszcze nie wracali. Przeciwnostawne pragnienia na przemian włączały się i wyłączały w jej czaszce niczym zepsuta jarzeniówka i wydawało się, że tak samo jak ona bzyczą, tylko utrudniając jej zastanawianie się nad tym, co ma powiedzieć siostrze.

Schody w ciemność

Może to wcale nie będzie powieść, myślał Sam, tylko zbiór opowiadań, a to o Leścu będzie po prostu jednym z nich - opowieścią o jego narodzinach w niezmiernym lesie i o tym, jak próbował zobaczyć, co jest dalej. Nie sądził, by dało się zmieścić w powieści wszystkie pomysły, które dotąd przysły mu do głowy: nawet tych, które już zapisał, było za dużo. Umieścił tam czarno-biały drewniany domek, którego poszczególne części zdawały się wybrzuszać i oddalać od siebie tylko po to, by zawijać się do środka jak złudzenie optyczne, a potem wracać do pierwotnego stanu ruchem przypominającym szybujące na wietrze liście. Samuel nie wiedział, co stałoby się z kimś, kto zabłąkałby się do tego domu, ani z kimś, kto skierowałby się ku kościołowi, który z bliska okazywał się jesiennym drzewem o kształcie wznoszącej się w głębi lasu wieży. Mógłby też spotkać o zmroku kogoś o twarzy, która nagle blednie, rozrasta się i rozmywa, a potem wędrowiec czuje na skórze, lub pod skórą, mrowienie, jak gdyby roilo się tam od robaków. W innym miejscu mógłby poczuć na grzbietach dłoni lodowate krople i w końcu dostrzec wsiąkającą w skórę maleńką przejrzystą kuleczkę zawierającą albo jego miniaturowe odbicie, albo twarz, która dopiero staje się jego twarzą. Czy wszystkie te rzeczy Lesiec mógłby uważać za naturalne? Samuel nie wiedział, co by to w ogóle miało oznaczać. Ważniejsze wydawało mu się rejestrowanie pomysłów, nawet jeśli nie miał pojęcia, skąd się biorą - samo ich pojawianie się na ekranie było jak kontynuacja snu o nich. Ostatnio wymyślił historyjkę o tym, że wykrzyknięcie w głębi lasu czyjegoś imienia sprowadzi tę osobę do krzyczącego. Zdawało mu się, że już o czymś takim słyszał. Zastanawiał się, czy tak istotnie było, i jednocześnie zapisywał tę myśl na komputerze, gdy nagle jakiś ruch przyciągnął jego uwagę do okna.

Nie wiedział, co to jest. Za łąką, na której każde długie źdźbło zdawało się zawzięcie demonstrować osobisty bezruch, wydłużony szkielet lasu sprawiał wrażenie równie zakorzenionego w czystym błękitnym niebie jak w ziemi. Ze skraju lasu styczniowe cienie sięgały ku miastu i Sam nagle doznał wrażenia, że albo drzewa, albo same cienie nie są takie, jakie być powinny. Czuł, że zbliżają się i osaczają jego umysł, a kiedy tak się na nie gapił, z parapedu dobiegło cykanie.

A więc to był ten ruch, który wcześniej zauważył: jakiś owad przysiadł za oknem. Samuel przechylił się przez biurko i w odpowiedzi cykanie się wzmogło. Stworzonko jednak odleciało, ledwie zdążył je dostrzec. Opadł z powrotem na krzesło, z każdą sekundą tracąc uzyskaną w owym momencie pewność, że to co ujrzał, nie było owadem, lecz ptakiem o odwróconej głowie, tak różnobarwnym jak las, choć mniejszym od konika polnego. Gdy znikająca plamka odleciała ku drzewom i znikła, usłyszał dźwięk za plecami.

Ktoś pukał do drzwi, ale drewniany odgłos sprawił, że chłopak poczuł się otoczony przez las, przez budzący się sen, w którym przez cały czas był głęboko zanurzony, nie wiedząc o tym. Kiedy odpowiedział: „Jestem tu!”, być może po prostu próbował przekonać samego siebie.

- A nie chciałbyś być gdzie indziej? - usłyszał głos Sylwii.

- Może...

Drzwi uchylły się na cal.

- Mogę wejść? - zapytała cicho.

- Nie mam nic do ukrycia.

Nie zdawał sobie sprawy, jak blisko podeszła, póki nie poczuł opuszków jej palców na ramionach.

- Nie wiedziałam, że jesteś zajęty - rzekła.

- Chyba i tak uciekło mi natchnienie.

Milczała długo; chyba dłużej, niż trwało czytanie z ekranu.

- Nim się obejrzysz, będziesz taki jak ja, Sam.

- A co w tym złego? - zapytał z uprzejmości.

- Nic, jeśli Heather to zaakceptuje - mruknęła Sylwia i jej piżmowy zapach perfum jeszcze się zbliżył. - Jeśli zawołasz kogoś w lesie, przyjdzie do ciebie... To bardzo stare wierzenie. Może powinniśmy spróbować.

Przypomniał sobie noc, kiedy oboje stali w oknie i obserwowali deformujący się pod wpływem wichru las. Widok poprzewracanych i pochylonych drzew na skraju łąki, ale też uczucie, że tkwi tam jakaś tajemnica, którą oboje znają, nie rozumiejąc jej - tak przynajmniej było w jego wypadku, lecz przypuszczał, że Sylwii także dotyczyło - wszystko to ciągnęło jego myśli w tamtą stronę.

- Kogo byś zawołała? - zapytał.

- Nikogo, kto by się tobie nie spodobał. Albo w ogóle nikogo, jeśli nie podoba ci się ten pomysł, ale tak czy owak mam ochotę przejść się tam dzisiaj. Potowarzyszysz mi?

- Raczej tak - odparł, wyłączając komputer. - Nie powinnaś tam chodzić sama.

Powiedział tak ze względu na jej ciężę, lecz równie dobrze mógłby mieć na myśli znacznie więcej, choć nie wiedział dokładnie co. W milczeniu czekał, aż Sylwia znajdzie notes i napisze wiadomość jego matce, a kiedy kartka sfrunęła na schody jak liść, mógł już tylko ruszyć do wyjścia śladem swej towarzyszki.

Wyszli przednią bramą, nie chcąc zostawiać otwartej furtki od tyłu. Gdy doszli do końca Woodland Close i skręcili na łąkę, nisko zawieszona słońce wpadało właśnie w szpony lasu.

- Mam wrażenie, że zaczyna się coś więcej niż tylko nowy rok - powiedziała Sylwia.

Pomyślał, że chodzi jej o niespotykane o tej porze roku ciepło, które zdawało się emanować z lasu dzięki schwytanemu przezeń słońcu. Kiedy tak szli przez wysokie wilgotne trawy i ich ukryty tajemny chłód, ciotka położyła mu rękę na ramieniu, tak lekko, że nie wiedział, czy wspiera się o niego czy raczej go prowadzi. Drzewa stały nieruchomo jak martwa natura, ale czyżby ich cienie na łące ledwo widocznie się przesuwaly? To pewnie powietrze faluje od ciepła, pomyślał, patrząc, jak ów ruch cofa się w głąb lasu, wywołując drgania kolejnych szeregów drzew, które w ułamku sekundy nieruchomiały, zadając kłam tamtemu wrażeniu. Gdy dotarli do skraju lasu, ruch zdążył umknąć gdzieś w głąb.

- Gotowy? - zapytała Sylwia.

Między dwoma pochyłymi drzewami była szczelina uderzająco niemal podobna do starożytnego portalu otoczonego dwiema zrujnowanymi kolumnami. Pytanie sprawiło, że Sam poczuł się, jakby miał przekroczyć jakąś niewidzialną granicę.

- Na co? - wybąkał.

- Na mnie.

- No jasne. - Uczciwość zmusiła go do dodania: - A co zamierzasz zrobić?

- Miejmy nadzieję, że nic zbytnio zawstydzającego. Jeśli przesadzę, zawsze możesz sobie pójść.

Musiał przyznać w duchu, że Margo lub jego matka byłyby bardziej kompetentne w radzeniu sobie z emocjami Sylwii, ale to nie znaczyło, że nie ma się starać.

- Nie zrobię tego - obiecał.

- W takim razie ja też jestem gotowa - powiedziała ciotka, jakby proponowała jakąś grę, i trzymając go pod ramię, przeszła wraz z nim przez szczelinę.

Natychmiast znaleźli się pośród całkowitego bezruchu, jakby pochwyciła ich pajęczyna niezliczonych cieni - tyle tylko że mogli się swobodnie poruszać, zmierzając przed siebie, zamiast dać się do reszty oplatać. Niemniej musieli trochę krążyć, by ominąć płataniny połamanych przez wiatr gałęzi, z których niejedna wyglądała jak kość odłupana i odbarwiona

przez jakiś proces trawienny. Liczne przewrócone drzewa także nie były zbyt odległe w kształcie od całych szkieletów, choć Sam wolałby nie wyobrazić ich sobie pokrytych ciałem. Ciężka mu nieprzyjemna obecność lasu wokół, a przede wszystkim za plecami. Obejrzał się i odkrył, że łąka jest bardziej odległa i mniej widoczna, niż sądził, a domów w ogóle nie widać. Sylwia ścisnęła go za ramię, jakby sprawdzała, czy z nią jest, lub chciała odwrócić jego uwagę.

- Też to czujesz? - zapytała.

Nie chciał się przyznawać do niepokoju, by jeszcze bardziej jej nie zdenerwować.

- Chodzi ci o ciszę?

- Między innymi.

Może go podpuszczała, żeby zapytał o resztę, lecz nie zrobił tego, poczuł się za to w obowiązku poszukać wskazówek. Czy mogło jej chodzić o to, że podłoże ustępuje pod ich butami w taki sposób, jakby było czymś innym niż tylko ziemią zasłaną liśćmi? Chętnie zobaczyłby więcej nieba niż te skrawki uwiecznione w sieciach z gałęzi. Coraz to nowe drzewa wpełzały w jego pole widzenia, choć tylko dlatego, że on się poruszał, i naprawdę nie było tam nic szarego, łuskowatego i tak chudego jak one, a może i chudsze, co by się pod nie podszywało. Zaczynał czuć, że przeżył już kiedyś coś podobnego, a może i to samo. Czyżby zapomniał resztę? Nie miał jednak najmniejszej ochoty sobie przypominać; rozglądał się natomiast za istotami podobnymi do tej, którą ujrzał na swoim parapecie, ale wyglądało na to, że jedyną formą życia w tym lesie są drzewa. Przypomnił sobie, że podczas protestu przeciw budowie obwodnicy częściej widywał ptaki przelatujące ponad lasem niż nurkujące w jego gęstwinach, lecz teraz wśród nagich gałęzi widać było gniazda w koronach, nawet jeśli wyglądały na zrobione z kości i raczej wyrastające z drzew niż zbudowane na nich. Kiedy już raz je zauważył, nagle zaczęły mu się pojawiać wszędzie, zzieleniałe od rozkładu lub porostów. Kuśtykał szybko, by dotrzymać kroku Sylwii prącej uparcie naprzód ciężkim krokiem kobiety brzemiennej, gdy nagle się odezwała:

- Jesteśmy blisko.

- Skąd wiesz?

- Nadal nie czujesz?

Miał nadzieję, że nie chodzi jej o to, czego ze wszystkich sił starał się nie czuć - o to, że ustępujące podłoże lasu przywodzi mu na myśl ciało. Nie musiał się wcale wysilać, by sobie wyobrazić, że chodzą po twarzy wielkości lasu, spłaszczonej i wstrzymującej oddech w oczekiwaniu na to, aż zbliżą się do jej ust. Przeszedł go dreszcz, jakby jego ciało chciało jak najszybciej zrzucić z siebie przyklejone doń cienie. Sylwia znów ścisnęła go za ramię.

- Cokolwiek czujesz, jest słuszne - wymamrotała.

- Wątpię.

- Nie bój się. Ja się nie boję, więc czemu ty byś miał?

- Nie powiedziałem, że się boję.

- Ja nigdy nie odczuwam strachu, jak tu jestem. Tylko czasem o tym zapominam, gdy jestem gdzie indziej.

- Musiałaś się...

- Nie krępuj się, Sam.

Trudno było mówić i równie trudno znaleźć słowa.

- Ostatnim razem, jak tu byłaś.

- Wtedy też nie.

- Bo byłaś zamoczona lekami.

- Żałuję, że to zrobił. One tylko przeszkodziły.

- W czym? - zapytał, choć wolałby tego nie robić.

- No właśnie - odparła niecierpliwie Sylwia, rozdrażniona albo przez niego, albo przez siebie samą. - Rzecz w tym, że nie pamiętam. To pewnie przez te leki.

- Ale skoro nie pamiętasz...

- Wiem, że to było coś niezwykłego. Tyle udało mi się zachować - rzekła Sylwia, po czym ściszyła głos. - Czuję, że to może być coś, ku czemu zmierzałam przez całe swoje życie - wyznała.

Mówiła tak, jakby ktoś mógł ich podsłuchiwać. Nie mogła więc być tak spokojna, jak utrzymywała. Samuel mimowolnie rozglądał się wokół, mając zarazem nadzieję, że nic nie zobaczy. Najbliższe drzewa unosiły swe gniazda ku niebu, jakby chciały pochwycić jakiś jego fragment. Z licznych gałęzi w dole wyrastały pąki o dziwnie niepokojących kształtach. Nim zaczął sobie wyobrażać, co mogą kryć, o ile w ogóle miał na to ochotę, Sylwia powiedziała:

- Jesteśmy.

A powiedziała to tak głośno, jakby zwracała się nie tylko do niego. Ruszyła przed siebie - wydawało się, że ciężki brzuch ciągnie ją do przodu. Przed nią, za drzewami, Sam dostrzegł centralny punkt lasu z ceglanym kręgiem pośrodku polany. Cegły i znajdujący się wewnątrz kopiec leżały poza zasięgiem cieni, jak gdyby las postanowił skupić w tym miejscu całe światło słoneczne. Kopiec trochę za bardzo kojarzył się Samowi z kurhanem, zwłaszcza odkąd omal nie stał się grobem Sylwii. Zdenerwowany chłopak patrzył, jak jego ciotka podchodzi doń i obwieszcza:

- Tu byłam.

Tym razem nie spieszył się z przykuśtykaniem do niej.

- Mówisz, jakbyś się z tego cieszyła - rzekł, nie zdoławszy wymyślić nic mądrzejszego.

- Może to ze względu na spokój ducha.

- Cieszę się, jeśli go odczuwasz. - Panujący wokół bezruch, teraz jeszcze bardziej sprawiający wrażenie oddechu powstrzymywanego przez wielkie płuco, tłamsił jego głos. - Że go odczuwasz. Bo widzę, że tak jest.

- Istnieją gorsze miejsca na oprzytomnienie.

- Masz na myśli obecną chwilę?

Już prawie myślał, że bezruch zagarnął i ją, gdy wreszcie się odezwała:

- Wtedy.

Dojrzałość wymusiła na nim pytanie:

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Tak, póki pamiętam. Może to zwiększy szanse na zachowanie czegoś w naszych głowach. Jestem przekonana, że jak tylko wychodzę z lasu, zapominam wszystko, co się tu wydarzyło.

- Ja też - przyznał Sam, czując, że ryzykuje coś nieuchwytnego.

- Dobrze zrobiłam, że cię tu zabrałam, prawda?

Nie wiedział, czy owo „dobrze” ma się odnosić do niej czy do niego.

- No więc co pamiętasz? - zapytał pospiesznie.

- To było jak budzenie się.

- Co, wspomnianie?

Zachichotała, a część lasu jakby podchwyciła echo cichutkiego, wysokiego dźwięku.

- Przytomnienie. Ciągle myślałam, że jesteśmy na wycieczce pod gołym niebem i że ojciec przykrył mnie na noc. Wcale nie czułam się tak źle, gdy sobie uświadomiłam, co naprawdę zrobił.

- Byłaś odurzona lekami.

Przestała chodzić wokół kręgu i zmarszczyła brwi.

- Kiedy uwolniłam ręce i twarz, nie przeszkadzało mi leżenie tu. Widziałam, jak wszystkie drzewa mnie obserwują. To było jak powrót do dzieciństwa.

Samuel zerknął na drzewa, których beznamiętność bynajmniej nie wydała mu się pokrzepiająca.

- Nie mogłaś zbyt długo leżeć pod ziemią - rzekł, pocieszając raczej siebie. - Nie mogłabyś oddychać.

- Ale może mogłam robić co innego.

Rozumiał, że Sylwia musi się jakoś oswoić z tym, co przeszła, lecz ona zdawała się wręcz za tym tęsknić.

- Skoro leżenie ci nie przeszkadzało - zauważył - to dlaczego wstałaś?

Przechyliła się przez ceglany murek i środek jej luźnej sukienki napiął się.

- Nie chciałam, żeby mama się o mnie martwiła.

Miała tak rozkojarzony głos, jakby mówiła, co jej ślina na język przyniosła, niekoniecznie całą prawdę, niekoniecznie w ogóle prawdę. Brzuch zdawał się ściągać ją ku kopcowi, aż nagle zniknęła za murkiem. Samuel pokuśtykał do niej, sądząc, że się potknęła, ale ona tylko przykucnęła.

- Patrz! - szepnęła.

Jej szept sprawił, że panujący wokół bezruch zacieśnił się wokół nich. Światło skupione na polanie było tak intensywne, że kopiec zdawał się lśnić czernią głębszą niż czerń nocnego nieba. Z kopca zaś wystawał zniszczony brązowy przedmiot, który Sam w pierwszej chwili wziął za wydłużony jesienny liść. Musiał się schylić, by jego oczy znalazły się na wysokości oczu ciotki, i dopiero wtedy zauważył, że widniejące na nim znaki nie są jedynie zmarszczkami wypełnionymi ziemią. Były to litery naniesione pismem, które zdawało się liczyć setki lat. „Ja, Nathaniel” - głosił napis.

Samuel gapił się na niego w oszołomieniu. Szybko odrzucił myśl, że to odwołanie do Biblii, bo Sylwia włożyła palce pod przedmiot, próbując go podnieść, i krzyknęła cicho - przedmiot bowiem rozsypał się na cząstki tak mikroskopijne, że nie było na nich widać żadnych liter, Sam zaś natychmiast zaczął się zastanawiać, czy to mimo wszystko nie był liść. Sylwia zaczęła się prostować, zdrapując z dłoni brązowe płatki, ale naraz przyklekła na jedno kolano i zanurzyła palce w ziemi.

- Tu jest coś jeszcze.

Samuel nie palił się do sprawdzenia tego: wystarczył mu widok ciotki ryjącej kopiec palcami. Gdy przestała, pomyślał, że może uświadomiła sobie, jak wygląda. Tymczasem ona rzuciła:

- Przynieś kij.

Może i nie mówiła takim tonem, jakim mówi się do psa, ale i tak poczuł się urażony. Tak czy inaczej nie mógł odmówić, biorąc pod uwagę jej stan. Chyba już wcześniej zauważył gałąź leżącą na skraju polany, ponieważ od razu ruszył w tamtą stronę.

- Mistrz i jego laska - zażartowała Sylwia, biorąc kij z jego ręki i odgarniając nim ziemię. - Miałam rację! - zawołała.

Przez chwilę sądził, że odsłoniła tylko fragment fundamentów, ukazując przypadkowy odcinek poczerńałego kamienia. Wtedy jednak Sylwia wsunęła kij na kilka cali w ziemię, a gdy mocniej przycisnęła, wszedł jeszcze głębiej.

- Masz - powiedziała, wysuwając częściowo gałąź i obracając ku niemu. - Sam sprawdź.

Był niemal wystraszony. Nie chcąc jej tym zarazić, wspiął się na kopiec i schwytał gałąź. Zauważył, że odsłonięta płyta jest pęknięta: była tam poszarpana szpara, szeroka mniej więcej na stopę i wypchana ziemią, i właśnie w nią Sylwia wtykała kij. Samuel wepchnął go energicznie, napotykając na głębokości kilku cali tak twardą przeszkodę, że aż zadrżały mu ręce. Wyciągnął kij, po czym wepchnął go głębiej i kolejnych kilka cali niżej znalazł kolejną przeszkodę, a kiedy wsparł się na kiju, odkrył trzecią.

- Wiesz, co to jest, prawda? - zapytała z ożywieniem Sylwia.

- Schody.

- Jak myślisz, jak głęboko prowadzą?

- Nie mam pojęcia.

- Sprawdźmy, co?

Musiał zrobić ciekawą minę, bo jego towarzyszka zachichotała tak głośno, że aż echo odbiło jej śmiech.

- Nie teraz. Będziemy potrzebować latarki i łopaty - powiedziała. - Na razie lepiej je zakryjmy, żeby nikt nie zszedł przed nami i nie zabrał tego, co tam jest.

Obserwowała, jak Sam wyciąga gałąź i używa jej do rozsypania piachu po pękniętej płycie. Gdy skończył, poprawiła jego dzieło, a potem podeptała ziemię wokół, by zatrzeć ślady ich obecności. Widok depczącej po kopcu kobiety i dźwięki wydawane przy tym tak przygnębiły chłopaka, że wycofywał się już ku drzewom - bynajmniej nie dlatego, że liczył na jakieś pokrzepienie z ich strony - Sylwia jednak powiedziała:

- Zaczekaj no jeszcze.

- Co znowu? - rzucił nerwowo, ale echo nie podchwyciło jego słów.

- Lepiej się zabezpieczyć przed zapomnieniem. - Oparła gałąź o najbliższe drzewo, wyłowiła z kieszeni długopis i napisała na grzbiecie dłoni wiadomość, którą następnie mu pokazała: łopata światło LAS. - Teraz nawet jeśli zapomnimy, co to znaczy, będziemy wiedzieć, co robić - oznajmiła, najwyraźniej sądząc, że go tym ucieszy. Tak się nie stało. Gdy Sam odwracał się plecami do kopca, by eskortować Sylwię, ogarnęła go pewność, że już zdążył zapomnieć coś, co wiązało się z tym miejscem. Z jakiegoś niewiadomego powodu - na którego identyfikacji wcale mu zresztą nie zależało - przyjmował to z wdzięcznością.

Tajemnice

Heather nie wiedziała, jak długo siedziała przy oknie w pokoju Sama, czekając na powrót jego i Sylwii, nim w końcu dostrzegła jakiś ruch w głębi lasu. Przechyliła się przez biurko, boleśnie trąc łokciami o blat, z którego pousuwała graty, i zobaczyła, że zza drzewa wyłania się jej siostra, a za nią syn. Gąszcz wywoływał mylne wrażenie, że para raczej się cofa, niż idzie do przodu, jakby las i mgiełka otulająca pnie ciągnęły ich ku sobie. Wstała i wyteżala wzrok tak bardzo, aż rozboleły ją oczy, a wszystko po to, aby się upewnić, że wędrowcy istotnie wychodzą z lasu, a nie z jego wydłużonych cieni. Ich cień wlokł się przez łąkę na czterech wydłużonych odnóżach, kiwając synchronicznie obiema głowami; z jakiegoś powodu ów spektakl wydał się Heather tak nieprzyjemnie fascynujący, że nie zdołała oderwać wzroku od okna, póki Sylwia i Sam nie znaleźli się w połowie drogi do Woodland Close. Nie chciała, żeby zobaczyli, że ich wypatruje - i że szykuje się do rozmowy z siostrą.

Zeszła do kuchni i czekała na stukot furtki. W zamian po stanowczo zbyt długim czasie usłyszała dźwięk przekręcanego we frontowych drzwiach klucza. Pewnie są tak zmęczeni, że ledwo się wloką, pomyślała.

- To my! - zawołał Sam.

- Wszyscy troje - dodała Sylwia.

Od jak dawna już jej brzuch wyglądał, jakby szykował się do pochłonięcia swej nosicielki? Być może obszerna suknia uwypuklała ciężę, a może, choć Heather myślała o tym z niechęcią, wizyta Merilee sprawiła, że zaczęła baczniej przyglądać się Sylwii.

- Ktoś chce kawy? - rzuciła, próbując udawać, że nic się nie stało. - Sam, dzwonił Andy. Chce się z tobą spotkać. Nie mówił po co.

- W takim razie podjadę do niego.

- Hej, o czym mieliśmy pamiętać? - Sylwia zatrzymała chłopaka, a potem zerknęła na rozmazane litery na swojej dłoni.

- Jest! - rzuciła. - Lepiej od razu zapiszę to gdzie indziej.

Nim Heather zdążyła zapytać, co to takiego, jej siostra niezgrabnym krokiem pospieszyła do swego pokoju.

- Powinienem zdążyć na obiad! - zawołał Sam.

- Jedź ostrożnie! - odkrzyknęła machinalnie Heather. Gdy tylko usłyszała, jak volkswagen wytacza się na drogę, zawołała do Sylwii: - To jak z tą kawą?

- Wolałabym się na chwilę położyć.

- A będzie ci przeszkadzało, jak przyjdę i pogadam?

- Dlaczego miałyby mi przeszkadzać?

Heather pomyślała, że może istnieć pewien powód. Tak czy owak, skoro Sylwia nie miała ochoty na kawę, to ona też nie: i bez tego krew w niej buzowała. Wchodząc na górę, wciąż zastanawiała się, co powiedzieć. Sylwia leżała na grubej zielonej kołdrze pod liściastą tapetą i Heather przez moment wyobraziła sobie, że jej siostra spoczywa na pokrytym trawą zboczcu gdzieś w głębi lasu. Jej brzuch istotnie stał się bardziej wypukły - to pewnie przez pozycję, w jakiej leżała. Starsza z sióstr przysiadła przy dawnym biurku ojca, tyłem do drzew, które wyciągały ku domowi swe pajęczne cienie, ściskając w łapach słońce.

- Spacer się udał? - zapytała.

Sylwia zamknęła oczy. Na jej ustach błąkał się ledwo widoczny uśmiech.

- Chyba tak.

- W takim razie czujesz się teraz lepiej.

- Pełniej.

- Samuel dobrze się tobą opiekował?

Sylwia rozsunęła splecione na brzuchu ręce i Heather zauważyła, że napis na jej lewej dłoni jest nieczytelny, a skóra wygląda na brudną i posiniaczoną.

- Bez niego nic bym nie zrobiła.

- To dobrze - odparła Heather z przesadnym entuzjazmem. - Co mogło być takie ważne, że napisałaś to na własnej ręce?

Sylwia zacisnęła powieki - trudno było powiedzieć, czy usiłuje uciec od tego pytania, czy sobie przypomnieć.

- Pewna wiadomość - odparła wymijająco.

- Tajemnica?

- Może. Dopóki jej nie rozwikłam.

- Wiem, musisz sobie wszystko poukładać. Nie pozwól, żebym cię powstrzymała. -

Gdy Sylwia przyjęła to całkiem beznamiętnie, Heather wzięła głęboki oddech. - Muszę cię przeprosić - powiedziała.

- Nie powinnaś - odparła Sylwia, odnajdując Heather sennym wzrokiem. - Ani trochę mnie nie zdenerwowałaś.

- Nie chodzi mi o tę chwilę.

- Ani w tej chwili, ani w żadnej od dawna. Szczerze mówiąc, nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio to zrobiłaś. Nie musisz się aż tak wysilać, by tego nie robić. Po prostu mi powiedz, kiedy cię zmęczy odgrywanie roli starszej siostry.

- Nie wiem, jak mogłoby mnie zmęczyć - rzekła Heather, wmawiając sobie, że dotyczy to także terażniejszości. - Chciałam cię przeprosić za to, że zapomniałam przekazać ci wiadomość.

- Kiedy?

- W dniu, w którym zginął tata.

- W takim razie nie dziwi mnie, że zapomniałaś, więc przestań się kajać. A co to za wiadomość?

- Poszukiwał cię ktoś, kto cię znał z Ameryki. Ktoś, z kim dzieliłaś pokój.

- A konkretnie?

- Merilee.

- Aha - odparła Sylwia, przymykając powieki. - Pamiętam ją.

- Tak przypuszczałam. Była tu dzisiaj.

Powieki Sylwii zastygły, nim zdążyły się do końca zamknąć.

- Przyjdzie jeszcze?

- Podejrzewam, że jest już w drodze na lotnisko.

- Od dawna chciała podróżować. Uważa, że wszędzie w Stanach rzeczy dzieją się albo za szybko, albo za wolno. Szuka miejsca, które miałyby dość długą historię, by mogła je uznać za stabilne.

- Ona mnie nie obchodzi, Sylwio. Obchodzisz mnie ty.

- Mam nadzieję, że znajdzie swoje miejsce - odparła nieco przekornie Sylwia, nadal trzymając powieki półprzymknięte.

- Dużo rozmawialiście?

- Dość.

- I co ci o mnie powiedziała?

- Jak i gdzie się spotkałyście. - Uchylone oczy Sylwii patrzyły gdzieś obok Heather, która miała ochotę zerwać się z krzesła i schwycić siostrę za rękę. Zamiast tego jednak zaprotestowała: - Zdaje się, że nie miałyśmy mieć przed sobą tajemnic.

- Może nikt nie jest w stanie podzielić się wszystkim, co ma. I może nie powinien. - Sylwia otworzyła oczy, by sprawdzić, czy odpowiedź zadowoliła Heather. Przypominało to dziecięcą zabawę. - Tobie bym powiedziała - dodała. - Myślę, że jeśli ja sobie z tym

poradziłam, to i ty potrafisz. Ale nie chciałam, żeby mama pomyślała, że staję się taka jak tata.

- A stajesz się?

Sylwia zachichotała tak głośno, że Heather odniosła wrażenie, iż słyszy za plecami cichutkie, ulotne echo.

- Daj spokój. Czy zachowuję się jak on?

- Oboje mieliście fioła na punkcie lasu. To znaczy, on miał, a ty wciąż masz.

- Chcesz powiedzieć, że to musi być to samo.

- Skoro nic mi nie mówisz, to skąd mam wiedzieć? No dobrze, to nie w porządku. Wiem, z czym musisz się zmagać, ale nie dlatego byłeś w szpitalu razem z tą kobietą.

- Nie musisz mówić tego tak, jakby to była jej wina. Mnóstwo rzeczy zważyło jej się na głowę.

- Po prostu jakoś mi się nie podoba, że mieszkałaś w pokoju z kimś takim.

Heather usłyszała we własnym głosie nie tylko troskę, lecz i zazdrość. Być może dlatego Sylwia zaryzykowała lekki uśmieszek.

- Nie martw się, Heather. Nie można się zarazić problemami psychicznymi drugiej osoby tylko poprzez mieszkanie z nią w pokoju. Tak przynajmniej mówią.

Zarówno jej uśmiech, jak i ta uwaga tak rozgniewały Heather, że powiedziała:

- W takim razie z czego trzeba cię wyleczyć?

- Z niczego.

- To nie jest...

- Nie krępuj się. Sama mówiłaś, że nie powinniśmy mieć tajemnic.

- Skoro byłaś w szpitalu, musiał być jakiś powód.

- Nie to chciałaś powiedzieć.

- Twoja koleżanka powiedziała, że taki powód istniał.

- Nie wiem, dlaczego jej wierzysz, skoro uważasz ją za stukniętą dziwkę.

- Tego nie powiedziałam. I raczej nie mówię takich rzeczy, prawda?

- Tylko myślisz.

Heather wstała tak gwałtownie, że Sylwia zamarła i nie poruszyła się nawet, gdy siostra przysiadła na łóżku i pogłaskała ją po czole.

- Chcę jedynie powiedzieć - rzekła nie całkiem szczerze - że musiałaś czuć, iż potrzebujesz pomocy.

- Po prostu musiałam sobie poukładać sprawy, a szpital wydał mi się dobrym miejscem.

- Jakie sprawy?

- Materiał na nową książkę. Za dużo go krążyło mi po głowie, kiedy usiłowałam zarabiać na życie, zatrudniając się tu i ówdzie. Masz szczęście, że nie musisz pisać.

- A teraz nad nią pracujesz?

- Teraz myślę głównie o Nattym. I pewnie tak będzie, póki nie pojawi się na świecie, a potem, kto wie?...

- Jeśli będzie choć trochę podobny do Sama, na jakiś czas stanie się całym twoim światem.

- Nie ma sprawy. I co, już zadowolona?

Heather żałowała, że nie potrafi kłamać.

- Nie całkiem, Sylwio.

- Więc mów dalej! - zawołała Sylwia, podnosząc się gwałtownie. - Skoro tak bardzo chcesz, powiedz mi, o czym mówiła Merilee.

Ruch sprawił, że jej brzuch dotknął dłoni Heather. Dziecko było równie nieruchome jak las o zmierzchu.

- Ja tylko chcę dla ciebie jak najlepiej - mruknęła.

- Więc dokończ!

- Mówiła, że słyszałaś kogoś, kto wzywał cię do domu.

- A ty uważasz, że nie?

- Jeśli mi powiesz, że tak było, uwierzę.

- Dobrze wiesz, że słyszałam - rzekła Sylwia, spoglądając obok niej w zapadającą ciemność. - To dlatego wróciłam.

- W takim razie po co...

- ...dałam się hospitalizować? Wiesz, czasem muszę się zgodzić z mamą, że przydałoby ci się więcej wyobraźni. Może gdybyś myślała, że gada do ciebie głos, który nie zamilknie, póki go nie posłuchasz, też byś zaczęła brać tabletki na uspokojenie.

- I chcesz powiedzieć, że to wszystko?

- Musiałam im powiedzieć, że nic mi już nie dolega, inaczej by mnie nie wypuścili.

Heather chciała w to wierzyć. Jasne, to musiała być prawda. Otworzyła usta, by coś powiedzieć - nie wiedziała jeszcze co - kiedy rozległ się dzwonek.

- Otworzysz? - zapytała Sylwia.

- A chcesz, żebym otworzyła?

- To twój dom.

- Wyjrzę, kogo przyniosło. - Heather ruszyła do swojego pokoju. Wracając od okna,

czuła się nieswojo, jak dziecko, które coś przeskrobało. - To mama.

Sylwia zagroziła jej drogę u szczytu schodów. Wyciągnęła rękę, lecz zatrzymała je, gdy już miały dotknąć Heather, która doznała irracjonalnego uczucia, że nienarodzone dziecko stanęło między nimi.

- Powiesz jej, o czym rozmawialiśmy? - zapytała Sylwia.

Ktoś obcy pomyślałby, że jej beznamiętne spojrzenie oznacza obojętność.

- Nie masz w zanadrzu kolejnych niespodzianek? - zapytała Heather tak lekko, że zdumiała tym samą siebie.

- Jeśli nawet, to tylko radosne.

- Niczego, co by ją zmartwiło?

- Nie z mojej strony.

- Dość ostatnio przeżyła. Dajmy jej odczuć, że wciąż ma większość rodziny. Która w dodatku wkrótce się powiększy - dodała w ramach rekompensaty Heather, schodząc na parter.

Margo właśnie wyciągała palec w stronę dzwonka. Gdy zrobiła krok w tył, Heather pomyślała, że ją wystraszyła, ale już po chwili na twarzy matki wykwitł uśmiech, z którego wyraźnie wynikało, że po prostu chce się dobrze przyjrzeć córce.

- Już mi lepiej - oznajmiła.

- Lepiej niż kiedy, mamó?

Margo tylko zamrugała, przenosząc baczne spojrzenie na stojącą w głębi młodszą córkę, a Heather poczuła się podwójnie zignorowana.

- Jak się czuje Sylwia? - zapytała Margo.

Jako że pytanie było adresowane do nie wiadomo kogo, w pierwszej chwili obie milczały. Dopiero cisza i uświadomienie sobie, że siostra chce sprawdzić, czy Heather dochowa obietnicy, kazały tej ostatniej wykrztusić:

- Nieźle, jak widać.

- Tylko nieźle?

- Nic mi nie jest, mamó - zapewniła Sylwia. - Po prostu mam wrażenie, że mój brzuch stał się większy ode mnie.

- Identycznie się czułam, gdy nosiłam ciebie. A jak się miewa Heather?

Ponieważ nie wyglądało na to, by siostra paliła się do odpowiedzi w jej imieniu, Heather zrobiła to sama:

- Jakoś trzymam wszystko w kupie.

- I troszczysz się o wszystkich innych, jak zawsze. Zawsze taka będzie ta nasza Heather, co, Sylwio?

- Jasne.

Heather miała wrażenie, że nie tyle ją chwala, ile wydają wyrok.

- Zaśpiewałabym kolędę - rzekła Margo - ale chyba już za późno, więc może po prostu siądziemy i pogadamy?

Kiedy we trzy zasiadły twarzami do siebie we frontowym pokoju, matka zaczęła teatralnie wdychać powietrze na podobieństwo westchnień. Nawet jeśli celem tego manewru nie było sprowokowanie pytań, Heather nadal pragnęła usłyszeć odpowiedź.

- Miałaś nam powiedzieć, dlaczego trzeba cię pocieszyć - rzuciła w końcu.

- Serio?

To mogło być wezwanie dla Sylwii i ta połknęła haczyk:

- Też mi się tak zdawało.

- Chyba nie chcecie sobie zaprzętać głów problemami starej baby.

- Nie jesteś stara, i oczywiście, że chcemy. Jeśli nam nic nie powiesz, jeszcze bardziej będziemy się martwić. Chyba nie chcesz, żeby Sylwia się denerwowała w jej stanie?

Heather zauważyła, że siostra zezuje w jej kierunku, jakby chciała sprawdzić, jaki konkretnie stan miała na myśli. Obie wpatrywały się w Margo, aż ta przywołała na twarz krzywy uśmiech, niepasujący do jej słów.

- Na wystawie wszystko się rozwaliło.

- Znów coś gadają? - zapytała gniewnie Heather.

- Mówiłam to w sensie dosłownym. Wystawa się skończyła, a kiedy Lucinda i reszta dziewczyn próbowały wynieść moje prace, zaczęły się rozsypywać. Prace, nie one.

To miał być żart, ale oczy Heather zaszyły łzami.

- Coś w nich siedziało? - zapytała Sylwia.

- Chodzi ci o robale, takie jak te, którymi się wślawiłam, o ile można mówić o sławie?

Lucinda mówi, że niczego nie widziały.

- I co teraz robi? - zapytała Heather z gniewem, którego nie zdołała powściągnąć.

- Kazałam jej to wszystko wyrzucić. Wygląda na to, że do niczego innego się nie nadaje.

- Nie chcesz przynajmniej rzucić na to okiem?

- Wiem, że nie rozpoznałabym w tym siebie, Heather.

Ale ona była zbyt przygnębiona, aby się z tym zgodzić.

- Przecież to całe lata twojej pracy!

- Lata uczenia się, co powinnam robić zamiast tego. Teraz już to wiem.

- To doskonale, mamo.

W odróżnieniu od swojej siostry Heather nie była tak przekonana, że w słowach matki nie kryje się skrywana rozpacz.

- Ile odpowiedzialności bierze na siebie Lucinda?

- Jej firma ubezpieczeniowa przeprowadzi oględziny, ale prawdopodobnie stwierdzi, że problem tkwił w drewnie, a nie w galerii. Lucinda mówi, że to wszystko wyglądało, jakby spróchniało od środka.

Sylwia splótła dłonie na brzuchu. Ktoś mógłby pomyśleć, że się modli, gdyby nie powiedziała:

- Na pewno słyszeli o robakach.

- Niewątpliwie wysuną ten argument.

W świetle tych optymistycznych wypowiedzi Heather nie pozostawało nic innego, jak tylko spróbować dorzucić swoje trzy grosze.

- Ale obrazom nic się nie stało?

- Nie, dostanę je z powrotem. Jeśli nikt ich nie kupi, przynajmniej one mi zostaną, a poza tym pamiętajcie, że teraz kręcę filmy wideo. Muszę wam wkrótce pokazać efekty mojej pracy, choć nic, co tam robię, nie jest nawet w przybliżeniu tak ważne jak nadchodzące wydarzenie.

Sylwia pochyliła się ku swoim splecionym dłoniom.

- Słyszysz, Natty? - szepnęła. - Babcia nie może się doczekać twojego widoku.

W odpowiedzi zabrzmiało coś, co przypominało drapanie paznokciami. W pierwszej chwili Heather nie mogła zlokalizować tego dźwięku - może dlatego, że nie spodziewała się usłyszeć go tak wcześnie. Dopiero gdy w zamku szczęknął wyciągany klucz, a drzwi frontowe zamknęły się z przytłumionym dudnieniem, zawołała:

- To ty, Sam?

Ponieważ nikt inny nie wchodził w grę jako adresat pytania, nie mogła go winić, że odpowiedział monosylabą.

- Krótko byłeś u Andy'ego.

- Wystarczająco długo.

Szedł już w stronę swego pokoju, gdy Margo zawołała:

- A ze mną się nie przywitasz?

- Cześć - burknął, jakby miał ochotę na tym poprzestać, lecz ugiął się, przynosząc do pokoju obowiązkowy uśmiech wraz z resztą swojej osoby. - Cześć - powtórzył mniej więcej tym samym tonem.

- Czego chciał Andy? - zapytał Heather, korzystając ze sposobności.

Wzruszenie ramion i krótkie parsknięcie, a przynajmniej wypuszczenie powietrza, pozwoliły jej odgadnąć odpowiedź, nim padła.

- Zamyka sklep. Właściwie już zamknął. Nie wiem, dlaczego po prostu nie powiedział tego tobie, zamiast kazać mi przyjeżdżać.

- Nie przejmuj się, Sam. Będziemy mieć więcej czasu na spacer po lesie - rzekła Sylwia.

- Podejrzewam, że Sam zacznie teraz szukać innej pracy - wtrąciła Heather, mając nadzieję, że w jej głosie nie słyhać nacisku. - Terry na pewno też by tego chciał.

Być może wzmianka o ojcu Sama zdradziła rozmiary jej troski, zaległa bowiem niezręczna cisza, przzerwana w końcu przez Margo:

- A nie może robić jednego i drugiego?

- Jeśli nie da rady, może potowarzyszysz Sylwii w spacerach.

Tym razem cisza trwała jeszcze dłużej, jakby Margo z wielką starannością dobierała słowa, choć jej wybór nie zachwycił Heather.

- Nie próbuj umniejszać jego możliwości. Powinniśmy robić co w naszej mocy, by trzymać się blisko.

Albo wzięła milczenie Heather za zgodę, albo nie dotarło do niej, że córka nie ufa sobie dostatecznie, aby się odezwać.

- I co, byliście tam znowu? - zapytała Sylwię.

- Tak. Dzisiaj.

- I jak?

- Bez problemu mogłabym tam pójść w każdej chwili.

- To chyba dobrze, co, Heather? Chcemy, żeby w pełni doszła do siebie, nim będzie musiała się skupić na macierzyństwie.

Sądząc po wielkości jej brzucha, pomyślała Heather, ktoś mógłby wnioskować, że nastąpi to znacznie wcześniej, niż powinno.

- Nie myślę, żebym musiała tam chodzić jeszcze wiele razy - rzekła Sylwia. - Dzięki Samowi.

- Dzięki, Sam - niemal powtórzyła jej słowa Margo, dobijając chłopaka uściskiem dłoni. - Więc przestańże się o nich martwić, Heather. Jeśli ja potrafię, to i ty.

Heather czuła, jak otwiera usta, ale nie była w stanie przewidzieć, co powie. Miała wrażenie, że to może być jej ostatnia szansa na pozostanie sam na sam ze wszystkim, czego się dowiedziała od Merilee. Zauważyła, że jej siostra rozplaszcza palce na brzuchu, jakby jego mieszkaniec był zagrożony, i to ją przekonało.

- Dołożę wszelkich starań - obiecała i uchwyciła przelotny uśmiech Sylwii. Pewnie miał być oznaką wdzięczności; ona jednak poczuła się, jakby znów były dziećmi i ukrywały się przed matką w lesie.

Komory

- Przypomniałeś sobie? - zapytała Sylwia.

Samuel musiał wyizolować jej pomruk spośród innych odgłosów lasu. Myśl o tym, że miałby sobie przypominać coś, co jest związane z tym miejscem, wywołała w nim niemal panikę.

- A ty? - zapytał, próbując się opanować.

- Przypomniało mi się, kiedy szliśmy przez łąkę.

- No to w porządku - mruknął, nie mając pojęcia, czy rzeczywiście tak jest.

- Ale ty też wiesz, po cośmy tu przyszli.

Uniósł łopatę, której bez powodzenia próbował używać jako laski.

- To nie ma wielu zastosowań poza kopaniem.

- Nie mów, że nie wiesz, co będziemy kopać.

Wiedział, odkąd przekroczyli granicę lasu, lecz wolałby nie mówić o tym głośno, gdy szalejący wśród drzew niewidzialny wiatr poruszał gałęziami, a ich cienie wykreślały znaki przywodzące na myśl magiczny rytuał, jakby usiłowały zwabić jego i Sylwię w gąszcz.

- Schody - odparł mimo to.

- Na razie to tajemnica, ale z przyjemnością podzielę się z innymi naszymi odkryciami, kiedy ich dokonamy. A ty?

- Jest tajemnicą tylko dlatego, że mamy amnezję. Jak możesz tak spokojnie to przyjmować?

- A cóż innego możemy zrobić? Są na świecie dziwniejsze rzeczy.

Jeśli miała zamiar opowiedzieć mu kilka kolejnych swoich historyjek, jego reakcja musiała ją rozczarować.

- Wierzę - odparł pośpiesznie.

Zamilkła więc, zadowolając się trzymaniem go za ramię. Przez to milczenie Sam stał się jeszcze bardziej świadom otaczających ich dźwięków. Wymachujące ostro zakończonymi bezlicnymi łbami drzewa krakały gałęziami, lecz spoza tego dźwięku przebijały donośne, nieregularne oddechy lasu, które przypominały zniekształcony głos próbujący formować

słowa. Samuel wbił koniec łopaty w ziemię, jakby chciał dzięki temu pozbyć się wrażenia, że stąpa po czymś, co jest bardziej żywe, niż na pierwszy rzut oka się wydaje. Gdy spoza drzew wyłoniła się polana, poczuł coś na kształt ulgi, że wyjdzie na otwartą przestrzeń i być może otrząśnie się z tego wrażenia.

Sylwia tymczasem parła naprzód, ciągnąc go za ramię poprzez szemrzący, rozdrapujący niebo gąszcz. Kilka jardów przed polaną puściła Sama i pognąła przed siebie, a zatrzymała się dopiero przy kręgu z cegieł.

- Ktoś tu był - poskarżyła się. - Albo coś - dodała już bez urazy.

Kiedy Sam szedł w jej stronę, w oczy uderzył go blask dziwnie ciepłego południowego słońca. Musiał zmrużyć oczy i osłonić je wolną ręką, by zobaczyć, że podeptany podczas poprzedniej wizyty przez Sylwię fragment kopca nie został zasypany, lecz zmieniony. Teraz pokrywał go kobierzec z liści - niemal idealny kwadrat, zdający się zawierać jakiś złożony wzór. Nim zdołał się mu przyjrzeć, liście uniosły się synchronicznie, jakby wyczuły ich przybycie, i odleciały z kopca, by dołączyć do tańca lasu.

- To tylko liście - rzekła Sylwia.

Samuel próbował coś dojrzeć na skraju polany, tyle że uschnięte brązowe kształty wtopiły się już w krajobraz. Ruchy drzew i cieni, przypominające jakiś tajny rytuał, niemal go zahipnotyzowały, ciotka jednak wyrwała go z tego stanu.

- Gotów do kopania?

Nie był gotów, ale nie przypuszczał, by kiedykolwiek miał być.

- Idę - wymamrotał i przekroczył ceglany murek, żeby oczyścić ziemię wokół kopca. Szybciej niżby chciał, odsłonił betonową płytę, wyblakłą w miejscach, w których nie poczerniała, mierzącą około trzech stóp kwadratowych, z brakującym dużym fragmentem jednego rogu. Wbił do połowy łopatę w szczelinę i natknął się na przeszkodę, od której zdrząło narzędzie, jego ramiona i cały on.

- Tak nigdy się nie przedostaniemy - zaoponowała Sylwia.

- Musisz to podnieść.

Samuel upuścił łopatę i wsunął palce pod ułamany skraj. Gdy próbował unieść płytę, ziemia zazgrzytała pod paznokciami, a jego ciało od ramion po czaszkę przeszył ból. Miał wrażenie, że hałasujące drzewa wdzierają mu się do głowy. Albo to, albo wysiłek niemal go ogłuszyły. W końcu wstał.

- Nawet nie drgnie - wydusił z siebie.

- Pomogę.

- Nie wolno ci się wysilać - zaprotestował. - Pamiętaj o dziecku - dodał, świadom, że

teraz mówi już zupełnie jak Margo lub Heather.

- Natty chciałby, żebyś pomogła - odparła Sylwia i przykucnęła jakby pod wpływem nacisku przywołanej istoty. - Spróbuj jeszcze raz, Sam.

Kiedy włożyła palce pod płytę, musiał jej przyjść z pomocą. Wsunął łopatę pod złamany skraj i całym ciałem wsparł się o trzonek. Po chwili poczuł, że Sylwia też ciągnie, i wkrótce blacha zaczęła się wyginać.

- Nie da rady - wysapał z taką ulgą, że nawet udało mu się zasymulować frustrację.

- Jeszcze raz.

Mówiła tak cicho, że miał wrażenie, iż zwraca się do kogoś innego, zwłaszcza że spojrzenie miała skierowane w dół. Skoro i tak nie byli w stanie unieść płyty, nie miał nic przeciwko sprawieniu ciotce przyjemności. Wbił łopatę głębiej i starał się podźwignąć kamień. Zniekształcone mamrotanie lasu zdawało się zacieśniać wokół niego, jakby drzewa pochylały się ku kopcowi i kibicowały ich wysiłkom. Zauważył, że ręka Sylwii zaczyna drżeć od wysiłku, i otworzył usta, by powiedzieć, że już wystarczy. W tym jednak momencie płyta ustąpiła.

Być może ich ostatnie wysiłki obruszyły ziemię ubitą mocno wokół brzegów płyty, niemniej Sam miał dziwne wrażenie, że coś popycha ją od dołu. Wypuściłby z rąk łopatę, gdyby nie to, że wtedy cały ciężar spocząłby w rękach Sylwii. Opadł na kolana, bo trzonek znalazł się w pozycji niemal poziomej, a płyta przez chwilę balansowała na skraju łopaty, po czym z hukiem opadła na kopiec. Otwór, który odsłoniła, pełen był ziemi. Widok ów wydał się Samowi tak złowróżbny, że jego następne słowa mogły mieć na celu pokrzepienie siebie:

- Nie mogłaś tu chyba być, co? Nie wydostałabyś się.

- Na pewno byłam blisko i wiesz, co myślę?

- Co? - zapytał Sam, choć wolałby nie wiedzieć.

- Może on wcale nie chciał mnie zakopać? Może po prostu chciał, żebyś tam zeszła?

Nie miał pojęcia, jakim sposobem taka ewentualność może ją cieszyć, chyba że była bardziej podobna do ojca, niż ktokolwiek miał ochotę przyznać.

- Nie przerywaj - zachęcała go. - Zrób przejście.

Chciał odmówić, ale nie umiał wymyślić powodu. Jego umysł był przytłoczony bezkształtną masą dźwięku, głosem lasu. Zaczął szaleńczo kopać, zrzucając ziemię na wydobytą płytę, póki Sylwia go nie powstrzymała.

- Może będziemy chcieli włożyć ją z powrotem.

Jego chora noga wyraźnie się paliła do zademonstrowania całego nowego wachlarza bólu wywołanego naciskiem na łopatę, a ramiona podpowiadały jej kolejne pomysły, podczas

gdy zimny pot, który zdawał się zmieszany ze zwirom, był na dobrej drodze do zalania go od stóp do głów. Samuel oczyścił z ziemi jeden stopień, potem drugi - zauważył, że schody są kręte - i natknął się na przeszkodę w postaci braku fragmentu zdjętej płyty. Przez chwilę miał nadzieję, że uniemożliwi to dalsze kopanie, lecz większość ziemi przyłgnęła do płyty, pozostawiając aż za wiele miejsca. Wpatrywał się strapiiony w czerń, w którą wiodły schody, gdy Sylwia zbiegła po dwóch odsłoniętych stopniach i przygarnęła go.

- Dobra robota, Sam.

Kiedy uśmiechnęła mu się w twarz, poczuł się schwyty w pułapkę - przez nią, przez wąskie czerwonawe przejście otwierające się wokół ich łydek, przez drzewa zgrzytające jak szczeka, która właśnie na nowo odkrywa swoje zastosowanie. Nacisk wielkiego brzucha Sylwii i jej wilgotny oddech dmuchający mu w ucho przywiodły go na skraj paniki. Poraziła go nagle myśl, że może nie powstrzymać erekcji.

- Pójdiesz przodem? - wymamrotała Sylwia.

To dało mu pretekst, aby się uwolnić i wspiąć na kopiec.

- Wydaje mi się, że żadne z nas nie powinno tam schodzić.

- Nie ma się czego bać, Sam.

- Nie boję się - zaprotestował, wmawiając sobie, że dreszcz, który właśnie go przeszedł, jest spowodowany niedawnym wysiłkiem. - Po prostu uważam, że powinniśmy przyprowadzić tu więcej osób.

- Pomyśl, jak długo to może tam leżeć. Nie chcesz, żebyśmy byli pierwszymi żyjącymi ludźmi, którzy to zobaczą?

- Nie wiadomo, czy to bezpieczne.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć, i ktoś musi zaryzykować. - Przez chwilę spoglądała na niego z rozczarowaniem, po czym zamruła i wyjęła latarkę z kieszeni luźnych dzinsowych ogrodniczek. - Możesz ją potrzymać, a ja zejść - powiedziała.

Najwyraźniej nie było sposobu, by temu zapobiec. Starał się utrzymać w miejscu snop światła, ona zaś położyła dłonie na wyblakłych czerwonawych ścianach i prześliznęła się obok pochylonego fragmentu płyty. Wyglądała, jakby brzuch ciągnął ją w ciemność.

- Dzięki - rzuciła energicznie, gdy jej nabrzmiały cień rozkołysanym krokiem schodził w dół. Potem wyciągnęła rękę.

Samuel podał jej latarkę i patrzył, jak schodzi, przytrzymując się wolną ręką lewej ściany. Przecież nie musiała tego robić, powtarzał sobie. Zrobiłem, co mogłem, żeby jej to wyperswadować, ale w końcu jest dostatecznie dorosła, by wiedzieć, czego chce. Światło drgało, jakby zdradzało nerwowość, do której nie chciała się przyznać. Potem zniknęło za

zakrętem wąskiego korytarzyka, pociągając ją za sobą. Już po kilku sekundach pozostała jedynie słabiutka iluminacja, lecz i ona wkrótce znikła. Nie słyszał nawet kroków zagłuszanych przez triumfalny ryk lasu. Już miał za nią zawołać, kiedy się odezwała:

- Mam coś.

Może to tylko wąski korytarz spowodował, że jej głos wydawał się zbyt cichy, by mówiła do Sama.

- Co? - wykrztusił, a kopiec połknął jego słowa.

- Sam zobacz.

Poczuł, że otwiera usta, ale dopiero po długiej chwili zdołał wymamrotać:

- Będę potrzebował światła.

W dole jednak nadal panowała ciemność. Samuel już zaczął się zastanawiać, czy Sylwia go usłyszała, w końcu zza zakrętu wyłonił się błądy promyk, oświetlając najniższy widoczny stopień. Zabieram ciotce światło, pomyślał chłopak; zostawiam ją i jej dziecko w ciemnościach. Był tak zdegustowany sobą, że jak najszybciej opuścił się po schodkach, przyciskając dłoń do szorstkiej wilgotnej ściany i prześlizgując się obok zaklinowanego fragmentu płyty. Otaczające polanę drzewa pochylały szyje, by coś zobaczyć, aż przebiło się zza nich słońce. Jego światło i ich posapywanie oddalały się, w miarę jak Sam schodził niżej, tyle że nim zdążył wejść w snop światła z latarki, także ono poczęło mu się wymykać. Wziął oddech, chcąc poprosić Sylwię, by oświetliła schody, ale wciągnął tylko zapach czegoś przypominającego zgniliznę, choć słodsze. Nim zdołał wyrzucić to z płuc, skręcił za róg i znalazł się w blasku latarki.

No, może niezupełnie w blasku. Większość światła skupiła się za drzwiami odchodzącymi w bok od schodów; w tunelu pozostało go zaledwie dość, by zauważył, że ściana nad drzwiami jest osmalona od jakiegoś dawnego ognia. Dostrzegł też twarz ciotki wpatrzonyj w pomieszczenie za drzwiami. Mimo to gdy stanął na stopniu ponad nią, obróciła latarkę ku niemu - zdążył jedynie rzucić okiem na kształt przycupnięty pod przeciwległą ścianą pomieszczenia. Doznał nagle niemiłego uczucia, że Sylwia spodziewała się zobaczyć kogoś innego.

- Cieszę się, że postanowiłeś być odważny - powiedziała.

- Cóż, zobaczymy to - rzekł nagłaco, bo wyobrażanie sobie, co tam może być, zdawało się gorsze od rzeczywistości.

Sylwia natychmiast skierowała promień na wejście. Samuel odniósł wrażenie, że ciemność nie ma zamiaru się cofnąć; po chwili jednak zrozumiał, że ściany i niski sufit, a nawet podłoga z nagiego kamienia są osmalone. Komora była dostatecznie duża, by światło

zbladło, nim sięgnęło jej końca. Mniej więcej w połowie wklęsłej ściany, na jej styku z podłogą, skulił się - być może szukając ucieczki przed ogniem - jedyny mieszkaniec. Był to szkielet mniejszy od ludzkiego, co dawało niejaką pociechę, którą natychmiast odbierał jego kształt. Samuel wmawiał sobie, że kości są zniekształcone i poczerniałe od ognia, ale było ich zbyt wiele i wyglądały niezupełnie znajomo. Najgorsza była czaszka, bo bardzo przypominała ludzką. Chętnie by uwierzył, że to ogień w jakiś sposób pozbawił ją ust, tyle że to raczej nie wyjaśniało, dlaczego oczodoły są dwukrotnie większe, niż być powinny w stosunku do reszty.

Sylwia patrzyła na niego z podekscytowaniem, które ani trochę mu się nie podobało.

- Jak myślisz, co to jest?

- Było - poprawił ją, starając się nie wyobrazić sobie spotkania z tą istotą, kiedy jeszcze posiadała ciało, jakiegokolwiek ono było. Czy to możliwe, by ktoś natknął się na nią, gdy skradała się po schodach na czterech łapach, świecąc w ciemności wielkimi ślepiami? A może raczej truchtała sobie wyprostowana po lesie lub wyglądała zza drzew? Jaki wyraz ujrzeliby na jej bezustym obliczu? - Nigdy się nie dowiemy - dodał, próbując w ten sposób powstrzymać atakujące go myśli.

- Myślisz, że to jest to, co on chciał mi pokazać?

- Daj spokój! - zaprotestował Sam, odwracając się od pomieszczenia i marszcząc brwi.

- Racja, musi być coś jeszcze. Poszukajmy - rzekła Sylwia, świecąc w dół schodów.

Ciemność przebiegła przez celę i wejście, by spotkać się z ciemnością za jego plecami. Wystarczyłoby zrobić kilka kroków, a znalazłby się w świetle dnia, ale jak mógłby tu zostawić kobietę w ciąży? Tak, na pewno jej stan jest odpowiedzialny za ten idiotyczny entuzjazm, pomyślał. Bo cóż innego? Może nawet powiedziałby to na głos, lecz Sylwia zdążyła już zniknąć za zakrętem. Ruszył pospiesznie za nią, mając niemiłe wrażenie, że usiłuje przegonić ciemność i zdeformowany szkielet. Kiedy znalazł się na skraju światła, promień się zatrzymał i Samuel przez chwilę wierzył, że czeka na niego - póki nie zauważył, że Sylwia znalazła kolejne pomieszczenie.

Zaświeciła do wnętrza, dopiero gdy stanął obok niej. Ściana nad wejściem była osmalona, pomyślał więc, że wszystko, co znajdowało się dalej, musiało spłonąć, mimo to wstrzymał oddech, gdy Sylwia posyłała promień w głąb pomieszczenia. Było bardzo podobne do poprzedniego: ten sam rozmiar i kształt, ta sama czerń. Światło padło na spoczywającą tam istotę, która rzuciła się naprzód... nie, to tylko cienie; sama istota okazała się martwa, osmalona i pozbawiona ciała, co niespecjalnie go pocieszyło. Gdyby pozostałości twarzy były odwrócone, mógłby pomyśleć, że to szczątki dziecka o wyjątkowo wielkiej głowie. Długie nogi podciągnęło niemal pod samą wydłużoną brodę, dłonie zaciskając na kostkach stóp.

Wszystko to czyniło szkielet przygnębiająco ludzkim mimo zdecydowanego nadmiaru zębów. Samuel z całej siły starał się sobie wmówić, że nie wszystkie okrągłe dziurki w górnej części twarzy mogły zawierać oczy, lecz alternatywna możliwość zdawała mu się jeszcze gorsza.

Sylwia tymczasem przeniosła wzrok na niego. Patrzył na nią z wściekłością będącą zarówno wynikiem przerażenia, jak i próbą jego pokonania. Nim zdążył gniewnie zapytać, czego szuka, wyciągnęła dłoń i położyła mu palec na ustach.

- Słyszałeś? - szepnęła.

Kiedy opuściła palec, Samuel nie mógł wykrztusić słowa.

- Co?... - zdołał wreszcie wyjąkać.

- Coś w dole.

- Co? - powtórzył, czując się jak skończony idiota.

- Coś tam łązi - mruknęła Sylwia, kierując latarkę w dół schodów, jakby chciała przywołać to, co tam było.

- Jeśli faktycznie coś tam jest, to pewnie szczury.

Spojrzała na niego z wyrzutem, trochę jak dziecko, które ktoś próbował pozbawić złudzeń.

- Zaraz to obadamy - powiedziała i ruszyła za światłem.

Myśl, że wkrótce staną oko w oko z czymś, co hasa sobie wolno po podziemiach, na moment sparaliżowała Sama, ale zaraz potem inna myśl - że Sylwia będzie musiała samotnie stawić temu czoło - posłała go pędem w jej ślady, do oświetlonej kamiennej komory tak małej, że mógłby dotknąć ścian i sufitu, lecz zdającej się pogłębiać z każdym krokiem Sylwii. Unoszący się stamtąd lekki zapach słodkiej zgnilizny był kolejnym powodem, dla którego Sam wstrzymał oddech, gdy światło wydobyło z mroku kolejną osmaloną ścianę, a potem wpadło do środka. Sylwia rozdziawiła w zdumieniu usta.

Zmusił się, by zajrzeć do wnętrza. To co zobaczył, nie przeraziło go wprawdzie, choć nie rozwiąło też jego obaw. Pośrodku kolejnego pomieszczenia tkwił nierówny czarny stos wysokości kilku stóp. W pierwszej chwili wydawał się zbudowany z ciał lub ich fragmentów, po chwili jednak Sam rozpoznał w sterczących, przypominających kości kształtach grzbiety starych, bardzo starych ksiąg.

- Straszne... - wyszeptała ku jego zaskoczeniu Sylwia.

- Niby co? - zapytał ledwo słyszalnie.

- Nie widzisz? - odparowała z nieoczekiwaną furią. - Pomyśl, ile wiedzy mogło tu spłonąć.

- Zależy, jaka to była wiedza, prawda?

- Nie, nieprawda. Brak wiedzy oznacza ignorancję. Zdawało mi się, że pracujesz nad książką...

Zabrzmiało to tak od rzeczy, że zaczął się zastanawiać, na ile jego ciotka jest świadoma sytuacji, w którą wdepnęli. Jeśli zawartość ksiąg miała jakikolwiek związek ze stworzeniami, których szczątki znaleźli, cieszył się, że wszystkie te tomy zmieniły się w kupę popiołu. Już miał powiedzieć to głośno, gdy Sylwia weszła do pomieszczenia.

Ciemność zalała schody, zacieśniając się wokół Sama, ale i tak nie miał zamiaru iść za ciotką i poczuć się jeszcze bardziej zaszczuty. Patrzył, jak Sylwia pochyła się ku zgliszczom i wyciąga resztki opraw.

- O wcieleniu ducha miejsca - zaintonowała. - O wskrzeszaniu umarłych...

Uświadomił sobie, że Sylwia odczytuje lub tłumaczy tytuły. Żaden z grzbietów nie zachował nic więcej niż przypalone skrawki kartek. Samuel wolałby, żeby promień latarki powędrował gdzie indziej - na przykład na drugi koniec stosu, z którego właśnie coś zeskoczyło. Ciotka skierowała światło w tamtą stronę i uchwyciła białawy kształt wielkości ludzkiej dłoni znikający właśnie w dziurze u dołu ściany.

- Tak jak mówiłeś, zwykły szczer - powiedziała, odwracając się w stronę drzwi z uśmiechem, który jak się Samowi wydało, miał przekonać nie tylko jego. Nagle światło uskoczyło w bok. Pomyślał, że Sylwia dostrzegła coś, czego on jeszcze nie zauważył. Potem usłyszał dźwięk za plecami.

Dźwięk drapania, szurania. Brzmiał, jakby jego źródło wykopywało coś albo przekopywało się przez coś. Musiało się znajdować gdzieś poniżej, ale w małym pomieszczeniu nie potrafił ocenić odległości. Ciotka rzuciła się do przodu z latarką, uderzając go brzuchem. Nie miał pojęcia, co - desperacja, niesmak wobec własnej bierności, ostatni zryw w celu ochrony Sylwii, choćby poprzez osłonięcie jej przed tym, czego szukała - sprawiło, że wyrwał jej latarkę i wystrzelił snop w ciemność. Kiedy już to zrobił, mógł jedynie podążać za nim.

Bynajmniej nie czuł się takim panem sytuacji, jakim prawdopodobnie zamierzał się stać, biorąc światło w swoje ręce. Miał dziwaczne wrażenie, że to wielki brzuch podążającej za nim Sylwii popycha go w dół. Powłóczył chorą nogą, wywołując drżenie promienia, przez co wąskie przejście zdawało się poruszać. Z każdym krokiem oczekiwał, że w jego pole widzenia wskoczy nagle jakaś twarz lub coś, co niegdyś nią było. Hałasy wprawdzie ustały, ale co z tego? Słodkavo-zgniły zapach uderzył go w nozdrza w momencie, w którym snop światła odnalazł kolejny osmalony fragment muru. Cokolwiek znajdowało się w dole, musiało spłonąć, pomyślał z taką furią, że omal tego nie wykrzyczał. Dokuśtykał do otworu,

w którym kiedyś prawdopodobnie tkwiły drzwi, i ciął promieniem mrok.

Mieszkaniec celi przykucnął zaraz przy wejściu. Kiedy pochylił się ku Samowi, jakby czekał na instrukcje, chłopak omal nie dostał zawału, nim zrozumiał, że to tylko złudzenie wywołane przez cień. Odskakując, dostrzegł coś, co przypominało usta wielkości pięści, które zdawały się rosnąć w rozchwianym świetle latarki. Potem odkrył, że reszta twarzy znajduje się poniżej: ów okrągły bezzębny otwór mieścił się na szczycie małej czaszki, która poza tym nie miała żadnych dziur. Gdyby nie to, szkielet wyglądałby całkiem jak ludzki, choć ledwie rozmiarów dziecka. Pewnie jego właściciel próbował uciec z pomieszczenia - może nawet podążyć za tym, kto rozniecił ogień - nim dosięgły i spaliły go płomienie.

Samuel wzdrygnął się na dźwięk głosu ciotki.

- Smutne - szepnęła. - Kolejny nieszczęśnik, któremu się nie udało.

- Kto może za tym stać?

Otworzyła usta, lecz nie od razu odpowiedziała. Już miał niecierpliwie powtórzyć pierwsze słowo, kiedy wreszcie przemówiła:

- Tego dopiero musimy się dowiedzieć, prawda?

- Nie - mruknął. Wykrzyczałby to, gdyby nie obawa, że może przyciągnąć czyjąś uwagę. Miał wrażenie, że Sylwia, a w szczególności jej brzuch, blokuje mu drogę powrotną. Ponieważ jego odpowiedź w ogóle jej nie poruszyła, dodał znacznie głośniej, a przynajmniej bardziej wściekle: - Po co, na Boga?

- Och, Sam... - Zdawało mu się, że dostrzega w jej oczach nie tylko rozczarowanie, ale i skrywane poczucie samotności. - Wiem, że to zrozumiesz - rzekła.

Spoglądał na drobne ciało o otwartej czaszce. Starał się trzymać latarkę tak, by światło ani na moment nie ześliznęło się ze szkieletu, ponieważ nie miał zamiaru pozwolić mu skryć się w mroku.

- Będziesz dalej szedł przodem czy ja mam prowadzić? - zapytała po chwili Sylwia.

Bardzo chciał powiedzieć, że ani jedno, ani drugie. Nie umiał nawet ocenić, która z tych opcji jest gorsza. Zrobił chwiejny krok w tył, a wtedy połowa celi skryła się w ciemności.

- Ruszaj, Samuelu. Dasz radę - zachęciła Sylwia, jakby bawiło ją zachowanie siostrzeńca.

Tak go to wkurzyło, że niemal zapomniał o przerażeniu. Pokuśtykał pospiesznie w dół wijącymi się schodami. Nie witał go żaden dźwięk, a zapach jedynie delikatnie sugerował, że za wyłaniającymi się z mroku schodami czeka na niego coś więcej niż zwykła rozkładająca się materia. Potem schody się skończyły - tak nagle, że Sam odsunął wolną rękę od ściany,

której się przytrzymał, i schwycił latarkę obiema dłońmi.

- Co tam jest? - zapytała Sylwia, wyraźnie mając mu za złe tę nerwowość.

- Jeszcze nie wiem - zaprotestował, zmuszając się do skierowania wiązki światła w głąb prostokątnego otworu, który okazał się znacznie płytszy, niż sugerowały cienie. Otwór powstał dzięki usunięciu luźnego schodka; w rzeczywistości bowiem stopnie wcale się nie skończyły, lecz nadal biegły w dół, gdzie widniało kolejne wejście, a dalej, na skraju promienia latarki, lita ściana.

Samuel pochylił się ku dziurze odsłoniętej przez usunięty kamień, mając nadzieję, że okaże się pusta - że nie będzie tam nic, co zachęciłoby Sylwię do pójścia dalej w stronę ostatniego nieoświetlonego pomieszczenia. Starł się nie zareagować, ale z jego gardła mimowolnie wydarło się zgnębione stęknienie.

- Co tam jest? - powtórzyła Sylwia, przyciskając brzuch do jego pleców, by zajrzeć mu przez ramię.

Była to księga, niewiele mniejsza od płytkiego schowka. Samuel już miał skłamać, że nic nie znalazł, lecz wiedział, że ta odpowiedź jej nie zadowoli. Nierównym krokiem zbiegł kilka stopni w dół. Ściany podrygiwały wokół niego, a otwór kłapał jak wygłodniała paszczyka. Samuel podniósł księgę i przycisnął do piersi, choć czarna skóra oprawy była zimna jak skóra gada - martwego, a jednak sprawiającego wrażenie ruchliwego. Podbiegł do góry, by oszczędzić Sylwii schodzenia, i wcisnął jej księgę w ręce.

- Tylko to - rzucił szybko.

Modlił się, by jego pośpiech w połączeniu ze znaleziskiem zdołały nakłonić ją do opuszczenia podziemi, ale tylko popatrzyła na niego pytająco.

- Co jeszcze, Sam?

- Nic. - Uświadomił sobie, że nie powinien był się odwracać. - A to nie wystarczy? - zapytał i nawet zabrzmiało to jak wyrzut.

- Zobaczmy - rzekła Sylwia, wyciągając rękę po latarkę, a księgę opierając na kopcu wyrastającym jej z brzucha.

Samuel nie chciał pozbywać się światła, tracić tej nędznej resztki obrony przed tym, co mogło czyhać za plecami. Gdy wręczał latarkę ciotce, ze wszystkich sił starał się obserwować własne poczynania z jak największym dystansem. Ona tymczasem przykucnęła, otworzyła ułożoną na kolanach księgę i poświeciła na pierwszą stronę.

- Sam! - wyszeptwała.

W jej głosie był nie tylko podziw, było też wezwanie. Nie miał wątpliwości, że ciotka nie ruszy się z miejsca, póki on nie spojrzy; pochylił więc głowę ku obróconej w jego stronę

księdze. Strona była niemal pusta, widniało na niej zaledwie kilka naniesionych grubym, kanciastym pismem słów, które zdawały się liczyć wieki, mimo że czarny atrament wciąż lśnił niczym pancerz żuka. „Nat. Selcouth. Dziennik”.

- Super - powiedział. - Nie lepiej będzie, jak przeczytasz resztę na zewnątrz? - dodał znacznie bardziej szczerze.

- To miejsce wydaje mi się idealne.

- Chyba nie chcesz, żeby kamienie z góry się ześliznęły i zasypały nas?

Natychmiast pożałował, że w ogóle o tym pomyślał, a tym bardziej że to powiedział, mając za plecami tę ciemność, lecz jego trwoga nie poszła na marne - Sylwia najwyraźniej wzięła pod uwagę zagrożenie. Dotknęła rogu kartki, by ją przewrócić, i zrezygnowała.

- Może i masz rację - rzekła, podając mu księgę i podnosząc się powoli. - Przypilnujesz jej?

- Tak - odparł. Skoro to miało przyspieszyć ich powrót na górę, czemu nie?... Przcisnął tom do piersi, a drugą ręką oparł się o ścianę, identycznie zimną jak skórzana oprawa. Sylwia grzebała się nieznośnie długo. Światło latarki kołysało się wokół niej, znieruchomiło zaś dopiero, gdy stanęła na najbliższym stopniu wiodącym w górę. Odrobina blasku odbiła się od ściany i Sam zaryzykował ostatnie spojrzenie za siebie. Coś podeszło do wejścia i przyglądało się im.

Dłonie trzymało po obu stronach otworu. Palce miało co najmniej dwukrotnie dłuższe od jego palców, choć cieńsze, a do tego było ich zbyt wiele na każdej ręce. Zdołał dostrzec, że pokrywa je substancja przypominająca porosty. Zobaczył długie ramiona wyciągające się z ciemności - ramiona odchodzące od ciała, którego na szczęście nie widział. W szczególności nie miał ochoty oglądać twarzy z tą wielką białą głową. Po schodach popłynął słodkawy odór - jego oddech? Samuel uświadomił sobie, że przyciska księgę do piersi tak mocno, że aż boli, ale tylko przygarnął ją mocniej, by zagłuszyć wszelkie dźwięki, które mogłyby zatrzymać Sylwię. Musiał obrócić się plecami do otworu, na wypadek gdyby zauważyła, że patrzy, i chciała wiedzieć dlaczego - albo i gorzej, gdyby upierała się, że musi to sprawdzić. Szedł najbliżej niej, jak tylko się dało, ryzykując, że podetnie jej nogę i oboje stoczą się w mrok.

Zakręt schodów odciął go od najniższej położonej komory, lecz nie przyniosło to wielkiej ulgi. Jego ciotkę najwyraźniej znacznie bardziej męczyło wchodzenie niż schodzenie. Samuel wytężał słuch, by wyłowić jakikolwiek szmer za plecami, aż w końcu prawie przestał słyszeć cokolwiek. Sylwia zgasła latarkę, nim zdołał znaleźć się w pełnym świetle. Szybko kuśtykał w górę, musiał się jednak zatrzymać, czekając, aż jego towarzyszką prześliznie się obok tarasującego drogę fragmentu płyty. Jeszcze nie zdążył wyjść, a ona już spojrzała na

niego z góry.

- Zablokuj wejście, Sam.

Jakby musiała mu o tym mówić!... Rzucił jej księgę i przeciągnął na kopiec kamienną płytę, a potem stanął w rozkroku i wsunął palce pod leżący niżej fragment. Był zbyt ciężki, aby go dźwignąć. Mimo wszystko zdołał poruszyć pod nim palcami, zdzierając z nich skórę. Stopy ślizgały mu się po śliskim skraju kopca; nagle poczuł, że leci w tył, unosząc ze sobą płytę, która się zakołysała i kiedy zrobił unik, opadła z głuchym łoskotem, wywołując powiew zgniętego powietrza. Gdy Sam z wysiłkiem umieszczał brakujący fragment w pozostawionej przezeń dziurze, Sylwia podała mu łopatę.

- Lepiej to ukryj.

Miał wiele powodów, aby tak zrobić, ale chciał poznać jej motyw.

- Po co?

- Chyba nie chcemy, żeby ktoś inny to zobaczył, co?

- Dlaczego?

- Bobby nie zrozumiał. - I jakby tęsknie dodała: - Nie jestem pewna, czy ty rozumiesz.

Słusznie, pomyślał, zastanawiając się, czy powinno go to cieszyć. Zaczął nabierać na łopatę ziemię i zasypywać nią płytę, a okoliczne drzewa prężyły się, świętując schwytnie słońca, i wyciągały ku niemu wydłużające się cienie. Nie przestawał sypać, póki całe wejście nie zostało dokładnie przykryte. Potem wyrównał teren i szybko pokuśtykał za Sylwią, by ukryć łopatę wśród drzew. Jeśli miał zapomnieć część albo całość dzisiejszych wydarzeń, gdy opuści las, nawet się z tego cieszył. Wolał żyć w nieświadomości własnego lęku przed tym, że ani kamienna płyta, ani ciężar ziemi nie zdoła zatrzymać istoty, którą dostrzegł w ciemnościach.

Dar widzenia

Randall czekał, aż Heather skończy drukować. Potem przyglądał krzaczaste brwi i przytknął do ust palec wskazujący, by powstrzymać cisnący mu się na usta uśmiech. Odezwał się, dopiero gdy wzięła do ręki kartkę, która zdawała się równie nienaturalnie ciepła jak ów styczniowy dzień.

- Coś ciekawego?

- Inaczej nie byłoby po co drukować - odparła z wystudiowaną łagodnością. - Prawda?

- Przepraszam - rzucił pospiesznie, mrugając bladoniebieskimi oczyma. - Nie miałem zamiaru...

- Nie, to ja przepraszam. Nie zwracaj na mnie uwagi.

- Nie wiem, jak miałbym to zrobić, nawet gdybym chciał. - Przelotny uśmiech na jej twarzy dodał mu śmiałości, toteż zapytał: - Mogę zobaczyć?

Heather przyglądała się, jak Randall czyta stronę wydrukowaną z witryny Międzynarodowej Fundacji na rzecz Studiów Okultystycznych.

- Rozumiem, że zainteresował cię aspekt lokalny.

- Aż nadto lokalny.

Wyraźnie go to zaskoczyło.

- Co z tym zrobisz? - zapytał po krótkiej pauzie.

Sama chciałaby wiedzieć. Była na siebie wściekła, że nie wydrukowała tego tekstu zaraz po jego znalezieniu, ale teraz, gdy już miała go w rękach, nie wiedziała po co. Pomyślała, że Margo albo to zlekceważy, albo ją obsztorcuje, że w ogóle tego szukała, a poza tym czy to jeszcze nie wzmocni obsesji Sylwii na punkcie lasu?

- Tyle, ile mogę - odparła, próbując przede wszystkim przekonać siebie.

- Cóż... to chyba nie jest odpowiednie miejsce.

- Na co, jeśli mogę wiedzieć?

Jedyną odpowiedzią zdawało się stłumione kasznięcie. Dopiero po chwili Randall wymamrotał:

- Gdybyś kiedyś chciała... hm...

- Co takiego, Randall?

- Zastanawiałem się... Nie chciałbym sobie pochlebiać...

- Nie zauważyłam, żebyś kiedykolwiek to robił.

- No, po prostu pomyślałem, że gdybyś kiedyś chciała z kimś pogadać... znaczy, wiem, że masz rodzinę, ale z kimś spoza niej... chociaż na pewno masz też wielu przyjaciół...

Utraciła niemal wszystkich, kiedy się dowiedzieli o chorobie jej ojca. Tym, którzy chcieli pozostać przyjaciółmi, wyperswadowali to ich rodzice, albo z obawy, że stan Lennoksa mógł jej się udzielić i przejść na nich, albo że Lennox jest niebezpieczny. Związek z halucynogenami niewątpliwie także miał w tym swój udział.

- Zawsze mam ciebie pod ręką - dokończyła za Randalla.

- No właśnie, chociaż jak już powiedziałem, to miejsce pewnie nie jest idealne. Gdybyś kiedyś miała ochotę wyskoczyć na drinka albo na obiad, albo na jedno i drugie...

Poczuła, że na chwilę obecną dość ma w życiu zmian.

- Bardzo to uprzejme z twojej strony - rzekła.

- To nie ma nic wspólnego z uprzejmością. Proszę, nie myśl tak, zwłaszcza jeśli miałyby to sprawić, że odmówisz.

- Musi mieć z nią coś wspólnego, bo jesteś uprzejmy.

- Hm, dzięki, ale to nie wszystko. Ani nawet nie większość. - Obrócił się plecami do lady w takim stopniu, by nie urazić studentki z wielobarwnymi warkoczykami odnoszącej właśnie naręczce podręczników medycznych. - Zostawić to na inną okazję? - wymamrotał.

- Dzięki za zrozumienie. Jeśli kiedyś będę potrzebować powiernika, wiem już, do kogo się zwrócić.

Dopiero wymuszona beznamiętność jego spojrzenia uświadomiła jej, że proponował po prostu kontynuowanie rozmowy bez świadków. Szukała właśnie odpowiedzi, która byłaby jednocześnie jasna i bezbolesna dla Randalla, gdy zadzwonił telefon.

- Odbiorę - zaoferował jej towarzysz, jakby to go uratowało.

- Dziękuję - rzekła do studentki Heather, mając na myśli nie tylko zwrot książek, po czym usłyszała, jak Randall mówi:

- Sprawdź, czy jest w pobliżu.

Nie patrzył na nią, ale chyba wiedziała dlaczego.

- Do mnie?

Z lekkim westchnieniem, które miało być wyrzutem za to, że dała się podsłuchać osobie będącej po drugiej stronie kabla, powiedział do słuchawki:

- Już ją daję.

- Kto to?

- Tommy Bennett.

Wzruszyła ramionami, nie kojarząc takiej osoby, i wyjęła słuchawkę z ręki nienaturalnie obojętnego Randalla.

- Halo?

- Halo, czy mówię z panią Price? - rozległ się kobiecy głos. Nie był zbyt przyjazny, a pytanie brzmiało bardziej jak rozkaz.

- Kiedyś tak się nazywałam - odparła Heather, starając się zachować cierpliwość. - W czym imieniu pani dzwoni?

- W swoim i pewnie jeszcze paru osób.

- Zdawało mi się, że jest pani czyjąś sekretarką.

- Nic z tych rzeczy. Jestem kosmetyczką. Pani też zaczyna mieć zwidy?

- Podano mi nazwisko Tommy Bennett.

- To ja. - Po krótkiej przerwie, która zdawała się wypełniona niesmakiem, kobieta dodała: - Thomasina Bennett. Matka Laury.

Heather przypomniała sobie matronę o maleńkich ustach, częściowo dzięki temu, że każda z jej uwag zdawała się jeszcze bardziej je pomniejszać.

- Spotkałyśmy się w starej szkole na pani ulicy. Pani siostra namawiała Laurę i jej koleżankę do opowiadania tych obrzydliwych historii.

Nim Heather zdążyła zaprotestować, spróbował to zrobić jakiś głosik w tle.

- Mamo...

- Nieważne - ucięła pani Bennett z taką siłą, jakby udzielała reprimendy im obu. - Czy pani albo ktoś z pani rodziny był gdzieś w pobliżu naszego domu?

- Nawet nie wiem, gdzie to jest.

- Pine Grove. Pierwsza przecznica w dół od waszej. Kręciliście się tutaj?

- Szczerze wątpię. Ja z pewnością nie, i chętnie się dowiem, dlaczego pani o to pyta.

- Laura widziała kogoś z was.

- Wcale tego nie mówiłam, mamo!

W słuchawce zabrzmiało coś podobnego do grzmotu; prawdopodobnie pani Bennett zasłoniła ją ręką, by zagłuszyć dalszą rozmowę. Słowa, choć bardzo ciche, dobiegły jednak do uszu Heather.

- No to co w końcu widziałaś?

- Ktoś zaglądał przez mur za domem.

- Nie mógł tego zrobić, jeżeli na czymś nie stał. - Nim Heather zdążyła ocenić, czy to

protest, czy raczej oskarżenie, pani Bennett rozwiała jej wątpliwości: - Mówiłaś, że wygląda jak jedno z Price'ów.

- To był ten facet.

- Jaki facet.

- Kleisty. Ten z lasu. Ma teraz pełno palców i pełno robali na każdym z nich.

- Dość tego. Mam serdecznie dość - oznajmiła pani Bennett, po czym ściszyła głos. - Nie wiem, czy pani coś z tego słyszała.

- Każde słowo - przyznała Heather tak beznamiętnie, jak tylko potrafiła.

- No to już pani widzi, jakie pomysły ktoś podsuwa mojemu dziecku.

- Nie rozumiem, kogo próbuje pani oskarżyć.

Pani Bennett wydała z siebie dźwięk zbyt krótki, by można go nazwać śmiechem.

- Czy pani wie, czym się zajmują pani bliscy, kiedy pani jest w pracy?

- Czyżby zamierzała mnie pani oświecić w tej sprawie?

- Może naprawdę pani nie wie, że ciągle chodzą do lasu. Większość mieszkańców nie pozwala swoim dzieciom nawet się do niego zbliżyć.

- Skoro jest pani tak dobrze poinformowana, to powinna wiedzieć, że w ubiegłym roku moja siostra omal tam nie zginęła. Może pani zrozumie, kiedy powiem, że po prostu próbuje się pogodzić z tym, co się wtedy stało.

- Może potrzebuje psychologa albo czegoś w tym stylu.

- Potrzebuje tego, co się sprawdza w jej przypadku - odcięła się Heather, wściekła na siebie, że w ogóle odpowiada.

- Coś z nią musi być nie tak, skoro wraca w miejsce, w którym to się stało. Proszę jej tylko powiedzieć, żeby trzymała się z dala od mojego domu, a przy okazji może to pani rozszerzyć na resztę rodziny. Nie chcę, żeby Laura denerwowała się jeszcze bardziej.

- W takim razie proponuję zacząć szukać winnego poza moją rodziną. - Heather chętnie by na tym poprzestała, łagodnie odkładając słuchawkę na miejsce, ale miała pytanie, które powoli przyprawiało ją o ból głowy. - Nim wrócę do tego, co powinnam w tej chwili robić, proszę mi powiedzieć, w którym jeszcze imieniu pani dzwoniła?

- Wielu osób. Można powiedzieć, że wszystkich, którzy wiedzą, dokąd chodzą pani syn i siostra, a może mi pani wierzyć, że jest ich całkiem sporo. - Brzmiało to jak pożegnalny cios, lecz pani Bennett miała w zanadrzu jeszcze jedną refleksję. - Myślałam, że pani ma więcej rozumu - oznajmiła. - Najpierw rozmawiałam z pani siostrą, ale po niej niewiele sobie obiecywałam.

Cała opiekuńczość, która nagromadziła się w Heather w czasach dzieciństwa,

sprawiła, że jej ciało wyprostowało się jak struna.

- Proszę zatem pozwolić, że udzielię tego samego ostrzeżenia, którego pani próbowała udzielić mnie - rzekła. - Niech się pani nie waży nigdy więcej do niej zbliżyć.

Przez kilka sekund w słuchawce panowała cisza. Potem odezwał się sygnał, który gdyby zechciała popożyczyć swojej wyobraźni, mógłby zabrzmieć w jej uszach drwiąco. Kiedy z wymuszonym spokojem odkładała słuchawkę, Randall przelotnie rzucił na nią okiem.

- Przepraszam - wymamrotał.

- Za co, na Boga?

- Za to, że przypadkiem podsłuchałem. Czy ta osoba groziła jakoś tobie albo twojej rodzinie?

- Sądząc z tego, co mówiła, grozi nam jedynie obmowa. A słowa nie ranią, jeśli się im na to nie pozwoli - obiecała sobie, wsuwając wydruk do torby i ponownie chwytając za telefon. - To po prostu głupia kobieta, która ma za dużo czasu na myślenie i za mało oleju w głowie. Małe miasteczko, mały mózdzek - powiedziała, wstukując numer swego domu.

Nikt nie odebrał - ani wtedy, ani przez resztę popołudnia, gdy próbowała ponownie. Jakoś dawała sobie radę z pracą i Randallem, starając się ani go nie prowokować, ani nie odpychać. Pani Bennett musiała w obecności Laury utyskiwać na Sylwię i Sama i zapewne w ten właśnie sposób ich osoby zostały wplecione w wymysły dziewczynki. W końcu nawet samej Heather pewnego razu się zdawało, że widzi w lesie swego nieżyjącego ojca. W dzieciństwie miała znacznie bujniejszą wyobraźnię niż teraz, choć chyba nigdy takiej, jaką dysponowała Laura.

Żadna z tych myśli nie przekonywała jej jednak dostatecznie, gdy wyjeżdżała z Brichester na oświetloną obwodnicę, poza którą w obie strony ciągnął się mrok, cienie zaś wrywały się ku otchłani lasu. Kiedy mijała Arbour i nieoświetlone okno ojcowskiego pokoju, mimowolnie zaczęła się zastanawiać, jak on by to postrzegał: cienie wyciągające z lasu tę wielką czerń, żeby pędziła w ślad za jej samochodem. Musiała przyznać, że z ulgą przyjęła widok pierwszych przebijających spoza drzew świateł i ucieszyła się, dotarłszy do skraju wsi.

Otworzyła bramę i zaparkowała na wyłożonym kostką podwórzu, po czym weszła do domu.

- Dzień dobry! - zawołała. - Co to za zapach?

Już się zaczęła nerwowo zastanawiać, gdzie mogą być Sylwia i Sam, gdy jej siostra odpowiedziała z góry:

- Obiad.

- Nie ten. - Spoza woni indyjskich przypraw przebijało coś, czego Heather wolałaby nie spożywać. - Ten drugi! - zawołała.

- Nic złego.

Nim zdołała się upewnić, że wdycha woń ziemi i stęchlizny, zapach zniknął, jakby go wywiało. Doszła do wniosku, że nie musi koniecznie wiedzieć, co to było. Bardziej niepokoiło ją co innego.

- Gdzie Sam?

- Tu - odparł jego przytłumiony głos.

- Czyli?

- Ze mną.

Nie wiedziała, które drzwi otworzyć, póki on tego nie zrobił. Oboje siedzieli w jego pokoju.

- Co tu porabiacie? - zapytała, mając wrażenie, że podejrzenia pani Bennett zaczynają jej się udzielać.

- Nic złego - powtórzyła Sylwia i prawdopodobnie próbowała się drwiąco uśmiechnąć, lecz zrobiła minę nieznośnego dziecka. - Czytamy - powiedziała. - Czytam Samowi.

- Kiedyś lubił to tak samo jak ty.

- Nadal lubi, prawda, Sam? - Sylwia ułożyła dłonie na brzuchu i zerknęła przez ramię, po czym dodała: - Może ktoś jeszcze to doceniał.

Odpowiedź Sama była niedosłyszalna, przynajmniej dla Heather.

- Co poza tym nowego? - zapytała.

Sylwia podeszła do szczytu schodów.

- Na pewno ucieszy cię wiadomość, że nie będę go już potrzebowała jako eskorty.

Ucieszyła, ale ze względu na panią Bennett.

- Dlaczego?

- Wydaje mi się, że już załatwiłam porachunki z lasem.

- W takim razie rzeczywiście się cieszę. Pogadamy na dole, żebyśmy nie musiały do siebie krzyczeć?

- O rany, chyba nie krzyczałam? Nie wiem, dlaczego miałabym to robić.

Powiedziała to jakimś obronnym tonem. Heather zaczekała w holu, aż siostra zwlecze się ciężko po schodach, a w pewnej odległości za nią, równie powoli, przykuśtyka Sam. Cała trójka zasiadła we frontowym pokoju, Heather na kanapie, tamci przodem do niej.

- Spodziewam się, że zaczniesz teraz podróżować - rzekła Heather do syna.

- Dokąd?

- Wszędzie, gdzie mógłbyś dostać ciekawą pracę. Czas już, żebyś zobaczył kawałek świata.

- Mówisz jak ojciec.

- A to źle? Wiesz przecież, że zgadzaliśmy się w wielu sprawach. Tyle że on chciał stąd wyjechać, a ja nie mogłam.

- Co cię powstrzymało?

- Przecież wiesz - odparła Heather zdumiona własną nerwowością. - Sprawy rodzinne.

- I chęć pozostania tu, gdzie są twoje korzenie? - zasugerowała Sylwia.

Jej wypowiedź była tak nie po myśli Heather, że zakrawała na nielojalność.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - rzekła.

- Ostatnio odpowiedziałam na niejedno.

- Masz na myśli pytania osoby zamieszkałej w pobliżu - domyśliła się Heather. - Co jej powiedziałaś?

- Nic tak niemiłego, jak z perspektywy czasu bym chciała.

Wyglądało na to, że z chęcią zamknie ten temat, ale Sam mruknął:

- Powiedziałaś, że nie tylko nas może spotkać w lesie.

- A kogo jeszcze? - chciała wiedzieć Heather.

Przez chwilę czuła, że żadne z rozmówców nie chce udzielić jej odpowiedzi. W końcu Sylwia ustąpiła.

- No przecież nie ciebie, prawda? Nie mów, że zapomniałaś o mamie.

- Ale po co u licha mówiłaś pani Bennett, że matka tam chodzi?

- Żeby wiedziała, że nie tylko stuknięta Sylwia ma na to ochotę. - I z jeszcze większą złością dodała: - Chyba nie podziałało, skoro skontaktowała się z tobą. Za kogo ona cię uważa?

- Za twoją starszą siostrę? - zasugerowała Heather z całą łagodnością, na jaką było ją w tej chwili stać.

- Chcesz powiedzieć, że to upoważnia ludzi do donoszenia ci na mnie?

- W jej wypadku raczej nie o to chodziło, Sylwio. Mam wrażenie, że obwiniała w równej mierze mnie.

- Za to, że nie trzymałaś mnie z dala od jej córki?

- Raczej za to, że należysz do rodziny. A najpewniej za to, że przypominasz mieszkańcom o tacie.

- Lepiej niech nie zapominają. Wiedział więcej niż ktokolwiek inny i miał odwagę się

z tym zmierzyć.

Zamiast temu zaprzeczać, Heather odpowiedziała:

- Ja też wiem kilka rzeczy i też musiałam się z nimi mierzyć.

- Na przykład?

- Na przykład z nazwiskiem, które ojciec często wymieniał.

Sylwia zrobiła wielkie oczy, jakby nagle zobaczyła Heather w innym świetle.

- W jaki sposób musiałaś się z nim mierzyć?

- Nie tyle mierzyć, ile po prostu wiedzieć - skorygowała Heather, otwierając torbę. -

Znalazłam to w Internecie.

Sylwia, nadal z szeroko otwartymi oczami - można by pomyśleć, że zapomniała, jak się mruga - przeczytała wydruk. Wyraz jej twarzy zmieniał się tak powoli, że Heather nie była pewna, czy oczy jej siostry naprawdę zaczynają błyszczeć, a kąciki ust unoszą się w czymś przypominającym zadowolenie.

- Wszystko zaczyna się łączyć - wymamrotała Sylwia. - To na temat Nathaniela Selcoutha, Sam.

- O!...

Robił, co mógł, by to zabrzmiało neutralnie, ale i tak wyszło bardziej jak wypuszczenie oddechu, który próbował wstrzymać.

- Mówiłam ci, że mu czytałam - rzekła Sylwia. - Samowi - całkiem niepotrzebnie sprecyzowała Heather. - O tym tu naszym przyjacielu - dokończyła Sylwia, machając wydrukiem, aż zaczął furkotać, jakby ożył. - Mamy jego książkę.

Heather natychmiast zrozumiała, co tak pachniało, gdy weszła do domu.

- Skąd ją macie? - zapytała, w gruncie rzeczy nie chcąc wiedzieć.

- Powiedzmy, że od kogoś, kto już jej nie potrzebuje - odparła Sylwia i podała wydruk Samowi. - Patrz, to wyjaśnia część księgi.

- A konkretnie? - wyrwało się Heather.

- Może przechodzić przez ziemię tak łatwo jak przez próżnię między sferami - odparła Sylwia - bo składa się w równej mierze z obu.

Prawdopodobnie cytowała, wzięwszy pod uwagę, że mówiła nieobecny tonem i przymknęła oczy, przez co wyglądała dość tajemniczo.

- Kto? - zapytała Heather, próbując się roześmiać. - Bohater książki Selcoutha?

- Nie on, jego eksperyment. - Najwyraźniej Sylwia musiała jeszcze mocniej zmrużyć oczy, nim dodała: - Najbardziej jednak ceni sobie ciemność, w której się zrodził.

Heather już wolałaby przeczytać to wszystko osobiście.

- To jak, pokażecie mi ją?

Sylwia bardzo długo otwierała oczy, jakby wciąż koncentrowała się na jakiejś myśli. W końcu podniosła się z krzesła, lecz przystanęła u stóp schodów.

- Jeszcze pomyślicie, że zaczynam się rządzić - rzekła. - Przecież to twój pokój, Sam.

Odsunęła się, aby go przepuścić. Za Samem ruszyła Heather, a dopiero na końcu Sylwia, więcej niż raz uderzając w nią brzuchem. Napierała na plecy siostry, gdy Sam walczył z klamką, a Heather miała wrażenie, że za chwilę poczuje ruch w łonie ciężarnej. Potem jednak Sam cofnął się od otwartych drzwi, nie włączając światła, a ona musiała sobie tłumaczyć, że to przecież niemożliwe, by bał się wchodzić do własnego pokoju.

Na biurku, przed komputerem, leżała jakaś czarna gruda. Wydawała się ciemniejsza od reszty pokoju - tak czarna jak ostępy lasu. Ale to była tylko książka, o czym Heather przekonała się, włączwszy światło. Po prostu miała czarną oprawę i dlatego w ciemnościach wydawała się czarniejsza, niż być powinna. Heather ruszyła naprzód, marszcząc nos w odpowiedzi na smród starego papieru, i otworzyła książkę.

Oprawa zaskrzypiała, a potem zadudniła, jakby podnoszono wieko. Na widok wypisanych na pierwszej stronie słów Heather wstrzymała oddech, choć rozpaczliwie pragnęła go wypuścić, by uwolnić się od smrodu. „Nat. Selcouth. Dziennik”. To musiał być zbieg okoliczności - a nawet mniej niż to, bo przecież jej siostra zapewne jeszcze bardziej chciała zgłębić tajemnicę tego nazwiska - lecz i tak jej się to nie podobało.

- Gdzie to znaleźliście, bo nie dosłyszałam?

- Bez obaw, nie ukradliśmy - odparła Sylwia, siadając na brzegu łóżka Sama. - Wręcz odwrotnie.

Heather mogłaby przekierować pytanie do Sama, który ośmielił się wejść aż na próg własnego pokoju, gdyby robienie tego w obecności siostry nie sprawiało wrażenia nieufności wobec niej. Przewróciła kartkę, która wydawała się niepokojąco żywa, niczym liście lub bardzo stara skóra.

*Ja, który miano swe Darom mym zawdzięczam, Historię
Odkryć mych w Xiędze tej spisuję, iżby Dziedzicowi memu
posłużyć mogły.*

Tak brzmiała pierwsza linijka, o ile Heather zdołała ją dobrze odczytać: grube, ostro zakończone litery zdawały się gromadzić gdzieś pod jej czaszką jak ciemność. Podniosła dziennik, aby go przewertować, i dostrzegła, jak z masy drzew unosi się ciemny, większy od

całego lasu kształt. Nie musiała spoglądać w tamtą stronę, by wiedzieć, że to odbicie. Powodem, dla którego omal nie upuściła tomu, nie był również dławiący odór książki i dotyk oprawy, zimnej i śliskiej jak zrzucone liście w zimie, lecz wchłaniającej ciepło jej dłoni. Przestała przewracać strony nie po to, żeby litery przestały roić jej się przed oczyma jak robaki, tylko na widok ilustracji, pod którą widniał napis: „Z życia”.

Rysunek był jednak tak odrażający, że nie mógł, z całą pewnością nie mógł być wzięty z życia. Ukazywał jakiś kształt przykucnięty na czymś, co - wnosząc z kilku naszkicowanych drzew w tle - mogło być polaną. Na szczycie nagiego dzieciennego ciała, przypominającego nieco popękana, omszoną korę, widniała głowa, wyglądająca na nieproporcjonalnie wielką z powodu bardzo długiej szyi i wpatrująca się w niebo, na którym malował się skomplikowany wzór z gwiazd. Nierówne dłonie, osadzone na wydłużonych rękach, trzymały się ziemi. Szerokie usta ze stanowczo zbyt wieloma zębami szczyrzyły się w uśmiechu mogącym wyrażać rozkosz lub cierpienie - brak oczu nie pozwalał niestety tego stwierdzić. Cała górna połowa głowy była podziurawiona, a z otworów wylewały się robaki - chyba że były to oczy. W kilku z owych „oczodołów” tkwiły jakieś obiekty, które najwyraźniej dopiero miały osiągnąć ostateczny kształt.

Heather zatrzasnęła tom, powstrzymując się przed upuszczeniem go na biurko Sama. Nie miała wątpliwości, że niezależnie od swego pochodzenia i kultury czasów, w których żył, człowiek nazywający siebie Selcouth musiał być bardziej szalony niż jej ojciec.

- Chyba nie będziecie tego tu trzymać, co? - zapytała przerażona samym zapachem książki.

Sylwia wyciągnęła ręce. Gdy Heather niechętnie podała jej książkę, jej siostra przycisnęła ją do brzucha, jakby jedno mogło być ochroną dla drugiego.

- Może mieszkać w moim pokoju - powiedziała.

- Nie sądzisz, że odpowiednim miejscem dla niej byłby uniwersytet?

- Nie, skoro trafiają się studenci, którzy podpalają książki - odparła Sylwia i jakoś zdołała się podnieść, wciąż przyciskając ciężki tom do brzucha.

Heather przyglądała się, jak jej siostra zabiera go do pokoju. Po chwili usłyszała głuchy trzask książki rzuconej na ojcowskie biurko.

- Zjedzmy obiad - powiedziała, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Miała nadzieję, że dzięki temu Sylwia i Sam przynajmniej na moment oderwą się od swego znaleziska. Może mimo wszystko miała zbyt bujną wyobraźnię, pomyślała bowiem, że już nigdy, przenigdy nie chciałyby otworzyć tej książki.

Tylko w domu

Samuel nie miał pojęcia, jak długo już wspina się po schodach. Wiedział jedynie, że robi to nie dość szybko. Ciągłe mu się zdawało, że słyszy jakiś głos nawołujący go z ciemności. Kiedy wyciągał rękę ku zakrzywionej ścianie, raz po raz odnajdywał ciemniejsze od reszty zagłębienia, z których wyłaniały się przedmioty przypominające łapy i sięgały po niego. Miał wrażenie, że jest z nimi jakoś związany. Albo jego oczy się przeobrażały, albo ciemność poczęła rzędnąć, bo powoli zaczął dostrzegać kontury stopni. Miał wielką nadzieję, że nie będzie musiał mijać kolejnej komory i widzieć tego, co się tam zadomowiło. Nie, schody zdecydowanie się kończyły. Ponad jego głową otwór przywodzący mu na myśl grób odsłaniał skrawek nieba czarny jak atrament, jeśli nie liczyć pojedynczego gwiazdozbioru, który zdawał się zagrożony wygaśnięciem. U szczytu schodów wznosiła się jakaś sylwetka wzywająca go z powrotem w mrok. Zamiast starać się rozpoznać jej twarz, próbował sobie przypomnieć nazwę gwiazdozbioru. Oko Otchłani, myślał, a może Jajo Nocy; nie przerywał jednak wspinaczki. Gwiazdy zaczęły się łączyć z ukrytą w cieniu twarzą na moment przed tym, jak Sam się przebudził.

Sylwetka w górze nadal go wzywała. Gdy ciało rozpaczliwie szukało drogi ucieczki, wzrok złapał ostrość i przysłaniająca okno postać stała się rozpoznawalna.

- To ja, Sylwia - zapewniła go, po czym zmarszczyła brwi.

- Co się dzieje?

- Nie wiedziałem, gdzie jestem.

- Ze mną.

- Nie, gdzieś w dole. Za dużo schodów, za ciemno.

Gapiała się na niego, a mars bardzo powoli schodził z czoła, jakby jej twarz odzwierciedlała proces pojmwania dokonujący się w głowie siostrzeńca.

- Może to cię dopadnie - rzekła w końcu.

- Wolalbym, żeby zostawiło mnie w spokoju. - Zaczynał się czuć nieswojo, widząc ponad sobą jej wypukły brzuch, więc dodał szybko, chcąc zakończyć rozmowę: - Krzyczałem?

- Tak, jak rzadko się zdarza facetom.
- Dlatego przyszłaś.
- Niezupełnie, choć pewnie i tak bym przyszła. Jest telefon do ciebie.

Bynajmniej nie po raz pierwszy Sam miał wrażenie, że rozmowa z ciotką przypomina schodzenie po ciągu stopni, z których nie wszystkie znajdują się na swoich miejscach.

- Kto dzwoni?
- Pan Harvey. Twój tata.

Już zaczął wysuwać nogi spod kołdry, gdy uświadomił sobie, że jest nagi.

- Mam zaraz zejść?

- Hm, nie wyglądało na to, żeby się jakoś potwornie spieszył. - Przez moment sprawiała wrażenie, jakby brzuch zatrzymał ją w miejscu, ale w końcu wytoczyła się z pokoju, zabierając go ze sobą.

Samuel narzucił na siebie szlafrok i mocno zawiązał pasek, słysząc, jak Sylwia ociężałe schodzi na parter i obwieszcza: „Coś mu się śniło, ale chyba zdołałam go skutecznie obudzić”.

Kiedy wziął z jej ręki słuchawkę, okazała się niemal gorąca.

- Pójdę poczytać - rzekła Sylwia i znów powlokła się na górę.

- Jesteś tam, stary? - usłyszał głos ojca.

- Na to wygląda.

- Nie ma jak mocny sen, co?

- Zgadza się. Mocny.

- Zdradzisz mi, co takiego ci się śniło?

- Nic szczególnego - odparł Sam, mając nadzieję, że to zamknie temat.

- Hm, w takim razie nie było to coś, dla czego warto by pozostawać w łóżku.

- Czyli niby co?

- Jeśli dziewczyny słuchają, po prostu zmień temat. - Samuel nie zdołał wymyślić odpowiedzi, ojciec więc kontynuował:

- Nieważne, daruj mi. Może uda nam się sprawić, że twój sen się ziści.

- Który? - zapytał Sam z zakłopotaniem, które zdawało się towarzyszyć mu od miesięcy.

- Pamiętasz, co mi mówiłeś w pubie przed świętami?

Tamta rozmowa zdawała się niepokojąco odległa i w czasie, i w przestrzeni.

- Nie bardzo - przyznał.

- Chyba nie zapomniałeś o swoim czarodzieju z lasu, który był większy, niż być

powinien, i o gościu, który odgrzebał jego tajemnice? Jak on się nazywał?

Usta Sama poruszyły się, nim jeszcze wiedział, co wypowiedzą.

- Selcouth?...

- Też nieźle. Warto to zapamiętać. Tamten jednak nazywał się Lesiec. Widzisz, zapisał się w pamięci staruszka i całkiem też spodobał się dziewczynie, którą poznałem wczoraj na przyjęciu.

Samuel poczuł się podwójnie skonsternowany myślą, że może mieć jakiś udział w życiu miłosnym swego ojca.

- Co to za jedna? - zapytał, sądząc, że powinien to zrobić.

- Fay Sheridan. Siedzi w branży wydawniczej. Kto wie?... Może zechce wydać twoją książkę?

- Daj spokój, jeszcze nie zacząłem pisać.

- Że co, stary? Chyba ciągle śpisz. Dasz radę się obudzić i przyjechać do miasta?

- Do Brichester?

- Do prawdziwego miasta, Sam. Do tego, w którym można czegoś dokonać. Fay chce cię poznać.

- Nawet nie mam jej co pokazać.

- Z wyjątkiem najważniejszego.

Nie miał pojęcia, co by to mogło być z wyjątkiem starej księgi, którą Sylwia skądś wytrzasnęła, gdy on był gdzie indziej.

- Znaczy czego? - wyjąkał.

- Sama Harveya. Albo jeśli wolisz, Sama Price'a - odparł ojciec z pobłażliwym zniecierpliwieniem. - Fay szuka nowego asystenta. Gość, który teraz dla niej pracuje, za parę tygodni przechodzi na wyższe stanowisko. Najlepiej, żeby nowy asystent nie miał doświadczenia w wydawnictwie i po prostu realizował jej pomysły. Największa szansa, żeby się czegoś nauczyć, to pracować z kimś, kto lubi udzielać lekcji. Spotkasz się z nią dziś po południu?

- A nie może poczekać?

- Daj spokój, Sam. Teraz gdy już cię namówiłem, trzeba jak najszybciej zorganizować wam spotkanie. Nie chcę nic obiecywać, ale może nie będzie już musiała rozmawiać z innymi kandydatami.

- Muszę do niej zadzwonić - powiedział Sam, jakby dzięki temu mógł się wymigać.

- Nic z tego. Obiecałem jej, że zadzwonimy, tylko jeśli nie będziesz mógł przyjechać. Pracuje w Midas Books, niedaleko Oxford Circus - rzekł ojciec. - Masz na czym zapisać

adres?

Samuel już miał oznajmić, że nie, kiedy spostrzegł przyczepiony pod telefonem długopis. Trudno, musiał nabazgrać sobie na nadgarstku dyktowane przez ojca dane. Przez chwilę na skraju umysłu majaczyło mu jakieś wspomnienie, lecz zostało wyparte przez pytanie, kiedy właściwie po raz ostatni sam podjął jakąś decyzję. Miał wrażenie, że od wieków robi tylko to, czego wymaga od niego ten czy inny członek rodziny, i wcale nie poczuł się lepiej, gdy ojciec, zamiast życzyć mu powodzenia, zapytał:

- Mogę ci coś doradzić?

- Pewnie możesz - mruknął chłopak.

- Po prostu odpręż się i bądź sobą. Fay jest tobą zainteresowana, więc opowiedz jej o sobie, a zwłaszcza o swoich ambicjach. Lubi ludzi żądnych awansu. Jest szczęśliwa, kiedy może im pomóc.

Samuel zachodził w głowę, jakim cudem ojciec mógł jej wcisnąć coś takiego, potem jednak pomyślał, że może tak naprawdę chodziło raczej o ojcowskie ambicje. To tylko potwierdzało fakt, że on sam jest zwykłą marionetką, nawet zanim pan Harvey powiedział:

- Obiecasz mi coś w zamian za tę radę?

- Co?

- Nic, co byłoby zbyt nierozsądne - rzekł ojciec takim głosem, jakby pytanie Sama lekko go uraziło, ale zaraz odzyskał rezon. - Masz rację, musisz zachować kontrolę. Nigdy się na nic nie zgadzaj, póki się nie dowiesz, co to ma być. Zamierzałem jedynie poprosić, żebyś do mnie zadzwonił po rozmowie z Fay.

- To mogę zrobić - odparł Sam ojcu i sobie.

- Tylko o tyle proszę - powiedział pan Harvey, co wydawało się tak niepodobne do prawdy, że Sam odważył się tylko wymamrotać „Cze” i odwiesić słuchawkę na widelki, nim ojciec zdążył się rozłączyć. Potem pokuśtykał do łazienki na piętrze.

Zwykle golenie pomagało się przebudzić, lecz tego ranka niosło ze sobą zbyt wiele gapienia się w twarz, która nie miała mu nic do podpowiedzenia. W końcu odciął ją od siebie zasłonką od prysznicza i zanurzył się w strumieniu wody, starając się mniej lub bardziej chronić przed nią lewe przedramię. Kilka kropel padło jednak na nadgarstek i ściekało pod nim, rozmazując atrament. Nie udało im się sprawić, by adres stał się nieczytelny, a gdyby nawet, to i tak pamiętał, że siedziba firmy znajduje się w All Souls Place. Kiedy po wytarciu reszty ciała lekko otarł nadgarstek, ręcznik pobrudził się na niebiesko, ale litery i tak były czytelne. Samuel powlókł się do sypialni i włożył ubranie, które było wystarczająco dobre na uczelnię i do sklepu, po czym zapukał do drzwi pokoju ciotki.

- Jeśli nie wrócę na obiad, powiedz mamie, że musiałem pojechać do Londynu.

Być może Sylwia czytała swoją książkę, bo wraz z nią do drzwi podszedł stary słodkawy odór.

- Ojciec cię z kimś umówił - zgadła.

- To osoba z wydawnictwa. - Niemożliwe, żeby była zazdrosna, pomyślał. - Mówi, że znalazł mi pracę.

- A znalazł?

- Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć.

- Zobaczymy, jak daleko zajedziesz - powiedziała Sylwia, splatając dłonie na brzuchu.

- Tylko na Oxford Circus.

- Brzmi, jakby było całkiem blisko, co? Jak sądzisz?

- Za parę godzin powinienem tam dotrzeć.

Zerknęła w dół, po czym pokręciła głową, jakby to pytanie nie było adresowane do niego.

- Natty nie wie.

Samuel był co najmniej zakłopotany.

- No nic, pójdę już - pożegnał się.

- Spiesz mu się, żeby nas zostawić, co? Co mu powiemy?

Samuel wmawiał sobie, że Sylwia tylko się bawi, jak wiele przyszyłych matek, ale doznał dziwnego uczucia, że w czymś przeszkadza, gdy mówił:

- No to do zobaczenia.

- Do rychłego zobaczenia - odparła ciotka, opierając dłonie po obu stronach brzucha, jakby chciała dać do zrozumienia, że mówi nie tylko w swoim imieniu.

Pokuśtykał na dół i wyszedł z domu. Jedynie nisko zawieszony słońce i długość cieni wskazywały, że jest dopiero styczeń: na drzewach poczęły się już rozwijać pąki. Gdy otwierał bramę, wyprowadzał volkswagena i ponownie ją zamykał, troje sąsiadów, których prawie nie znał, przyglądało mu się z rogu Pine Grove. Przez całą drogę wzdłuż Woodland Close samochód włókł się, kaszląc i dając im stanowczo zbyt wiele czasu na posyłanie nieprzychylnych spojrzeń. Samuel jednak ledwie zauważał gapiów i okoliczne ulice, wyraźnie natomiast widział zbliżający się las.

Być może była to - przynajmniej częściowo - wina książki, którą z uporem czytała mu ciotka. Jej smród sprawiał wrażenie, jakby przywarł Samowi do nozdrzy, podobnie jak słowa przywarły do umysłu. Szczególnie utkwił mu w głowie jeden fragment: „Łatwiejszym nawet niżli przyzywanie tych ludzkich skorup, iżby w nie tchnąć owoce mych dociekań, jest

przyzwanie do ich głów otchłani, by wrócili memu lasowi wszelaką pamięć o naszym spotkaniu...”. Zdawało się to zawierać odniesienie do czegoś, o czym wolał nie wiedzieć. Prowadził jedną ręką, obnażając zapisany nadgarstek drugiej. „All Souls Place”

- Zaulek Wszystkich Dusz - przeczytał na głos, jakby to mogło wymazać myśli o Sylwii i jej księdze.

Ostatnie domki przemknęły obok, odsłaniając las. Pod niebem białym jak kość drzewa zazieleniły się lekko, zapewne od pąków, choć bardziej przywodziły one na myśl mgłę i porosty. Pasemka mgielki unosiły się w powietrzu, wyraźnie nie mając ochoty opaść na drogę, zwłaszcza gdy mijał Arbour, gdzie odniósł wrażenie, że coś pełźnie w poprzek nawierzchni pozostawiając za sobą ślad, za którym tył jakiejś ciężarówki trząsł się jak galareta. Las przemykał obok, a Sam nie mógł się pozbyć wrażenia, że jakaś obecność, złożona z drzew lub kryjąca się za nimi, wodzi za nim wzrokiem. „Wrócili memu lasowi...” Ten głos wcale nie brzmiał jak głos Sylwii, a jeśli nawet, to sprawiał wrażenie, jakby mówiła w czyimś imieniu. Łudził się, że gdy już wyjedzie na autostradę, konieczność koncentracji na jeździe nie pozostawi miejsca innym myślom.

W końcu las skręcił w prawo, wciskając się w lusterko ponad zbliżającą się autostradą, i Sam miał wrażenie, że drzewa kurczą się tylko po to, by zakotwiczyć kolektywne skłębione szpony w jego umyśle. „Wrócili memu lasowi...” Być może przez powtarzanie tego jednego zdania wypowiadający je głos stawał się coraz bardziej dziecinny. Odbicie lasu zadrżało gwałtownie, lecz Samuel nie potrafił określić, czy spowodowała to mgielka czy też lusterko rzeczywiście się zatrzęsło. Potem widok lasu przysłoniła ciężarówka, miotając wydłużoną przyczepą i napierając szoferką na volkswagena.

Kierowca był zbyt zajęty rozmawianiem przez komórkę i gestykulowaniem, żeby przyhamować, wpychając na autostradę biednego Sama, który gwałtownie wcisnął pedał gazu, ale przez zapierającą dech chwilę nie był pewien, czy jego samochód ma dość mocy, aby uciec przed autostradowym piekłem. Atakująca ciężarówka zatrąbiła wniebogłosy, po czym zjechała na środkowy pas długo po tym, jak przytłoczyła swym ogromem jego lusterko. Cisza, która potem zapadła, była co najwyżej względna, wciąż bowiem przebijał przez nią stłumiony szmer opon, a co gorsza, głos w głowie Sama zmienił śpiewkę. „Przyzwanie do ich głów otchłani” - powtarzał teraz.

- Dead Souls Place... Zaulek Martwych Dusz - wymamrotał Sam. - Fay Jakaśtam. Przypomnę sobie, jak tam dotrę, albo ona mi przypomni. Minus Books.

Celowo błędnie powtarzał adres, żeby nie powtarzać się tak monotonicznie jak głos, którego nie potrafił przegonić, ale rozpraszało go dosłownie wszystko wokół. Nawet kiedy

całkowicie opuścił osłonę przeciwsłoneczną, nie przysłoniła słońca, które boleśnie raziło go w oczy, jakby się uparło, by go skłonić do wycofania się. Ilekroć usiłował zwolnić, doganiała go kolejna ciężarówka, w ostatniej chwili wyprzedzając, a w ramach premii trąbiąc ogłuszająco. Nie tyle jechał, ile był pędzony, tylko dokąd?

- Dead... - mamrotał. - Fay taka czy owaka, coś tam Books.

W tym momencie jedno z kilkorga dzieci jadących mijającą go toyotą wskazało go palcem - głupek, gada sam do siebie - i cała reszta obróciła się, by popatrzeć. Pewnie zachowywał się jak jego dziadek. Nie musiał przecież rozpaczliwie szukać w pamięci adresu, skoro miał go zapisany na nadgarstku. Zacisnął prawą rękę na kierownicy i potrząsnął lewą, by strząsnąć rękaw, po czym uniósł ją do oczu. Volkswagen zatoczył się między liniami i omal nie zjechał na pas awaryjny, nim chłopak ponownie schwycił kierownicę obiema dłońmi. Gwałtownie uniósł wzrok znad nadgarstka, sprawdzając, czy nie zbliżył się za bardzo do toyoty, która dwukrotnie mrugnęła światłami hamowania, zbliżając się do kolejnego węzła, a następnie znów wlepił gorejący wzrok w atrament na ręce, tak rozmazany przez pot, że nie dało się odczytać ani jednej litery. Rozsypane na chybił trafił mokre gałązki, a raczej ślady, które mogłyby pozostawić na jego skórze, miałyby więcej sensu.

Toyota skręciła w zjazd, a dzieciaki pożegnały go, wykrzywiając twarze w obraz czegoś, z czym nie chciałby się spotkać w ciemnościach. Gdyby zorientował się chwilę wcześniej, pojechałby za nimi i poszukał najbliższego automatu telefonicznego. Można by pomyśleć, że kpiły sobie z jego rozpacz - one i to nieubłagane słońce, puchnąca w lusterku masa samochodów i głos, który zagnieździł się w jego czaszce. „Przyzwanie do ich głów otchłani...” To mogła być jego ciotka naśladowująca głos dziecka lub odwrotnie.

Przestał już liczyć, ile razy nie udało mu się stłumić owego głosu, nim wreszcie dojechał do kolejnego zjazdu. Na końcu drogi wyjazdowej było skrzyżowanie, od którego na zachód droga biegła w kierunku rzeki Severn. Na nagim horyzoncie nie było widać nic prócz pól. Samuel postanowił więc ruszyć w lewo krętą, biegnącą nie wiadomo dokąd drogą, wierząc, że w końcu zobaczy coś więcej niż zasłaniające widok żywopłoty i wysokie trawy, i starając się uparcie powtarzać w głowie swój refren. Pierwszy raz pożałował, że pozbył się komórki: nie sądził, by emitowane przez nią fale mogły uczynić jego mózg bardziej bezużytecznym, niż był w tej chwili.

- To pub z telefonem - oświadczył na widok dymu na niebie, starając się przekrzyczeć głos.

Okazało się, że to hotel, Traveller's Haven, szeroki dwukondygnacyjny budynek z czasów dynastii Tudorów lub stylizowany na nią. Wśród jego barw dominowały czerń i biel.

Na żwirowym podwórku parkowały trzy limuzyny i kilkadziesiąt samochodów rozstawionych tak szeroko, że Samuel ledwie zdołał wcisnąć między dwa z nich swego volkswagena. Zaparkował tyłem, po czym wypełził przez skąpą szczelinę i ruszył kuśtykającym sprintem do budynku.

Recepcja mieszcząca się obok szerokich schodów z dębowego drewna była pusta, a w rozległym, wyłożonym boazerią holu próżno szukał telefonu. Donośny gwar zaprowadził go do baru, podłużnego pomieszczenia, także całego w drewnie, z otwartym kominkiem płonącym w kącie mimo wiosennej aury. Żaden z biesiadników nie wydawał się z tego zadowolony, a już szczególnie panna młoda ocierająca sobie czoło chusteczką liliową jak jej jedwabna suknia. Niektóre spośród kwiatków przypiętych do kosztownych klap wszystkich gości płci męskiej zdawały się więdnąć z gorąca. Czując się w każdym sensie nie na miejscu, Sam przeproszał i przepychał się przez skupisko liliowych drujen, z hałasem wrzucających monety do jednorękiego bandyty, aż dotarł do baru.

Samotny barman zdawał się nieco zbyt duży dla swojej koszuli i krawata, wskutek czego twarz mu się zaczerwieniła, ledwie na niego zerknął. Samuel rozejrzał się wokół, ale nigdzie nie dostrzegł telefonu. Gdy barman raczył zerknąć na niego ponownie, obsłużony wcześniej uprzednio kilku facetów z kwiatkami w klapach, Sam zaczął:

- Jak będzie pan miał moment...

- Momenty już były. Spóźnił się pan.

Czas, który Sam musiał poświęcić na zrozumienie żartu, zdenerwował go bardziej niż sam żart.

- Mam na myśli chwilę.

- Mam ją teraz. - Nie otrzymawszy natychmiastowej odpowiedzi, barman kontynuował: - Czego się pan napije?

- Faktycznie, chyba powinienem coś wypić - rzekł Sam do niego i do siebie. - Pół. Pół pinta piwa, znaczy, i czy mógł...

- Gość?

- Nie, nie nocuję tu.

Barman spojrzał na niego takim wzrokiem, jakby tylko jemu było wolno żartować, choć Sam nawet nie wiedział, że to zrobił.

- Gościnnego piwa? - mruknął tamten, gdy już przestał się gapić. - Nie z naszego browaru?... Chce pan pint gościa?

- Pół pinta. Zamierzałem zapytać, gdzie znajdę telefon.

Barman z pełnym dezaprobaty namaszczeniem wy dobył skądś półpintową szklankę i

przystąpił do wycierania jej ściereczką.

- No i? - zapytał, zlustrowawszy ją w słabym świetle.

- No i co?

- Zapyta pan?

- Właśnie pytam - odparł Sam, mając wrażenie, że jego głos z wielkim trudem przedziera się przez nerwy. - Gdzie znajdę telefon?

- Na drugim końcu.

Samuel spojrział w tamtą stronę, lecz zobaczył jedynie grupkę chichoczących i dymiących kobiet.

- Tam?

- Jak pan tam pójdzie, nie dostanie pan piwa - ostrzegł barman, nalewając piwa z kranu z prowizorycznym szyldem, na którym widniała nazwa „Sutek Wiedźmy”. - Teraz obsługuję ten koniec.

Samuel patrzył, jak szklanka napełnia się mętnym brązowym płynem przywodzącym na myśl wodę z sadzawki. Nagle ucieszył się z opóźnienia, a raczej - ucieszyłby się, gdyby pomogło mu myśleć. Zapłacił za piwo i zaczął się przeciskać przez tłum. Zmagania w jego głowie wciąż trwały. Jakoś udało mu się ominąć kobiety stojące na końcu baru, które jak purchawki wyemitowały w powietrze szarą chmurę śmiechu. Postawił piwo na półce obok zawieszzonego na ścianie telefonu. Był już niemal od stóp do głów zalany zimnym potem, który zdawał się zmieszany ze żwirem. Nie mógł sobie przypomnieć numeru telefonu ojca.

Wypił łyk płynu o smaku równie mętnym jak wygląd i potarł czoło letnią szklanką. Nawet jeśli nie pamiętał numeru, powinni mu go podać w informacji. Zapyta o numer do firmy, w której pracuje ojciec, czyli... czyli... Nie wiedział, że stęknął z rozpaczy, póki stojąca najbliżej kobieta nie otoczyła go nagim ramieniem, równie obficie wyperfumowanym, jak usianym piegami. Miał wrażenie, że panujące w barze gorąco przybrało ludzką formę.

- Nie w twoim guście, złotko?

Omów udało mu się nie wzdygnąć.

- Co? - wyjąkał.

- Myśli, że mu się narzucasz, Amando - rzekła jedna z jej koleżanek, a pozostałe przybrały rozmaite miny, starając się nie parsknąć śmiechem.

- Nie ja, kochany. Twoja maleńka szklaneczka.

- Nie, w porządku - skłamał Sam i wskazał telefon. - Ja tylko...

- W takim razie zostawimy cię w spokoju, co, dziewczęta? - powiedziała Amanda,

wspierając się o niego, póki nie zdołała stanąć w miarę prosto twarzą do koleżanek. - Daj znać, jak będziesz miał ochotę na towarzystwo.

Matka wie, gdzie ojciec pracuje, pomyślał, wyęzając umysł, by przypomnieć sobie numer do biblioteki. Dzwonił do niej nie raz pod... pod... Kiedy otworzył oczy, by skupić zrozpaczony wzrok, zobaczył idącego wolno w jego kierunku barmana.

- Przepraszam?... - zawołał i dwa razy głośniej: - Przepraszam?

- Nadal nie do ciebie, Amando - zauważyła któraś z dziewcząt.

- Sprawiał wrażenie, jakby mu piwo nie smakowało, Phil - doniosła barmanowi inna.

Nim Phil zdążył obrócić ku niemu swą niemiłą twarz, Sam rzekł:

- Mają państwo książkę telefoniczną?

- Jest w recepcji, jeśli tam ktoś siedzi. - I z satysfakcją równie totalną jak jego ponuractwo dodał: - Ale nie siedział, jak przed chwilą tam zagłądali.

Samuel wyobraził sobie przepychanie się przez niekończący się tłum w jedną, a potem w drugą stronę. Zamiast tego wykręcił numer informacji telefonicznej, chociaż wiedział, że dzwoniąc z hotelu, będzie musiał zapłacić.

- Poproszę o numer biblioteki Uniwersytetu Brichesterskiego - rzekł do kobiety siedzącej gdzieś w Szkocji.

Odpowiedział mu głos z komputera, ledwo słyszalny wśród barowego zgiełku. Samuel wrzucił kolejne monety do wąskiej paszczy telefonu i wykręcił podany numer. Słuchawka w spoconej dłoni jakby zmiękła, nim ktoś odebrał.

- Biblioteka Uniwersytecka - rozległ się głos mówiący tak, jakby bardzo się starał podkreślić duże litery.

- Czy... czy mogę mówić z Heather Price? - odezwał się Sam, zakrywając lewe ucho.

- W tej chwili nie. W czym mogę pomóc?

- A gdzie jest?

- A mógłbym wiedzieć, kto mówi?

- Samuel. Jej syn. Gdzie ona jest?

- Witaj, Sam. Tu Randall. Poznaliśmy się przez ladę - rzekł Randall, po czym zamilkł na tak długo, jakby miał zamiar dodać więcej niż tylko: - Dziś wcześniej wyszła na lunch.

- A można ją zawołać?

- Niestety, jest poza budynkiem.

- Kiedy wróci?

- Spróbuj zadzwonić za jakąś godzinę.

Godzina! Zdawało mu się, że będzie trwała znacznie dłużej niż cała bezsenna noc.

Wyteżał umysł, by wymyślić jakąś odpowiedź, gdy Randall dodał:

- Mam wrażenie, że nasza znajomość zaczęła się nieco... hm, rzekłbym „kulawo”, gdybym się nie obawiał, że uznasz to za przytyk do swojej kontuzji, którą z tego co słyszałem, znosisz iście bohatersko. Przyjaźnię się z twoją mamą, więc chciałbym, żebyś i ty uważał mnie za przyjaciela, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Jasne - odparł machinalnie Sam, nie wiedząc, czy ma coś przeciwko, i powiesił słuchawkę na widełkach. Nie mógł czekać na powrót matki, ale może numer ojca lub jego firmy jest gdzieś w domu? Może Sylwia mogłaby go znaleźć? Znów chwycił słuchawkę, a potem odwiesił ją tak drżącym ruchem, że zachrobotła jak grzechotnik. Nie mógł sobie przypomnieć telefonu do własnego domu. Nie pamiętał nawet adresu.

Gorąco i hałas zdawały się kłębić w jego wnętrzu wraz z narastającą paniką. Czuł się jak dziecko, bardzo zagubione i bardzo małe. Rozpaczliwie trzymał się jednej myśli: znał drogę powrotną do domu. Gdy utykając, oddalał się od telefonu, słyszał, jak któraś z koleżanek Amandy mówi do barmana:

- Jakoś nie bardzo mu smakowało twoje piwo.

Amanda zdecydowanym, choć chwiejnym krokiem zastawiła mu drogę.

- Chcesz dobrą radę? - zapytała. - Następnym razem umyj się przed wyjściem z domu.

Nie wiedział, czy chodzi jej o nieczytelną plamę na nadgarstku czy o to, jak bardzo jest spocony - choć wątpił, żeby dało się rozdzielić jedno od drugiego.

- Jasne - mruknął, po raz kolejny czując, że słowa, których uczył się przez całe życie, uciekają mu, po czym pokuśtykał dalej, starając się przemknąć między ludźmi, choć miał ochotę rozganiać te gorące cielska pięściami.

Samochód zapalił od razu, ale Sam nie odczuł natychmiastowej ulgi. Niebezpiecznie przyspieszał na krętej drodze wiodącej ku autostradzie, na której panował teraz jeszcze większy ruch. Na moment zaschło mu w ustach ze strachu na myśl, że mógłby pojechać w złym kierunku - że drogowskaz na skrzyżowaniu okaże się równie nieczytelny jak rozmyte hieroglify na nadgarstku. Okazało się jednak, że nie zatracił instynktu wiodącego ku domowi. Kiedy dostatecznie duża przerwa między samochodami pozwoliła mu włączyć się do wyścigu, odkrył, że ma słońce za plecami.

Jego blask wypełniał większość lusterka, grzejąc rozczochrane włosy ponad zmarszczonym czołem. Zdawało się, że zniżająca się kula popycha czaszkę Sama do przodu, a w sukurs przychodzi jej ciągnący samochód wydłużony cień. Widok zbliżającego się lasu wzbudził w nim mieszane uczucia. Już blisko domu, pomyślał jednak, ale znaczyło to tylko tyle, że może przestać wysilać pamięć.

Kilka mil dalej autostrada wyrzuciła go na obwodnicę. Byłby zszokowany, że odjechał zaledwie na taką odległość, lecz jego głowę zaprzętał problem wyjaśnienia rodzinie, dlaczego nie dotarł na spotkanie. Lasy oczekiwały, aż w ich szpony wpadnie słońce, które tymczasem znalazło się po lewej stronie Sama. Gdy tylko pierwsze drzewa wchłonęły rażący blask, Sam poczuł się mniej osaczony i niemal zdolny do myślenia. Wyobraził sobie, jak nieruchome muszą być głębiny lasu, i odczuł to jako zaproszenie. Dojechawszy do pierwszej zatoczki, zjechał w nią i wyłączył silnik.

Obok przetoczyła się z rykiem ciężarówka, kołysząc tyłem w tę i we w tę. Ledwie oddaliła się na tyle, by jej obraz zaczął drżeć w świetle, a już w ślad za nią przejechała kolejna, tak wielka, że mogłaby połknąć tę pierwszą. Ale nie tylko ich ryk rozpraszał Sama: kiedy przejeżdżały obok, volkswagen trząsł się, jakby fale ciepłe zgęstniały i napierały na niego. Chłopak wygramolił się z samochodu i kręcił się w pobliżu, aż w końcu głuchy łoskot pojazdów zepchnął go w głąb lasu.

Jeszcze nie potrafił myśleć, lecz wiedział, że jak tylko znajdzie się wśród ciszy, wszystko wróci do normy. Oddalanie się od drogi było jak powtarzanie kroków tanecznych. Pochylone, wyrwane przez ubiegłoroczną wicherę drzewa pomagały wyciszyć pomruk Goodmanswood. Otaczające go gałęzie zwieńczone były jakimiś porostami, czasem o niewiarygodnych, niepokojących kształtach. Niektóre zdawały się zdolne do poruszania bez pomocy wiatru, ale ich bezruch obiecywał jeszcze większy spokój głęboko w gąszczu, Samuel nie zwracał więc na nie większej uwagi, podobnie jak na strzeliste konstrukcje przerośniętych wierzchołków. Drzewa stały nieporuszone niczym stalagmity podtrzymujące blade niebo, a mimo to miał wrażenie, że za chwilę przemieszczą się w jakiś nieokreślony sposób. Kuśtykał tak szybko, że nie wiedział już, czy pragnie jak najszybciej odzyskać pamięć czy też ucieka przed zagrożeniem zbyt dokładnego pamiętania. Nie miał pojęcia, jak daleko zaszedł - może odprawiał swój rytuał kroków od kilku minut, a może od nieskończenie długiego czasu - kiedy dostrzegł przed sobą jakąś jasność.

Nie był to jedynie blask słońca na otwartej przestrzeni, lecz coś bardziej materialnego i wykonującego świetlny taniec. Kilka szybkich, acz niechętnych nierównych kroków przywiodło go tak blisko, że rozpoznał rój owadów. Kiedy zobaczył, że krążą nad kopcem w obrębie ceglanego kręgu, uzmysłowił sobie, że znajduje się w sercu lasu, który zdawał się teraz bardziej rozległy i mroczny, niż powinien, biorąc pod uwagę porę i przebytą przez Sama odległość. Owady okrążały się i obskakiwały, a było ich takie mnóstwo, że zdołały wykreślić sylwetkę wielkości człowieka, która następnie opadła w kucki na kopiec. Wspomnienia ostatniej bytności w lesie oładnęły Samem, przyciemniając mu umysł, jakby zagrzebywały

go w ziemi.

Odkopał schody pod kopcem. Wraz z ciotką zszedł na dół i zobaczył istoty, które nigdy nie powinny były żyć, oraz jedną, która jakimś cudem wciąż zdawała się żywa. Zrobił co w jego mocy, by przywrócić kopiec do stanu sprzed interwencji, jak gdyby - myślał teraz - chciał zakopać wiedzę o zejściu do podziemi i znalezieniu dziennika Selcoutha. Wspomnienia wgryzały się głębiej w umysł, gotowe odsłonić kolejny rozdział, i nie chodziło tylko o to, że Samuel już kiedyś spotkał te owady. One zaś, jakby zwietrzyły jego myśl, uniosły się z kopca i poleciały ku niemu.

Nim zdołał zrobić krok w tył, przemierzyły już całą polanę. Na oślep posuwał się do tyłu, gdy stworzenia pomknęły między drzewami na wysokości jego głowy, prześlizgując się przez sieć cieni i nie przestając lśnić barwami, których nie umiał nazwać i które zdawały się pochodzić ze snu. Przeszedł tyłem może z jard, uderzył plecami o drzewo i zatrzymał się, czekając na nieunikniony moment, w którym rój go dosięgnie.

Oganiał się od nacierającej masy obiema rękoma. Przez chwilę zdawało mu się, że zdołał ją odepchnąć - cofnęła się w swym tańcu, budując jeden misterny wzór po drugim i zmierzając z powrotem ku kopcowi. Już miał uchwycić niewiarygodną geometrię sugerowaną przez te wykresy, kiedy jeden z insektów doskoczył mu do twarzy. Choć jego skrzydła, trzepoczące tak szybko, że niemal nie było ich widać, istotnie były w miarę owadzie, wyciągnięte do przodu szpony przypominały mikroskopijne naręcza gałęzi, tułów zaś i kończyny mogłyby być ludzkie, gdyby nie łuskowata pokrywa przywodząca na myśl fosforyzujący mech. Tylko jakim cudem potrafił to wszystko wyodrębnić, skoro istota nie była większa od jego paznokcia? A jednak to zrobił; chyba że jego umysł gorączkowo wymyślał szczegóły, by zaciemnić rzeczywisty obraz. Samuel czuł żalną wdzięczność za to, że nie zdołał się przyjrzeć twarzy stworzenia - choć zdawało mu się, że dostrzega połyskujące oczy i usta otwierające się, aby go pozdrowić - nim urosło w jego oczach, po czym zniknęło.

Gwałtownie uniósł ręce, by wysupłać je sobie z włosów, chociaż koniuszki palców mrowiły buntowniczo, ale nie dało się złapać. Przez ułamek sekundy - tylko tak długo zdołał wytrzymać to wrażenie - czuł, że pełźnie wewnątrz niego, a potem jakby zaczęło puchnąć, wypełniając mu czaszkę ciemnością zimną i niezmierną jak kosmos. Być może było to wspomnienie miejsca, z którego przybyła ta istota, lecz z całą pewnością przywołało inne wspomnienia - te skryte w głowie Sama. Teraz jego ręce robiły wszystko, by przestał widzieć, zasłanianie jednak oczu, a nawet wydłubanie ich nie zdołałoby tego dokonać. Potrafił tylko rozpaczliwymi ruchami chwytać powietrze, jakby mógł z niego wyłuskać zapomnienie.

Pamiętał, jak kilka miesięcy temu zabłąkał się na tę polanę. Pamiętał postać, która wyszła mu na spotkanie. Wzięła go za rękę i poprowadziła na kopiec. Rozbierali się tak wolno i bez słów, jak gdyby wykonywali jakiś tajemny rytuał. To było jak sen śniony z otwartymi oczyma, ale teraz zdawało się raczej koszmarem bez końca. Nie rozpoznał wtedy tej kobiety, a ona z całą pewnością nie mogła rozpoznać jego. Kiedy jej długie obnażone nogi zaciskały się wokół jego talii, wciągając go głębiej, wypowiedziała tylko jedno słowo. A przynajmniej on usłyszał wypowiadający je głos, choć nie mógł być pewien, czy dźwięk wydobywał się z gardła Sylwii. „Selcouth” - powtarzał stłumiony głos. „Selcouth”.

Problemy rodzicielskie

Wjeżdżając na Woodland Close, Heather zauważyła, że jakiś facet rzuca się od wewnątrz na jej bramę, aby ją zamknąć. Tak się chwiał, że wzięła go za pijaka. Sekundę później była już dostatecznie blisko, by rozpoznać Sama. Jasne, skoro poruszał się z taką prędkością, mógł się zatoczyć wyłącznie z powodu chorej nogi. Zatrąbiła. Chłopak zerknął w kierunku tego dźwięku, ale najwyraźniej był czymś strasznie przejęty, bo pospiesznie zamknął bramę i pokuśtykał niezdarnie do domu.

Być może myślał, że matka jest już wewnątrz. Może chciał jak najszybciej opowiedzieć jej, dlaczego dzwonił do pracy. Sama była tego bardzo ciekawa. Pozostawiła samochód na środku uliczki, z uchylonymi drzwiami, i pobiegła do bramy. Ponieważ odgłos jej kroków także nie oderwał Sama od otwierania frontowych drzwi, zawołała głośno:

- Sam!

Jego cień na drewnianych panelach zapadł się w siebie, a potem urósł i przybladł, gdy chłopak obracał się w jej stronę. Poruszył ustami, jakby mówił: „Czego?”.

- Nie wiem. To ty chciałeś ze mną rozmawiać.

Czyżby odezwała się tak cicho, że jej słowa nie dotarły do niego? Wyglądał, jakby albo nie słyszał, albo nie rozumiał. Odrygłowała bramę i otworzyła ją na oścież, mówiąc:

- Było tak ładnie, że w przerwie na lunch poszłam na spacer. Przepraszam, że nie mogłeś się do mnie dodzwonić.

- Nieważne.

- Rozumiem, że sam sobie poradziłeś.

Myślała, że Sam potraktuje to jako pytanie, ale on już obracał się ku domowi.

- Chyba ci nie zimno, co? - zastanowiła się głośno, a gdy potrząsnął głową, kontynuowała: - Jasne, że nie. Zaczekaj, aż wprowadzę samochód.

Miała nadzieję, że syn przynajmniej zamknie za nią bramę bez konieczności prośzenia, i rzeczywiście to zrobił. Zdążyła wysiąść z wozu, nim uciekł do domu.

- Więc o co chodziło? - zapytała, a na widok jego ściągniętej twarzy poprawiła się: - O co chodzi?

- Ojciec mnie o coś poprosił.
- To znaczy o co?
- Żebym poszedł do pracy.
- Chyba wszyscy byśmy tego chcieli. Miał na myśli coś konkretnego?
- Umówił mnie na rozmowę.
- Gdzie?
- W wydawnictwie.
- Och, nie przesadzaj już z tym suspensem. Jak poszło?
- Nie poszło.
- O rany, Sam, nie przejmuj się. Tak powiedzieli czy jak zwykle siebie nie doceniasz?
- Nie było rozmowy.
- Chcesz powiedzieć, że nie...
- Nie poszedłem.

Przechodząca para sąsiadów, których Heather ledwie знаła, zerknęła na nią gwałtownie, gdy podniosła głos.

- Jak to?

Samuel gwałtownie wyciągnął ku niej lewą rękę. Sądziła, że oznacza to odmowę odpowiedzi, ale potem zauważyła, że widniejąca na nadgarstku ciemna plama to nie cień, tylko pozostałości napisu.

- Zgubiłem adres - bąknął.
- A skąd go miałeś?
- Już mówiłem. Od taty.

Wcale nie mówił. Musiał być strasznie skołowany.

- To nie mogłeś go poprosić, żeby ci podał jeszcze raz? - zapytała dociekliwie Heather.

- Właśnie w tej sprawie do ciebie dzwoniłem. - Głos Sama nabrzmiewał urazą, czy to z powodu jej pytań, czy też tego, do czego musiał się przyznać. - Zapomniałem, gdzie tata pracuje.

- Hartley, Tracy and...
- Harvey. Trzech gości z „y” na końcu. Teraz pamiętam. Ale przedtem zapomniałem.

Spacerujący sąsiedzi obejrzeni się jakby w poszukiwaniu dowodu, że pozostali Price'owie nie są bardziej zrównoważeni niż Lennox u kresu swego życia. Heather powtarzała sobie, że z Samem nie dzieje się nic podobnego, lecz miała już po dziurki w nosie tego gapienia się.

- Wejdźmy do środka - mruknęła. - Dlaczego tak się przejmowałeś tą rozmową?

Przyjęła, że to jej pytanie sprawiło, iż Sam nagle stracił ochotę na wejście do domu.

- Przejmowałem? - wymamrotał.

- Nie widzę innego powodu, dla którego miałbyś zapomnieć, dokąd masz jechać. - Samuel skrzywił się tak boleśnie, jakby cała jego twarz miała się zapaść do środka. - Musiałeś być przejęty. Zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedziała, co mnie zdarzało się zapominać, kiedy miałam zbyt wiele na głowie. Otwórz drzwi, a ja wypakuję rzeczy z samochodu.

Zastanawiała się, czy to źle się lecząca kontuzja może być przyczyną jego zmartwienia. Tak czy owak dojście do drzwi zabrało mu sporo czasu. Gdy dołączyła do niego z torebką i siatką pełną zakupów, dopiero je otwierał. Wszedł do korytarza, zapalił światło i zawahał się. Czyżby jeszcze nie przywykł do tego subtelnego zapachu starości, jaki się tu ostatnio zagnieździł? Ona też nie zamierzała do niego przywykać. Już miała ponaglić syna, lecz zauważyła to co on. Była to kartka zapisana pismem Sylwii, przyczepiona do telefonu stojącego na korytarzowym stoliczku.

Napisano na niej jedynie: „Poszłam do mamy”, choć w pierwszej chwili Sylwia chciała chyba napisać „matki” i teraz wyglądało to trochę jak „matmy”. O ile reakcja Sama nie oznaczała, że wołałby, aby ciotka była na miejscu i uwolniła go od jej pytań, o tyle pewnie się cieszył, że Sylwia ich nie usłyszy. Może zresztą sam nie wiedział.

- Może w takim razie zadzwonisz do taty? - zasugerowała.

- Pewnie jeszcze siedzi w pracy.

- Po co?

- Po co masz dzwonić? Żeby ci przypomnieli numer do wydawnictwa i żebyś mógł się przed nimi wytłumaczyć.

- Pamiętam.

- Pamiętasz...

- Wszystko - odparł Sam, ale zamknął oczy i gwałtownie uniósł ręce, nie tyle w geście poddania, ile tak, jakby zamierzał podrapać się po głowie. - Wydawnictwo - wymamrotał takim tonem, jakby chciał, żeby sobie gdzieś poszła.

- No dobrze, zostawię cię, żebyś z nimi pogadał, a ja w tym czasie rozpakuję torbę.

Lampa w kuchni przestała mrugać, nim Heather usłyszała, że Sam podnosi słuchawkę. Gdy zaczynała wyjmować zakupy, on prosił informację o numer Midas Books. Celowo szeleściła folią i starała się hałasować, żeby pomyślał, że nie chce podsłuchiwać. On tymczasem zapytał o kogoś nazwiskiem Fay Sheridan, po czym z ulgą w głosie rzekł: „Och, wyszła”, a potem bez najmniejszej ulgi: „Dobrze, czemu nie”. Zaległa długotrwała cisza,

podczas której Heather odgadła, że zaproponowano mu rozmowę z sekretarką Fay Sheridan, po czym znów rozległ się jego głos: „Tu Sam Harvey. Miałem się z nią dziś spotkać”.

Zabrała się za układanie zakupów na swoich miejscach, ale nie mogła udawać, że robi tyle hałasu co przedtem. Gdy Sam powiedział: „Zgubiłem się”, miała nadzieję, że nie przekreśli swoich szans, przyznając się do ataku amnezji. Przerwy, które brzmiały groźnie, mimo iż ze wszystkich sił starała się skupić na swoich czynnościach, przetykane były krótkimi wypowiedziami: „Zmazał mi się”, „Wszystko wyleciało mi z głowy” i „Wiem, powinienem zadzwonić”. Na koniec z większym ożywieniem niż to, które demonstrował podczas rozmowy, Sam pożegnał się.

Heather zdążyła już wszystko poukładać i gapiła się przez okno. Odbicie kuchni nie w pełni ukryło obecność splątanego skalpu wielkiej niewidzialnej głowy daleko za płotem - koron drzew. Kiedy szcęknęła odkładana słuchawka, matka spodziewała się usłyszeć odgłos kroków syna i miała nadzieję, że przydrepcze do niej, a nie pokuśtyka na górę. On jednak stał bez ruchu w milczeniu.

- Jak długo musiała na ciebie czekać? - zawołała.

- Nie mówiłem, że przyjadę. Ojciec luźno nas umówił.

- No to miejmy nadzieję, że da ci jeszcze jedną szansę. - Nie doczekawszy się odpowiedzi, Heather otworzyła na oścież drzwi. Samuel trzymał w ręku liścik od Sylwii i gapił się na niego. - Coś jeszcze jest nie tak? - zapytała.

Kiedy otworzył dłoń, częściowo zmięta kartka rozwinęła się jak kaleki kwiat.

- Jak on się nazywa... - mruknął.

Mimo beznamietnego tonu Heather uznała to za pytanie.

- Natty?

- Jaki znowu Natty? - zapytał z niepokojącą zaciekłością.

- Nawet nie wiemy, co to jest.

- Chcesz powiedzieć: chłopiec czy dziewczynka - odparła skołowana Heather. - W takim razie pewnie się zastanawiasz, kim jest drugie z rodziców?

- Drugie, właśnie. Pan Rodzic. - Samuel wyszczerzył zęby w czymś, co wzięła za uśmiech. - Myślisz, że kiedyś go poznasz? - zapytał natarczywie.

- Jakoś mi się zdaje, że nie.

- A co byś zrobiła, gdybyś jednak poznała?

- Jeśli Sylwia życzliwie go przywita, to i ja.

- Tak myślisz - mruknął Sam z wyraźnym niedowierzaniem. - Tak byś zrobiła.

Nie mogła była przewidzieć jego reakcji: mówił bardziej jak ojciec niż jak

siostrzeniec.

- A co? Jak ty byś się zachował? - zapytała.

- Bóg jeden wie, jak będę musiał.

- Nie będziesz musiał, Sam. Jestem przekonana, że się nie pojawi. Między nami mówiąc, ale niech to zostanie w rodzinie, nie sądzę, żeby w ogóle wiedział, że będzie ojcem.

- Niech to zostanie w rodzinie... - powtórzył przeciągle Sam. - A jeśli się zorientował?

- Niby jak? Sylwia w ogóle się z nim nie kontaktuje.

Samuel wykrzywił wargi.

- Nie chcesz przynajmniej wiedzieć, jak się nazywa? - zapytał, nie przestając się krzywić.

- Nie, jeśli ona tego nie chce. Mam wrażenie, że wołałaby raczej o nim zapomnieć. - Mówiąc te słowa, Heather wpadła na rozwiązanie, które wszystko wyjaśniało: a może ojciec był pacjentem szpitala, w którym Sylwia dzieliła pokój z Merilee? Ale chyba jego stan nie mógł mieć wpływu na dziecko?

- Teraz liczy się tylko maleństwo - zadeklarowała, częściowo celem odgonienia własnych obaw. - Nie musimy nic więcej wiedzieć, żeby się troszczyć o nie i o jego matkę.

Miała nadzieję, że Sam nie zaoponuje. Jednakże pytanie, które padło, gdy Sam powoli otworzył usta, trochę zbiło ją z tropu.

- Co zapomniałaś?

- Hm... nie pamiętam. - Samuel nie zareagował na żart, a i siebie nie zdołała rozśmieszyć. - Co próbujesz mi przypomnieć?

- Na dworze powiedziałaś, że też zapominałaś różne rzeczy. Skąd o tym wiesz, skoro nie pamiętasz, co to było?

- Mam na myśli czasy studenckie, jak byłam mniej więcej w twoim wieku. Może to jakaś rodzinna przypadłość. W tym wieku trochę nam odbija.

Niespecjalnie go to pocieszyło. Już się zastanawiała, czy nie powinna odwołać części swoich słów, gdy za plecami Sama rozległy się kroki. Poruszył ręką, która wyglądała na sztywną jak gałąź, i upuścił liścik Sylwii. Kartka opadła na stolik jak uschły liść. Choć nie obrócił się, póki nie zamilkł szcęk klucza i drzwi się nie otworzyły, Heather nie potrafiła nic wyczytać z jego zmienionej w maskę twarzy. Kiedy ciotka oparła nabrzmiałe ciało o drzwi, by je zamknąć, Sam zwrócił się gwałtownie w jej stronę.

- Właśnie o tobie rozmawialiśmy - rzekł.

Sylwia uniosła lekko brwi i kąciki ust. Wyglądała jak w dzieciństwie - jak ktoś trwający w błogim złudzeniu, że wszystko jest dobrze i będzie jeszcze lepiej - ale jej słowa

były starsze, nawet wyświechtane:

- Mam nadzieję, że nie mówiliście nic złego.
- Może ja nie wiem, co jest złe - mruknął Sam.
- Powiedzmy, że nie jest to coś, co wiązałoby się z którymkolwiek z nas.

Wzruszył ramionami albo wzdrygnął się, a Heather usiłowała zaradzić jego zawstydzeniu.

- Rozmawialiśmy o naszej radosnej chwili - wyjaśniła.
- Naprawdę chcielibyśmy wiedzieć, jak się czujesz.
- Pewnie tak, jak powinnam.
- No to w porządku. Prawda?
- I tak, jakbyśmy w każdej chwili mogli się spodziewać nadejścia tego, którego

oczekujemy.

- Będzie z nami za kilka miesięcy, Sylwio.
- Czas zdaje się już nie mieć zbytniego znaczenia. Może dlatego, że on nie liczy czasu. Heather zaśmiała się z czułością z tego ekstrawaganckiego pomysłu.
- Wiesz już, że to on, czy po prostu chcesz, żeby tak było?
- Nawet w dzisiejszych czasach chyba nie mamy wyboru.
- Po prostu zastanawialiśmy się nad tym.
- Ty się zastanawiałeś, Sam? - Sylwia jeszcze wyżej uniosła brwi, nie zmieniając

kształtu ust, i podparła się rękoma pod boki, jakby chciała mu zaprezentować swój brzuch. - Co chcesz wiedzieć?

Jego ramiona znów poruszyły się konwulsyjnie.

- Nic - odparł zgodnie z przypuszczeniem Heather.
- No to tak jak ja. Mam dla niego imię i niczego więcej nie potrzebuję.

Zanim skończyła mówić, Heather uświadomiła sobie, że oboje, a zwłaszcza Sam, niemal uwięzili Sylwię w korytarzu z tym ledwo wyczuwalnym zapachem starości, który ich rozmowa zdawała się przyciągać.

- Co do mnie - powiedziała - jedno wiem na pewno: jeśli czujesz się choć trochę tak jak ja przed laty, z pewnością masz ochotę usiąść.

Sądziła, że będzie musiała poprosić Sama, żeby się odsunął, bo coś - najpewniej owo onieśmienie, którego nie udało jej się rozproszyć - jakby go sparaliżowało. Po chwili jednak chłopak odkuśtykał w bok, wciąż podrygując nerwowo ramionami, a Sylwia wturlała się do frontowego pokoju i opadła na fotel. Samuel wynosił się już ze swoim zakłopotaniem na górę, gdy rzekła:

- Coś się szykuje na jutro.

Zacisnął palce na balustradzie.

- Co? - zapytała Heather.

- Mama będzie pokazywać filmy, które nakręciła. Zaprasza wszystkich.

- W takim razie nie możemy tego przegapić, prawda, Sam?

Nim Samuel zdążył dwukrotnie kiwnąć głową, produkując przy tym dwa zrezygnowane mruknięcia, zadzwonił telefon. Heather dostrzegła, jak kłykcie na balustradzie bieleją, a ich właściciel trwał odwrócony do niej plecami, gdy podnosiła słuchawkę.

- Halo? - powiedziała niepewnie, jakby przeniknięta onieśmieniem syna.

- Czy nasz młody wydawca wrócił już do domu?

- Witaj, Terry - powiedziała, częściowo na użytek Sama.

- Tak i nie.

- To nie w twoim stylu, Heather. Czy mogłabyś mówić nieco jaśniej, o ile pora nie jest na to zbyt późna?

- Nie dotarł na rozmowę.

Terry wydał z siebie odgłos, który mógł być jękiem zdziwienia lub westchnieniem.

- Kto go powstrzymał? - zapytał natarczywie.

- O ile mi wiadomo, nikt. Zapomniał, dokąd jedzie. To się zdarza.

- Nie mnie. Jak mógł zapomnieć coś tak ważnego, na litość boską?

- Cóż... może był pod zbyt wielką presją?

- Presją?... Nie był pod żadną presją.

Samuel odwrócił się i spoglądał niewidzącym wzrokiem gdzieś w przestrzeń obok niej.

- Tego nie możesz powiedzieć.

- Zdawało mi się, że właśnie powiedziałem. Dasz mi go do telefonu?

- Sprawdź, czy może podejść - odparła Heather tak beznamyślnie, jak tylko potrafiła.

Wyciągała właśnie słuchawkę w stronę Sama z pytającym wzrokiem, gdy usłyszała, jak Terry mówi:

- Wiesz, nie zawsze facet jest wszystkiemu winien.

Mimowolnie pomyślała, że powiedział to dopiero teraz, ponieważ myślał, że ona już nie słucha.

- Czyżbym coś takiego sugerowała? - zapytała, ponownie przykładając do ucha słuchawkę. - Zdawało mi się raczej, że pomyślisz, iż jak zawsze wdał się we mnie, i może nawet w tym wypadku miałbyś rację.

- Mam ją częściej, niż jesteś gotowa przyznać.

Brzmiało to tak, jakby jedna z kłótni, których zdołali uniknąć, gdy byli razem, zaostriła się w wyniku długiego przetrzymywania. Samuel chyba chciał ich uratować przed angażowaniem się w ten spór, zszedł bowiem niezdarne po schodach i chwycił słuchawkę.

- To ja - powiedział takim głosem, jakby nie był o tym w pełni przekonany.

Heather wycofała się do frontowego pokoju.

- Więc gdzie w końcu wylądował? - szepnęła do niej Sylwia.

- Nie pytałam.

Sylwia odchyliła się do tyłu, jakby chciała, by mieszkaniec brzucha towarzyszył jej w podsłuchiowaniu.

- Tak jak mama mówiła - przyznał tymczasem Sam.

- Nie dotarłem do Londynu. Jeśli ktokolwiek tu zawinił, to tylko ja, zgoda? Dzwoniłem po powrocie do domu, ale już wyszła... Jeśli uważasz, że powinienem, zrobię to w przyszłym tygodniu. Przecież mówię, że tak! Mamo?

Słuchawka z trzaskiem upadła na stół. Nim Heather zdążyła ją podnieść, Sam kuśtykał już gniewnie do swojego pokoju.

- Co jeszcze? - zapytała w tym samym czasie, gdy u niego zatraskiwały się drzwi.

- Nie będę udawał, że jestem zadowolony.

- Nikt cię... - kusił ją, by powiedzieć: „nie pyta o zdanie”, mimo to dokończyła: - ...o to nie prosi. Sama też to dotyczy.

- Niezadowolenie czy nieudawanie?

- Jedno i drugie.

- Może powinnaś bardziej się tym przejąć.

- Przejmuję się czy nie, nie muszę odgrywać komedii. Mam nadzieję, że ty też nie przesadziłaś.

- Zadałem sobie wiele trudu, by mu załatwić tę rozmowę.

- Przykro mi, jeśli uważasz, że to wszystko było na nic.

- Nie, to wszystko było dla Sama.

Bezsens tej dyskusji zaczynał ją już tak męczyć, że było jej niemal obojętne, kto wygra.

- Pozwólmy może, żeby nasz syn sam się nad tym zastanowił - powiedziała. - Do usłyszenia kiedyś - zakończyła i nie dając mu czasu na odpowiedź, odłożyła słuchawkę. Jej milczenie nie skłoniło jednak Sama do wyjścia na korytarz, po chwili więc ruszyła energicznie do frontowego pokoju.

Sylwia była tak głęboko zanurzona w fotelu, że wydawała się bardzo mała w porównaniu ze swym brzuchem.

- Najważniejsze, że jest już w domu, prawda? - zapytała.

- Pewnie tak - odparła Heather, zamykając drzwi. - Za chwilę zabiorę się za obiad.

- Rany, to z przeszłości.

- Co, Sylwio?

- To, jak teraz wyglądasz.

- Czyli...?

- Jak siostra, która chce zastąpić mamę i ojca.

- Chyba nie jestem aż tak ambitna, ale czy mogę ci zadać pytanie, na które nie musisz odpowiadać, choć bardzo bym chciała, żebyś jednak odpowiedziała?

- Na razie chyba nie mogę odmówić.

- Jak poznałaś ojca Natty'ego?

- Wymówiłaś jego imię. Podoba mi się to - odparła Sylwia i uśmiechnęła się do swego brzucha. - Podoba nam się to, prawda?

- Więc nie gniewasz się, że zapytałam.

- To jedna z tych rzeczy, które siostra zastępująca rodziców chciałaby wiedzieć. Nie gniewamy się, prawda?

- Po prostu siostra. - Heather zaczynała się czuć wyłączona z rozmowy. Usiadła naprzeciw Sylwii, licząc na to, że w ten sposób zwróci na siebie jej uwagę, ale ona nie uniosła wzroku.

- To jak, powiesz mi?

- Spotkaliśmy się we właściwym miejscu i czasie. To chyba najbardziej baśniowa rzecz, jaką ludziom zdarza się przeżywać, jeśli w ogóle im się poszczęści.

- Nie tak to brzmiało, kiedy po raz pierwszy mi o nim wspominałaś.

- To zależy, jakiego rodzaju baśń masz na myśli.

- A ty?

- Ja nie muszę o niej myśleć - odparła Sylwia, unosząc wreszcie wzrok. - Przeżywam to naprawdę.

- W takim razie mi powiedz. Nie zostawaj z tym sama.

Przez długą chwilę Sylwia zdawała się spoglądać gdzieś w mroczną dal. Potem znów spuściła wzrok.

- Nie jestem sama - wymamrotała. - Prawda?

- W takim razie jeszcze jedno pytanie. - Heather jakoś zdołała sprawić, by jej słowa

nie zabrzmiały błagalnie.

- Słuchamy.

- Gdzie się spotkaliście?

- Blżej domu, niżbyś przypuszczała.

- Nie... - Nie potrafiła ująć swego lęku w słowa w obawie, by nie urazić siostry. W zamian zapytała: - Nie w Ameryce?

Sylwia nie odezwała się, póki nie zmierzyła Heather współczującym, niemal ubolewającym spojrzeniem.

- Nie tam, gdzie myślisz.

Heather nie interesowało, czy ojciec dziecka jest Amerykaninem, byle tylko nie był pacjentem szpitala psychiatrycznego, nawet jeśli jej uprzedzenia były nierozsądne. Jasne, że dziecko zostało poczęte w Ameryce, pomyślała, przecież nie mogłoby tak szybko urosnąć do takich rozmiarów. Podskoczyła i objęła siostrę w geście przeprosin i akceptacji.

- Jak to dobrze, że się rozumiemy.

- Czyż nie od tego właśnie są siostry? - zapytała Sylwia, po czym wysliznęła się z ramion Heather, jakby brzuch ciągnął ją w inną stronę. - Masz coś przeciwko temu, żebyśmy sobie poleżeli do obiadu?

Znów chwilę potrwało, nim Heather pojęła, że Sylwia nie zwraca się do niej.

- Odpoczywaj, ile tylko możesz - odparła mimo to.

Patrząc, jak jej siostra pnie się po schodach na górę, ku podstępemu zapachowi nie tylko starego papieru, ale i jakby wyschniętych liści, czuła się bardziej ignorowana niż kiedykolwiek dotąd. Przez chwilę zdawało jej się, że nic a nic z tego nie rozumie.

Narada rodzinna

Moi rodzice nie wiedzą, powtórzył sobie po raz kolejny Sam. To było najważniejsze. Nie mogli się dowiedzieć. On i jego ciotka zrobili to, co zrobili, i nie dało się tego cofnąć. Nigdy nie postąpiliby w ten sposób, gdyby którekolwiek z nich wiedziało, kim jest to drugie. Być może właśnie nierozpoznane pokrewieństwo było odpowiedzialne za to natychmiastowe przyciąganie, jakie wobec siebie odczuli; jeśli kryło się za tym coś innego, wolał się tego nigdy nie dowiedzieć. To był jeden z owych koszmarów, które Sam przeżywał na jawie, a najbardziej realnym i bezpośrednim zagrożeniem była możliwość, że jego matka w jakiś sposób wszystkiego się dowie. Gdyby tak się stało, mógłby jedynie pobiec do samochodu i odjechać w siną dal. Nieważne, że nie miałby pojęcia, dokąd jedzie, byleby tylko nigdy nie wrócił.

Ta myśl załęgła się w jego głowie, kiedy już zbliżał się do domu po tym, jak nie udało mu się dotrzeć do Londynu. Perspektywa stanięcia oko w oko z matką wzbudziła w nim grozę. Był przekonany, że poczucie winy będzie widoczne na jego twarzy, i uparcie próbował wymyślić dla niego inny powód, nim się zorientował, że Heather jest całkowicie pochłonięta jego problemami z rozmową w sprawie pracy i właśnie im przypisuje ów niepokój - ale gdy już przestał się martwić o to, zaczął zadawać sobie pytanie, czy Sylwia pamięta tyle co on.

Miał wrażenie, że po swoim powrocie od Margo zorientowała się, iż czegoś się dowiedział. Czuł się niezręcznie w jej obecności, odkąd z nimi zamieszkała, co w świetle najnowszego odkrycia przestało dziwić, im dłużej jednak się zastanawiał nad jej stosunkiem do niego, tym więcej miał pytań. Musiał się dowiedzieć, ile pamięta, ale nie wtedy, gdy istniała najmniejsza choćby szansa, że matka coś usłyszy, spędził więc cały obiad, który wydawał mu się potwornie długi, na tworzeniu scenariuszy rozmowy - w jego mniemaniu nieodmiennie podejrzanie niezręcznych, jałowych albo zbyt emocjonalnych. Kiedy w końcu matka z Sylwią zasiadły przed telewizorem, by obejrzeć program o badaczce z epoki wiktoriańskiej, której odkrycia przywłaszczyli sobie bardziej znani mężczyźni, potraktował to jako pretekst, żeby ewakuować się do swego pokoju. W końcu wpełzł do łóżka i czekał, aż matka pójdzie spać. Nastąpiła najciemniejsza godzina nocy i Sam zaczynał się obawiać, że

nigdy nie zgromadzi dość pewności siebie.

Na chwilę, a może na znacznie dłużej, przestał być świadom ciemności i nacisku grubej kołdry, która zdawała się jeszcze pogrubiona przez gorąco, jakiego nie zdołały rozproszyć ani noc, ani uchylone na całe okno. Coś przypominającego sen zakradało się do jego głowy, ale nie przynosiło ulgi. Stanowczo zbyt często lepiło się od wspomnień pełnych zanurzania się głęboko w Sylwii, piasku zgrzytającego pod kolanami, lasów otaczających go i stojących wokół jak tłum, który zebrał się, by popatrzeć. Pęczniał od tego obrazu, póki nie skurczyło go poczucie winy. Inne odnajdywane w głębinach umysłu obrazy niepokoiły go w inny sposób: były jak cudze wspomnienia próżni kipiącej niewidocznym życiem, przestrzeni tak rozległej, że zawierały się w niej niewyobrażalne światy. W jednym z nich widział bezoki kształt szubujący z planety na planetę i rozkładający szponiaste skrzydła, aby pochłonąć siły witalne całych cywilizacji stworzeń, których Sam na szczęście nie rozpoznał. W innym zobaczył olbrzymią kulę, tak ciemną, że nie potrafiła jej oświetlić żadna gwiazda. Kula krążyła w poszukiwaniu zamieszkałych światów, zniekształcając je i ich mieszkańców, a potem pożerając przy dźwięku niezliczonych błagań i krzyków zatracających się w próżni. W jeszcze innym, nim jego umysł wykombinował sposób na powrót do pokoju, widział jakąś kończynę wynurzającą się z niezmierzonej ciemności i chwytającą cały układ gwiazdny dziwnymi wyrostkami, po czym podsuwającą go ku twarzy, której Sam rozpaczliwie starał się nie rozpoznać; twarzy szczerzącej zęby w czymś, co przywodziło na myśl koniec świata. Teraz widział jedynie las, ale wszystkie drzewa wyciągały korony ku niebu niczym anteny pragnące uchwycić jakiś aspekt źródła owych wizji. Wzdrygnął się gwałtownie i zbudził, zanim obraz zaczął się wyostrzać, lecz natychmiast wstrzymał oddech. Nadal słyszał las.

To tylko wiatr, powtarzał sobie, choć bardziej przypominało to nieregularny oddech próbującej przebudzić się do życia istoty. Nawet kiedy Sam przeturlał się na plecy i oczyścił umysł z ciemności, którą zapełniły jego głowę senne wizje, niewiele się zmieniło. Coraz szerzej otwierał rozspane oczy, póki wzrok nie zaczął oddzielać konturów pokoju od reszty pomroki, ale znajomy rozgardiasz także nie rozproszył w nim wrażenia, że jest uwięziony w śnie albo że sen jest rzeczywistością. Niezdarnymi gestami zdarł z siebie zmiętą, wilgotną od potu kołdrę i usiadł na skraju łóżka, masując obolałą nogę. Potem pokuśtykał do okna.

Gdy przechylił się przez biurko, by wyjrzeć na zewnątrz, noc dmuchnęła mu w twarz niezdrowo ciepłym, słodkawym oddechem. Był to zaledwie ułamek tego wiatru, który poruszał koronami drzew za łąką, każąc im rozpaczliwie chwytąć się nieba tak ciemnego, że nie zdołałaby go rozjaśnić żadna liczba gwiazd. Teraz ów odległy refren brzmiał raczej jak tajemniczy szept, ale czy rzeczywiście dobiegał spoza domu? Samuel powoli opuszczał okno,

aż rama dotknęła framugi, po czym uniósł głowę i zaryzykował zamknięcie oczu, wyęzając słuch.

Wewnątrz panowała cisza. Być może ktoś, niekoniecznie jedna osoba, sapał przez sen. Niepewnym krokiem przeszedł przez zagraconą podłogę i bardzo, bardzo powoli i bezszelestnie otworzył drzwi. Ledwie się poruszyły, usłyszał czyjeś łagodne, eleganckie niemal pochrapywanie.

Jeśli to była jego matka, miał nadzieję, że nie przeszkodzi jej w tej czynności. Dopóki słyszał, że śpi, mógł spróbować się zakraść do pokoju Sylwii, choć nie był pewien, czy nie wolałby zastać jej pogrążonej we śnie. Znalazszy się w korytarzu, upewnił się, że chrapiącą osobą jest Heather. Ale jakiś inny, choć ledwo słyszalny dźwięk dobiegał z sypialni Sylwii. Samuel przytknął ucho do framugi, lecz to nic nie dało, położył więc obie dłonie na niespodziewanie ciepłej klamce i lekko pchnął drzwi.

Być może ów dźwięk pochodził z lasu - okno w pokoju było otwarte na oścież - Samuel jednak nie mógł się pozbyć wrażenia, a nawet pewności, że za tym tajemnym pomrukiem stoi coś więcej niż tylko drzewa. Prześliznął się przez drzwi i utykając, wszedł do ciemnego pomieszczenia. Sylwia leżała na łóżku twarzą do góry. Ciemna gruda zagarnęła tak wielki jej fragment, że można było pomyśleć, iż kopiec, na którym go uwiodła, rośnie teraz w głębi niej. To moje dziecko, pomyślał, moje - ale jego umysł nie był w stanie ogarnąć tej myśli. Zerknął na jej twarz. Ledwie zdołał dostrzec, że ma zamknięte oczy, gdy poczuł, że coś przygląda mu się z ciemności.

Tyle że jedyny ruch, jaki zdołał zlokalizować, odbywał się po drugiej stronie łąki. Samuel podkraść się z ociąganiem do okna, gdzie zaatakował go odór dziennika Selcoutha. W tej akurat chwili wolałby sobie nie przypominać żadnego z fragmentów, które przeczytała mu Sylwia. Kiedy zanurkował ku otworowi między oknem a ramą, podmuch wiatru wzmógł stęchły zapach, który mógł pochodzić od książki, lasu lub od jednego i drugiego. W tym samym momencie połyskujące drzewa wykonały synchroniczny gest, który mógł być zwiastunem olśnienia. Samuel zmagał się z pytaniem, co próbują mu oznajmić, gdy poczucie, że jest obserwowany, powróciło.

Obserwator znajdował się za nim.

Obrócił się gwałtownie. Noga odmówiła mu posłuszeństwa i omal nie przewrócił się o dziadkowe biurko. Choć ciotka nadal miała zamknięte oczy, poruszała ustami przez sen. Nie zdołał rozszyfrować jej słów i cieszył się z tego, a zarazem wciąż czuł, że ktoś mu się przygląda, być może bez udziału wzroku, z jakiegoś ciemniejszego miejsca w pokoju. Nie było sensu zaprzeczać, że obserwator tkwi przed nim, na łóżku. Ta świadomość najpierw go

sparaliżowała, a potem wyrzuciła z pokoju w takim tempie, że świat zawirował mu w oczach. Zmusiwszy się, by poczekać, aż drzwi powoli się zamkną, w ostatniej chwili usłyszał, jak Sylwia mamrocze przez sen. „Jeszcze nie, Natty...” - mówiła chyba.

- „Nie dość ciemno”.

Cokolwiek więcej powiedziała lub próbowała powiedzieć, ostateczne zamknięcie drzwi odcięło go od jej głosu. Stał jeszcze krótką chwilę, po czym umknął do swego pokoju i wczuł się do łóżka. Tym razem nie czyhały na niego żadne wizje. Zastanawiał się z niepokojem, czy ustały dlatego, że one lub coś z nimi związanego zrobiły już swoje, ale wyczerpanie i brak koszmarów szybko go uspiły. Przez sekundę był świadom jedynie otaczającej go ciemności, a potem już niczego.

Zdawało mu się, że nie minęła nawet chwila, a już zbudził go snop światła, którym ktoś rozjaśniał mrok, nawołując go. Gdy tylko począł rozumieć słowa, oprzytomniał nieco.

- Masz zamiar tu leżeć cały dzień? - pytał kobiecy głos.

W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest ani kim jest. Zmusił ociężałe powieki do uniesienia się i ujrzał nad sobą postać Sylwii. Jej cierpliwe oblicze zdawało się siedzieć na szczycie brzucha jak kura na grzędzie. Światło było w rzeczywistości promieniami wznoszącego się za oknem słońca, które nie pozostawiało Samowi wątpliwości, że znajduje się w swojej sypialni.

- To znaczy gdzie? - zapytał mimo to.

- W swojej norze. - Prawdopodobnie zauważyła jego konsternację, bo dodała: - W łóżku.

- Nie mogłem spać.

Obdarzyła go uśmiechem rozbawionego niedowierzania. Nie było sensu się z nią sprzeczać. Mieli do omówienia znacznie ważniejsze sprawy.

- Co tu... czego chcesz? - wymamrotał, nadal nie całkiem przebudzony.

- Ktoś chce się z tobą widzieć..

Jego spłoszony umysł przestraszył się na moment, że Sylwia ma na myśli swoje dziecko - ich dziecko - choć wolałby, żeby światło dnia obróciło to pojęcie w szalony, groteskowy sen.

- Kto? - zdołał wyszeptać.

- Nie słyszysz?

Pomyślał, lub próbował pomyśleć, że nie może jej chodzić o dźwięki, które dobiegały go w nocy. Mimo to, siadając oparty o poduszki, miał wrażenie, że się cofa, i to nie tylko przed nią. Musiał uwolnić umysł od tych myśli, by usłyszeć dochodzące z dołu głosy - matki i

jakiegoś mężczyzny.

- Kto to? - zapytał znowu.

- Pan Harvey, panie Harvey.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak się do niego zwrócono. Gdyby miał czas, pewnie by się zastanowił, czy jest pewien własnego nazwiska, ale za bardzo zaprzętał go powód ojcowskiej wizyty.

- Co mówi?

- Brzmi dość poważnie.

Ojciec mówił teraz niższym, bardziej intensywnym głosem i Sam nie musiał wyęźać uszu, aby się domyślić, że to on jest przedmiotem dyskusji.

- Powiem im, że zaraz zejdziesz, zgoda? - zapytała Sylwia.

W dole głos matki także przycichł, dostrajając się do tonu ojca. Prawdopodobnie się spierali. Samuel pomyślał, że nie znajdzie lepszego momentu na rozmowę z Sylwią bez ryzyka, że zostaną podsłuchani.

- Zaczekaj - poprosił.

Chwilę wcześniej odwróciła się plecami do niego, teraz wykonała kolejny półobrót; miał wrażenie, że jej brzuch funkcjonuje jak igła w kompasie.

- Tak, Sam?

Wziął głęboki oddech i przełknął ślinę, mając wrażenie, że wszystkie pytania, które mógłby zadać, zapadają się w głąb niego. Gdy Sylwia uniosła brwi i rozchyliła usta, zdołał wydukać:

- Powiesz mi coś?

- Jeśli tylko to wiem...

- Kiedy po raz pierwszy zobaczyłaś mnie w tym wieku, w którym teraz jestem?

Przez jej twarz przemknęło coś przypominającego uśmiech.

- Hm, chyba w tej chwili.

- Chodzi mi o to, kiedy po raz pierwszy zobaczyłaś mnie dorosłego.

- W zeszłym roku.

- A dokładnie?

- Mam ci podać datę?

Podejrzanie, że Sylwia łagodnie kpi sobie z niego, doprowadziło Sama do furii.

- Nie - warknął niemal - po prostu powiedz, kiedy po raz pierwszy się... spotkaliśmy.

- A co by powiedziała Heather?

Lepiej, żeby nie wiedziała, pomyślał.

- Że w jej bibliotece - wyjął.
- A ty twierdzisz, że było inaczej?
- A ty?

Miał świadomość, że jego ton stał się oskarżycielski, ale nie wiedział, jak inaczej miałby brzmieć, choć jednocześnie ogarniało go coraz większe niedowierzanie - niedowierzanie, że rozmawiają, a raczej nie rozmawiają, na ten niewiarygodny temat. Walczył ze sobą, by nie zacząć jej przeproszać albo nie obrócić wszystkiego w żart, lecz właśnie wtedy twarz Sylwii się zmieniła. Wyglądała bardzo staro i zarazem znacznie młodziej niż w rzeczywistości.

- A co ci się zdaje, że pamiętasz, Sam? - mruknęła.
- Nie zdaje mi się. Wiem.

Zerknęła w dół i gdyby nie to, że jego rodzice kłócili się piętro niżej, pomyślałaby, że prosi brzuch o instrukcje. Dobiegające z parteru głosy sprawiały wrażenie uwięzionych w deskach podłogi - równie uwięzionych jak on w oczekiwaniu na odpowiedź ciotki.

- A czy nie sądzisz, że to nie jest najlepsza chwila ani miejsce na rozmowę o tym?
- Nie. Załatwmy to teraz.

To nie była dziecinada. Ani nawet prawda. Po prostu uświadomił sobie, że póki Sylwia się nie odezwała, odczuwał potajemną - tak potajemną, że nie zdradzał jej nawet przed samym sobą - nadzieję, że to wszystko okaże się nieprawdą. Teraz mógł tylko patrzeć na jej twarz na powrót przybierającą zwykły wyraz.

- Więc mów - zażądała.

Zmusił się do otwarcia ust, nie mając pojęcia, co się z nich wydobędzie. Gdyby nie poczucie, że musi wyglądać jak idiota, może i trwałby w milczeniu.

- Czy ja... - wydusił jednak.
- Co, Sam? - zapytała z nieznacznym uśmiechem.
- Nie ja. My. Czy my...

Oschłość zniknęła z jego głosu, ścierając z jej twarzy uśmiech.

- Tak - odparła beznamiętnie.
- Chcesz powiedzieć... - wyjął w ostatnim porywie niedowierzania - chcesz powiedzieć, że...

- Chcę powiedzieć, że tylko ty i ja wiemy, kto jest ojcem - rzekła, a jej spojrzenie powędrowało do środka lub w dół, lub i tam, i tam. - No i Natty, rzecz jasna, będzie wiedział.

- Ale dopiero w dalekiej przyszłości, pomyślał Sam. W tej chwili groziło mu co innego.
- Nie powiesz nikomu innemu? - zapytał błagalnie.

- A nie chcesz, żeby wiedzieli?

- Jezu, a jak myślisz?

Trochę potrwało, zanim na niego spojrziała. Spodziewałby się wszystkiego, lecz nie tego, że poczuje się zraniona, a to właśnie sugerował jej wzrok. Zdenerwowało go to jeszcze bardziej.

- Jak ojciec sobie życzy - powiedziała.

- Obiecujesz?

- Ode mnie nikt się nie dowie. I co, pomoże ci to lepiej spać?

Z wysiłkiem pozbył się wrażenia, że został napiętnowany jako zły ojciec.

- Nie wiem, czy cokolwiek pomoże - wymamrotał.

- Jeśli mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić... - Chyba zauważyła, że wzdrygnął się w duchu, bo z niejaką arogancją pomaszzerowała ku drzwiom.

- Dam im znać, że zaraz zejdziesz - mruknęła sucho. - Pan Harvey na pewno się zastanawia, co cię zatrzymało.

Jeszcze bardziej niż przybrana przez nią rola zatroskanej krewnej konsternowało go poczucie, że Sylwia uważa to za najzwyczajszą rzecz pod słońcem. Nie ruszył się z łóżka, póki nie znalazła się na schodach. Wtedy wyskoczył spod kołdry i boleśnie świadom swojej nagości, szybko pokuśtykał, by zdjąć zawieszony na haku drzwi szlafrok. Ledwie wyszedł na korytarz, usłyszał głos ojca:

- Czyżby ktoś wreszcie powrócił do świata żywych?

- Coś w tym stylu - wymamrotał Sam i dał nura do łazienki, bojąc się, że zwymiotuje. Musiał tymczasem patrzeć, jak mocz wycieka z członka - ten zdradliwy kawał mięsa nie potrafił rozpoznać jego ciotki, mylnie wzięwszy ją za partnerkę, której nie sposób się oprzeć. Teraz przynajmniej jej ciąża broniła mu dostępu.

Kiedy już skończył sikać, stanął oko w oko ze swoją twarzą w lustrze. Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział coś, co miało mu mniej do zakomunikowania. Gdy ów kompletny brak wyrazu wypchnął go wreszcie z łazienki, ojciec zawołał:

- Przyłączysz się wreszcie do nas?

Zależy, co rozumiesz pod pojęciem „nas”, pomyślał Sam, ale nie widział innego wyjścia, jak tylko zejść na dół.

- Mam nadzieję, że nikt nie uważa mnie za osobę, z którą się nie da rozmawiać. Możesz mi powiedzieć, co tylko chcesz.

Ojciec mówił to przyciszonym głosem i przez jedną przerażającą chwilę Sam miał wrażenie, że te słowa są adresowane do Sylwii. Zbiegł po schodach tak szybko, że omal z

nich nie spadł. Ciotka istotnie siedziała wraz z matką i ojcem w pokoju frontowym. Heather wyglądała, jakby zamierzała bronić syna, twarz Sylwii natomiast była nieprzenikniona.

- Jesteś wreszcie. Siadaj - rzekł ojciec, ledwie zaczekawszy, aż Sam znajdzie się w pokoju. - Czujmy się swobodnie, jeśli potrafimy.

Matka zamrugła złowrogo, jakby chciała powiedzieć, że ojciec zapomniał, czyj to dom, po czym zwróciła się do Sylwii:

- Chyba zostawimy ich samych, co?

Sylwia właśnie siadała na kanapie obok ojca.

- Czy nie powinna słyszeć tego cała rodzina? - zapytała przygnieciona brzuchem.

- Nie będzie ci to przeszkadzało, co, stary? Kiedy ma się problem do rozwiązania, dobrze mieć obok siebie kogoś o odmiennej perspektywie.

- Niby jak to ma pomóc?

- Nie będziesz wiedział, póki nie spróbujemy - odparł ojciec tylko odrobinę ostrzej. - Przepraszam wszystkich, którzy będą musieli słuchać tego po raz drugi, ale chciałbym cię prosić, żebyś nam opowiedział, co dokładnie stało się wczoraj. Tylko najpierw, na litość boską, usiądź. Odkąd zleciałeś z tamtego drzewa, wciąż się boję, że mi tu padniesz.

Samuel klapnął na fotel.

- Przecież już ci mówiłem.

- Chcę usłyszeć to wszystko od ciebie jeszcze raz. Przez telefon połowy nie zrozumiałem.

- Widocznie źle słuchałeś - wtrąciła matka.

- Niech on sam mi opowie.

Ojciec powiedział to z odrobiną znużenia, które Heather mogła potraktować jako ciężką zniewagę, Samuel poczuł się zatem zobowiązany odpowiedzieć, nim ona zdąży to zrobić.

- Po prostu się zgubiłem.

- Zastanów się, stary. To chyba nie wszystko, co powiesz w tej sprawie Fay Sheridan, prawda?

- Nie wiem, co miałbym powiedzieć oprócz prawdy.

- Nic z wyjątkiem całej prawdy. I właśnie na nią czekamy.

Samuel skrzywił się w duchu, a jego ojciec pochylił się naprzód, uderzając dłońmi o uda.

- No więc w czym tak naprawdę tkwi problem? Co powiemy Fay, która tyle się po tobie spodziewała?

- Może nie powinna była.

- Czy ktoś oprócz mnie uważa, że właśnie poznaliśmy prawdziwy problem? Nie zajdziesz daleko, jeśli będziesz się tak nisko cenił, Sam. A wszyscy w tym gronie uważają, że to robisz, prawda?

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł cię cenić zbyt wysoko, Sam - odezwała się Heather.

Samuel był pochłonięty strachem przed tym, że jego ciotka przyłączy się do rozmowy, i tak się stało.

- On jest znacznie bardziej złożony, niż sądzi większość ludzi.

Jeszcze trochę i wszystko by wygadał. Miał wrażenie, że w jego wnętrzu szamocze się jakiś owad pragnący się wydostać. Gdy ze wszystkich sił starał się przełknąć ślinę, jego ojciec rzekł:

- Nikt od ciebie nie wymaga więcej, niż możesz dać, stary. Fay też nie będzie, więc nie rozumiem, czemu masz taką minę.

To, że wypomniano Samowi minę, bynajmniej nie sprawiło, że stała się znośniejsza. Być może na jej widok Heather postanowiła interweniować:

- Terry, czy mógłbyś po prostu...

- Mogę wszystko, nie zrezygnuję tylko z jednego: muszę wiedzieć, co dokładnie się stało, żeby nie mogło się stać ponownie - rzekł ojciec, celując w Sama dłońmi skierowanymi wnętrzem do góry. - Wiem coś, o czym mi nie powiedziałaś.

Samuel dostrzegł w oczach ciotki skrywane rozbawienie i z przygnębieniem skonstatował, że Sylwia próbuje zarazić go wesołością. Szybko odwrócił wzrok, lecz nadal czuł się obserwowany, i to nie tylko przez widocznych obserwatorów. Jedyne, na co było go stać w tych okolicznościach, to przełknięcie śliny i wychrypienie:

- Co?

- Gdzie się zgubiłeś.

- W drodze.

- Hm, sądzę, że to zdołałbym wykoncypować sam. A konkretnie?

- Na drugim zjeździe z autostrady.

- Drugim odkąd?

- Od domu.

- Chcesz powiedzieć, że zgubiłeś się dziesięć mil stąd?

- Bardziej piętnaście.

- Zgoda. Niech będzie piętnaście - rzekł ojciec, po czym dał pokaz opadania szczęki

na wypadek, gdyby ktoś nie zrozumiał jego ponurego żartu. - Chyba nie powiesz Fay, że zapomniałeś, dokąd jedziesz, będąc tak blisko domu i w dodatku na autostradzie. Myślę, że nikt z tu obecnych nie uwierzyłby w takie dyrdymały.

- Ja tak - odezwała się Sylwia.

- Więc mi to wytłumacz. Co wiesz o nim takiego, czego nie wiem ja i wygląda na to, że jego matka też nie?

Samuel patrzył, jak jego ciotka koniuszkiem języka rozchyła usta. Walczył o oddech i zachodził w głowę, jak by jej przeszkodzić, gdy ojciec jeszcze bardziej stracił cierpliwość.

- Czy on coś bierze?

- Bierzesz, Sam? - zapytała matka w taki sposób, jakby go chciała czymś poczęstować.

- Nie.

- Więc co jest? - zapytał gniewnie ojciec. - Co masz nam do powiedzenia?

Samuel nagle poczuł, że ma dość. Tego aspektu prawdy nie musiał i nie chciał zachować dla siebie.

- Nie mogę stąd wyjechać - rzucił.

- Jasne, że możesz - zaprotestował ojciec tak gwałtownie, że nie zdążyło zabrzmieć to niecierpliwie. - Będzie ci łatwiej niż mnie.

- Nigdy nie powiedziałem, że było ci łatwo, ale ty chciałeś wyjechać, prawda?

- Chcesz mi powiedzieć, że nie chcesz nic osiągnąć?

Jego pytanie i w gruncie rzeczy cała ta dyskusja zdawały się całkiem nieważne w obliczu wizji, które minionej nocy nawiedziły Sama.

- Chcę tylko powiedzieć, że ty to ty - odparł, rozpaczliwie próbując ukryć się przed wzrokiem bacznych obserwatorów.

- A my to my.

- Chwileczkę, stary, nie przesadzasz ty czasem? Nie możesz traktować tych pań jako wymówki. Twoja matka chce zostać przy Margo, być może ciotka również, zresztą dobrze wiesz, dlaczego Sylwia może teraz nie mieć ochoty na dalekie podróże. Ale... wybacz, jeśli jestem zbyt obcesowy... dlaczego miałyby się to rozciągać na ciebie? Nie jesteś w to w żaden sposób zamieszany, więc przestań udawać, że tkwisz tu z powodów rodzinnych.

Samuel wpatrywał się w niego z furią, na próżno starając się zapomnieć o obecności Sylwii.

- Nic takiego nie sugeruję.

- Więc podaj powód.

- Już powiedziałem. Nie mogę wyjechać. Coś mi nie pozwala. - Wypowiadając te słowa, uświadomił sobie, jak bardzo są prawdziwe, i tak go to przygnębiło, że miał ochotę je odwołać.

- Coś w głowie - dodał.

- Obiecaj mi, proszę, że nie powtórzysz tego przy Fay Sheridan.

- Mówisz, jakby ta sprawa dotyczyła tylko tej całej Fay - zaproponowała Heather. - A mnie się wydaje, że chodzi raczej o Sama.

- Ależ oczywiście. Trzymajmy Fay od tego z daleka.

- Nie będę pytać, czy twoje kontakty z nią dotyczą czegoś więcej niż tylko Sama.

- A pytaj siebie. Odpowiedź brzmi: „tak”.

- I on miał ci w tym pomóc?

- Czy ja dobrze rozumiem? Pytasz, czy wykorzystałem Sama, by wzbudzić jej zainteresowanie?

- Rozumiej to, jak chcesz, Terry. Ale nie byłby to pierwszy ani nawet dziesiąty raz.

Samuel byłby wdzięczny, że rozmowa zesłała na inne tory, gdyby nie stał się przez to jeszcze bardziej świadom obecności Sylwii. Wyczuł, że nie jest jedyną osobą, która uważa całą tę dyskusję za całkowicie oderwaną od jakiegoś znacznie głębszego meritum, a któż mógłby dzielić z nim tę opinię, jeśli nie ona?

- Co to ma w ogóle do rzeczy? - wyrzucił z siebie.

Matka wyglądała na zawiedzioną, ojciec triumfował.

- Właśnie. Rozmawiamy przecież o tobie - rzekł. - Opowiedz nam o tym problemie, który siedzi w twojej głowie.

- Kiedy próbowałem wyjechać, omal nie straciłem przytomności.

- Chyba trochę przesadzasz, co?

- Bynajmniej. Nie pamiętałem, dokąd mam jechać. W ogóle nie potrafiłem myśleć. Nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko wrócić.

Usta ciotki wydały z siebie krótki, wilgotny odgłos. Gdy Samuel zerknął na nią, niezdolny przewidzieć, co mogłaby powiedzieć, wpatrywała się w niego, jakby przekazał swymi słowami więcej, niż sobie uświadamiał.

- Dobra, stary, jesteś wśród swoich - podsumował ojciec. - Jak myślicie, czego mu trzeba?

- Zrozumienia - podpowiedziała matka.

- Pozostania - rzekła niemal w tym samym momencie Sylwia.

- O rany, chyba znamy lepsze metody, co? - Jedyną odpowiedzią były wlepione w

ojca spojrzenia, więc kontynuował: - Mam ci powiedzieć, w czym moim zdaniem tkwi twój problem, Sam?

- Nie w narkotykach - rzuciła natychmiast Heather.

- Jasne, że nie. Mówi, że nie bierze, a ja mu wierzę. Nie sądzę zresztą, że miałby ochotę się do nich zbliżyć po tym, co zrobiły z jego dziadkiem. Nie, Sam. Zastanawiam się, czy kiedy spadłeś z tego drzewa, nie uszkodziłeś sobie czegoś oprócz nogi.

- Nie wiem.

- Ale to niewykluczone, prawda? - zapytał kobiety ojciec Sama. Jako że Heather odpowiedziała jedynie ostrożnym przytaknięciem, a Sylwia wcale, kontynuował: - Lepiej będzie się dowiedzieć, co ma w tej sprawie do powiedzenia ktoś, kto zna się na tym lepiej niż my.

- Masz na myśli kogoś konkretnego? - zapytała nieco oskarżycielskim tonem Heather.

- O ile dobrze pamiętam, ty i Margo miałyście dobre zdanie o lekarzu Lennoksa.

Matka niezupełnie się skrzywiła, ale Sam widział, że jest przybita, być może na wspomnienie tego, że lekarz nie zdołał ocalić dziadka, a może na myśl o posłaniu syna do Arbour.

- Najpierw sprawdzmy, czy to się powtórzy - powiedziała.

- Masz zamiar w przyszłym tygodniu zrobić jeszcze jedno podejście do tej rozmowy, prawda, Sam?

Czuł, że matka kompletnie nie rozumiała tego, co rozumiała Sylwia.

- Zadzwoń do znajomej taty - odparł wymijająco.

Powstrzymała się od wyrażenia opinii.

- A czy mógłbyś z łaski swojej zrobić nieco więcej? - zapytał tymczasem ojciec.

- Zależy, czy będzie chciała - rzekł niezbyt szczerze.

- W tej sprawie zrobię co w mojej mocy. Chcę jedynie, żebyś mi obiecał, że jeśli nadal będziesz miał problem z wyjechaniem, pogadasz z tym lekarzem.

- Pogadam z kimś, kto się na tym zna.

- Sądzę, że to mi wystarczy. - Po tych słowach pan Harvey przez chwilę przyglądał się synowi badawczo, a potem podniósł się żwawo, plaskając udem o udo. - No cóż, wybaczenie, proszę, ale muszę już lecieć. Mam parę spraw do załatwienia w mieście - obwieścił, po czym schwycił dłoń Sama obiema swoimi. - Nic ci nie będzie, stary. Po prostu uwierz, że wszystko się uda. Każdy z nas miewa gorsze dni, prawda, moje drogie? Ale wiem z doświadczenia, że prawie wszystko da się naprawić. Pamiętaj, Sam, że wszyscy tu obecni plus Margo zawsze pomogą ci w potrzebie.

Samuel czuł, że zarówno dotyk, jak i słowa ojca przechodzą gdzieś obok niego. Kiedy go w końcu puścił, chłopak poczekał, aż rodzice wyjdą na korytarz. Ledwie opuścili pokój, pokuśtykał do drzwi i zamknął je. Słyszał, jak mamrocą coś przed domem, pewnie na jego temat, lecz teraz nie miało to znaczenia. Odwrócił się do Sylwii, która siedziała na kanapie, wyglądając na przygniecioną przez swój brzuch.

- Ty też nie możesz wyjechać, prawda?

- Nie. - Powiedziała to tak, jakby się od tego uwalniała, a mimo to nie miał pojęcia, czy blask widoczny w głębi jej oczu oznacza strach czy rozkosz, a może coś jeszcze; coś, o czym wolał nie wiedzieć. - Żadne z nas nie może - dodała.

Prywatny pokaz

- Wreszcie mogę gościć u siebie całą rodzinę! - wykrzyknęła Margo. - Szkoda, że wszyscy nie możecie zobaczyć tego, co mam do pokazania. Jedna osoba musi poczekać.

Krzątała się po salonie swego mieszkania, zajmującego górną kondygnację dwupiętrowego budynku we wschodniej części Goodmanswood. Podobnie jak największe pomieszczenie, w którym mieściła się jej pracownia, także ten pokój wychodził na wiecznie niespokojny las, który zdawał się ściągać mrok z nocnego nieba pomazanego światłami okolicznych ulic. Las rozpraszał Heather równie mocno jak zachowanie matki, która pospiesznie dolewała im do kieliszków szampana, a do szklaneczki Sylwii wody sodowej, i wciąż donosiła tacki przystawek, jakby się uparła, by zmienić niewielki, zagracony starymi meblami pokój w miejsce swej najnowszej premiery.

- Proszę wszystkich o zajęcie miejsc! - zawołała teraz. - Siadaj, Sylwio. Mam nieodparte wrażenie, że od wczoraj urosłaś.

Gdy tylko Sylwia rozsiadła się na połowie kanapy, Sam pokuśtykał do najbardziej oddalonego krzesła.

- Masz zamiar się izolować? - oburzyła się babcia.

- Tam za mało miejsca - odmruknął bardziej do siebie niż do niej.

- Czyżby aż tak się denerwował tym, co ma się wkrótce wydarzyć?

- Nie tak znowu wkrótce - zaoponowała Heather, pojmując, że Margo ma na myśli raczej narodziny dziecka Sylwii niż pokaz filmowy.

- Patrząc na nią, można odnieść inne wrażenie - zauważyła Margo, trzymając wyciągniętą tackę z jedzeniem, póki Sylwia nie wzięła w każdą rękę po kawałku. - Ale mam rację, prawda? Nie bój się naszej Sylwii, Sam. Jest tą samą osobą co zawsze. Po prostu przez jakiś czas będzie jej więcej.

Heather pomyślała, że matka dobrze odgadła jeden z powodów nerwowości Sama, lecz zauważyła też, że chłopak robi wszystko, by uniknąć tego tematu. Gdy on kręcił się i wiercił, nie wiedząc, w którą stronę patrzeć, Margo odwróciła się do Sylwii.

- Może kiedy Natty trochę urośnie, będziesz go, albo ją, przyprawiać na pokazy

moich prac w innym miejscu.

- Jestem przekonana, że będzie to inne miejsce.

Heather starała się pozbyć uczucia, że Sylwia dzieli się jakąś tajemnicą raczej ze sobą niż z matką, do której rzekomo kierowała te słowa. Czy nie tak samo czuła się niekiedy w dzieciństwie, gdy chodziły razem do lasu? Nim jednak zdołała w pełni uchwycić tamte wspomnienia, Margo odezwała się ponownie:

- No dobrze, jeśli wszyscy już się usadowili, możemy zaczynać.

Siedząca obok siostry Heather czuła się w jakiś sposób przytłoczona przez nią. Kiedy siostra karmiła mieszkańca swego brzucha ostatnimi kęsami jedzenia, matka włączyła kamerę podłączoną do telewizora.

- Gotowy będzie większy - rzekła.

- Co? - zapytał niespokojnie Sam.

- Obraz. To znaczy, kiedy Lucinda go wystawi.

- A widziała go już? - zainteresowała się Heather.

- Jezu, nie. To na razie surowy, nieobrobiony materiał. Po prostu chciałam pokazać swojej rodzinie, co do tej pory wyłuskałam z lasu. - Margo podeszła do wyłącznika światła. - Mam nadzieję, że nikt nie oczekuje zbyt wiele.

Heather właściwie nie wiedziała, czego oczekiwać. Przez chwilę zdawało jej się, że wierzchołki drzew w lesie unoszą się, jakby poprzez zgaszenie światła matka uwolniła je lub zaalarmowała.

- Teraz jest ciemno - odezwała się Sylwia.

- A musi być? - zapytała Heather, podejrzewając, do kogo kierowała swe słowa siostra.

Cisza trwała dość długo, by mieć wątpliwości, kto odpowie.

- Tak lepiej dla niektórych fragmentów - rzekła wreszcie Margo.

Chwyając się różnych mebli, dotarła do ostatniego wolnego krzesła i usiadła z pilotem w każdej ręce. Telewizor zareagował pierwszy, ukazując mięsożerną roślinę w momencie zamykania kleistego listka wokół osłabionej już uwięzionej muchy. Choć film był prezentowany w przyspieszonym tempie, niezdarne zmagania owada stały się przez to jeszcze bardziej rozpaczliwe, natomiast nieubłagany ruch roślinnej paszczy przez cały czas wyglądał na działanie świadome i przepojone wrednym samozadowoleniem. Potem Margo włączyła kamerę i ekran zalała szarość na podobieństwo nagłej mgły, która na chwilę skryła las, nim ten wdarł się do pokoju.

A przynajmniej zrobił to jego obraz. Same drzewa i ich wydłużone cienie były dość

nieruchome. Heather odgadła, że znajdują się w głębi lasu, nie było bowiem żadnego dźwięku, żadnego śladu zewnętrznego świata. Obraz zakołysał się, po czym znieruchomiał, a kamera zaczęła przybliżać, zdając się mijać coraz to nowe łuskowate drewniane wrota w drodze do jakiegoś celu. Autofocus co chwila gubił ostrość, jakby drzewa rozpływały się i formowały na nowo. Gdy kamera osiągnęła maksymalne zbliżenie, wskazywana właśnie kępa drzew rozmyła się, puchnąc jak szare macki albo pełne trucizny palce, na których tle poruszyło się coś niewyraźnego.

- Co to było? - czuła się zobowiązana zapytać Heather.

- Nie wyszło mi za pierwszym razem - odparła Margo, prawdopodobnie odbierając to jako krytykę. - Dopiero potem się zorientowałam, że powinnam ustawiać ostrość ręcznie - wyjaśniła na tle kolejnej projekcji, być może ukazującej te same drzewa, które jednak tym razem zbliżały się jeszcze wolniej. Z każdą parą złączonych w łuk pni obraz stawał się wyraźniejszy i Heather niemal sobie wyobraziła, że owe bramy zagarniają kolejne warstwy jej świadomości. W lesie panowała cisza, jeśli nie liczyć rzadkich zgrzytów kamery, bardziej przywodzących na myśl drewno niż plastik. Heather zastanawiała się nad pochwałą, gdy nagle w lewym rogu ekranu jakiś cień, a może postać, uskoczył poza zasięg kamery.

- Co... - wykrztusiła wbrew sobie.

- To musiałam być ja - rzekła Margo.

- Niby jak? Twój cień musiał zostać daleko z tyłu.

- W takim razie za moimi plecami musiało się znajdować coś wyższego. Tyle że jestem pewna, iż nic takiego tam nie było - odparła Margo, cofając taśmę. - No i widzisz? Nic tu nie ma.

Heather mogła jedynie założyć, że ten ukradkowy ruch spowodowała drobinka pyłu albo jakaś wada taśmy, najwyraźniej przejściowa, skoro się nie powtórzył.

- Mam nadzieję, że nikt nie sądzi, iż to będzie tak wyglądać po ukończeniu - zastrzegła Margo. - To tylko surowiec.

- Jaki był twój zamysł? - wymamrotała Sylwia.

- Chciałam, żebyście mieli ochotę znowu to zobaczyć. Chyba tylko o to może chodzić w mojej pracy, prawda?

- Zobaczycie co? - zapytał niespokojnie Sam.

- Szukajcie, a może znajdziecie.

Heather zastanawiała się, czy sama Margo to wie. Zobaczyła cień matki uwięziony przez drzewa, poszatkwany na cieniutkie nieludzkie paski i przeobrażony w drewno. Obraz zawirował, wykonał pełen obrót i znów znalazł się w poprzednim położeniu, tyle że wciąż się

przybliżał. Być może te manewry ją dezorientowały, bo ciągle jej się zdawało, że dostrzega jakieś ruchy na skraju pola widzenia, zamierające, nim zdążyła skierować tam wzrok. Gdyby naprawdę tam były, czy Margo nie zwróciłaby na nie uwagi? Niekoniecznie, biorąc pod uwagę zapadający w lesie zmierzch, który wzbudzał w Heather irracjonalny niepokój o matkę, jakby nie widziała, że ta już dawno bezpiecznie wróciła. Kamera powoli wykonywała kolejne wywołujące zawrót głowy zbliżenie, odsłaniając zawiłości lasu, skupiając się na coraz to nowych warstwach pni, pochłaniając ciemność. Kiedy była bliska maksymalnej wartości zoomu, kępa drzew na ekranie wykonała coś, co wyglądało jak ukłon w stronę Margo: pochyliła się naprzód i wyciągnęła koniuszki gałęzi.

- Jak to zrobiłaś? - zapytała zaciekawiona Heather.

- Och, pełno tam sztuczek. W kamerze, znaczy. Nie zdziwię się, jak jeszcze jakieś odkryję.

Heather pomyślała, że równie dobrze matka mogłaby po prostu przyznać, że nie ma pojęcia.

- To wszystko, co dotąd zrobiłam - rzekła tymczasem Margo. - I jeszcze raz powtarzam, że ostateczny produkt będzie wyglądał zupełnie inaczej, ale i tak jestem ciekawa, co sądzicie.

Obejrzany materiał zasiał w duszy Heather uczucie, że sama od wielu godzin przebywa w lesie. Próbowwała wymyślić coś innego, bo ledwie widoczne w mroku sylwetki jej siostry i syna milczały, lecz nagle na ekranie pojawił się kolejny widok lasu, a po nim Margo.

- O rany! - wykrzyknęła. - Zapomniałam, że to nakręciłam!

Heather miała wrażenie, że matka jest zdenerwowana, zarówno na ekranie, jak i w domu. W telewizorze oddalała się pomiędzy drzewami, oglądając się za siebie w mroku, jakby zauważyła coś, czego ona, Heather, nie dostrzegą. Potem, tak wolno, że nie była pewna, czy to się rzeczywiście dzieje, Margo poczęła przybierać postawę drzewa, unosząc lewe ramię w imitacji włóknistego wybrzuszenia na pniu, a całą rękę wykręcając - prawdopodobnie z wielkim bólem - w kształt mający kopiować wygląd złamanej gałęzi, natomiast prawa zwisała niemal do tajemniczej mozaiki z liści, naśladując inną gałąź. Kiedy kobieta na ekranie pochyliła się nisko, kamera podążyła za nią w dół.

- Kto trzyma kamerę? - zapytał strwożonym szeptem Sam.

- Przypuszczam, że drzewo - odparła Margo. - Cóż by innego? - dodała, gdy jej zamierzona ironia przeszła bez echa.

- Przecież się poruszyło!

- Widocznie się osunęła.

Heather wystarczył sam obraz z kamery, by czuć niepokój. Margo na ekranie wydawała się zdeterminowana, żeby trwać w swej osobliwej pozie, dopóki nie połknie jej noc.

- Możecie się śmiać, jeśli macie ochotę - obwieściła tymczasem ze swego krzesła, acz sama nie zastosowała się do tej rady. - Chcę, żebyście szczerze wyrażali swoje uczucia.

- A ty co czułaś? - zapytała Sylwia.

Margo przez dłuższą chwilę wpatrywała się w swoją przeszłość.

- Spokój - rzekła wreszcie. - Prawdziwy spokój.

Heather patrzyła, jak matka coraz bardziej zatracza się w ciemności lasu - zastanawiała się, dla jakiej publiczności Margo odgrywa ten spektakl lub kogo próbuje ugłaskać - gdy przez nią i przez drzewo przebiegł dreszcz sugerujący natychmiastową przemianę, po czym obraz zniknął z ekranu.

- Widać bateria się wyczerpała - powiedziała Margo.

Stąd to drżenie, wmawiała sobie Heather.

- Zapalę światło, dobrze? - zaproponowała.

Cała rodzina mrugała, jakby przebudziła się z głębokiego snu. Samuel zerknął na ekran, najwyraźniej chcąc się upewnić, że obraz nie wróci.

- Kiedy sobie uświadomiłaś? - wymamrotał.

- Co? - zapytała Margo. - Co sobie uświadomiłam?

- Jak długo tak stałaś, nim się zorientowałaś, że nie nagrywasz?

- Nie śmieję się, ale naprawdę nie pamiętam.

Wyraźnie go to zaniepokoiło. Martwi się, że jego babcia się starzeje, pomyślała Heather.

- Czego szukałaś w lesie? - zapytał bardzo cicho chłopak.

- Tego też ci nie powiem. Znasz mnie. Cała moja praca wiąże się z dociekaniem, czy to co robię, ma jakiś sens. Nigdy nie wiem tego zawczasu. No to jak? Ktoś zaryzykuje opinię na temat tego materiału?

- Ja powiedziałabym, że to było jak narodziny czegoś nowego - powiedziała Sylwia.

- Albo starego - dodał Sam.

- Skoro to cię inspiruje, mam... - mruknęła Heather.

Nie chciała, żeby to zabrzmiało protekcjonalnie, chyba jednak tak się stało.

- Nie powinnam była wam pokazywać - stwierdziła Margo.

Heather miała nadzieję, że matka nie mówi tego wyłącznie do niej.

- Jeśli nie nam, to komu?

- Nikomu, dopóki nie mam gotowego dzieła. Nie poznacie tego, gdy będzie skończone. Może nawet nie poznacie mnie.

- Wyłączyła telewizor i włączyła przewijanie taśmy do tyłu, po czym wbiła paznokcie w ramiona fotela i próbowała się podnieść. - Niech no mi ktoś pomoże - poprosiła. - Stare kości już nie są takie mocne.

Samuel pokuśtykał przez pokój, nim kobiety zdążyły zareagować, i uniósł babcię z fotela, chwytając ją za łokcie. Trochę potrwało, nim się wyprostowała. Wprawdzie tym razem nie była tak poskręcana jak wtedy w lesie, ale może właśnie tamten incydent był odpowiedzialny za jej obecną sztywność.

- Dziękuję, że przyszliście - powiedziała.

- Jeśli chcesz, możemy zostać dłużej - zaproponowała Heather.

- Już dość was znudziłam. Chcę jeszcze raz to obejrzeć i pomyśleć, co mogę z tego wykrzesać.

- Nie mamy nic przeciwko ponownemu obejrzeniu - rzekła Heather, choć perspektywa przyglądania się po raz drugi bolesnym wygibasom Margo nie była kusząca.

- Nie pogniewacie się, jeśli poproszę, żebyście zostawili mnie z tym samą? Naprawdę sądzę, że tego potrzebuję.

- W takim razie dobrze - powiedziała Heather, traktując to jako pytanie pod adresem pozostałych. Nawet jeśli się nie zgadzali, przynajmniej udawali, że jest inaczej. Tak czy owak Heather zamknęła już sobie drogę do protestów. Ograniczyła się do objęcia matki i musiała się opanować, by nie zrobić tego zbyt melodramatycznie: ciało Margo wydawało się sztywne i kruche jak naręcze starych patyków, a przy tym bardziej guzkowate niż przedtem. Jej kłykcie przywodziły na myśl sęki w drzewie.

- Wkrótce znowu się skrzyknjemy, co? - zapytała, starając się, by nie zabrzmiało to błagalnie.

- Jasne, że tak.

Margo uparła się, że odprowadzi ich na dół, choć wymagało to od niej co najmniej tyle wysiłku co od Sylwii.

- Niech wam nie przyjdzie do głowy martwić się o mnie - powiedziała, wachlując się ręką, jakby chciała odpędzić czy to smród spalenizny dochodzący z mieszkania na dole, czy wilgoć wnikającą przez frontowe drzwi. - Jestem jeszcze bardzo daleka od ukończenia dzieła.

Heather chyba wolałaby, aby było inaczej. Być może Sam i Sylwia czuli to samo; w każdym razie oni również milczeli. Porywisty wiatr trzeszczał i drapał w żywopłotach otaczających duże, dyskretne wiktoriańskie domy, ale i on nie umniejszał ciepła, które byłoby

przedwcześnie nawet w kwietniu, a co dopiero w styczniu. Oprócz wiatru słychać było jedynie kroki trojga Price'ów, izolowane i tłamszone przez nieskończony mrok. Kuśtykanie Sama i ciężki chód Sylwii przywiodły ich na High Street, na którą wjazd samochodom uniemożliwiały grube betonowe słupki przypominające megality lub nienaturalnie regularne pnie.

- Podzielisz się z nami swoimi odczuciami? - zapytała Sylwia.

- Którymi? - poczuł się zmuszony zapytać Sam.

- Na razie nie ty, Sam.

- Ja też musiałabym zapytać którymi - rzekła Heather.

- Wszystkimi, jakimi chciałabyś się z nami podzielić, ale w tej chwili miałam na myśli pokaz, który mama dla nas odstawiła.

Wiatr obudził rachityczne drzewka strzegące oświetlonych pustych sklepów. Wokół korzeni płasły kościste cienie.

- Wydaje mi się, że nie robiła tego tylko dla nas, prawda?

- Rzeczywiście, zapewne nie.

- Jeśli nie przesadzi i nie straci kolejnych zwolenników...

- Biedna Heather - rzekła Sylwia, spoglądając na nią współczująco. - Nie masz pojęcia, o czym rozmawiamy, prawda?

Heather już miała się jej odgryźć, gdy Sam pośpiesznie odwrócił od niej wzrok.

- „My”, to znaczy kto? - zapytała więc.

- Rodzina, Heather.

- W porządku - rzuciła, nie potrafiąc dłużej powstrzymać gniewu. - Skoro wszyscy wiedzą o tyle więcej niż ja, to może ty uchylisz przede mną rąbka tajemnicy, Sam?

Natychmiast pożałowała, że zaatakowała właśnie jego. Patrzył wszędzie, tylko nie na nią, jakby mieli towarzystwo, którego nikt inny nie widział.

- Albo ty, Sylwio? - dodała.

- Dlaczego sama nie spróbujesz? Powiedz nam, co czujesz, a jeśli tylko pozwolisz sobie na szczerą, będziesz miała rację.

- Czuję... - Heather musiała stłumić w sobie podejrzenie, że Sylwia podpowiada jej, by przyznała, że czuje się zarówno obserwowana, jak i ukryta. - Mam nadzieję, że mama jak najszybciej skończy z pracą w lesie i wszyscy będziemy mogli o nim zapomnieć - dokończyła.

- Marne szanse.

Nie wiedziała, kto kryje się za tym ledwie słyszalnym szeptem; miała wrażenie, że nie

tyle go usłyszała, ile przypominała sobie, że słyszała go kiedyś. Uczucie, że jest obserwowana, tak się wzmogło, że mimo woli obejrzała się za siebie. Ale na wybrukowanej ulicy oświetlonej przez sklepowe wystawy i okrągłe uliczne latarnie nie było gdzie się ukryć; pod rzadko rozmieszczonymi ławkami zmieściłoby się co najwyżej dziecko, a młode drzewka w niczym nie przypominały tych z lasu. Koślawych cieni także nie było tam więcej, niż być powinno, ani nie wykrzywiały się w kształty zbyt chude, by żyć, mimo to sprawiające wrażenie żywych. Spojrzała więc przed siebie i stanęła twarzą w twarz ze szpalerem drzew, których korzenie wpijały się w chodnik, jakby albo same chciały wyrwać się z ziemi, albo coś spod niej wydobyć.

- Czasami - powiedziała, nim się zorientowała, co mówi - żałuję, że się tu urodziłam.

- Ktoś musiał.

Być może jednak nie słyszała tego cichego, wysokiego szeptu, bo ani Sam, ani Sylwia nie wyglądali, jakby coś powiedzieli. Jeśli to wyobraźnia, o której brak ją oskarżano, właśnie postanowiła udowodnić oskarżającemu, że się mylą, wybrała sobie trochę nieprzyjemny czas i miejsce. Heather starała się przed nią uciec, idąc szybciej, niż Sam i Sylwia byli w stanie, ale gdy skręciła na swoją ulicę, musiała stłumić westchnienie ulgi. Ze wszystkich sił starała się zignorować poruszające się żywopłoty i ciemne krzaki znaczące drogę do narożnego sklepu.

Drzwi J's & J's były otwarte, a za ladą stał samotny Joe. Na widok Price'ów przerwał rozmowę z trzema kobietami, które obróciły się, podążając za jego wzrokiem, i najwyraźniej ich rozpoznały, choć Heather ledwie je znała.

- Jessica zostawiła cię samego, Joe? - zawołała Heather.

- Jest w domu - odparł po chwili milczenia.

Heather zastanawiała się, czy powinna pytać, w końcu postanowiła to zrobić.

- Coś się stało?

- Opiekuje się wnuczką.

- Rosemary zachorowała?

Trzy kobiety zrobiły groźne miny, jakby czuły się zobowiązane do okazania wrogości w jego imieniu.

- Ma koszmary o was - przyznał Joe.

- Jak to o nas?

- O kimś z twojej rodziny. Chyba nie o tobie. - Wyraźnie wolałby, żeby nie mieli publiczności. - Albo ma koszmary, albo coś widzi, nie wiem dokładnie - rzekł z niejaką dozą wojowniczości.

Heather przestąpiła próg.

- A co widzi? - chciała wiedzieć.

- Trudno mi powiedzieć. Musiałabys pogadać z Jessicą. Znaleźliśmy małą, jak włożyła się za domem, jakby lunatykowała. Nie chcemy, żeby zostawała sama na noc, nawet jeśli jej rodzice się zgadzają.

Brzmiało to bardziej jak oskarżenie niż wyznanie.

- Była w lesie? - zapytała Sylwia, wchodząc za Heather do sklepu.

- Nie. - Gapił się na nią, jakby miał jej za złe to zainteresowanie. Jego spojrzenie było niemal równie świdrujące jak spojrzenia kobiet, choć nie aż tak wrogie. - Gdybyśmy jej nie zbudzili, weszłaby tam - dodał. - Wiem, że nie powinno się budzić osób, które lunatykują, ale pókiśmy tego nie zrobili, w ogóle nie wiedzieliśmy, że śpi.

- Ważne, żeście ją powstrzymali - podkreśliła kobieta z puszką kociego jedzenia w ręce. - Lepiej, żeby żaden dzieciak się tam nie zbliżał.

- Ostatnio trochę za dużo osób widuje tu dziwne rzeczy - dodała druga, wbijając palce w bochenek pokrojonego Chleba.

- Przez ostatnich kilka miesięcy - uściśliła trzecia, wkładając sobie dropsa pomiędzy wargi tak pomarszczone, że niemal bezbarwne.

Żadne z nich nie odwróciło wzroku od Sylwii, która odpowiedziała westchnieniem.

- To znaczy, odkąd ja wróciłam do domu?

- Nikt się do pani nie zwracał - oznajmiła jej kobieta dłubiąca w bochenku.

- Nic tu nie jest takie samo, odkąd wasza rodzina się zjawiała - dodała jej przyjaciółka, machinalnie zdrapując etykietkę z puszki kociego jedzenia.

- Odkąd ktoś zaczął węszyć w lesie - dorzuciła trzecia z kobiet głosem bełkotliwym i mechanicznym od stukoczącej o zęby miętówki.

Joe już miał zaprotestować, lecz ubiegła go Heather.

- Jeśli mają panie na myśli mojego ojca - rzekła ze spokojem, którego bynajmniej nie odczuwała - to przyjechał tu, by państwu pomóc rozwiązać problem, który zaistniał już wcześniej.

- I zamiast tego sam stał się częścią problemu - obwieściła kobieta z puszką, postukując w nią jak w bębenek.

- Który został roztrąbiony na pół świata - dodała dręczycielka bochenka.

- Nic dziwnego, że nikt z mieszkańców nie może sprzedać domu - zauważyła ich klekocząca przyjaciółka.

- Proszę mi wierzyć - zapewniła nie bez przyjemności Heather - bardzo byśmy się ucieszyły, gdyby to się państwu udało.

W pierwszej chwili wyglądało na to, że Sylwia zadowoli się jej ripostą. Dopiero gdy była jedną nogą na zewnątrz, rzuciła:

- No to teraz wiemy, jak to jest być czarownicami, Sam.

- Do zobaczenia, jak sądzę, Joe - rzuciła Heather i odwróciła się plecami do kobiet. Samuel kuśtykał już w stronę domu. Kiedy oddaliły się z Sylwią od sklepu na tyle, by zebrane tam towarzystwo nie mogło ich usłyszeć, mruknęła: - Musiałaś wyskakiwać z tymi czarownicami?

- Widać musiałam, skoro to zrobiłam. - Sylwia zdawała się lekko rozbawiona własnymi słowami lub tym, co za chwilę powie. - Nie wspominałam ci jeszcze o wiedźmie z Goodmanswood, prawda?

- Nie - odparła Heather. - Miejmy już to za sobą - dodała z jeszcze mniejszym entuzjazmem.

- Mieszkała w domku stojącym najbliżej lasu. Po śmierci Selcoutha zaczęła spędzać w lesie większość czasu, aż w końcu zaczęto ją widywać z... hm... powiedzmy, asystentem. Czymś podobnym do dziecka, tyle że zbyt wysokim, chudym i właściwie pozbawionym czegoś, co można by nazwać twarzą. Gdy aresztowali ją łowcy czarownic, powiedziała, że przebywanie w lesie ją zmieniło. Wyrósł jej mianowicie dodatkowy sutek - może na tej podstawie wymyślono całą resztę - który w dodatku co rusz znajdował się w innym miejscu.

- Szkoda, że nie mieli wtedy psychiatrów.

- Nie, ona naprawdę im pokazała, jak sutek wędruje po całym ciele. Opowieść głosi, że była zadowolona, iż powieszono ją, nim zdążyła się bardziej zmienić. Spalono jej dom i pochowano ją na krzyżówce przy High Street, ale coś ją wykopało i zabrało z powrotem do lasu.

Jeśli wzięła tę opowieść z książki, którą Sam podarował jej na Gwiazdkę, Heather wolałaby, żeby jej siostra otrzymała inny prezent. Chłopak otwierał już bramę, jakby specjalnie wyrwał do przodu, by nie dosięgła go ta historia. Heather zmierzała już ku niemu, gdy zobaczyła, że jakaś młoda para, prawdopodobnie rodzice Rosemary, idzie szybko ścieżką wiodącą do domu Jessiki.

- Sprawdź, czy Jessice czegoś nie trzeba - powiedziała.

- Wolisz iść beze mnie?

- Zawsze lubię cię mieć u boku, ale może najpierw się dowiem... - Kiedy Sylwia weszła na podwórze ich domu, Heather ruszyła przed siebie. - Jessico! - zawołała.

Jej przyjaciółka właśnie wpuszczała gości do domu.

- O, Heather... Nie wiem, czy powinnaś... - Odsunęła się, przepuszczając przybyłych, i

zrobiła krok do przodu. - Jest we frontowym pokoju - rzekła do nich. - Zaraz tam przyjdę.

Heather odezwała się ponownie, dopiero gdy była dość blisko, by mogła mówić cicho.

- Co się stało? Czy myśmy w czymś zawinili?

- Wychodziliście gdzieś? - zapytała Jessica, rozglądając się za Sylwią i Samem.

- Byliśmy u mamy. Oglądaliśmy jej... hm... najnowszy eksperyment.

- Czyli? - zapytała nieco zbyt ostro Jessica.

- Kolejne dzieła sztuki przyniesione z lasu.

- Może powinnaś jej uświadomić, że ludzie plotkują.

- Ano tak. Plotkują. Mówią na przykład...

- Przez cały czas widuje się was wszystkich, jak wchodzicie i wychodzicie z tego lasu.

No, w każdym razie wszystkich prócz ciebie - dodała Jessica, pochylając głowę ku pobrzmiwającym w pokoju pomrukowi pocieszenia. - Nie mówię, że na pewno tak jest, ale może właśnie dlatego Rosemary wyobraziła sobie te wszystkie rzeczy.

- Jak się teraz czuje?

- Przestała wrzeszczeć. Bo wrzeszczała, odkąd ją zbudziliśmy. Wiem, to podobno niebezpieczne.

Pomruki przycichły i jakiś cichutki głos zaprotestował:

- Wcale nie spałam!

- Musiałaś spać, Rosemary - rzekła Jessica i spojrzała na Heather w sposób, w jaki patrzą na siebie dorośli, gdy mówią o dzieciach, po czym wyznała: - Mówiła, że szła za kimś zbyt wielkim, żeby go opisać.

- Był wysoki jak niebo! - zawołała dziewczynka, przekrzykując kolejny duet pomruków. - Ale zamiast w górę, wydłużał się w bok jak cień.

- Skoro to był cień - powiedziała Jessica, jakby problem już się rozwiązał - to nie mógł mieć takiej twarzy, jak mi mówiłaś.

- Ale miał. Wyglądał jak pan Price.

Jessica cofnęła się do korytarza.

- Porozmawiamy o tym innym razem, dobrze, Heather?

Heather widziała, że jej przyjaciółka nie chce jeszcze bardziej denerwować wnuczki, lecz i tak poczuła się odrzucona. Zaryzykowała uśmiezek i odwróciła się, by odejść, kiedy ponad rodzicielskie pomruki wybił się głos dziewczynki:

- Miał twarz i mówił do mnie!

Heather zatrzymała się.

- Co powiedział? - zapytała, nim zdążyła się ugryźć w język.

- Porozmawiamy wkrótce - ucięła Jessica.

Chyba miało to być ostrzeżenie, bo gdy cofała się w głąb domu, nie miała zbyt pobłażliwej miny. W chwilę później drzwi się zamknęły, lecz nie dość szybko, by Heather nie usłyszała słów dziewczynki. Musiały być odpowiedzią na zadane przez nią pytanie, którego teraz z całego serca żałowała.

- „Moje dziecko” - rzekła Rosemary.

Lektura w ciemności

Heather przebudziła się gwałtownie z przekonaniem, że zrobiła coś złego. Kiedy już zdołała strząsnąć z powiek przylegający do nich mrok, świecące gałązki przyłóżkowego zegara poinformowały ją, że jest kilka minut po trzeciej. Być może pokrzepiłby ją widok znajomego szkicu konturów sypialni, gdyby nie to, że w ciemność wdarł się zapach starego papieru. Wciągnęła powietrze raz jeszcze i choć tym razem nic nie poczuła, na wszelki wypadek naciągnęła kołdrę na twarz. Teraz była sama ze swymi bezkształtnymi, niespokojnymi myślami, ze wspomnieniem czynu, który chciałaby cofnąć. Żałowała, że nie zachowała dla siebie słów Rosemary.

Być może był to fragment jakiejś bajki, którą dziewczynka słyszała lub czytała. Heather była skonsternowana jedynie tym, jakie wrażenie jej słowa zrobiły na Sylwii i Samie. Bez wątplenia był to kolejny dowód na to, że stan ciotki ma duży wpływ na psychikę chłopaka, i kolejny powód do niepokoju obok jego niechęci do opuszczenia domu, który jej zdaniem wskazywał na obawę przed sprawieniem zawodu jej, ojcu lub sobie samemu. Do tego dochodziła obsesja Margo na punkcie lasu, coraz bardziej przypominająca obsesję Lennoksa, i załamanie nerwowe Sylwii, nawet jeśli było leczone, i jej obecny stan, i łatwość, z jaką obcy niemal ludzie obwiniali jej rodzinę o rzeczy, których nawet nie umieli zdefiniować... Czy istniał jakikolwiek aspekt życia, o który nie musiałaby się martwić? Miała nadzieję, że przynajmniej praca nie wytnie jej żadnego numeru, ale gdy pozwalała sobie myśleć o tym, co będzie robić pojutrze - o skanowaniu tekstów, stłumionych głosach studentów, stertach milczących książek na półkach, poczuciu zamkniętej bezpiecznie przeszłości, do której można zaglądać w całkowicie kontrolowany sposób - odnosiła wrażenie, że tamten świat w zbyt wielkim stopniu stał się dla niej ucieczką, zaprzeczeniem całej reszty życia. Mimo to pozwolenie umysłowi na odpoczynek wśród bibliotecznej ciszy okazało się dobrą kołysanką i Heather już miała odpłynąć w sen, gdy nagle zastygła, zapominając o oddychaniu.

W domu pobrzmiwał jakiś niezidentyfikowany dźwięk.

Kiedy podniosła głowę, stał się wyraźniejszy. Początkowo nie rozpoznała nic prócz

bicia serca, oczywiście własnego, choć zdawało się raczej należeć do nocy. Usiadła wsparta o poduszkę i wciągnęła głęboko powietrze. Po chwili już wiedziała, co to za dźwięk. Z sąsiedniej sypialni dobiegał głos Sylwii.

Najwyraźniej rozmawiała na osobności z Samem, sądząc, że jej siostra śpi. Na tę myśl Heather omal nie zerwała się z łóżka, by pomaszerować do pokoju Sylwii i zapytać, co jest tak tajne, że musiało czekać na zapadnięcie nocy. Zamiast tego jednak wysunęła nogi spod kołdry i poczęła się skradać. Nie obchodziło jej, że zachowuje się dziwnie - po prostu musiała to usłyszeć.

Ledwie zdążyła otworzyć drzwi na tyle, aby się wydostać, usłyszała stłumione stęknienie Sama. Cóż takiego mogła powiedzieć Sylwia? Jego reakcja najwyraźniej jej nie przeszkodziła, bo mamrotała dalej, jakby go wcale nie usłyszała. Wściekła z powodu jej niewrażliwości Heather z trudem powstrzymała się od działania, ale wzięła się w garść i bezszelestnie wydostała na korytarz. Wtedy Sam znów stęknął, a ona uświadomiła sobie, że chłopak znajduje się we własnym pokoju i śpi.

Do kogo zatem przemawiała Sylwia? Przez jedną straszną chwilę Heather bała się, że usłyszy drugi głos, a potem ogarnął ją równie silny lęk, że jej siostra mówi do siebie. Tyle że nie brzmiało to jak monolog. Heather podeszła na palcach do drzwi siostrzanej sypialni i zrozumiała, czego słucha. Sylwia czytała na głos.

Pewnie ćwiczy, by czytać dziecku, jak będzie już dość duże, pomyślała starsza z sióstr, zastanawiając się, co takiego czyta młodsza, zwłaszcza że ze szpary pod drzwiami nie sączyła się ani odrobina światła. Musiała przytknąć ucho do dziwnie ciepłej framugi, nim zdołała usłyszeć choćby słowo. Zakrywszy usta i nos dłonią, aby stłumić oddech, usłyszała: „Wszystko to w jednej postaci pomieszczone i żywotem obdarowane będzie”.

Sylwia czytała nienarodzonemu dziecku dziennik Selcoutha. Już samo to byłoby dość niepokojące, ale jeszcze bardziej nie podobała się Heather natchniona czułość, z jaką jej siostra wypowiadała te słowa. Jej niepokój był tak wielki, że dopiero po dłuższej chwili uzmysłowiła sobie, że Sylwia zamilkła. Musiała się zorientować, że ktoś stoi pod drzwiami.

Heather sięgała właśnie do klamki, gdy z pokoju począł się wydobywać zapach starego papieru. Nie musiała przecież rozmawiać z Sylwią w tej chwili. Z kilku powodów, w tym takich, o których wolała nie wiedzieć, postanowiła zaczekać do rana. Jeśli jej decyzja sprawiała wrażenie tchórzowskiej, to trudno. Cofnęła się tak szybko, jak tylko mogła bez narobienia hałasu, w ślimaczym tempie zamknęła za sobą drzwi i schroniła się w łóżku.

Stanowczo zbyt długo obawiała się, że Sylwia pójdzie za nią.

O co oskarżyłaby ją młodsza siostra? O chęć sprawdzenia, co się dzieje pod dachem

jej własnego domu? Heather ze wszystkich sił starała się wymyślić jakąś odpowiedź, która nie zabrzmiałaby jak tłumaczenie się, gdy w sąsiednim pokoju znów rozległ się głos. Wyteżając słuch, słyszała głównie pulsowanie własnej krwi, ale w końcu zdołała wychwycić jedno słowo: „Nathaniel” - powiedziała Sylwia. - „Nathaniel” - powtórzyła kilka minut później.

Czułość w jej głosie z pewnością oznaczała, że zwraca się do dziecka, a nie czyta imię z książki, lecz i tak Heather daleka była od spokoju. Wsłuchując się w pomruki siostry na tle własnego oddechu, zdesperowana zaczęła sobie wyobrażać, iż to jej Sylwia czyta do snu. Nie miała pojęcia, ile upłynęło czasu, nim istotnie usnęła, a tym bardziej nim obudziło ją poczucie, że nie jest w pokoju sama.

Miała wrażenie, że w ogóle nie spała i że ktoś przyszedł za nią z pokoju Sylwii, otworzywszy jednak oczy, ujrzała światło dzienne i Sama. Kiedy uniosła senne powieki i zamrugnęła, chłopak mocniej ściągnął węzeł szlafroka.

- Zasnęłam?

- Dziś niedziela.

- No to nie spóźnię się do pracy. Jestem ci potrzebna? Albo Sylwii?

Już miał odpowiedzieć na pierwsze pytanie, ale po drugim zacisnął wargi. Nie wiedział, gdzie podziąć oczy.

- Poszła - wymamrotał.

- Poszła? Dokąd?

- Nie wiem.

- Co ci powiedziała? - zniecierpliwiła się Heather.

- Nic. Spałam, gdy wychodziła.

- To skąd wiesz, że jej nie ma?

- Sama zobacz, co zostawiła.

- Już idę.

Ledwie zdążyła schwycić brzeg kołdry, Sam wykuśtykał z pokoju. Odkąd Sylwia wkroczyła w ich życie, zdawał się znacznie bardziej przerażony myślą, że mógłby przypadkiem zobaczyć matkę nagą. Heather zdjęła z wieszaka szlafrok, wsunęła ręce w rękawy, zawiązała pasek i wyszła na korytarz. Samuel czekał u szczytu schodów. Pchnęła drzwi pokoju Sylwii i gwałtownie wciągnęła powietrze, wdychając gorzki zapach papieru. Po trzech walizkach siostry, do tej pory leżących na szafie, nie było śladu.

Kiedy weszła dalej w głąb pokoju, bynajmniej nie poczuła się lepiej. Walizek nie było również na łóżku, a pod nim nawet by się nie zmieściły. Jedynym mieszkańcem sypialni był teraz spoczywający na biurku dziennik Selcoutha. Przytłoczona niechęcią do jego tajemnej

zawartości, czarnej jak pancerz żuka oprawy i nieokreślonego zapachu zepsucia, Heather odwróciła się i spostrzegła, że Sam ją obserwuje. Nie dając jej czasu na interpretację swego spojrzenia, wskazał gestem wiodące w dół schody.

- Zostawiła wiadomość.

- To nie mogłeś jej tu przynieść? - obruszyła się Heather i gdyby chłopak sam się nie odsunął, odepchnęłaby go na bok.

Przy telefonie wisiała kwadratowa karteczka zapisana takim maczkiem, że z góry wydawała się niemal tak czarna jak dziennik Selcoutha. Kilka sekund, których Heather potrzebowała, by zbiec na parter, w zupełności wystarczyło do wyobrażenia sobie, co mogła napisać jej siostra. „Dzięki za gościnę i troskę! Nie myślcie, że jestem niewdzięczna czy lekkomyślna, ale książka zmusza mnie do ruszenia w dalszą drogę. Nie martwcie się o Natty’ego ani o mnie. Wkrótce się spotkamy. Przepraszam, nie mogę napisać więcej, SXXX”. Ostatnie dwa zdania były tak mikroskopijne, że można by pomyśleć, iż wcale nie miały być odczytane, a pozostawiły tak mało miejsca na inicjał i iksy oznaczające „całuję”, że te ostatnie zostały wepchnięte pod literę „S”, jakby ją chciały przygwoździć, pożreć lub jedno i drugie. Myśli Heather przysały się do tego wyobrażenia. Wiedziała, że zaraz będzie musiała zacząć rozważać implikacje tego listu i że z każdą chwilą będzie jej rzednąć mina. Nim jednak otrząsnęła się z tego stanu, zadzwonił telefon.

Poderwała słuchawkę w nadziei, że usłyszy głos Sylwii.

- Halo?

- Pani Harvey?... To znaczy, pani Price?

- I ta, i ta - odparła, zastanawiając się, skąd zna ten głos.

- Mówi Francis Lowe z Arbour.

- Doktor Lowe... - I zapytała, choć bała się tego, co może usłyszeć: - Czy jest tam moja siostra?

- Pani siostra?... Nie, pani Price.

- Nie musi się pan bawić moim nazwiskiem. Po co pan dzwoni? - zapytała przygnębiona tym, że jego telefon najwyraźniej nie dotyczy Sylwii.

- Chciałem powiedzieć, że chodzi o pani matkę. O tę panią Price. To ona tu jest.

- Och. Rozumiem. Przepraszam, jeśli byłam... - Narastające poczucie nieobecności Sylwii pozbawiało ją słów. - Co tam robi? - zdołała w końcu zapytać.

- Przykro mi, że przynoszę takie złe wieści - rzekł chyba wyłącznie po to, by zdążyła się odpowiednio nastawić. - Niestety, zdarzył się wypadek - kontynuował. - Panią Price potrącił samochód.

Najniższa komora

- To był mój dom, gdy byłam tylko sobą - powiedziała Sylwia, spoglądając poprzez łąkę. W szarości przedświt Woodland Close jaśniała w blasku ulicznych latarni, lecz w żadnym oknie nie paliło się światło. Przez moment łudziła się, że w jej domu rozbłysną lampy; że Heather znalazła już jej kartkę i biegnie na górę, odkrywając zniknięcie walizek i liczy, że siostra nie zaszła daleko. Okna jednak nadal były ciemne, a za jej plecami las szeptał, trzeszczał i owiewał jej kark kleistym oddechem. Nawet jeśli był to tylko wiatr, drzewa zdawały się ją ponaglać, aby weszła w głąb.

- Będziesz ze mną, prawda, Natty? - szepnęła.

„Tak”.

Nie tyle usłyszała, ile poczuła jego głos. Zdawał się wydobywać z głębin, jakich jej ciało nie mogłoby pomieścić - z ciemności skrytej pod ziemią lub za kruchym bladym niebem - ale to tylko jej towarzysz przemawiał. Musiała zostawić swój dawny dom i wszystko, co symbolizował. Uniosła dłoń w geście pożegnania tak nieznacznym, jakby sama nie była świadoma, że go wykonuje, po czym odwróciła się i weszła do lasu, mijając kłodę przypominającą olbrzymiego bezokiego jaszczura o zdeformowanych, nierównych krótkich nóżkach. Kiedy postawiła stopę na skraju rozległej kompozycji z gnijących liści, poczuła, że las uświadamia sobie jej obecność, i zobaczyła, jak drzewa wyginają się niczym anteny, by śledzić jej ruchy.

Przez chwilę stała jak wryta, zapomniawszy o oddychaniu. Nie zdziwiłaby się, gdyby kłoda nagle się podźwignęła i mimo ślepoty poprowadziła lub pognała ją na swych krótkich nóżkach poprzez gąszcz. Sylwia robiła co w jej mocy, by traktować to jako jedną z tych zabaw, którym w dzieciństwie oddawała się samotnie, ponieważ jej siostra za nimi nie przepadała - przewracała kłodę, żeby odkryć mrowie robali, które natychmiast uciekały do kryjówek, a ona znów je odkrywała, przy czym tak naprawdę kojarzyły jej się nie tyle z robalami, ile z fragmentami odbarwionej kory. Bezruch przyczajonego drewnianego gada popychał ją naprzód; szła chwiejnie, jakby musiała gonić swój nabrzmiaty brzuch, aby nie stracić równowagi. Grzebała właśnie w torebce w poszukiwaniu latarki, gdy uświadomiła

sobie, że choć drzewa odcinają ją od światła, widzi drogę, tak jak przedtem mogła czytać dziennik Selcoutha w ciemnym pokoju. „Czy to twoja sprawka?” - pomyślała. - „Zmieniasz mnie?”

„Tak”.

Jego obecność wewnątrz niej była bardziej dojmująca niż jakiegokolwiek fizyczne doznanie. Nic jednak nie poruszało się jeszcze w jej brzuchu; niekiedy budząc się w nocy miała wrażenie, że nie nosi w sobie nic prócz ciemności głębszej niż ta, którą można znaleźć nawet na krańcach wszechświata, i dopiero po chwili uświadamiała sobie, że kryje wewnątrz drugi umysł. Od czasu jego poczęcia stopniowo odzyskiwała wspomnienia wszystkich swych wizyt w lesie, jakby istota, z którą dzieliła ciało, dodawała swój umysł do jej umysłu lub wykorzystywała go. Sylwia wciąż musiała sobie powtarzać, że Natty nie może jej skrzywdzić, nie krzywdząc siebie.

- Będziemy się o siebie troszczyć, prawda? - obiecała, poprosiła, a może jedno i drugie.

„Tak”.

Ta odpowiedź wystarczyła, by kobieta ciężkim krokiem ruszyła dalej, rozglądając się w poszukiwaniu śladów ojca. Z pewnością wiadomość, którą otrzymała Rosemary, musiała pochodzić od tego, co zeń pozostało. Właśnie dlatego Sylwia tu była - jak również z powodu swego postanowienia, by nie ujawniać dzielonej z Samem tajemnicy, nie była bowiem pewna, czy dochowałyby jej, gdyby pozostała z nim i Heather. A poza tym nigdy nie bała się lasu, dlaczego więc teraz miałyby się bać?

- To magiczne miejsce, prawda? - mruknęła.

„Tak”.

Na to wyglądało. Drzewa na dzikiej alejce, wzdłuż której szła, okalały jaśniejący z każdą chwilą obraz: pnie połyskujące niczym popękane ze starości srebrzyste kolumny, uschnięte liście tworzące tak wielobarwny i złożony wzór jak mozaika w starożytnej świątyni. Sądziła, że to wstający świt rozjaśnia tę wizję, póki nie obejrzała się za siebie. Nie wiedziała, że przeszła już taki kawał drogi: blask latarni ulicznych był ledwo widoczny, nie mówiąc o kształtach domów i wszelkich innych światłach. A jednak gdy spojrzała w przód, iluminacja lasu znów rozbłysła, jakby tylko czekała na jej spojrzenie.

- Jesteś tam? - ośmieliła się zawołać, choć bardzo cicho.

„Tak”.

- Tym razem nie ty, Natty - powiedziała, choć głęboki głos jeszcze bardziej niż dotąd zdawał się dobiegać nie wiadomo skąd.

- Chodziło mi o ojca.

Miała poczucie, zbyt niejasne, aby je zdefiniować, że jest gdzieś blisko. Jeśli chował się za którymś z drzew, musiał być teraz znacznie szczuplejszy. Miała nadzieję, że nie będzie się z nią bawił w to samo, w co ona bawiła się z Heather. Może właśnie ta nerwowość sprawiła, że nagle wrażenie, iż ktoś ją obserwuje - nie zza drzewa, lecz raczej spod ziemi - ktoś wielki i nieogarniony, przeraziło ją. Kiedy się obróciła, szeroko rozstawiając nogi, by utrzymać równowagę, zobaczyła jedynie las i ani śladu miasteczka. Znow się odwróciła w obawie, że upadnie, ponieważ brzuch zdecydowanie ciągnął ją w gąszcz. „On czeka” - poinformowano ją.

- Umiesz mówić. Nie tylko odpowiadasz. I szybko rośniesz - odpowiedziała, tłumacząc sobie, że tak naprawdę nie usłyszała słów, że nie mówi do siebie; że nie stało się z nią to, co zdaniem wielu stało się z jej ojcem. - Gdzie on jest?

„Idź dalej”.

Uznała to za odpowiedź, a zarazem wskazanie kierunku, jednocześnie zastanawiając się, czy ów głos brzmi jak głos dziecka udającego dorosłego czy też na odwrót. Chwilę później od poszukiwania śladów ojca oderwał ją unoszący się w wilgotnym powietrzu zapach, tak słabo wyczuwalny, że można by go wziąć za wymysł, subtelną sugestię tajemnicy, a zarazem tak słodki, że omal jej nie przytłoczył.

- Nie czujesz tego, prawda? - zapytała, nie bardzo wiedząc po co.

„Czujemy”.

Chciał pewnie powiedzieć, że odbiera moje doznanie, pomyślała i poczuła się niewyobrażalnie wielka.

- Więc co to jest?

„Nasza pora”.

Żadne zwyczajne dziecko nie powiedziałoby czegoś takiego. Sylwia była niemal równie dumna z siebie jak z niego. Żałowała, że nikt inny nie może słyszeć i podziwiać jego rozwoju; miała nadzieję, że jego ojciec będzie mógł. Las tymczasem jaśniał coraz bardziej, jakby chciał pokazać, że nie ma nic do ukrycia, więc nie przestraszyła się zbyt, kiedy motyl, którego wzięła za wyjątkowo kolorową plamę liści, wzbił się i zaczął krążyć w powietrzu przed jej nosem. Kiedy już niemal go dosięgła, umknął wzdłuż szpaleru drzew. Przeskakiwał z drzewa na drzewo, na każdym idealnie wtapiając się we wzór i fakturę kory, czekał na nią i znow frunął naprzód, rozsiewając zapach, który pasował raczej do jakiegoś kuszącego kwiatu.

- Czy on się z nami bawi? - szepnęła.

„Tak”.

W tej samej chwili jęknęła, ale wyłącznie z zachwytu. Kolejny skrawek lasu uniósł się w powietrze i dołączył do pierwszego motyla. Mimo odmiennego ubarwienia musiały należeć do tego samego gatunku, bo obtańcowywały się dookoła, prowadząc ją w głąb alejki. Przyglądała się uważnie ich zabawie, starając się równocześnie przewidzieć, w którym miejscu ujawni się kolejny. Dzięki temu cała ściółka wyglądała, jakby za chwilę miała ożyć, lecz Sylwia nie widziała powodu do obaw. Gdy kolejny fragment skrytego w cieniu kobierca okazał się zdolny do lotu, zaklaskała.

- To jak... Jak to napisano w dzienniku? - zapytała cicho.

„Ręka nocy rzecz każdą odmieni i w mrok swój przyoblecze”.

Tyle że nic z tego, co tu widzę, nie jest przyobleczone w mrok - pomyślała. Być może szukała w pamięci innego urywku z dziennika, ale rozmyślenia przerwał jej spektakularny widok kolejnych motyli unoszących się w powietrze. Teraz było ich kilkanaście; prowadziły ją, wabiąc aromatem i zawisając, jakby za moment miały jej objawić jakieś niezwykle przesłanie ukryte w skomplikowanych wzorach, które wykreślały w locie. Z furkotem leciały przed siebie tak szybko, że ledwo za nimi nadążała, brzuch zaś zamiast ją wstrzymywać, raczej przepychał ją przez las, mogła więc poświęcić całą uwagę zagadce szybkiego, rwanego motylego tańca. Zdawało jej się, że jest na progu zrozumienia, gdy stadko motyli rozproszyło się na wszystkie strony i natychmiast znikło. Czyżby pochłonął je niewidzialny wymiar? Nie miała czasu się zastanowić, bo właśnie zauważyła, dokąd ją przywiodły. Tak naprawdę od początku to wiedziała, choć robiła wszystko, by nie wiedzieć.

- Nie znałam twojego ojca, kiedy go tu spotkałam - szepnęła. - Po prostu poczułam, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

Nie mogła udawać, że jej nagłe zdenerwowanie wynika jedynie stąd, iż nie rozpoznała wówczas Sama. Odpowiedziała jej cisza. Skoro ojciec próbował przyzwać ją z powrotem do miejsca, w którym swego czasu chciał ją zostawić - miejsca, gdzie niegdyś mieszkał Selcouth i gdzie poczęło się dziecko, któremu nieświadomie nadała jego imię - to dlaczego nie mógł się ujawnić? Pomyślała, że jest uwięziony wśród drzew lub wewnątrz nich, i ruszyła przez polanę - częściowo po to, żeby go szukać, ale i po to, by sobie udowodnić, że nie może dotrzeć do zasypanych schodów: nie miała łopaty, a bez niej raczej nie dałaby rady się dokopać. Wtedy przerwa pomiędzy drzewami odsłoniła kopiec. Sylwia splotła dłonie na brzuchu, jakby chciała ochronić zarówno jego zawartość, jak i siebie.

Kopiec nie wyglądał tak jak wtedy, gdy ona i Sam stąd odchodzili. Ktoś rozkopał ziemię przykrywającą schody.

Zawahała się w obawie przed wyjściem na otwartą przestrzeń, choć było jaśniej, niż być powinno, a wtedy motyle pojawiły się na nowo, tym razem nad kopcem. Czyżby się wynurzyły z odkopanego tunelu?

- Spójrz, znów tu są - szepnęła, poniekąd aby dodać sobie odwagi. Starła się myśleć, że posuwa się naprzód jedynie po to, by na nie popatrzeć. I wtedy za roztańczonymi motylami lub pośród nich z głębi kopca wynurzyła się postać.

Ledwie się ukazała, a już znikła z powrotem, lecz Sylwia była przekonana, że dostrzegła twarz ojca. Tak szybko, jak tylko pozwalał jej ciężar, przemierzyła polanę i przeszła przez ceglany murek na rozoraną połyskującą ziemię. Miała wrażenie, że wewnątrz niej coś płonie, ponagłając ją do pośpiechu. Motyle wzniosły się wysoko niczym iskry i znikły na tle ciemnego ciężkiego nieba, ale ona patrzyła w dół, na spiralę schodów, nad którą stały dwa podparte fragmenty płyty.

- To ty? - zawołała.

„Tak”.

Szept dobiegał z dołu. Brzmiał tak, jakby wydobywanie głosu sprawiało mówiącemu trudność.

- Gdzie jesteś? - zawołała głośniejsze.

„Czekam”.

- Będziesz ze mną.

„Pewnie”.

Usłyszała w jego głosie urazę. Jak mogłaby żądać kolejnych zapewnień albo zostawić go w ciemnościach? Wyjęła z torebki latarkę i ruszyła po schodach za jej promieniem. Drzewa kołysały się nad jej głową, jakby ją ponaglały do zejścia. Gdy kopiec zasłonił jej widok, próbowała oświetlić krętą drogę, by zobaczyć, co jest poniżej.

- Nie pozwolisz mi się zobaczyć? - zapytała.

„Najpierw zejdz”.

Jego głos był teraz bardziej zdławiony, ale i jej głos brzmiał głucho pomiędzy ścianami. Tylko zapach przywodzący na myśl motyle nadciągnął, aby ją powitać. Brnęła w dół, wolną ręką wspierając się o lepki mur, aż zobaczyła wejście do pierwszego okopconego pomieszczenia. Nie musiała świecić na szczątki, które zapamiętała z poprzedniej wizyty; wołała szybko je minąć. Kiedy jednak przechodziła obok otworu, uświadomiła sobie obecność stanowczo zbyt wysokiej i chudej postaci, stojącej w odległym końcu komory i patrzącej na nią z ciemności.

„Na sam dół” - wymamrotał głos gdzieś pod nią, a ona z radością go posłuchała, choć

gdy już zostawiła z boku wejście do komory, zaczęła z kolei żałować, że się nie cofnęła. Teraz mogła uciekać tylko w dół przed podrygującymi wokół niej ścianami i sufitem, który zdawał się opadać coraz niżej. Ale w innych komorach przynajmniej nikogo nie zobaczyła, jedynym zaś słyszalnym dźwiękiem był stukot jej kroków, spłaszczonych i wyciszonych przez tunel. Umilkł, gdy dotarła do stóp schodów i posłała promień w głąb najniższej komory.

Zamiast zwęglonej podłogi ujrzała odkrytą ziemię. Ktoś postarał się przygotować dla niej to miejsce: pod przeciwległą ścianą ułożono długi, szeroki kopiec z opadłych liści, wysoki co najmniej na stopę. Kiedy zrobiła krok naprzód, upewniwszy się wcześniej, że komora jest pusta, nie wiedziała, czy ma się czuć spełniona czy raczej tak wyczerpana, jak powoli stawała się jej latarka. Wiedziała jedynie, że musi zająć swoje miejsce na liściastym posłaniu, choć bynajmniej nie zdziwiłaby się, gdyby owe liście nagle uniosły się w powietrze. One tymczasem zapadły się tylko pod jej ciężarem i owiały ją tym samym aromatem, który ją tu zwabił. Przycisnęła do siebie torebkę, jakby rozpaczliwie trzymała się tego, co pozostało z jej dotychczasowego życia, i położyła latarkę na ziemi, kierując słaby promyk ku ciemnemu wejściu.

- Mogę cię teraz zobaczyć? - szepnęła.

„Wkrótce”.

Głos był tak blisko, że zdawało jej się niewiarygodne, by nie mogła zlokalizować mówiącego; znacznie bliżej niż dudnienie, które odbiło się echem na schodach. Ktoś na powrót zasunął betonową płytę. Wiedziała, że nigdy nie zdoła jej podnieść, i ta świadomość niosła ze sobą rezygnację, ostateczne zaakceptowanie swej roli - nie żeby miała inny wybór, odkąd wróciła do Goodmanswood. Być może zaczęłaby rozmyślać nad fragmentami dziennika Selcoutha, a nawet spróbowała dojść do ładu z końcowym objawieniem, gdyby jej uwagi nie przykuł czarny prostokąt wejścia. Od czasu do czasu otwierała usta, ale wiedziała, że już czas, by druga strona zaczęła rozmowę. Nikt jednak nie przemawiał, nikt się nie ujawniał, aż wreszcie promień latarki, tak słaby, że ledwie dotykał ziemi, zupełnie zgasł i wszystko ogarnęła gęsta ciemność.

Szczęściarze

- Co jeszcze mogłam zrobić, Sam?

Przyglądał się, jak mgiełka połyka odbicia samochodów jadących autostradą przed nimi, jakby z lasu wydobywała się jakaś substancja próbująca pochłonąć wszystko, co napotka na swej drodze. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że za chwilę mgła zniknie lub cofnie się w głąb lasu, pozostawiając tylko nieuchwytny znak swego władania, ale nie wiedział, co mogłoby się stać z nim, gdyby jednak pozostała na swoim miejscu, jak tam dojadą.

- Kiedy? - zapytał rozkojarzonym głosem.

- Żeby Sylwia została. - Jego matka mocniej ścisnęła kierownicę i nerwowo spoglądała przez przednią szybę, jakby i ona obawiała się owej mgielki, lecz w rzeczywistości, rzecz jasna, rozglądała się za Margo. - Chyba że - dodała jeszcze bardziej nostalgicznie - to ja zrobiłam coś, co ją do tego skłoniło.

- Niemożliwe.

- Miło, że tak mówisz, ale nie możesz być pewien. Chciałabym, żebyś mógł.

Kusiło go, by ją uwolnić od poczucia winy, tylko jak mógłby się przyznać, że Sylwia odeszła przez niego? Matka nigdy by sobie z tym nie poradziła, podobnie jak on nie poradziłby sobie ze świadomością, że ona wie.

- Mogę - mruknął mimo to.

- Ciągłe próbuję ci powiedzieć, że należysz do najbardziej życzliwych ludzi, jakich znam. Jeśli Sylwia znów wyruszyła w podróż, myślę, że niezależnie od tego jak bardzo będziemy się o nią martwić, wynika z tego coś dobrego. - Heather zerknęła na syna i dokończyła: - Masz o jeden powód mniej, żeby tu zostawać.

- To nie była jej wina.

- Wcale jej nie oskarżałam, Sam. Zbyt wiele ostatnio padało wśród nas oskarżeń. - Wydawała się jednak rozczarowana jego odpowiedzią. - Mam nadzieję, że wykorzystasz okazję do rozmowy z doktorem Lowe'em - rzekła, po czym przechyliła się przez kierownicę, jakby dźgnięto ją w brzuch.

- Czy to...

Gdy podążył za jej wzrokiem, nie od razu zrozumiał, co widzi. Przypominało to jakiś surrealistyczny film: samochód trzęsący się jak czerwona żelatyna migał światłami awaryjnymi, pilnując swojej ofiary, nad którą na poboczu drogi klęczała niczym ksiądz jakaś postać. Potem kamera najechała na scenę i leżące twarzą w dół ciało Margo sprawiało wrażenie unoszącego się w górę, jakby substancja, która je zatopiła, teraz przywracała je światu, choć nie wiadomo na jak długo. Klęczącą postacią był doktor Lowe, który przemawiał do rannej. Za pulsującym wstydliwie czerwonym nissanem hatchbackiem stał radiowóz z włączonym kogutem, którego niebieskie światło tańczyło na najbliższych drzewach, a policjantka za kierownicą przesłuchiwała siedzącego obok przygnębionego mężczyznę w średnim wieku. Kiedy matka Sama przyspieszyła, by jak najszybciej znaleźć miejsce, gdzie mogłaby zawrócić, chłopak zauważył, że Margo jest przytomna. Miał nadzieję, że Heather również zdążyła to dostrzec.

Za Arbour, gdzie kilkoro pacjentów obserwowało wydarzenia ze swoich lub cudzych okien, udało jej się wykręcić. Niezbyt elegancko zaparkowała za radiowozem i pobiegła, pozostawiając zamknięcie drzwi synowi. Doktor Lowe wstał, masując nogi, a Sam dołączył do matki.

- Postaraj się nie ruszać - łagodnie poradził babci zaniepokojony chłopak, ale ona uniosła głowę z prowizorycznej poduszki zrobionej z tweedowej marynarki, prawdopodobnie należącej do lekarza.

- Och, witaj, Sam - powiedziała z rozkojarzonym zdumieniem. - Spójrz, co twoja stara babcia sobie zrobiła. Nasza rodzina ma wyjątkowe szczęście do spadania z różnych rzeczy lub wpadania pod nie.

Być może sądziła, że dzięki takiemu potraktowaniu łatwiej jej będzie przejść do porządku nad śmiercią męża. Zmarszczyła brwi, jakby naciągnięcie zmarszczek mogło jej ułatwić myślenie.

- Chodzi mi o to - kontynuowała, choć nie tak stanowczo, jak zamierzała - że narobiłam kłopotu wszystkim tym ludziom tylko dlatego, że na chwilę zapomniałam, gdzie jestem.

Heather wyciągnęła ku matce rękę, ale jej nie dotknęła.

- Gdzie cię boli?

- Czuję tylko nogę i biodro, w które pewnie walnął samochód, no i ramię, którym pewnie rąbnęłam o ziemię. - Mrugała, usiłując skupić wzrok w jednym miejscu. W końcu opuściła głowę. - Będę taka jak ty, Sam. Będziemy się wzajemnie podtrzymywać. Tyle że ty już niedługo będziesz gdzie indziej, co? Powinieneś wyjechać. Nie wbijaj sobie do głowy, że

musisz tu siedzieć i pomagać przy mnie.

Heather otarła kąciki oczu i obróciła się do doktora Lowe'a.

- Rozumiem, że ktoś już wezwał karetkę?

- Oczywiście. Lada chwila tu będzie.

- Kolejni ludzie będą mieli ze mną kłopot - jęknęła Margo. - Tak jakby szpitale nie miały dość niedołącznych staruchów, wokół których trzeba skakać.

- Nie należysz do nich, mamó. I nigdy nie będziesz należała.

- Rzeczywiście, chyba nie mam jeszcze całkowitej demencji. Wiem, że byłam rozkojarzona, więc widać nie jest tak źle.

Język świerzbił Sama, by zadać pytanie, lecz uprzedziła go Heather.

- Co cię rozkojarzyło?

- Hm, pewnie pomyślicie, że jednak mam demencję. Nie spodoba ci się to, Heather. Słyszałam coś. I może nawet widziałam. Wydawało mi się, że to Lennox.

- No ale teraz wiesz, że to nie był on.

- Nie jestem pewna. To miało jego głos.

Heather spojrzała spode łba na gąszcz porzeczanych drzew, jakby wzywała ojca, aby się pokazał, a Sam miał wrażenie, że cały las pochylił się ledwo dostrzegalnie do przodu, by nasłuchiwać.

- No i co... - mruknęła i zrobiła przerwę, jakby chciała na tym poprzestać - ...twoim zdaniem powiedział?

- Chciałabym to wiedzieć. Sprawiał wrażenie, jakby nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Może takie nie istnieją - rzekła Margo, po czym wyraźnie się na siebie zdenerwowała. - Mogę ci opowiedzieć, jakie to było uczucie, jeśli sądzisz, że to coś da.

- Wiesz, że możesz powiedzieć mi wszystko, mamó.

- Miałam wrażenie, że chce mnie zawiadomić o czymś, co się stanie. Albo pokazać, co się stało z nim. Albo jedno i drugie - dodała z pewną dozą przekory.

- Postaraj się leżeć spokojnie, póki ktoś cię nie obejrzy.

- Leżę najspokojniej, jak tylko mogę. - I jakby chciała zademonstrować swoje opanowanie, oznajmiła niemal obojętnie: - Moja kamera się rozbiła, a filmowałam dziś rzeczy, o których dotąd nawet mi się nie śniło. Gdzieś tu pewnie leży.

Gdy uniosła drżącą głowę, Heather podtrzymała ją jedną ręką, choć równie dobrze Sam mógłby po prostu jej powiedzieć, że strzaskana kamera leży pod tylnym kołem nissana.

- No, ale wciąż jesteśmy w lesie. Wiecie, że kiedy to się stało, miałam wrażenie, że on wciąga mnie z powrotem w głąb? - zapytała Margo, po czym jej spojrzenie i głos zaostrzyły

się nieco. - A gdzie Sylwia? Nie przyjechała?

Na dźwięk tego pytania Sama zapiekła twarz. Kiedy obrócił się w stronę lasu, by ukryć swoje zakłopotanie, odniósł wrażenie, że drzewa są zbyt nieruchome, jakby coś skrywały.

- Wyjechała zbierać materiały do książki - rzekła Heather.

Margo uderzyła w lepką nawierzchnię drogi, albo w złości, albo w zarzuconej próbie podniesienia się.

- Dokąd? - zapytała gniewnie.

- Och, mam, zrozumi, wyjechała rano, zanim dowiedzieliśmy się o twoim wypadku. Jeszcze nie dała nam znać, gdzie jest.

- Chcesz mi powiedzieć, że pojechała sama? W tym stanie?

- Jestem pewna, że sobie poradzi. Jak zawsze. - Heather zmarszczyła brwi, rozglądając się za karetką. - Jest wystarczająco dorosła, by wiedzieć, co robi - dodała.

- Kto ją tam wie?... Osobiście nigdy nie byłam bliższa utraty zmysłów niż podczas ciąży. Kiedy nosiłam ją, nie siebie.

Prawdopodobnie to uściślenie miało wybić Heather z głowy ewentualne poczucie winy, tymczasem zbiło ją z tropu.

- Jestem pewna, że zadzwoni - powiedziała - jak tylko będzie wiedzieć, gdzie się zatrzyma.

Samuel uznał, że to raczej nie uspokoi Margo, ale nie potrafił wymyślić nic lepszego. Nie mógł przestać myśleć o tym, że skoro jego ciotka zdołała wyjechać, choć twierdziła, że to niemożliwe, to może i on by mógł. Wpatrywał się w las, jakby chciał przesłać tę wiadomość do serca zjeżonego labiryntu, gdy doktor Lowe powiedział:

- Chyba jedzie karetką.

Z ciągnącej się wzdłuż obwodnicy mgiełki wyłoniły się błyskające jak burza światła, a dopiero potem cała reszta.

- Nie próbuj wstawać - ponownie ostrzegła matkę Heather, kiedy karetką zatrzymywała się na poboczu przed nimi. Samuel stanął z boku, patrząc, jak załoga ostrożnie bada obrażenia Margo i kładzie ją na noszach. Czuł się niepotrzebny.

- Mam nadzieję, że policja mi uwierzyła - rzekła jego babcia, kilkakrotnie krzywiąc się z bólu, nim wniesiono ją do karetki.

- Nie patrzyłam, gdzie idę, a kierowca naprawdę próbował zahamować. Nie chciałam myśleć, że i jemu napytałam biedy.

- Ani jemu, ani nikomu - zapewniła ją Heather, wręczając Samowi kluczyki od

samochodu. - Znajdziesz nas w szpitalu, prawda? Na twoim miejscu skorzystałabym z okazji i porozmawiała z doktorem Lowe'em, jeśli ma chwilę.

- Nawet pół godziny - wtrącił doktor - jeśli mogę w czymś pomóc.

- Sam, biedactwo, czyżbyś i ty miał problemy z nerwami? - zawołała z karetki Margo.

- Dzięki Bogu mamy twoją matkę, jedyną zrównoważoną osobę w tym gronie. Wolę nie myśleć, co pan doktor sądzi o moim zachowaniu. Ciekawe, czy zdołasz go przekonać, że Price'owie wcale nie są stuknięci!

Samuel kompletnie nie miał pojęcia, czego właściwie od niego chcą. Patrzył, jak matka wdrapuje się do karetki, zerkając na niego z niepokojem. Samochód pognał do najbliższej zatoczki, gdzie mógł zawrócić, i po chwili przejechał ponownie obok nich, zmierzając do Brichester. Gdy mgielka roztopiła go i pochłonęła, doktor Lowe rzekł:

- Może porozmawiamy w moim biurze?

W porównaniu z samą perspektywą rozmowy kwestia miejsca była Samowi właściwie obojętna.

- Zawieziesz nas? - zasugerował doktor.

Samuel podszedł do hondy i otworzył mu drzwi. W drodze lekarz milczał. Być może liczył na to, że chłopak sam podejmie temat, albo wypatrywał jakichś nieuchwytnych oznak jego problemów. Myśl o tym sprawiła, że Sam czuł się obserwowany, i to nie tylko przez swego pasażera. Kiedy samochód wjeżdżał przez bramę Arbour, las wskoczył do lusterka, wciąż udając, że się nie porusza.

Recepcja oraz dwie klatki schodowe, wyrastające z podłogi jak przerośnięte rogi, były puste, podobnie jak krótki korytarzyk prowadzący do gabinetu doktora poprzez uwięzione w ramach krajobrazy, które wydały się Samowi nie tyle abstrakcyjne, ile bliskie przejścia w jakiś niewyobrażalnie płynny stan. Lowe powiesił na oparciu grubego czarnego krzesła stojącego za biurkiem tweedową marynarkę, którą podniósł z jezdni, i podszedł do okna.

- Otworzymy, co?

Nie wiedząc, czemu ma służyć to pytanie, Sam ograniczył się do wzruszenia ramionami. Cóż, doktor chyba nie otwierał okna po to, by umożliwić lasowi podsłuchiwanie, choć wychodząc zza biurka i wskazując Samowi krzesło naprzeciw swojego, odgarnął z lewego ucha niesforny kosmyk, jakby się szykował do odebrania instrukcji słyszalnych tylko dla niego. Złączył niedbale palce i przybliżył o cal swoje łagodnie pytające spojrzenie.

- Wydobrzałeś już na tyle, by pogadać? - zapytał.

To jeszcze bardziej wystraszyło Sama.

- Wydobrzałem po czym?

- No, po wypadku babci. Zdawało mi się, że przejąłeś się nim najbardziej ze wszystkich.

Jeśli to była prawda, Sam zastanawiał się, czego jeszcze o sobie nie wie.

- Mogę rozmawiać - rzekł. - Po prostu...

Doktor odczekał chwilę, przyglądając mu się badawczo i współczująco zarazem.

- Czy to dotyczy tylko ciebie? - zapytał.

Jeśli ktokolwiek oprócz Sylwii i Sama znał ich tajemnicę, to tylko las i to, co się w nim kryło. Co za tym idzie, gdyby lekarz był z nimi w zмовie, nie musiałby wypytywać Sama. Przez chwilę chłopak miał wrażenie, że doznał olśnienia, ale zaraz potem uświadomił sobie, że jego umysł zaczął funkcjonować w dziwny, obcy sposób, jak umysł kogoś, kto został przyparty do muru i szuka wykrętów. Tak go to przestraszyło, że ni stąd, ni zowąd rzucił:

- A jeśli mam to po dziadku?

- To znaczy co?

- Nie mogę stąd wyjechać, a boję się zostać. W zeszłym tygodniu ojciec załatwił mi spotkanie w sprawie pracy, a ja nie zdołałem nawet dojechać do Londynu.

- Twoi rodzice się rozwiedli, prawda?

- A jeśli tak, to co?

- Z tego co mówił twój dziadek, zrozumiałem, że mama czuła się tu potrzebna, a ojciec chciał wyjechać ze względu na karierę zawodową.

Samuel już wiedział, ku czemu Lowe zmierza. Bzdury.

- Właśnie - mruknął.

- To spotkanie miało być pierwszym, jakie ci załatwił?

- Tak.

- Nie sądzisz, że możesz się obawiać, iż decydując się pozostać lub wyjechać, odepchniesz od siebie jedno z rodziców? Taki konflikt może paraliżować, jeśli nie stawi się mu czoła.

Zaraz, zaraz. Czy aby lekarz nie powinien tak sterować rozmową, żeby rozmówca stopniowo dochodził do prawdy? Samuel zaczął się zastanawiać, czy Lowe nie chce się go po prostu pozbyć. W końcu nie był jego pacjentem.

- To znacznie gorsze - rzekł z rozpaczą. - Gdyby pan wiedział, jak jest naprawdę, może by mnie pan tu zatrzymał.

- Co według ciebie by to dało?

- Może by pan odkrył, że dziadek... bo ja wiem?... zaraził mnie, spowodował, że coś

na mnie przeszło.

- Czyżby właśnie to spędzało ci sen z powiek?

- A jeśli tak?

- W takim razie spokojnie przyznaj się sobie do tego, bo to niemożliwe. To co stało się z twoim dziadkiem, było spowodowane przez narkotyk, z którym zetknął się dopiero po narodzinach twojej mamy.

- Chyba że narkotyk uaktywnił coś, co dziadek już w sobie miał. Jeśli ktoś ma zadatki na schizofrenika, narkotyki mogą wywołać rozwój choroby, prawda?

- Nie sądzę, by w tym przypadku tak było. Wcześniejsze zachowania twojego dziadka nijak nie wskazywały na istnienie takich skłonności.

- Może nie cofnął się pan dość daleko.

- Nie wiem, jak mógłbym się cofnąć jeszcze dalej.

Samuel też tego nie wiedział, podobnie jak nie wiedział, po co w ogóle to mówił, chyba że chciał po prostu przerwać ciszę, która boleśnie uświadamiała mu, jak niewiele może dla niego zrobić doktor Lowe. Już miał uznać rozmowę za zamkniętą, stwierdziwszy, że zrobił, co mógł, by spełnić prośbę matki, gdy lekarz odezwał się ponownie.

- Sądzę, że powinieneś sobie odpowiedzieć na pewne pytanie.

- Jakie? - zapytał z obowiązku Sam.

- Skoro rozmawiamy o problemach, które potrzebują uaktywnienia, to co uaktywniło je w tobie? Eksperymentowałeś z narkotykami?

- Nie. - Samuel był tak zdesperowany, że omal nie przyznał się do swego pierwszego spotkania z Sylwią w lesie, lecz chyba spaliłby się ze wstydu. - Po tym co zrobiły z moim dziadkiem, nigdy w życiu bym nie sięgnął po nie - rzekł zamiast tego.

- Jestem przekonany, że to bardzo mądra decyzja, ale zastanawiam się, czy często się obawiasz, że mógłbyś pójść w jego ślady.

- Czasami.

- Być może ten lęk pogłębia w tobie konflikt, o którym rozmawialiśmy, i vice versa, aż w końcu zlewają się w twojej głowie w jedno.

Nawet jeśli taka możliwość istniała, słowa lekarza tylko uświadomiły Samowi, jak niewiele ze swoich przeżyć zdołał mu przekazać. Ogarnęło go przerażenie, że nosi w sobie coś więcej, coś uspięnego, czekającego na słowa lub inny bodziec, aby się przebudzić; coś majaczącego na obrzeżach świadomości jak las wymachujący za oknem zielonymi antenkami. Niemal nie słyszał, jak Lowe mówi:

- Wybacz, proszę, jeśli zbyt szybko to wszystko podsumowałem. Mam nadzieję, że

dałem ci przynajmniej parę spraw do przemyślenia. Niestety, obowiązki szpitalne nie pozostawiają mi czasu na dodatkowe konsultacje, ale jeśli czujesz taką potrzebę, z przyjemnością polecę ci któregoś z moich kolegów z Brichester.

- Dam panu znać - odparł Sam całkiem nieobowiązująco.

- Mam nadzieję, że to oznacza, iż się do czegoś przydałem?

- Zrobił pan wszystko, co mógł.

- Tylko tyle możemy od siebie oczekiwać. - Jeśli podejrzewał kryjącą się w słowach Sama dwuznaczność, jego twarz tego nie zdradzała; jakimś sposobem wydawała się jednocześnie zatroskana i obojętna. - A więc twoja ciotka znów wyjechała? - zapytał, wstając w ślad za Samem, który odniósł wrażenie, że pośród szurania krzeseł usłyszał pospieszne, ukradkowe kroki uciekające korytarzem spod drzwi. Doktor albo tego nie słyszał, albo profesjonalnie udawał; bez większego pośpiechu otworzył drzwi na pusty korytarz.

- Wyruszyła dziś rano - wymamrotał tymczasem Sam.

- Sądzisz, że mogłeś to uznać za omen?

Samuel musiał przełknąć kwaśne poczucie winy, nim odpowiedział:

- W jakim sensie?

- Być może użyłem niewłaściwego słowa. Powiedzmy zatem: za przykład. Czy sądzisz, że skoro ona, w swoim stanie, czuje się zdolna do swobodnego podróżowania, ty też mógłbyś sprawdzić, czy rzeczywiście jesteś przykuty do tego miejsca? Być może - lekarz uniósł dłoń do lewego ucha, jakby próbował uchwycić natchnienie - powinieneś pojechać na tę rozmowę w sprawie pracy, jeśli wciąż masz szansę, i powiedzieć sobie, że to nieważne, czy ci się uda czy nie. Ważne, że spróbujesz.

Samuel stracił już rachubę kwestii, których Lowe kompletnie nie pojmował.

- Jest to jakiś pomysł - odparł na odczepnego.

Przygotowywał się na spotkanie na schodach osoby, która podsłuchiwała pod drzwiami, ale nikogo tam nie zastał. Idąc na dół, zobaczył, jak drzewa za otwartymi frontowymi drzwiami zniżają się, aby go przywitać, jakby tonęły w niebie, zapadając się coraz bardziej. Był już prawie przy drzwiach, gdy wmaszerowała przez nie niezdarnie jakaś kobieta i na jego widok jeszcze bardziej wybałuszyła już i tak wytrzeszczone oczy.

- Pan Price! - wykrzyknęła.

- Dzień dobry - odparł z taką swobodą, jaką tylko zdołał z siebie wykrzesać, i próbował ją ominąć, wyławiając z kieszeni kluczyki matczynego samochodu tak pospiesznie, że omal ich nie upuścił. Był już o krok od civica, gdy kobieta, którą poprzednio widział na pogrzebie dziadka, przegoniła go, by poklepać i pogłaskać dach auta.

- Ładny - powiedziała, jakby to było zwierzątko. - Dobrze panu służy.

- Należy do mojej mamy.

- Och... - rzekła kobieta, przybierając wszechwiedzącą minę. - Jestem Delia, wie pan.

- Nie wiedziałem - mruknął Sam. - Miło mi - dodał, nie zdoławszy wymyślić nic lepszego.

Delia przez chwilę rozważała to, unosząc gałki oczne do góry, po czym wlepiała w niego wzrok.

- Miło mi pana poznać.

- Mnie także. Ale teraz muszę już...

Jej wszechwiedzące spojrzenie zbiło go z tropu, jeszcze zanim się odezwała.

- Widzieliśmy pana w lesie.

Nawracające poczucie winy kazałoby mu trzymać gębę na kłódkę, gdyby nie musiał się dowiedzieć, co właściwie wie Delia.

- Kiedy?

- Krótco przed tym, jak ta pani, żona Lennoksa, miała wypadek.

A więc nie miała na myśli jego spotkania z Sylwią. To tylko jemu wszystko się z tym kojarzyło.

- Niemożliwe - odparł, starając się nie okazywać ulgi.

- Zjawiłem się tam dopiero po wypadku.

- Wyglądało jak pan. A przynajmniej miało taką twarz.

- Delia zlustrowała go wzrokiem, ciągnąc się za policzki, jakby chciała, żeby oczy jeszcze bardziej wyszły jej z orbit. - No, może nie całkiem - przyznała w końcu. - Nie mógł pan być za tyłoma drzewami jednocześnie.

Ulga Sama topniała szybko. Wyciągnął klucz ku drzwiom civica.

- Cóż...

- A co u tej chudej dziewczyny? Nie jest już taka chuda, co?

Nie mogę tego odbierać jako oskarżenia, pomyślał. Przełknął ślinę.

- Wyjechała.

- Nie mogła daleko.

Wsunął klucz do zamka.

- Dlaczego?

- Jest taka jak my.

Miał wrażenie, że liczba słów, które ośmiela się wypowiadać, maleje coraz bardziej.

- Jak kto? - zapytał i zaraz tego pożałował.

- Pan, ja i reszta nas. Wszyscy, którzy nie mogą wyjechać.

Przez chwilę zamierzał oskarżyć ją o podsłuchiwanie pod drzwiami gabinetu Lowe'a, ale to tylko opóźniłoby zadanie pytania, które i tak musiał zadać.

- Dlaczego nie możemy?

Jej twarz wyglądała, jakby za chwilę miała się pomarszczyć - trudno powiedzieć, ze smutku czy histerycznego śmiechu.

- Jeszcze pan nie wie? - zapytała wysokim głosem.

To chora kobieta, wbijał sobie do głowy. Co tam chora - stuknięta.

- Proszę mi powiedzieć - rzekł mimo to błagalnym niemal tonem.

Pochyliła się ku niemu. Miał wrażenie, że wraz z nią pochyła się coś wielkiego i ciemnego jak świat bez słońca.

- Las - szepnęła, przenosząc spojrzenie to w tę, to w tamtą stronę. - Pański dziadek tam jest, i moja matka.

Samuel zastanawiał się, dlaczego sądził, że ta kobieta zdoła mu jakoś pomóc. Już obracał klucz w zamku, gdy znów się odezwała.

- I wielu innych, starszych. Każdy, kto był tak blisko, jest ich częścią.

Wmawiał sobie, że to nie musi go dotyczyć ani być prawdą. Szarpnięciem otworzył drzwi, a Delia gwałtownie pochyliła się ku niemu przez maskę samochodu. Miał wrażenie, że blade niebo pęka i coś sięga po niego z najgłębszej ciemności.

- Będziemy jak oni. Wszyscy będziemy tacy sami.

Drapała sobie policzki paznokciami, niemal jakby - pomyślał z obrzydzeniem - sprawdzała, czy jej twarz się nie zmieniła. Już miał się schronić w aucie, gdy kobieta nagle spojrzała na niego ze współczuciem, co jeszcze bardziej wytrąciło go z równowagi.

- Niech się pan nie martwi - powiedziała.

- Dlaczego? - zapytał, czując się, jakby zstępował z krawędzi w coś gorszego niż czerń.

- Mamy szczęście.

- Tak pani myśli - mruknął, nie potrafiąc się z tego śmiać nawet w duchu.

- Tak. Bo jesteśmy stuknięci czy jak to tam ludzie nazywają. Nie wiedzą, że dzięki temu będziemy lepiej przygotowani niż oni. Już jesteśmy w drodze, więc nie będzie to dla nas taki szok. Niech pan się postawi w sytuacji doktora Lowe'a i całej reszty, jak to nadejdzie.

Pytanie Sama było raczej przyznaniem się do rozpaczony z powodu tego, że musi zapytać i poznać odpowiedź.

- Co?

- Powinien pan zapytać Lennoksa. Nadal pan może. On wiedział najwięcej z nas. -
Delia uśmiechnęła się i cofnęła, badając palcami wargi, jakby sprawdzała, czy wciąż tam są.

Samuel zdążył uruchomić samochód, nim kobieta pomachała lewą ręką, sztywną i wykrzywioną jak gałąź. Zakładał, że żegna się z nim, i wolałby, aby to było ostateczne pożegnanie, póki nie usłyszał jej słów. A była to spóźniona odpowiedź na jego pytanie.

- To co kazało Lennoksowi tu przyjechać.

Pogrzebane w przeszłości

Heather niemal zdołała wytrwać w swoim postanowieniu, żeby nie mówić Samowi pewnych rzeczy, ale uznała, że odprowadzenie go do drzwi i życzenie powodzenia nie zaszkodzi. W odpowiedzi Sam spojrzał na nią krzywo.

- Co? - zapytał, jakby nie rozumiał, co matka do niego mówi.

- Postaraj się czuć szczęśliwy. To nic złego - dodała więc, pamiętając, by nie wywierać na niego nacisku, i słysząc, jak z każdym słowem coraz bardziej jej się to nie udaje.

- Przepraszam. Nie pozwól, żebym ci mówiła, jak masz się czuć. Czuj się tak, jak będzie dla ciebie najlepiej.

- Czyli jak?

Zaczęła żałować, że jednak o tym nie porozmawiali, zanim Sam zaczął się szykować do podróży.

- Zapomnij o mnie - rzekła. - Zapomnij o ojcu. Po prostu jedź, bo ty tego chcesz. Bo chcesz, prawda? Nadal chcesz dostać tę pracę.

- Muszę pojechać tam, gdzie jadę.

- Wciąż sobie to powtarzasz. Poza tym pamiętaj, że znajoma ojca nie zgodziłaby się na przełożenie spotkania, gdyby nie była do ciebie przychylnie nastawiona, ale to wcale nie znaczy, że musisz rzucać wszystko na szalę. Jeśli nie dostaniesz tej pracy, będą inne. Liczy się to, że spróbowałeś. Będziesz wiedział, że potrafisz.

- Doktor Lowe powiedział coś podobnego.

- No widzisz. „Wielkie umysły, podobne pomysły”, tak to szło?

- Nie wiem.

Poczułaby się zlekceważona, gdyby nie była tak zatroskana o stan jego psychiki przed samotną podróżą do Londynu.

- Martwisz się czymś jeszcze, Sam?

Kiedy otwierał usta, Heather starała się przygotować na ewentualne wyznanie, które zdecydowałby się jej powierzyć, ale on wypowiedział jedynie swoje najwyraźniej ulubione słowo dnia:

- Co?

- Jeśli chodzi o babcię, zadzwoniliby ze szpitala, gdyby coś się działo. Mówiłam ci, że jest wielka szansa, iż po powrocie do domu będzie mogła poruszać się o kulach.

- Kiedy ją zabierali, nie wyglądało to tak źle.

- Jej kości są już stare, Sam. - Pomyślała, że jej syn mówi trochę jak dziecko, którego wiara w sprawiedliwość świata została zachwiana. Wyciągnęła ręce, aby go objąć, mamrocząc:

- Staraj się nie zaprzętać sobie nią zbytnio głowy. Jestem przekonana, że w szpitalu robią dla niej tyle, ile się da.

Z konsternacją zauważyła, że Sam stoi jak słup, kompletnie nie reagując. Sprawiał wrażenie całkowicie odpornego na wszelkie próby pokrzepienia z jej strony.

- Więc nie chodzi tylko o Margo? - zaryzykowała.

Nie odpowiedział, póki go nie puściła i nie odsunęła się. Znow miała poczucie, że zbliża się jakieś objawienie, ale tym razem nie była pewna, czy nie wiąże się to raczej z gęstniejącym w powietrzu ciepłem, niosącym ze sobą groźbę styczniowej burzy.

- Może - mruknął Sam.

- O Sylwię?

- Może.

Mamrotał tak cicho, że głos ledwie się z niego wydobywał. Opuścił wzrok, a jego chora noga szarpnęła się, jakby go poganiała, lecz Heather nie zamierzała odpuścić myśli, która załęgła się jej w głowie.

- Pewnie jest zbyt zajęta, by do nas dzwonić - powiedziała w równym stopniu do niego, jak do siebie. - Zawsze taka była. Wiem, że według naszych standardów powinna się kontaktować, zwłaszcza teraz, kiedy martwimy się nie tylko o nią, ale wiesz, taka już jest ta moja siostra. Jestem pewna, że gdyby coś było nie tak, już byśmy o tym wiedzieli.

Im bardziej próbowała coś z niego wyciągnąć, tym bardziej głowa ciążyła mu w dół.

- No dobrze - podsumowała Heather. - My tu gadu-gadu, a tobie czas ucieka.

Nie zmartwiłaby się, gdyby jej przytaknął, ale mrok jego oczu był nieprzenikniony.

- Mam nadzieję, że przeze mnie nie poczujesz się gorzej - zaryzykowała.

Potrząsnęła głową tak gwałtownie, jakby chodziło o sprawę życia i śmierci. Niemal udało mu się unieść kąciki ust.

- No to jazda - powiedziała, powstrzymując się przed objęciem go po raz drugi. - Pokaż światu.

To było tylko powiedzonko, kiedy jednak patrzyła, jak jej syn kuśtyka do swego

volkswagena, miała wrażenie, że trochę nieszczęśliwie dobrała słowa. Otworzyła mu bramę i obserwowała, jak po całej serii kaszlnięć samochód wytacza się z warkotem na drogę. Samuel zobaczył w lusterku, że matka macha mu na pożegnanie, i uniósł sztywno rękę, nie oglądając się. Heather czuła pokusę, by wyjść na ulicę i spoglądać za nim, ale zamiast tego zamknęła bramę. Wchodząc do domu, usłyszała, jak samochód przyhamowuje na wyjeździe z Woodland Close.

Wiedziała, że czas do jego powrotu będzie jej się niemiłosiernie dłużył, lecz nie miała zamiaru strawić wolnego dnia na zamartwianiu się o syna, matkę i siostrę. W domu było mnóstwo rzeczy do zrobienia, a jeśli zabierze się za nie z wystarczającą energią, może nawet nie pozostanie miejsca na zbędne myśli. Już miała oswobodzić odkurzacz z celi pod schodami, gdy zatrzymał ją jakiś zapach, tak słaby, że w pierwszej chwili wzięła go za złudzenie, po czym zdała sobie sprawę, że to tajemniczy odór zgnilizny wydobywający się z dziennika Selcoutha.

Heather nie miała ochoty trzymać go pod swoim dachem. Lepiej by mu było na uczelni, gdzie każdy, kto czułby taką potrzebę, mógłby doń zajrzeć - choć nie bardzo wiedziała, kto i po co miałby to robić. Dziennik jednak mógł zaczekać do jutra, choć teraz, gdy już uświadomiła sobie jego obecność, czuła się z tym co najmniej nieswojo. Już miała otworzyć szafkę pod schodami, lecz zamiast tego weszła po nich. Musiała tylko sprawdzić, co takiego Sylwia czytała na głos. Później wybije sobie z głowy tę księgę.

Pchnęła drzwi sypialni i zawahała się na progu. W pokoju zachowało się tak niewiele śladów obecności Sylwii, że można by pomyśleć, iż coś skradło ją i każdą cząstkę ich wspólnej przeszłości. Jedynym mieszkańcem wydawał się dziennik w swojej czarnej oprawie, niczym gruda nocy blokująca światło, i Heather mimowolnie zaczęła się zastanawiać, co też Selcouth chciał wyrazić przez tę czern. Szybko skarciła się, że księga jest wystarczająco idiotyczna nawet bez jej głupich pomysłów. Usiadła przy biurku i gwałtownie otworzyła tom ze stukotem przypominającym upadek uschniętej gałęzi.

Nat. Selcouth. Dziennik.

Zdążyła już zapomnieć, jak bardzo znenawidziła instynktownie owo grube, kanciaste pismo przywodzące na myśl gałązki lub pozostawione po ich gniciu plamy. Wiedziała, że jeśli będzie tak myśleć, nie zdoła wiele przeczytać, ale sama lektura była jak przedzieranie się przez majaczące na skraju pola widzenia wierzchołki drzew.

Ja, który miano swe Darom mym zawdzięczam, Historię Odkryć mych w Xiędze tej spisuję, iżby Dziedzicowi memu posłużyć mogły. Niechaj pojmie on, że Krew jego wynosi go wysoko ponad Gmin, jako i mnie Moce me ponad Ciało wyniosły.

Nieźle miałaś o sobie mniemanie, pomyślała. Miała nadzieję zdobyć się na obiektywizm - w końcu było to historyczne dzieło - ale nie potrafiła, pamiętając, że Sylwia czytała tę księgę własnemu dziecku, choćby i nienarodzonemu. Heather nie była pewna, czy to dobrze czy źle. Jeśli tylko nie oznaczało, że jej siostra traci zmysły, było jej to obojętne. Gdyby jednak podejrzewała ją o nawrót choroby, musiałaby zawiadomić policję dla dobra Sylwii i jej dziecka, a instynkt podpowiadał jej, że siostra nigdy by jej tego nie wybaczyła. Przerzuciła kilka kartek w przód, starając się czytać tylko tyle, aby zidentyfikować zdanie usłyszane w nocy, i rozpaczliwie czekając na dzwonek telefonu - na głos Sylwii.

Duch Ducha przyzywa poprzez Otchłanie Przestrzeni i Czasu. Takim to Sposobem mój Duch odcieleśniony podczas Wędrówek swych do Goodman's Wood, Siedliska Mocy wielkich, przez Gmin zapomnianych, i dla ukończenia Eksperymentów mych Miejsca sposobnego, wezwany został. Tu wzniosłem Siedzibę na podobieństwo figury, którą Duch mój oglądał ongi tam, gdzie Krąg Kamienny ustawiono, by Demona tego Miejsca uwięzić. Lecz Nierozumni siłą figurę z Ziemią zrównali i zasadzili Drzewa święte dla swych nędznych Bogów, w istocie wszak Norę dla Demona sprawiając, by ten mnożyć się mógł i wzrastać w Ukryciu. Teraz Wieża ma z Kręgu przedwiecznego wyrasta i górną swą Połowę ukazuje Światu, druga zaś jej Połowa na Wieki pod Ziemią spoczywa, jak przystoi Domowi, którego Zadaniem jest krycie Bliźnięcia.

Heather pomyślała, że spora część tych słów potwierdza legendy na temat Goodmanswood, w które chciała wierzyć Sylwia - wierzyć w sensie naukowym rzecz jasna. To, że Lennox u kresu życia uwierzył w prawdziwość miejscowych podań, nie oznaczało, że Sylwia musiała pójść w jego ślady. A jednak twierdziła, że czuła się wzywana w to miejsce, podobnie jak - najwyraźniej - Selcouth. „To nie to samo” - powiedziała na głos Heather i powróciła do czytania, by zapomnieć o tym podobieństwie.

Blade Iskierki Przytomności tlić się muszą w słabych Umysłach Wieśniaków, jako że do Lasu podchodzić się lękają i Modły w jego bliskości zanoszą. Najsędziwsza jeno Staruszka pamięta Historie, którymi w Dzieciństwie ją nęcano. W tych Czasach wielekroć

zjawiał się Ludziom przy Sposobnościach rozmaitych ten, o którym mnie jeno wiadomo, że zawždy tym samym był Jestestwem. Jakoż gadał Człek siwobrody, że Goodmana uźrzał w Postaci Męża wysokiego, którego Cień Robactwo k'sobie przyciągał, inszy zaś szeptał o Mgle, co rozliczne Oblicza przybierała, a gdy przez Las przeszła, Ptacy jak Listowie z Drzew opadali i gnić poczynali. Inszy znów starzec mówił, że gdy Pacholęciem będąc, Łąkę przemierzał, wielkie Ramię z Ostępów wychynęło i Palcami licznymi pochwycić go chciało;

Żona zaś jego zarzekała się, że za Młodu Drzewa w tańcu nieprzystojnym uźrzała, a jeno Modły i Oczu zamknięcie przed ich Kłatwą ją uchroniły. Mnogość inszych historii usłyszałem podczas nocnej Wizyty u tej Starowinki, której Majaczenia przekonały mię, że zmienne Oblicze leśnego Demona pozwoli mi na moję Modłę Las ukształtować, jakom ukształtował Dom swój. Zasię, by o mnie nie rozpowiadała, pozwoliłem Starowince uźrzeć mojemu oczyma Odbicie najgłębszej Ciemności, ku której Duch mój sięga, a na ten Widok Krew z Serca jej odpłynęła, by nigdy już nie powrócić.

- Nie dziwię się - mruknęła z obrzydzeniem Heather. Niezależnie od tego w co wierzono w czasach autora dziennika, nie miała wątpliwości, że on sam był niebezpiecznym szaleńcem. Czy ktokolwiek o zdrowszych zmysłach mógł uznać tę książkę za odpowiednią do czytania nawet, a może zwłaszcza, nienarodzonemu dziecku? Pewne fragmenty musiały się do tego nadawać - inaczej byłaby już przy telefonie i dzwoniła na policję.

I takż zapomniana Groza, na dnie ich tępych Głów pogrzebana, pozwoli mi w Spokoju wieść me Eksperymenta.

Nawet ja, Nathaniel Selcouth, zaznałem Strachu tego, co Duszę rozdziera, gdym po Nocach czuwał, Goodmana wabiąc. Przez całą pierwszą Noc, gdym z dala od Domu mego bez Pochodni ni Świecy wyczekiwał, otaczały mię Kroki, to ciche niczym Szemranie rozlicznych Robaków, to ciężkie jakby Tupot Olbrzyma. Zasię, od Świtu po Zmierzch, Las cichy był jako ogromny Kot, co na Zdobycz czyha. Drugiej Nocy dotykały mię i szczypały liczne Palce lub Kości, Drzewa szeptały zaś donośnie, choć Wichru nie było. Za Dnia zaś bezruch znów panował, choć dobrzem wiedział, że nie Dzień to żaden, jeno Światła Pozory pośród Otchłani Nocy Niezmierzonej. Posiadając tę Wiedzę tajemną, musiałem jeno Wzrok mój zawierzyć Otchłani onej, by uźrzeć Goodmana, gdy ten pojawił się Nocy trzeciej. Naprzd uformował się w Kształt Olbrzyma bladego jak Sromotnik, z Obliczem z Pary jeno, a zasię zdało się, że Ziemia sama Paszczę i Oczy swe otwarła i ozwała się wielkim głosem, z którym Zwierz wszytek we Wsi gadać począł jako w tym krześciańskim Zabobonie, co się

zwał bąbel. W końcu Goodman przegnać chciał swego Pana, wznosząc się na rozlicznych Nogach ponad Dom mój i Drzewa i nachylając ku mnie swe olbrzymie Oblicze, jakby Miesiąc opuścił na Ziemią swą zmurszałą Maskę. Jam jednak się nie uląkł. Wyrzekłem Zakłęcie Wiązania i straszliwy Pakt został zawarty. Wiem, że ugodziwszy się z Demonem, ostawiłem w tym Miejscu Częstkę mej Duszy. Zbyt wielki jednak jest Duch mój, by Stratę takową oplakiwać.

Heather potrząsnęła głową, głównie pod swoim adresem. Obrazowa narracja wciągnęła ją, coraz dogłębniej uświadamiając jej obecność za oknem lasu, który zdawał się bliższy, niż być powinien. Podniosła głowę, aby się upewnić, że drzewa pozostają na swoim miejscu, i odniosła wrażenie, że ich wierzchołki wyciągają się w poszukiwaniu ciemności leżącej ponad niebem. „Dokończmy to” - rzekła zarówno do księgi, jak i do siebie, i znów zaczęła przerzucać karty. Przeżyła jednak chwilę prawdziwej satysfakcji, gdy stało się jasne, że Selcouth przeceniał swoje siły.

Wielka i straszna Groza czyha na każdego, kto Ciemność spoza najdalszych Sfer przyzywa, albowiem Otchłani Zachcianka może Ducha zakląć w Kształty, dla których nie ma Mian, a przeto nie ma i Zakłęcia Odzyskania.

Straszydło takowe napotkałem, co Magiem być mogło, lecz teraz bezgłośnie błagało wszelakie Moce o Śmierć rychłą, i przez cały Miesiąc przed Niebiosami z Trwogi się kulilem. Nie mniej nieprzebieczne jest przyzywanie Posłańca z Ciemności, przez niego bowiem Zachcianki Otchłani na Ziemię schodzą, by ją pożreć jako Zgnilizna Jabłko pożera i w Larwę obrócić nawet moje Jestestwo. Chciałem więc posłać innego miast siebie, iżby móc przyjrzeć się Przemianie jego Esencji i poznać Tajemnicę tych umiarkowanych Mocy, by siebie im poddawać. Posłałem więc Goodmana, jako że był czymś więcej niżli Człowiek, acz mnie poddanym.

Jakże zatrzęsło Lasem, gdy Goodman z życzeniem mojem się zmagał! Jakże jęczały Drzewa, jak się wily, jak były Listowiem, aż wiejski Lud musiał się kulić w swych Chałupach! Wtenczas pojąłem, że kiedy Wieki rzymski Zagajnik zmieniały w Las wyrosły z nasion przez Goodmana z Nieba schwytyanych, stał się on Lasu tego Demonem, Esencją.

Trzykroć-em słał Goodmana w Ciemność, co na Czas nie zważa. Trzykroć powstawał, prostował Członki drżące na Ziemi, którą opuścić się lękały, i znikał pośród Gwiazd niczym Dymu Smuga, by powrócić jak Pająk lubo Pies skulony. Mniemałbym, że z Tchórzostwa Ciemności nie dostał, gdyby nie przyniósł z sobą Śladów Otchłani i na

Drzewach ich nie osadził. I tak te, co Wieżę mą, na której Dnie Goodman ma swą Norę, okalają, tak się odmieniły, iż wyrósł na nich Gatunek nowy, karmiący się wszelkim Życiem, jakie napotka, zaś Leśne Cienie nabrały Wigoru, który nawet ich Źródło przyćmić może. Żadnego wszak Zaklęcia z Obserwacji tych Cudów nie utkałem, ni z Pytań, którem Goodmanowi o jego Podróże zadał, bo Dusze nasze, tak odmienne, porozumieć się nie zdołały. Postanowiłem tedy zachować w splodzionym przeze mnie Ciele jakiś Aspekt Otchłani, który z nim przybył na Ziemię, choć Proces zapładniania pewnej londyńskiej Dziewki umęczył mię i obrzydził do Granic, by Wielkie w Małym zawrzeć, Moc jego zacieśnić trzeba, a przy tym każde Dziecię Ojca swego uznać winno, by Naczynie na swe Nasienie zwabić, uczyniłem z Goodmana Młodzieńca powabnego, który objawił się Dziewce we Śnie i u jej Okna, by ją do Łoża mego Zawieść poprzez Las, który Moce me uczyniły czarownym dla wszystkich Zmysłów.

To fantazja erotyczna pustelnika, pomyślała Heather, i to może nawet nie bardziej szalona od przeciętnej. Dławiące ciepło i majaczący na skraju pola widzenia las wydały jej się jednak teraz gęstsze i bliższe. Nie miała pojęcia, dlaczego nie odkłada książki: nie mogła sobie wyobrazić, by Sylwia mogła czytać takie rzeczy na głos komukolwiek na świecie.

W Noc okrągłego Miesiąca Rzecz tę wstrętną z Dziewką uczyniłem, zaklinając po tym Las, iżby wymazał z jej Pamięci nasze Spotkanie, gdy Goodman do Chaty ją odprowadzał Trzy Krągłości Miesiąca odczekawszy, znowum Dziewkę do siebie przyzwał, iżby Mieszkańca z jej brzuchu wydostać i do najniższej Komnaty posłać, by swe głodne Korzenie w przekształconą osobliwie Ziemię zapuścić mógł. Esencja jego czystą Otchłanią była, bom podczas Aktu swego wyrzekł Zaklęcie, którem ukuł osobliwie dla Oczu i Pojmowania Dziedzica mego.

Obdarz, o Daolocie, Panie Prawdy Odkrytej, Twór Nasienia mego Wzrokiem, co Tajnie najgłębszej Ciemności przejrzyć zdoła...

Heather była wyjątkowo zde gustowana myślą, że Sylwia mogłaby czytać to swemu nienarodzonemu dziecku, ale przecież nie miała powodu przypuszczać, że chodziło o ten właśnie fragment. Opis ciągnął się przez całą stronę, przy czym sporą część napisano jeszcze bardziej niezrozumiałym językiem, znad którego musiała unieść głowę, by pozbyć się wrażenia, że drzewa na skraju łąki naśladują litery na papierze lub w inny sposób reagują na pisemny zew. Nie stwierdziła, żeby się jakoś wyraźnie poruszyły, lecz dzięki przerwie

przynajmniej nie musiała czytać dalej w tym samym miejscu. Przewróciła stronę i natychmiast tego pożałowała, bo natknęła się na rysunek, pod którym napisano: „Z życia”.

Nie był to ten sam, na widok którego wzdrygnęła się, gdy Sylwia pokazała jej księgę, okazał się jednak równie obrzydliwy. Ukazywał małe stworzenie przycupnięte na czworakach obok wieży. Mimo ogromnych oczu, które zdawały się odbijać nienaturalnie ciemne niebo, i braku ust stanowczo za bardzo przypominało małe dziecko. Usiłowała o tym nie myśleć, przesuńjąc się wzrokiem po sąsiadującym z rysunkiem tekście, po czym pospieszenie przerzuciła kartkę - tylko po to, by ujrzeć rysunek dziecka z czaszką jak plaster miodu, z której wyglądały niezliczone oczy. Trzeci i ostatni był jeszcze gorszy: postać kuląca się w cieniu wieży - cieniu, który co z satysfakcją pozwoliła sobie odnotować Heather, nie mógł istnieć pod tak czarnym niebem - miała niemal idealnie dziecięcą twarz, jeśli nie liczyć jednego olbrzymiego oka, umiejscowionego na samym szczycie niczym jajko w kubeczku. Jej uwagę przykuły fragmenty tekstu:

Choć Duchy nasze były zespolone, nijakiej-em Wiedzy zyskać nie zdołał od mego mrocznego Dziecięcia. Chciałem Cel swój szpiegować Oczyma jego, lecz jego Niewinność nie uchroniła Umysłu przed Szaleństwem, ku któremu Widoki te go przywiodły. Tym jeno się zasłużył, że jedyną Pożywką była mu Otchłań, z której się wywiódł...

Druga Istota i jej wędrujące Oczy też nazbyt lichymi się okazały, by Otchłani Tajnie poznawać...

Takoż i trzeci bękart niewart Celu mego się jawi, a i samo Wcielenie takiej Uległości wymagające nie zadowala mię. Trzeba mi zatem Duchowi memu Gwałt zadać i samemu przedsięwziąć Obrzęd, którego dotąd nie śmiał odprawić nikt.

Część umysłu nakłaniała Heather, by darowała sobie ciąg dalszy, lecz jednocześnie ogarnęła ją wściekłość z powodu strachu przed jakąś głupią książką, w dodatku cuchnącą ze starości. „I co, zrobiłeś to?” - zapytała przez zaciśnięte zęby.

Powstali z Martwych Moce Żywym niedostępne posiadają i nie Pogłoska to, że ich Zbliżenie kilkakroć one Moce mnoży. Wiadomym jest, że Krew do Krwi przemawia, jeśli przez Maga zaklęta została. Gdym przed kilku Niedzielami Przesyłkę w Londynie odbierał, doszło mych Uszu, że leciwa Matka moja z Ciała Niewoli się wydobyła. Nie barziej mię to obeszło, niżli gdyby Naczynie z Gliny pośledniej wskutek Wad swoich się rozpękło, lecz teraz...

„Dość!” - oznajmiła Heather i już miała z trzaskiem zamknąć księgę, gdy nagle sobie przypomniała, czego w niej szuka. Choć coraz mniej jej zależało na dowiedzeniu się, co wówczas podsłuchiwała, zmusiła się do kontynuowania poszukiwań. „Zrób, co w twojej przeklętej mocy” - mruknęła.

W Londynie za Pieniądze, nawet niewielkie, zaspokoić można każdą Chuć, i zaiste niewiele było trzeba, by nakłonić Grabarzy do odwrócenia Kolei Rzeczy. Zakopawszy pustą Skrzynię i zaniósłszy Zawartość jej na Pole Magią przedwieczną brzemienne, umknęli co Sił, ostawiając mię samego z mym Zadaniem przyzwania Otchłani, iżby znowu giętkimi owe uwiędłe Członki uczyniła. Na długo przed Godziną, na którą furmana umówiłem, Trup stał się Zabawką w mym Ręku, podskakując i skłaniając się, choć sztywno, w Miesiącu blasku. W Naparach skąpany i Woalkami nakryty, za słynną Kurtyzanę wzięty mógł zostać, i mniemam, że furman taką powziął Pewność.

Zaiste tym właśnie Towarzyszka ma będzie, Mogiła bowiem w Kołyskę się obróci...

Heather pomyślała, że jej ojciec musiał to gdzieś przeczytać. A skoro ten egzemplarz księgi był jedynym, musiał przeczytać to w nim. Wynikało z tego, że zostawił gdzieś dziennik dla Sylwii - no, w każdym razie gdzieś go zostawił, a ona go tam znalazła. Wspomnienie Lennoksa cytującego księgę wywołało w Heather wrażenie, że jeśli podniesie głowę, zobaczy go, a gdy istotnie to zrobiła, zdało jej się, że drzewa patrzą na nią niezliczonymi oczyma. Jeśli na tym właśnie polega bujna wyobraźnia, wołałaby jej nie mieć. Skakała z akapitu na akapit, jakby to były kamienie wystające z czarnej rzeki.

Przez całą Podróż przez Goodman's Wood nie niepokoiłem mej Towarzyszki, przez co Uwagi mej umknęło, iż Członki jej ponownie sztywnieć poczęły, gdyśmy do Drogi przyleśnej przybyli, zabrałem Umarłą z Powozu, a kiedy furman Do Wsi wyruszył, przyzwałem Goodmana, by Zdobycz mą do Wieży zawiódł.

Ożywić Trupa, a nawet włożyć Głos własny w Usta jego, nie wymaga Mozółu; teraz wszak widzę, że ożywienie Porcji jego Esencji i przyspieszenie jej Narodzin może wypełnić wiele bezowocnych Nocy, spędzonych w jego Towarzystwie w najniższej Komnacie. Opiszę ten Proces w mym Dzienniku, gdy tylko do Końca go przywiędę...

Na kilka Nocy przed Ukończeniem Obrzęd przerwany został wskutek Działań Gminu...

Heather niemal wydała pomruk ulgi. Nie żeby bała się przeczytać, że Selcouth przed wiekami wierzył, iż jego eksperyment zakończył się sukcesem; obawiała się tylko, że przyjdzie jej czytać jeszcze gorsze rzeczy niż dotąd. Wyglądało jednak na to, że niewiele pozostało do przeczytania.

Któż mię zdradził - furman czyliż jakowys wiejski Dureń, co podlizać chciał się Magistratowi? Liche Umysły krześciańskich Baranów zwalczać tylko potrafią Rzeczy, których pojąć nie mogą. Hurmem wpadli do Lasu, belkocząc swe Modły. Moc moja jednak nadwątlona jest od długiego Czuwania i Sił mi brak, by Goodmana przeciw Intruzom posłać. Poświęcę zatem ostatnie me Chwile z Dziennikiem na spisanie Wieści dla mego Dziedzica, poczym ukryję Xięgę tam, gdzie Goodman w stosownej Chwili odnaleźć ją zdoła.

Nie lękam się tego, co nadchodzi. Nawiedziły mię dwie Wizje, w których nie hańbię się Słabością, jaką Krześcianie swemu Bogu-Człowiekowi przypisują. Z Wysokości Egzekucyjną swą obserwowałem i wiem, że pusty Kadłub tylko na Szafot wstąpi, gdy Duch mój na powrót w Lesie się schroni. W Wizji tej ujrzałem też Oblicze Dziedzica mego, tak do mego podobne, że mógłbym za Odbicie w Zwierciadle je wziąć. Niechaj spoglądając na swe Podobieństwo, pozna Przeznaczenie. On złączy Krew naszą, Moce me zbudzi i Lasu Mocom je zaśłubi. W chwili Narodzin wszystko to w jednej Postaci pomieszczone i Żywotem obdarowane będzie. To co wielkie nabierze Sił zamknięte w tym co małe.

I tak wstąpię do Królestwa, które mnie jest pisane.

Jedna trzecia ostatniej zapisanej strony była pusta. W pierwszej chwili Heather z konsternacją zauważyła, że czuje się rozczarowana i zaniepokojona - tamtej nocy wyraźnie przecież słyszała, że Sylwia czyta dalej, i to o wiele więcej niż jedno czy dwa zdania. Z pewnością zatem istniał ciąg dalszy dziennika albo też Sylwia cytowała dziecku któryś z wcześniejszych fragmentów. Z czymś groteskowo przypominającym nadzieję Heather przekartkowała resztę.

Puste kartki szeleściły jak chmara robali, mając do zaoferowania tylko dławiący zapach butwiejącego papieru, od którego kręciło jej się w głowie. Oprawa przesuwiała się na biurku niczym pokrywka, która usiłuje się podnieść. Heather wbiła paznokiec w jeden z rogów, aby ją unieruchomić, i już miała poślinić palec, by szybciej przewrócić ostatnie kilka kartek, ale się powstrzymała: już samo uczucie, że na jej palcach pozostają ślady tej księgi, było wystarczająco obrzydliwe. Odwróciła kolejną poźółkłą kartę, potem kolejną i jeszcze jedną, która wydała jej się cięższa od pozostałych. Ta była ostatnia - nie, przypadkiem

schwyciła dwie. Upuściła je na okładkę, a wtedy wydały stukot sugerujący, że jest w nich coś więcej niż papier. Już miała je rozdzielić, gdy zauważyła coś zbyt nieprawdopodobnego, żeby wcześniej zwrócić na to uwagę: kartki były złączone zszywką!

Całe jej pojmowanie czasu stanęło na głowie. Jak dawno temu wynaleziono zszywacz? Dopiero po chwili dostrzegła, że zszywki są ewidentnie nowe. Wiedziała, że Sylwia mogła po prostu wyciągnąć zszywacz z biurka, lecz po co miałyby spinać kartki? Heather zabrała się za odginanie zszywek paznokciem, choć bynajmniej nie była przekonana, że naprawdę chce znać odpowiedź.

Każdy margines spięto jedną zszywką. Kiedy wyjęła trzecią i powstrzymała się od possania bolącego kciuka, obie kartki opadły na dziennik, pozostawiając na górze wyblakłą pustą stronę. Smród czegoś więcej niż stary papier uderzył Heather w nozdrza, zmuszając do przechylenia się przez biurko i uniesienia otwieranego pionowo okna. Prawdopodobnie jej ruch poruszył karty, jakby to, co się między nimi kryło, pragnęło jak najprędzej się jej objawić. Była tak wściekła z powodu własnych oporów, że omal nie oderwała rogu.

Podpis po lewej stronie jeszcze bardziej odebrał jej chęć spojrzenia na to, co kryło się po prawej. „Dziedzic mój w Kuli objawiony” - głosił. Na drugiej kartce, którą Heather wciąż trzymała pionowo, widniała atramentowa rycina. Palce kobiety mimowolnie zwalniały uchwyt, aż wreszcie kartka opadła, a drzewa za oknem pochyliły się do przodu, by patrzeć. Heather nie miała czasu tłumaczyć sobie, że to tylko złudzenie; zbyt rozpaczliwie pragnęła znaleźć jakiś dowód na to, że rycinę wykonano współcześnie. Choć bowiem widniejąca na niej postać miała twarz przypominającą nieco jej ojca, zdecydowanie bardziej podobna była do Sama.

Ostatnie zejście

Kiedy przestała się wpatrywać w ostatnią stronę w poszukiwaniu jakiegoś dowodu na fałszerstwo, zamknęła z hukiem księgę. Mogłaby tak siedzieć i gapić się w oprawę, gdyby jej czerń zbyt mocno nie przypominała tego, co zagnieździło się w jej głowie. Nagle odniosła wrażenie, że księga zaraża ową czernią las. Przechyliła się, by zamknąć okno, i wzdrygnęła się pod wpływem przypadkowego dotyku ciemnej grudy i jej zawartości. Odsunęła krzesło i podeszła do drzwi, rzucając pokój na pożarcie odorowi minionych wieków. Zamierzała pozbyć się tej księgi, ale najpierw musiała podjąć decyzję, czy pokazać Samowi rycinę czy też, jeśli się dowie, że syn jej nie widział, zniszczyć ją. Na razie rozpaczliwie pragnęła z kimś porozmawiać, choćby tylko po to, aby przekonać siebie, że nie każda dziedzina życia, która dotąd wydawała jej się całkiem przejrzysta, ukrywa coś przed nią.

Na wpół świadomie zeszła po schodach i położyła dłoń na telefonie. Podniosłaby słuchawkę, gdyby przychodził jej do głowy ktokolwiek, kto mógłby pomóc. Nie zamierzała niepokoić leżącej w szpitalu matki ani zmierzającego na spotkanie Sama, który raczej nie dotarł jeszcze do Londynu, choć przeglądanie dziennika Selcoutha zajęło jej więcej czasu, niż przypuszczała. Kiedy zaczęła rozważać możliwość zadzwonienia do jego ojca albo nawet do Randalla, pod warunkiem wymyślenia pretekstu, który zakamuflowałby jej panikę, zrobiła co w jej mocy, by zapanować nad myślami. Zadzwoniła do szpitala i usłyszała, że Margo źle spała w nocy, choć jej rany dobrze się goją, i teraz odsypia. O ile Heather cieszyła się z poprawy stanu matki, o tyle żałowała, że nie może z nią porozmawiać, choćby krótko i o niczym. Zostawiając w spokoju telefon, który nie okazał się pomocny, wyszła z domu.

Trzask drzwi za jej plecami zabrzmiał tak niepokojąco ostatecznie, jakby zwiastował jakiś niewysłowiony finał pewnej części jej życia. Przeszła przez bramę, nie wiedząc, czy odczuwany przez nią opór jest dziełem tego, co siedzi w jej głowie, czy raczej nieznośnie wilgotnego powietrza, w którym niemal dały się słyszeć grzmoty nieistniejącej burzy zstępującej z bladego ociążałego nieba. Na drugim końcu Woodland Close asfalt drżał, jakby coś rozsadzało go od środka. Wokół Heather natomiast domy zastygły w kamiennym bezruchu, najwyraźniej dystansując się od niej i od owego braku stabilności, ku któremu

zmierzała. Mgiełka cofała się przed nią, a po drugiej stronie zakrętu przyciała się za sklepikiem J's & J's, deformując samochody zaparkowane po obu stronach ulicy samochody.

W sklepie była tylko Jessica. Na dźwięk dzwonka nad drzwiami odwróciła się od kartonu amerykańskich papierosów, które właśnie wypakowywała na półkę za ladą. Przeczesła dłonią niesforne loki, jakby chciała je jeszcze bardziej rozczochrać, po czym dwoma palcami poprawiła osadzone na małym nosku okulary. Za grubymi soczewkami jej oczy zrobiły się wielkie i niezbyt zachęcające.

- O, witaj, Heather - powiedziała.

Heather przestąpiła próg z taką samą dozą niepewności, jaka dała się słyszeć w głosie przyjaciółki.

- Witaj, Jessico.

- Co się tym razem stało?

- Chciałabym wiedzieć.

Do głosu Jessiki wkradła się odrobina współczucia.

- Czy te wasze kłopoty nigdy się nie skończą?

- Kłopoty... - Te, o których Jessica mogła wiedzieć, w pewnym sensie wybawiły Heather. - Słyszałaś o wypadku mojej mamy?

- Podobno wpakowała się pod samochód gdzieś koło Arbour.

- Mam nadzieję, że nie chcesz przez to powiedzieć, iż jej miejsce jest w takim szpitalu.

- Nie, jeśli nie zmieniła się bardzo ostatnimi czasy, a nawet gdybym uważała, że się zmieniła, nie rozpowiadałabym tego.

- Mam rozumieć, że ktoś inny to robi?

- Parę osób.

- Mam zapytać, kto mianowicie?

- Szczerze mówiąc, Heather, wolałabym, żebyś nie pytała.

- W takim razie powiedz im przy najbliższej okazji - rzekła Heather z pasją adresowaną raczej do nieobecnych - że po prostu zagapiła się na chwilę. To czasem wystarczy.

- W porządku.

- Doktor Lowe z Arbour nie wydawał się sądzić, by potrzebowała tego rodzaju pomocy.

- Cieszę się - powiedziała Jessica, po czym bardziej niezręcznie zapytała: - Jak się czuje?

- Kiedy parę minut temu dzwoniłam do szpitala, była na dobrej drodze do wyzdrowienia.

- Uff. Pewnie kamień spadł ci z serca.

Heather miała raczej wrażenie, że jej serce samo w sobie jest kamieniem.

- Niby powinien.

- Och, moje biedactwo. Czuję, że coś jeszcze się stało.

Jessica przesunęła po ladzie rękoma. Zatrzymały się na gazetach, jakby nie miały siły sięgnąć ku Heather. Ona zaś odniosła wrażenie, że rzędy nagłówek traktujących o polityce, przestępstwach i osobistościach tworzą barierę pomiędzy nią a Jessicą, podkreślając, jak odległe od codzienności są jej przemilczane problemy. Nie potrafiła poruszyć tematu dziennika Selcoutha i płynących z niego wniosków.

- Jeśli ktoś tu sfiksował - powiedziała głównie po to, by odbić piłeczkę - to raczej moja siostra.

Jessica spojrzała na nią wystudowanym wzrokiem.

- Jak to? - zapytała, starannie ważąc słowa.

- Nie wiem, gdzie się podziewa.

- To... - Zamiast dokończyć, Jessica wołała zapytać:

- Od kiedy?

- Zniknęła jeszcze przed wypadkiem mamy. Jestem pewna, że gdyby o nim wiedziała, wróciłaby.

- Oczywiście - odparła Jessica, wpatrując się w gazety, jakby mogła tam wyczytać coś na temat Sylwii. Nie odrywając od nich wzroku, mruknęła: - To z powodu jej stanu?

Heather poczuła się zdemaskowana w imieniu siostry.

- Czyli?

- No wiesz... - Jessica zmarszczyła brwi i spojrzała w stronę wyjścia, by się upewnić, że nikt jej nie usłyszy. - Z powodu dziecka.

Heather uświadomiła sobie, jak bardzo musiała być skołowana, skoro przyszło jej do głowy, że Jessica mogła się domyślić, iż Sylwia ma problemy z psychiką.

- Zbiera materiały do kolejnej książki. W każdym razie tak napisała w liście, który mi zostawiła - wyjaśniła i nagle przyszło jej do głowy, że może wcale nie to miała na myśli jej siostra.

- W takim razie na pewno się skontaktuje, jak już gdzieś się zatrzyma, prawda?

- Taką miałam nadzieję. - Heather niemal nie była świadoma, że myśli na głos. - Nie mogę uwierzyć, że nikt nie widział, jak odchodzi, i nic mi nie powiedział. Rozumiesz, kobieta

w ciąży z trzema walizkami...

- Pewnie wzięła taksówkę.

Heather pomyślała, że mogłaby obdzwonić wszystkie przedsiębiorstwa taksówkowe w Goodmanswood i Brichester, pytając, czy ktoś pamięta Sylwię, ale co by jej to dało? W plątaniu myśli jedyne słowa, jakie przyszły jej do głowy, to:

- Mimo wszystko...

- Mogę ci coś powiedzieć jako przyjaciółka?

- Cieszę się, jeśli nadal nią jesteś.

- Wybacz, że mówię takie rzeczy, ale może ludzie po prostu nie chcieli jej widzieć.

- Wybaczam. Dlaczego mieliby nie chcieć?

- Musisz zrozumieć, że krążą różne plotki.

- Jak zawsze. O czym tym razem?

- O jakiejś koleżance twojej siostry. Dziwacznej Amerykance, która wypytywała o drogę do waszego domu. Ludzie, z którymi rozmawiała, wzięli ją za narkomankę.

Heather miała już prawdę na końcu języka, lecz nie znalazła powodu, aby ją wyjawić.

- Spotkałaś ją? - zapytała Jessica.

- Może...

- W takim razie rozumiesz, dlaczego ludzie nie chcą, żeby ktoś taki miał powody się tu kręcić.

Biorąc pod uwagę własną reakcję na Merilee, Heather nie znalazła w sobie sił do dyskusji.

- Tylko sobie nie myśl, że mam na myśli ciebie albo twoją rodzinę - dodała Jessica.

- Ale inni tak.

- Nie sądzę, żebym mówiła ci tu coś, czego sama dotąd nie zauważyłaś.

Gdy Heather się zastanawiała, co jeszcze powinna była zauważyć, Jessica odezwała się ponownie.

- Nawiasem mówiąc, nie szukałaś Sama.

- Nie. A powinnam?

- Jeśli wiesz, gdzie jest, to pewnie nie.

- Pojechał do Londynu w sprawie pracy. I muszę przyznać, że będę szczęśliwa, jeśli ją dostanie i wyprowadzi się z Goodmanswood.

Mówiąc to, miała przed oczami obrazek z dziennika Selcoutha. Ze wszystkich sił pragnęła, żeby Sam znalazł się jak najdalej od niego, nie mówiąc już o jego implikacjach. Jessica tymczasem zamrużyła, nie przestając marszczyć brwi.

- Nie wierzę w to, Heather.

- W co?

- Nie pojechał tak daleko.

- Dlaczego? - zapytała Jessica, po czym próbowała sprecyzować pytanie. - Dlaczego tak twierdzisz? - Zabrzmiało to dość ostro.

- Bo go widziałam.

Heather już miała odparować, choćby i nie było to racjonalne, że może po prostu był to ktoś podobny do niego, lecz ten pomysł przygnębił ją jeszcze bardziej niż problem, który miał rozwiązać.

- To znaczy, co widziałas?

- Widziałam, jak idzie tam, gdzie ciągle chodzi.

Wbijając sobie do głowy, że przecież zapewnił ją, iż jedzie do Londynu, ale w gruncie rzeczy nie pamiętała, by wyraził się tak konkretnie.

- Czyli gdzie? - zapytała w ostatnim rozpaczliwym wysiłku odsunięcia od siebie prawdy.

- Na drugą stronę łąki. Wiesz, co tam jest.

- Kiedy?

- Dobrą godzinę temu.

Heather pomyślała ze zgrozą, że sama mogłaby go zobaczyć, gdyby nie była tak pochłonięta lekturą odrażającej książki.

- Nie rozumiem, jak mogłaś go stąd zobaczyć.

- Widziałam, jak przechodzi, i wyszłam, żeby go zapytać, jak się czuje Margo. Zawołałam za nim, tyle że najwyraźniej mnie nie usłyszał.

- Ale przecież on wyjechał z domu samochodem! - zdziwiła się Heather, po czym wyszła przed sklep i spojrzała wzdłuż ulicy. Na jej odległym końcu, z podwoziem skrytym we mgle, majaczył zielony garb, który równie dobrze mógł być volkswagenem, jak i przerośniętym kopcem - kopcem, który podrygiwał, jakby jego zawartość próbowała się wydostać. Kiedy Heather ruszyła w jego stronę, z mgły wyłoniła się tablica rejestracyjna. Rozpoznawszy ją, kobieta jeszcze przez chwilę szła w kierunku samochodu, a potem obróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem.

- Dzięki, Jessico! - zawołała, mijając sklep, po czym pomaszerowała alejką między domami ku łące.

Las rozciągał się szeroko, jakby chciał przyjąć ją na swe łono; podobnie rozległe było blade, przerośnięte niebo. Wyglądały jak dwie wersje tej samej rzeczy. Wilgotna trawa

czepiała się jej stóp, a tam gdzie padał cień drzew, łąka kołysała się jak na wietrze, choć cała jej reszta była nieruchoma. Również na ziemi pod najbliższymi drzewami płąsały cienie, choć same drzewa stały nieporuszone jak głaz. Ów ruch musiał wynikać z panującego ciepła, bo cofał się w miarę jej zbliżania. Postanowiła się nim nie przejmować. Liczyło się tylko to, że Sam z jakiegoś powodu nadal nie mógł wyjechać z Goodmanswood. Zerknęła za siebie, na Woodland Close, w płonnej nadziei, że mógł powrócić do domu, ale jego okno było ciemne, na domiar złego jakieś złudzenie optyczne sprawiło, że przypominało okładkę dziennika Selcoutha. Czując się, jakby zmasowane szeregi domów wyгнаły zarówno ją, jak i jej syna, Heather chwyciła się skrzypiącej łuskowatej gałęzi, by ułatwić sobie przestąpienie przez leżące na skraju lasu drzewo. Przez moment poczuła na dłoni mrowienie, jakie niegdyś odczuwała po kwietniowych ulewach, choć w zeszłym roku Sam podzielił się z nią podejrzeniem, że to raczej wina obecnych w deszczówce chemikaliów. Po drugiej stronie łąki kilka psów zaczęło szczekać, lecz umilkło, gdy tylko znalazła się pośród drzew. Kiedy uznała, że nikt już jej nie usłyszy, zaczęła nawoływać Sama.

Jej głos zdawał się szybko cichnąć, jakby zatrzymywały go pnie lub pochłaniała płatanina gałęzi. Chyba nigdy dotąd nie zauważyła, jak one szybko zwierają się w górze ani w jak niewielu miejscach widać nad głową otwarte niebo, choć tego dnia przypominało bardziej biały grzyb pochwycony w drewnianą sieć. Gdy podniosła głos, miała wrażenie, że ledwie go może z siebie wydobyć, jakby las zareagował wzmożonym naciskiem. Była niemal pewna, że wie, gdzie znajdzie Sama: przy pozostałościach wieży Selcoutha, w miejscu, na którego punkcie obsesję miał najpierw Lennox, a potem Sylwia. A gdyby nawet go tam nie znalazła, przynajmniej było to pośrodku lasu, skąd jej nawoływanie powinno łatwiej dotrzeć do dowolnego miejsca.

Nie zamierzała myśleć o zawartości dziennika. Do zmroku zostało jeszcze dobrych parę godzin. Kształty i wzory otaczających ją liści, podobnie jak dziwne zielonkawe bulwy na wierzchołkach, mogące być gniazdami lub naroślami, ale dziwnie upodabniające się do głów pozbawionych twarzy, nie miały znaczenia dla jej poszukiwań; tym bardziej zaś nie miało go wrażenie, że jakieś stworzenie rozciągające się na cały las śledzi ją sponad drzew, ukrywając w ich kształtach swoje kończyny.

- Sam! - wołała z narastającym gniewem. - Odpowiedz! Wiem, że tu jesteś.

Wiedziała, choć wcale nie poprawiało jej to nastroju. Ciągłe jej się zdawało, że lada chwila on - lub to coś - może się wyłonić zza najbliższego drzewa i stanąć z nią twarzą w twarz. Był to ten rodzaj żartu, o który mogłaby podejrzewać Sylwię, choć niekoniecznie w jej obecnym stanie.

- Sam! - zawołała najgłośniej, jak potrafiła. - Przestań się chować!

Obeszła przewrócone drzewo, które wraz z sąsiadami ułożyło się w kształt ogromnego hieroglifu. Nie czuła, że następuje na przykryte wyrwaną ziemią korzenie, zdawało jej się natomiast, że usłyszała w dole jakiś terkot. Być może dobiegał z przodu. Otworzyła usta, by znów zacząć nawoływać, ale zamiast tego osłoniła uszy dłońmi, żeby lepiej słyszeć. Odpowiedziała jej grobowa cisza. Heather parła pospiesznie naprzód, rozgniatając butami liście, które trzaskały jak rozdeptywane chrząszcze, gdy nagle las wydał kolejny dźwięk - tym razem dudnienie przypominające dobiegające spod ziemi uderzenie olbrzymiego serca.

To było gdzieś w przodzie. Nie potrafiła ocenić, jak daleko, jak głośnie było w rzeczywistości i jak ogromne mogło być jego źródło. Zmusiła się do kontynuacji wędrówki, choć szybko odechciało jej się znów nawoływać, nie ze strachu wywołanego wrażeniem, że istota obecna ponad drzewami zatrzymała się i czeka na nią, lecz dlatego, że zidentyfikowała przyczynę tego wrażenia: spomiędzy drzew wyzierała plama sromotnikowego nieba. Heather zbliżała się do polany pośrodku lasu, ale nadal nie dostrzegała ani śladu Sama.

Cóż zatem wydało ten dźwięk? Może spadająca gałąź lub gniazdo. Absurdem było bać się wyjść za dnia na największą otwartą przestrzeń w tym lesie. Nie było tam widać nic z wyjątkiem otoczonego ceglami kopca - nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób kojarzyć się z dziennikiem Selcoutha. Ruszyła sztywnym krokiem przed siebie, wściekła, że żywi jakieś idiotyczne obawy, zamiast skoncentrować się na poszukiwaniu Sama. Przeszła pod bramą z dwóch pochylonych drzew o kształtach nie bardziej dziwnych niż wszystkie inne wokół, obwieszonych na wpół otwartymi zielonymi... pąkami, bo czymże innym mogły być? Zdażała ku środkowi polany, mniej już zainteresowana usłyszonym niedawno dźwiękiem, a bardziej rozglądaniem się za synem, gdy nagle zamarła.

Ktoś rozgrzebał kopiec.

Kwadratowa dziura otoczona wilgotną ziemią i zdecydowanie dość szeroka, by przepuścić człowieka, wpatrywała się w blade, gęste ociążałe niebo. Heather z furią odnotowała, że pocą jej się dłonie. Podeszła bliżej. Przez chwilę zdawało jej się, że nie da rady przekroczyć ceglanego murka.

- Sam! - wrzasnęła, chyba w równym stopniu ze złości co w nadziei, że uda jej się go przywołać. Kiedy las nie zaszczycił jej odpowiedzią, postawiła stopę na miękkiej ziemi zniszczonego kopca. Potem dostawiła drugą.

W dole widniały kręcone, śliskie od mokrego piachu schody. U ich szczytu leżała wygięta łopata, którą najwyraźniej podważono dwa nierówne fragmenty kamiennej płyty. Stopnie w dole były całkiem dobrze widoczne - Heather pomyślała, że to świadomość, iż

prowadzą do lochów Selcoutha, wystrzyła jej wzrok; potem, że oczy nadzwyczaj szybko przywykają do ciemności; wreszcie - że jakimś sposobem światło słoneczne przedarło się przez chmury. Gdy jednak spojrzała w niebo, było równie zachmurzone jak wcześniej. Znów zerknęła w dół i zrozumiała, dlaczego schody stają się coraz lepiej widoczne. Ktoś wychodził w podziemi.

Pełznące w górę światło wyraźnie odwlekało moment ukazania siebie i swego właściciela. Heather wzięła głęboki oddech i przełknęła ślinę. W końcu najniżej położone schody zdrząły w blasku i jej oczom ukazała się latarka, po niej dłoń, ręka, ramię, czubek pochylonej głowy. Wszystkie te części należały do Sama, a coś w jego postawie kazało Heather niecierpliwie wyczekiwać widoku jego twarzy.

W połowie widocznej krzywizny schodów uniósł głowę. Kiedy ich oczy się spotkały, robił wszystko, by wyglądać beznamietnie, ale i tak zdawało jej się, że najchętniej uciekłyby z powrotem na dół, gdyby coś go nie odstraszało. Zamrugał, jakby rozpaczliwie pragnął odwrócić wzrok, lecz zarazem nie mógł tego zrobić.

- Co ty wyprawiasz, Sam? - zapytała niemal ze strachem.

Chwycił trzonek wygiętej łopaty, jakby zamierzał stwierdzić, że tylko kopał.

- Szukałem Sylwii - rzekł.

- I znalazłeś?

Pojedyncze kiwnięcie głową przypominało raczej kolejną nieudaną próbę oderwania wzroku od matki.

- Gdzie? - zapytała niecierpliwie. - Przecież nie tam, na dole.

Minęło kilka sekund, zanim Sam ponownie kiwnął sztywno głową. Heather miała wrażenie, że panujące wokół ciepło spowalnia ich reakcje.

- Wyjdź, zanim to na ciebie spadnie - ponagliła syna, wyciągając ku niemu rękę.

Nie chwycił jej - minę miał taką, jakby myślał, że matka wolałaby go nie dotykać - ale Heather nie cofnęła ręki, póki Sam nie znalazł się poza zasięgiem ciężkiej płyty.

- Co tam jest? - zapytała dostatecznie głośno, by dać do zrozumienia, że nie ma się czego bać.

- Już mówiłem.

- Jak dotąd nic nie mówiłeś, a myślę, że nadszedł czas, żebyś powiedział. Dlaczego nie jesteś w Londynie?

- Właśnie dlatego.

- Dlatego że co?

Wydawał się jeszcze bardziej przyparty do muru.

- Sylwia... - wymamrotał.

- Powiedźże wreszcie, gdzie ona jest!

Wykrzywił jeden kącik ust i nie bez wysiłku wyrzucił z siebie:

- Odeszła.

- Wybacz, Sam, ale czy nie mógłbyś mówić nieco jaśniej? Czy muszę zejść na dół i sama się przekonać, że jej tam nie ma? W takim razie daj mi latarkę.

W odpowiedzi zacisnął na latarce dłoń, drugą zakrywając światło, jakby odmawiał go matce.

- Nie - wybąkał.

- Zapewniam cię, że nie mam ochoty, ale będę zmuszona, jeśli mi nie powiesz, po co tam schodziłeś. Czy to ma jakiś związek z tą przeklętą starą księgą?

- Czytałaś ją?

- Przeczytałam dość, by wiedzieć, co to za miejsce i co na jego temat wyobrażał sobie nieszczęśnik, który to wszystko napisał. Jeśli myślisz o tym rysunku, mógł go narysować ktoś inny. Wręcz musiał. Wiem, co tam jest napisane, ale nie sądzę, żeby tak trudno było sfalszować jego pismo. Nie pytaj mnie, po co ktoś miałby to robić.

Mimo to była gotowa zastanowić się na głos, czy nie zrobiła tego Sylwia - czy nie była bardziej chora, niż mogłoby się zdawać - gdyby miało to uwolnić Sama od poczucia, że znalazł się na łasce czegoś, co umieszczono w dzienniku.

- O jakim rysunku? - zapytał ku jej zdumieniu.

- Skoro nie wiesz, to nieważne - oznajmiła, pragnąc, by zapomniał, że o tym wspomniała. - Nadal mi nie powiedziałaś, po co tu przyszedłeś.

- Owszem, powiedziałem.

Już miała stracić cierpliwość, gdy zauważyła, że chłopak próbuje ukryć poczucie winy, i wpadła w panikę.

- Sam, coś ty zrobił?

- Nie skrzywdziłbym jej. Nigdy w życiu.

- Wiem, że nie. - Wzięła głęboki oddech, by powiedzieć, a raczej odwlec wyrażenie na głos tego, co przyszło jej do głowy:

- Czy ktoś...

- Mówiłem ci: odeszło. Odeszło.

- Masz na myśli dziecko?

Skinął niezdarnie głową, lecz spostrzegła, że potraktował to jako pretekst do zerknięcia w dół, i nagle dopadła ją straszna myśl, że chyba wie, co Sam próbuje ukryć.

- Sam, ty chyba nie...

- Co?! - zapytał z taką furią, że nie wiedziała, czy żąda od niej, by mówiła dalej, czy też zakazuje jej tego.

- Chyba nie chciała się pozbyć dziecka? Nie... nie pomogłeś jej w tym?

Nie mogła przewidzieć jego reakcji. Ledwie zacisnął usta, poczęły drgać tak gwałtownie, że nie była w stanie odgadnąć, co takiego próbuje przemilczeć. Wyrwała mu latarkę i poświeciła w ciemność. Zdążyła zejść o stopień w dół tak gwałtownie, że odbiła sobie piętę, gdy wymamrotał:

- Nie. Nie chcesz tego widzieć.

- Dlaczego? Będę musiała zobaczyć, jeśli mi nie powiesz, co zrobiłeś.

W pierwszej chwili zdawało się, że ta groźba nie wystarczy nawet, by uzyskać od niego jakkolwiek odpowiedź. Kiedy Heather miała dość patrzenia mu w oczy i zrobiła kolejny krok w dół, Sam zdołał jednak wybąkać:

- Czekał. Ja...

Podniosła wzrok i zobaczyła, że syn spogląda na nią z czymś w rodzaju udręki. To wystarczyło, by rozwiać wrażenie, że nie tylko on ją obserwuje - że coś szpieguje ich zza drzew albo sponad nieba.

- No mów, Sam - ponagliła go. - Mówże.

- Jestem ostatnią osobą, która chciałaby je skrzywdzić.

- Wiem, że byś tego nie zrobił. To też nasze dziecko.

- Nie - powiedział, jakby pozbył się resztek nadziei.

- Moje.

Poczuła, że wszystko zacieśnia się wokół nich - drzewa, ciężkie, wydęte skryte niebo, ciemność poza zasięgiem promienia latarki - by stłamsić jej głos.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- A jak myślisz?

- Nic nie myślę - odparła szczerze Heather, bo jej umysł zmienił się w bezwładną grudę. - Musisz mi powiedzieć.

Przez jego ciało przebiegł dreszcz, być może wynikły jedynie z wysiłku towarzyszącego rwanemu oddechowi, po którym zabrzmiał wrzask:

- Ja jestem ojcem!

Równie dobrze mógłby to ogłaszać całemu lasowi. Gdyby nie była zajęta uspokajaniem go, pewnie by pomyślała, że obudzone przez ostatnie słowo echa zupełnie nie przypominają jego głosu.

- Dobrze wiesz, że to niemożliwe, Sam - mówiła. - Co ci strzeliło do głowy?

- Jezu, to prawda! - warknął, zde gustowany nią lub sobą.

- Co by powiedziała Sylwia, gdyby to usłyszała?

- Wiedziała to wcześniej niż ja.

- Chcesz powiedzieć, że ci to wmówiła? Sam, żałuję, że muszę ci to powiedzieć, bo obiecałam zachować dla siebie, ale Sylwia miała problemy z psychiką.

- Tak samo jak ja.

Jego słowa zabrzmiały jak pytanie albo nawet zaprzeczenie, lecz Heather starała się zrobić z nich jak najlepszy użytek.

- Wiem. Znajdziemy kogoś, kto ci pomoże. Jeśli uważasz, że doktor Lowe się nie nadaje, poszukamy innego specjalisty. Ale przyznaj, że to co mówisz, wynika z twoich problemów.

- Owszem, bo to prawda.

- W porządku. W takim razie opowiedz mi.

- Spotkaliśmy się tu w dniu jej powrotu, nie wiedząc jeszcze, kim dla siebie jesteśmy.

To ma związek z tym miejscem, jak wszystko. Dlatego tu wracaliśmy.

Nie, pomyślała Heather; to wszystko wina dziennika Selcoutha. Nie wiadomo, co Sam i Sylwia mogli sobie wyobrazić na jego podstawie, zważywszy, że oboje byli wówczas w stanie pewnego rozchwiania umysłowego. Musiała zobaczyć na własne oczy, co odkopał - lub zdawało mu się, że odkopał - jej syn.

- Zaczekaj tu na mnie albo zejdź ze mną, jak wolisz - powiedziała.

Była już poniżej powierzchni kopca, gdy wydało jej się, że słyszy jego mruknięcie:

- Nie mogę.

- Możesz - oświadczyła.

Nie czekała na odpowiedź. Schodziła najszybciej, jak potrafiła przy świetle kołyszącym się na wąskich krętych schodach, zwalniając tylko podczas mijania pomieszczeń. Było ich kilka, wszystkie nagie i poczerniałe od ognia. Nie zawierały nic prócz stert starych kości, a w jednym wypadku hałdy spalonych książek. Same śmieci, niewarte drugiego spojrzenia. Jej chodziło wyłącznie o Sylwię. Wciąż otwierała usta, aby ją zawołać, lecz udawało jej się co najwyżej wyszeptać imię siostry. Znalazła ją w najniższej komorze.

Leżała na stercie gnijących roślin z kolanami podkurczonymi pod pierś, mocno obejmując rękoma nogi, zacisnąwszy dłonie na rąbkach sukni, by naciągnąć ją na stopy. Nie była już w ciąży. W ogóle niewiele z niej zostało. Wydawała się chudsza od najbardziej zgrzybiałej staruszki, jakby coś niemal całkowicie ją pochłonęło. Nawet z jej twarzy została

głównie skóra i kości, a przy tym Heather odniosła wrażenie, że jest to twarz jej młodszej siostry takiej, jaką pamiętała z dzieciństwa - może dlatego, że oczy i usta były rozwarte szeroko jak u dziecka. Nie dało się z nich odczytać, czy wyrażają zachwyt, zgrozę czy jeszcze coś innego, co Sylwia mogła zobaczyć lub pomyśleć w swych ostatnich chwilach.

Czas stracił dla Heather wszelkie znaczenie. Nie miała pojęcia, jak długo stała w wejściu, ściskając latarkę obiema dłońmi, bo jedną nie była już w stanie jej utrzymać. Nie zwróciła nawet uwagi na słabo widoczny ślad, który być może biegł po nagiej ziemi od ciała Sylwii. Patrzyła na wielki palec obutej w sandał nogi, wystający spod sukienki, i nagle, jakby popchnięta do przodu przez wzbierający w niej ból, pędem ruszyła przez komorę, by zamknąć oczy siostry.

Gest ów jednak wydawał się próżny wobec braku obserwatorów. Heather cofnęła się, schodząc z drogi promieniowi pozostawionej w wejściu latarki, równie beznamyślnemu jak oczy Sylwii.

Uświadomiła sobie wówczas, że jej siostra prawdopodobnie umarła w lochach Selcoutha nie tylko w samotności, ale też w nieprzeniknionych ciemnościach. Nie potrafiła uwolnić się od tej myśli, wypełniającej jej umysł rozpaczą i furią. Coś z tych uczuć przedarło się do jej ust.

- Sam! - zawołała. - Zejdź na dół i pomóż mi ją stąd zabrać!

Nie otrzymała odpowiedzi. Być może kręte schody stłumiły jej krzyk. Mimo że była w rozterce, nie chcąc nawet na moment oddalać się od Sylwii i pozostawiać jej w mroku, wycofała się z celi szybko, choć chwiejnie. W progu przez moment wydało jej się, że coś stoi za jej plecami. Może była to tylko ciemność, bo Heather czuła tę obecność, gdziekolwiek się obróciła. Potem wrażenie znikło.

- Zejdź! - wołała, wspinając się po schodach. - Schodź tu zaraz!

Objawienie

Ledwie straciła z oczu najniższą komorę, mimo szoku uświadomiła sobie, co jest teraz najważniejsze. Nie mogła jeszcze bardziej denerwować Sama. W jakimkolwiek stanie była jego psychika, znalezienie zwłok ciotki musiało go jeszcze pogorszyć. Z pewnością winił siebie za jej śmierć - za to, że odnalazł ją zbyt późno - i tak go to oszołomiło, że zaczął się też obwiniać o spowodowanie jej ciąży. Potrzebował pomocy i zrozumienia, a nie kolejnych oskarżeń. Wsparcie matki było mu równie potrzebne, jak jej potrzebne byłoby jego wsparcie.

- Samuel, jesteś tam? - zawołała łagodniej. - Słyszysz mnie? Jeśli nie chcesz schodzić, czekaj na górze.

Nie miałyby nic przeciwko odpowiedzi. Zbliżając się do kolejnego pomieszczenia, poczuła, że coś na nią czeka, i mimowolnie skierowała światło w otwór. Cienie - to były tylko cienie - wyginały się, jak gdyby osmalone kości szykowały się do pomaszerowania w jej kierunku. Ale kości nie potrafią chodzić, pomyślała, więc nie ma sensu marnować na nie czasu. Powróciły w ciemność, ona zaś stanowczym ruchem skierowała latarkę przed siebie i nie odrywała jej promienia od schodów, póki nie znalazła się obok następnego wejścia, w którym ujrzała resztki książek. Nienawidziła, gdy ktoś niszczył białe kruki, lecz jeśli opisywały eksperymenty Selcoutha, była szczęśliwa, że je spalono. A jeśli zawartość pozostałych komór także miała związek z jego dziennikiem, Heather wołała o nich nie myśleć - przynajmniej nie teraz, w ciemnościach, mając na głowie o wiele bardziej palące sprawy.

- Sam, odpowiedz, proszę! - zawołała, choć wołałaby nie musieć tego robić. Odpowiedziała jej tylko cisza oraz głucho, stłumione odgłosy jej własnych kroków. Poczucie było to, że z pomieszczeń, które Heather minęła lub dopiero miała minąć, nie dobiegał żaden dźwięk i zdecydowanie nie było powodu, by świecić w głąb tych dwóch, które wciąż miała przed sobą. Zdołała się przed tym powstrzymać, choć kiedy snop światła musnął wloty komór, miała wrażenie, że w miejscu, gdzie wcześniej leżały kości, usiłują się podnieść jakieś drżące cienie. Już niemal widziała wyjście. Gdyby płyta spadła i zablokowała je, na pewno by to usłyszała. Poczula, że wzbiera w niej panika, ruszyła więc chwiejnie jeszcze szybciej, posyłając snop światła w górę, jakby sądziła, że zdoła nim poruszyć kamień.

Promień dotarł do szczytu schodów i znalazł otwór, który zdawał się wypełniony ciemnością tak nieprzeniknioną, jakby zasypano go ziemią. Wpadła weń i ujrzała nad głową bezchmurne jasnoblękitne niebo. Schwyciła trzonek łopaty, wsparłszy się na nim, wyszła na powierzchnię i przez moment miała wrażenie, że zdobyła broń, by móc walczyć z czymś, co znajduje się za lub ponad nią. Potem poczucie tej obecności znikło.

- Sam... - mruknęła. Być może zbyt cicho, bo odpowiedziało jej jedynie skrzypienie gałęzi i trzepot liści. Gdy wystawiła głowę ponad kopiec, las w całej okazałości unosił się nad nią, lecz Sama nigdzie nie było.

Na pewno usłyszy wołanie, pomyślała, przecież nie mógł odejść daleko.

- Sam! - zawołała, schodząc z kopca i przechodząc przez ceglany krąg. Połyskująca armia drzew ze swą skomplikowaną pajęczyną cieni znieruchomiła, jakby chciała jej ułatwić nasłuchiwanie, a potem z wierzchołka drzewa stojącego o jakieś sto jardów za skrajem polany od strony Goodmanswood zerwał się kos - cóż, w każdym razie jakiś czarny ptak. Jego cień przemykał ponad usianą liśćmi ziemią, jakby był częścią pajęczyny, a gdy zniknął, Heather dostrzegła twarz Sama wyglądającą zza drzewa, na którym wcześniej pojawił się ptak.

- Zaczekaj tam! - zawołała. - Porozmawiajmy!

Chciała wierzyć, że jej nie usłyszał. Nim zdążyła umilknąć, zniknął, a ona musiała siebie przekonywać, że jego obecność nie była tylko złudzeniem. Biegając wśród traw tak misternie przetkanych nieznanymi jej chwastami, jakby polana chciała zgromadzić tam wszystkie możliwe gatunki, Heather wymachiwała latarką, jak gdyby to mogło pomóc jej lepiej widzieć.

- Nie oddalaj się, Sam! - zawołała na cały głos.

Martwiła się o niego, ale nie przeszkadzało jej, że mógłby pomyśleć, iż sama się boi, byleby tylko się zatrzymał. Usłyszała kolejny dźwięk, prawdopodobnie trzask gałązek pod jego butem, i znów jego twarz wyjrzała zza drzewa, tym razem bardziej odległego. Nie miała pojęcia, że las jest dość gęsty, by pozwolić mu niezauważenie przebyć taki odcinek drogi.

- Zostań tam! - krzyknęła błagalnie i popędziła w tamtą stronę, pracując ramionami, które zdawały się ważyć tony. Ledwie wybiegła z polany, Sama znów nie było.

- Przestań! - zawołała, choć była przekonana, że rozumie jego zachowanie: teraz, gdy przyznał się do tego, co w swoim mniemaniu uczynił, nie chciał spojrzeć jej w oczy. Powinien wiedzieć, że aby ją odstręczyć, trzeba czegoś znacznie gorszego, tym bardziej że dobitnie dała mu do zrozumienia, iż nie wierzy w jego słowa.

- Nic się nie zmieniło! - zawołała. - Między nami nic się nie zmieniło. Prawda? - zaryzykowała pytanie.

Miała nadzieję, że tym podstępem wydobędzie z niego odpowiedź, ale jedynym dźwiękiem, jaki rozległ się po jej słowach, był przesywający krzyk ptaka. Gdy pobiegła w kierunku kryjówki Sama, ptak, którego wzięła za stertę opadłych liści, przemknął przez jej ocienioną drogę i skrył się za porośniętym bluszczem wiązem. Czy Sam chował się za którymś z tych drzew? Zdawało się to nieprawdopodobne, bo grube pnie były pochylone, jakby wskazywały Goodmanswood lub sięgały ku niemu. Może schronił się za orzechem, którego gałęzie wznosiły się niemal pionowo w geście przypominającym błogosławieństwo albo jakiś mroczniejszy rytuał? Może za klonem otoczonym koncentrycznymi wzorami z własnych uschniętych nosków, za posrebrzanymi brzoźami, których barwę brała w dzieciństwie za zwiastun, że gdzieś w pobliżu spoczywa ukryty skarb, lub za zmasowanymi iglastymi krzewami, choć aby tam się ukryć, musiałby przykucnąć?... Heather silniej niż kiedykolwiek odczuwała obecność lasu; pewnie dlatego, że tak bacznie mu się przyglądała w poszukiwaniu Sama. Nagle przyszło jej do głowy, że mógł wrócić do ruin wieży. Obróciła się gwałtownie, ale nie zobaczyła ani Sama, ani polany. Kiedy znów spojrzała przed siebie, zdążyła dostrzec coś znikającego za dębem.

Jego najniższe gałęzie wbijały się w podłoże, jakby drzewo próbowało związać ziemię z niebem, a pień był dość szeroki, by swobodnie ukryć Sama, nawet jeśli te widoczne z boku palce nie należały do niego, lecz były jedną z kilku narośli przypominających pomarszczone sękate dłonie o paznokciach pomalowanych mchem. Gdy Heather zajrzała za dąb, gotowa wydać westchnienie ulgi, znalazła tam tylko splątany gąszcz gałęzi wysokości człowieka. Jedyne wyjaśnienie, jakie jej przyszło do głowy, to że dostrzegła wiewiórkę przeskakującą z drzewa na drzewo. Patrząc na wąski szary kształt, znikający w gąszczu zielonkawych gałęzi jak niesiona wiatrem mgiełka, znów nie mogła się nadziwić, z jak niewielu miejsc w lesie można zobaczyć otwarte niebo; być może wyłącznie z polany otaczającej ruiny. Ale teraz to się nie liczyło. Liczył się tylko Sam, który przecież nie mógł być daleko - być może schował się za jednym z głogów o popękanych jak stare kości pniach i kolczastych gałęziach wyciągniętych ku niebu, jakby chciały je ściągnąć w dół.

- Nie uciekaj przede mną, Sam! - błagała. - Nie teraz!

Jej głos spłoszył tylko stadko ptaków, które cicho uniosły się z koron drzew, jakby poszatkwane konarami niebo puściło w szwach, ukazując skrytą za sobą czernią. Coś w lesie zdawało się dziwnie nie na miejscu, lecz Heather nie mogła teraz poświęcać temu ani krzty uwagi. Nie znalazła Sama za kępami wierzb - każdy pień podzielony był na trzy części, trochę za bardzo przypominające palce na wpół zagrzebanej zdeformowanej dłoni - ani za jodłami ustawionymi w rzędzie niczym szkielety choinek. Przypomniała sobie drzewko, które

przytaszczył do domu jej syn, i od razu zrozumiała, skąd je wziął. Dotąd nigdy nie zauważyła w tym lesie jodeł.

I nagle - ze wstrząsającym uczuciem, jakby cały las nagle zrobił niewidzialny krok w jej kierunku - uświadomiła sobie, że to nie wszystko. Nie chodziło tylko o to, że dzięki poszukiwaniom widzi las bardziej szczegółowo niż przedtem. W ogóle nie pamiętała, by kiedykolwiek jasno go widziała.

Z klatki korzeni dębu wyfrunął z pojedynczym świergotem ptak w różnych odcieniach martwych liści - całkiem jakby zareagował na jej myśli, ale nie była to właściwa odpowiedź, bo przypomniała jej, że do tej pory nigdy nie widziała odpoczywających w tym lesie ptaków. Owszem, widywała je latające w górze, lecz poza tym jej pamięć o ptakach lub innych spotkanych tu zwierzętach była raczej powierzchowna - wystarczała, by nie wzbudzić podejrzeń, choć zarazem sprawiała wrażenie czegoś, czemu lepiej nie przyglądać się bliżej. Nim jednak Heather zdążyła się nad tym zastanowić, znów zauważyła Sama.

Wyglądał spomiędzy szeregu buków, których szare pnie w pierwszej chwili wzięła za mgłę. Pewnie trwałaby w tym błędzie, bo drzewa były znacznie dalej, niż spodziewała się ujrzeć syna, gdyby nie to, że w przestrzeni pomiędzy pniami ujrzała jego twarz.

- Widzę cię! - zawołała, lecz natychmiast przestało to być prawdą.

Skoro żadne jej słowa nie potrafiły go przekonać, by na nią zaczekał, mogła jedynie postarać się go dogonić. Wyglądało przynajmniej na to, że prowadzi ją ku krańcowi lasu, a ona nie miała nic przeciwko wydostaniu się stąd. Miała nadzieję, że wróci po Sylwię w towarzystwie większej liczby osób, choć na pewno bez Sama.

W lesie najwyraźniej pojawił się wiatr, lawirując bowiem między drzewami szybciej, niż - zdawałoby się - Sam był w stanie kuśtykać, uświadomiła sobie, że coś się porusza w górze. Być może były to tylko cienie chmur, choć zdawały się przechodzić raczej przez wierzchołki niż ponad nimi, ale z całą pewnością się ochłodziło, a spośród drzew dobiegało więcej dźwięków, niż mógłby wydać z siebie Sam. Szczerze mówiąc, nie wiedziała, kiedy ostatnio naprawdę go słyszała. Pragnęła, żeby przestał się chować. Wydało jej się, że słyszy szemrzący w pobliżu strumień, lecz po chwili dźwięk ucichł, więc pewnie były to tylko gałązki grzechoczące jak kamyki oraz szmer mokrych liści, choć wszystkie drzewa wokół niej stały nieruchomo. Niespodziewane krakanie przez chwilę próbowało ją przekonać, że wrony są w lesie częstymi gośćmi, ale i ono okazało się tylko gwałtownym trzeszczeniem wierzchołków po jej lewej stronie. Zaczęła drzeć, i to w dwójnasób, bo stało się już jasne, że to owe cienie są źródłem chłodu: każdy z nich przenikał jej skórę jak lodowate ostrze. Wybuch ptasich treli wokół nie podniósł jej na duchu nie tylko dlatego, że nie widziała ani

jednego ptaka, ale i z powodu brzmienia owych śpiewów, nieco zbyt przenikliwych i podejrzanie do siebie podobnych. Otworzyła usta, by zawołać Sama, nie znalazła jednak w sobie sił. Pomyślała, że jest już blisko skraju lasu, ponieważ z oddali dobiegały odgłosy wielu jadących rowerów, choć nie pamiętała, by kiedykolwiek je tu widywała. Ach, nie, szum dochodził z gąszczy nagich krzewów, które miała przed sobą po lewej stronie, choć drzewa stały zupełnie bez ruchu... Chyba że ich cienie wskazywały na coś innego? Pomyślałaby, że jakiś histeryczny chichot w górze wyśmiewa jej konsternację, gdyby nie zidentyfikowała tego dźwięku jako przenikliwego trzepotu w koronach drzew. Nie było jednak sensu się tam gapić, zamiast szukać Sama - o, tam zza jodły wyjrzał z pewnością on, mimo że pień wydawał się zbyt cienki, aby go ukryć.

- Postaraj się nie zgubić! - zawołała, ale była zbyt zdenerwowana, by na tym poprzestać. - Gdybyś był dżentelmenem, zczekałbyś na matkę!

Zdawało jej się, że wreszcie go dogoniła. Nie zniknął, choć zrobiła już kilkanaście kroków w jego stronę. Teraz na przestrzeni kilkuset jardów dzielących ją od miejsca, w którym go widziała, było tylko kilka niewielkich potencjalnych kryjówek. Powinna widzieć, dokąd się skieruje. Rozglądając się uważnie, pędziła po grząskim śliskim gruncie, rozkopując fragmenty misternej dekoracji, spod których wydobywał się słodkawy ziemisty zapach, zdecydowanie mniej pociągający, niż prawdopodobnie miał być. Starła się ignorować ptasie trele, które zdawały się dążyć do połączenia w jeden dźwięk i ujawnienia, że wszystkie płyną z tego samego źródła, i wielką powolną ciemność podążającą za nią wśród koron, i cienie pluskające na skraju pola widzenia niczym wzburzona woda, chociaż nie drzewa zdawały się być przyczyną ich ruchu. Czyżby cienie jednak zdradzały ich udział? Ta myśl nie wystarczyła, by ją zatrzymać, miała bowiem pilniejsze sprawy - dogonić Sama i zlekceważyć widok porastającego mijany właśnie dąb skupiska grzybów, w nieprzyjemny sposób kojarzących się z gromadą bladych warg. Wtedy znów sobie coś uświadomiła.

- Sam! - zawołała i stanęła jak wryta na moment przed tym, jak znieruchomiały cienie. Ich bezruch mógł jej zasugerować, że nie poruszyły się nawet przez chwilę, ale podejrzewała coś gorszego. Skoro przez korony nie przedzierało się światło słoneczne, jakim cudem drzewa w ogóle mogły rzucać cienie?

Dopiero gdy uniosła latarkę, jakby mogła rzucić na problem jakieś światło, zauważyła, że jej nie wyłączyła - snop omiótł kilka drzew, złościąc czarne wzory w szczelinach pośród jasnej kory i rzucając naprzód dwa wydłużone cienie. Inne natychmiast znikły. Niepokój niczym brzemień osiadł na karku i ramionach Heather. Uniosła latarkę wyżej, rozpaczliwie usiłując dostrzec syna. I wtedy wszystko, co dotąd widziała, zgasło, jakby na głowę opadła jej

czerń większa niż las.

Przez chwilę Heather myślała, że znalazła się z powrotem pod kopcem - że wcale nie opuściła najgłębszej komory - lecz po chwili dostrzegła pomiędzy gałęziami, które zdawały się ciemniejsze od nieba, jedną bledziutką gwiazdę. Nim zdołała wziąć oddech, pojawił się drugi mały punkcik, mrugający niepewnie, jakby lada chwila mógł spaść. Gwiazdy nie dawały światła; jedynie jej latarka posyłała snop drżący z zimna, które nie było już dziełem ani cieni, ani strachu. Czyżby błędzenie trwało tak długo, że Heather nie zauważyła, iż zapadła noc zamaskowana pozorami stwarzanymi przez las? A może ciemność była jego naturalnym stanem? Jedno było pewne: Sam znowu zniknął jej z oczu.

Ścisnęła latarkę tak mocno, aż bolały ją ręce, i próbowała unieruchomić rozkołysany promień. Drzewa zdawały się pochylać ku niemu, jakby chciały uwypuklić swoje kształty i pochłonąć porcję światła, a opadłe liście wspierały się o cienie i unosiły owadzie głowy. Heather musiała sobie stanowczo powiedzieć, że skupisko grzybowych ust wcale nie zaczęło w przerażająco chaotyczny sposób rozwierać warg. Potem gdzieś na skraju snopa światła wyłoniła się postać, której twarz w półmroku była ledwie rozpoznawalna. Był to Sam.

- Musisz teraz na mnie zaczekać! - zawołała, starając się nie dopuścić paniki do głosu.
- Inaczej nie będziesz nic widział!

Cokolwiek mogło być przyczyną ciemności, musiała ją zaakceptować, jeśli dzięki temu Sam przestanie uciekać. Zrobiła niepewny krok ku niemu. Nie widziała, jak się cofa, ale światło kołysało się tak mocno, że wystarczył ten jeden krok, by straciła go z oczu.

- Trzymaj się światła, Sam - poprosiła, ze wszystkich sił starając się ustabilizować latarkę, nawet gdyby to miało opóźnić wydostanie się z lasu. Wysiłając oczy sprawiające wrażenie, jakby osiadła na nich zmasowana ciemność, usiłowała go dostrzec, ignorując drzewa, które wciąż zdawały się głodnymi ruchami zagarniać światło. To na pewno z powodu kołysania się latarki, podczas gdy za wrażenie, że drzewa pochłaniają zbyt wiele światła, odpowiadała ta gęsta, duszna ciemność... Czy też może Heather znalazła się pod śladowym wpływem tej samej substancji, która przyprawiła o szaleństwo jej ojca? To wyjaśniałoby mrowienie, które poczuła, kiedy dotknęła drzewa na skraju łąki, a także rzekome poruszanie się fragmentów lasu, jak gdyby budziło je światło. Ich kształty stawały się podejrzanie wyraziste, aż promień znowu odnalazł Sama.

Nim zdołała go zawołać, odkuśtykał ze skraju światła z powrotem w ciemność. Chyba oglądał się przez ramię, bo jego twarz zniknęła minimalnie później niż cała reszta.

- Zaczekaj na światło! - krzyknęła Heather. - Patrz pod nogi, bo się o coś potkniesz. Możesz się zranić!

Ponieważ ciągle była w ruchu, jej głos drżał nie mniej niż promień latarki. Usiłowała się skoncentrować jedynie na pościgu za synem, a nie na obrazach, które nieustannie ukazywały jej się w snopie światła - tu zaokrąglony pniak z licznymi oczodołami, kiwający do siebie głową, nim zniknął w ciemnościach; tu blada kłoda sięgająca ku niej kilkunastoma gąsienicowatymi pozostałościami gałęzi; tam martwe drzewo rozłupane na fragmenty przypominające bezokie gady o zdeformowanych odnóżach, zwłaszcza gdy zaczęły za nią pełznąć, łamiąc gałązki i szeleszcząc liśćmi. To omamy, takie same, jakie miewał mój ojciec, pomyślała, patrząc, jak coś, co początkowo wzięła za szyszkę, prostuje wrzecionowate, pokryte łuskami odnóża i ucieka od światła. Gdyby była dzieckiem, pewnie zdawałoby jej się, że widzi twarze w wybrzuszeniach wielkości głów, które promień znajdował tu i ówdzie na pniach. Któż mógłby sobie uroić, że las stał się nagle drapieżny, gdyby z gałęzi nie wyrastały na wprost uformowane owady, ptaki i małe zwierzęta? Na skraju pola widzenia coś pełzało po drzewach w górę i w dół, zmieniając przy tym znacznie rozmiary i kształty, pośród których te przypominające olbrzymie pająki były najmniej niepokojące. Zaczynała się czuć jak dziecko porzucone w ciemnościach i nie wiedziała, jak ubłagać Sama, by na nią zaczekał, gdy nagle promień znów go odnalazł. Poczuli się lepiej, mimo iż odniosła wrażenie, że jej syn prze do przodu, oddalając się od niej, choć cały czas obrócony ku niej twarzą. Poprzez znajdujące się za nim drzewa przebijały blade światełka Goodmanswood.

A więc znalazł wyjście. Nic innego się nie liczyło. Nie była pewna, czy blask latarki osłabł czy też rozproszył się, bo uniosła ją wyżej, pozdrawiając światła, ale latarka miała chyba jeszcze dość mocy, by wyprowadzić poza skraj lasu ją i Sama. Wątpliwość ukryta w tej myśli sprawiła, że Heather poczuła, iż ów niewidzialny towarzysz, kryjący się za wszystkimi drzewami naraz, depta jej po piętach. Potrafiła go zignorować, myśląc jedynie o dogonieniu Sama - zignorować tę nieogarnioną obecność rodzącą szalone kształty w cieniach drzew, choć zdawało jej się, że i same drzewa z radością ukazują spuchnięte, pomarszczone narośle, zerkające na nią i otwierające paszcze. Nie miała zamiaru na nie patrzeć, zwłaszcza teraz, kiedy widziała już oświetlone, choć odległe okna, a co więcej, widziała też kuśtykającego Sama. Promień latarki drgał wokół niego, jakby rywalizowali, które z nich jest bardziej niestabilne. Z jeszcze większą ulgą przyjęła coś, co wzięła za jego głos. „Mamo!” - zdawał się wołać.

- „Mamo, to ty?”.

Z jakiegoś powodu słyszała go jednak za plecami. To musiała być halucynacja, taka sama jak reszta tych dziwnych rzeczy, które jej umysł starał się wyeliminować. Samuel był z przodu, przekomarzając się z rozdygotanym promieniem, i tylko on mógł być rzeczywisty.

Goniła go tak szybko, jak tylko pozwalały jej drzewa i śliski grunt - przestała już próbować utrzymać prosto światło, dbała tylko o to, by nie stracić z oczu syna - gdy znów usłyszała głos, jeszcze bardziej niż przedtem oddalony od jego postaci. „To światło to ty?” - pytał.

Nie tylko jego ton kazał jej się zawahać, choć była w nim niewyobrażalnie rozpaczliwa nadzieja; sprawiła to też myśl, że jej syn zgubił się w tym strasznym lesie, bo zabrała mu światło. Głos, który słyszała, musiał być wytworem jej stanu, ten zaś musiał być gorszy, niż się przed sobą przyznawała. Tak czy owak, zatrzymała się. Kiedy promień latarki się wyprostował, to samo zrobiła postać prowadząca ją w stronę miasteczka. To tylko kołysanie się światła sprawiło, że zdawała się kuśtykać. Ledwie Heather to sobie uświadomiła, postać znów zaczęła kuśtykać, jakby sobie o tym przypomniawszy.

Uniosła latarkę, na próżno usiłując lepiej zobaczyć tę istotę i jej odwróconą twarz, gdy głos Sama odezwał się jeszcze bardziej rozpaczliwie: „To ty? Czemu nic nie mówisz?”.

Znów poczuła zwiększone napięcie mięśni na ramionach i karku, jakby coś chciało ją wbić w ziemię w miejscu, w którym stała. Mimo to obróciła się wraz ze światłem w kierunku czerni, która zdawała się źródłem tego głosu.

- Sam?

- Tu jestem. Nie widzisz mnie?

Nie mogła już dłużej odmawiać mu światła, a jednak poczuła przymus obejrzenia się przez ramię. Choć pole jej widzenia dziwnie się zawężyło, była niemal pewna, że nikt nie porusza się pomiędzy nią a miasteczkiem; przeciwnie, las stał się przytłaczająco nieruchomy.

- Jeszcze nie! - zawołała, starając się kierować słowa w stronę, z której dobiegał głos, i zaczęła przeszukiwać snopem światła drzewa w przodzie. - Świecę teraz na ciebie? Powiedz mi, kiedy będę.

Nie poruszyło się nic z wyjątkiem siatki mglistych cieni rzucanych przez nią lub przez ciemność. Cokolwiek biegało po pniach w górę i w dół, znikło jakby pochłonięte przez pnie. Na łuskowatym drewnie pozostały jedynie wybrzuszenia i uwięzione w nich twarze, opierające się zaklasyfikowaniu jako halucynacje, choćby nie wiem jak Heather sobie tego życzyła. Powoli przeciągnęła po nich światłem, bojąc się robić to szybciej, by nie przeoczyć Sama, i nagle promień zadrżał i zatrzymał się na narośli umieszczonej na wysokości ludzkiej głowy, lecz większej od niej, wyrastającej z drzewa co najwyżej symbolicznie przypominającego cyprys. Choć była pokryta plamami błyszczących porostów i zaczynała się rozpadać, miała twarz ojca Heather.

Wybałuszone oczy były tylko bladymi sękami. Usta, wyglądające na sparaliżowane w momencie wydawania krzyku, stanowiły jeden z kilku otworów w twarzy i tak jak wszystkie

pełne były rojących się robali. Mimo to twarz była aż nazbyt rozpoznawalna i niezaprzeczalnie bezradna. Ciężar na barkach Heather wzmógł się. Być może nic nie wyrwałoby jej z przepojonego grozą transu z wyjątkiem błagań Sama:

- Czemu się zatrzymałaś? Tu jestem.

Zmusiła się do skierowania promienia ku głosowi i noc zakryła ojcowską twarzą niczym czarna woda.

- Stój tam! Znajdę cię - zawołała, przełknąwszy uprzednio ślinę, po czym przemogła się i ruszyła w kierunku przeciwnym do tego, z którego jaśniały światła Goodmanswood. Zdążyła zrobić zaledwie krok, gdy poczuła, że las się zmienia.

W pierwszej chwili nie pojmowała natury tej przemiany. Wyczuła jedynie, że jest ona - lub będzie - olbrzymia i straszliwa. Powietrze nabrzmiało nieuchronnością czegoś znacznie większego niż burza, stając się tak gęste, że Heather ledwie mogła zaczerpnąć tchu. Drzewa zdawały się gotowe do wykonania ruchu, który odetnie ją od Sama. Cokolwiek otaczało ją w ciemnościach, nie chciało, aby się odnaleźli. Nadal pragnęła wątpić w istnienie tej siły, ale gdyby miało to spowodować pozostawienie Sama na łasce nieznanego, nie mogła ryzykować. Wzięła oddech, który wprawił ją w jeszcze większe drżenie, i złączyła przeguby obu dłoni w nadziei, że wyprostuje nieco promień. Potem wysunęła przed siebie nogę.

- Nadal idę! - zapewniła.

Cienie wyginały się przed nią, jakby za wszelką cenę chciały odnaleźć Sama, zanim jej to się uda. Powtarzała sobie, że to tylko złudzenie optyczne, lecz wydawały się stanowczo zbyt ruchliwe. Wznosiły się synchronicznie ponad rzucające je drzewa, po czym każdy zlewał się ze swym źródłem. Teraz wyraźnie było widać, ile ciemności zaangażowane jest w kompozycję drzew, które poczęły właśnie pochłaniać światło tak łapczywie, że Heather czuła, jak wyciągają je z czubków jej cofających się palców. Sekundę później promień stał się o co najmniej połowę słabszy i krótszy.

- Nie powstrzymacie mnie! - szepnęła, a może tylko pomyślała. Jeśli nie będzie już żadnych cieni, jakkolwiek szalona zdawała się ta myśl, i drzewa zachowają swój zatrwajający bezruch, jedyny ruch, jaki się pojawi, będzie oznaczał obecność Sama. Po dłuższej chwili zdołała się opanować na tyle, by zrozumieć, że nie musi polegać na swoim wzroku. - Mów do mnie, Sam. Nie przestawaj - poprosiła, robiąc gwałtowny krok naprzód.

Drzewa przyssały się do światła, jak gdyby nie musiały się poruszać, by przypuścić atak. Kiedy stopa Heather dotknęła ziemi, której rozkładająca się ściółka zdawała się gotowa do rozstąpienia się pod nią, wszystkie drzewa pogrzyżyły się w mroku, a może to on się z nich wylał. Nie było widać nic prócz żarzących się czerwonym światłem drucików żarówki -

nawet gwiazd ani różnicy pomiędzy niebem a gałęziami, których obecność wyczuwała nad głową. Jeżeli były to tylko gałęzie.

- Gdzie jesteś? - zawołał Sam łamiącym się głosem.

- Gdzie światło?

- Tu. Tutaj!

Bała się, że informując go, przyciągnie ciemność. Miała tak mgliste pojęcie o tym, gdzie się znajduje, że zdawało jej się, iż lada chwila może stracić równowagę i wpaść w pułapkę tego, co czyhało w mroku. Zaryzykowała szersze rozstawienie nóg, ale zamiast posunąć się do przodu, cofnęła się nieznacznie, by stąpnąć w sprawdzonym już miejscu. Chwilę później latarka się zapaliła.

Nie świeciła wprawdzie tak mocno jak przedtem, lecz pozwalała Heather dostrzec najbliższe drzewa.

- Widzisz? - zawołała.

- Nie jestem pewien.

Samuel starał się mówić głosem dorosłego, aczkolwiek nie całkiem mu to wychodziło. Wiedziała, że nie wolno jej panikować, by nie wzmacniać jego paniki, ale czuła, że chyba będzie musiała, jeśli podda się jedynej myśli, jaką znajdowała w swojej skołataną głowie. Cofnęła się o krok, jakby w bezgłośnie modlitwie. I została wysłuchana: latarka rozbłysła mocniej, wydobywając z mroku kilkanaście drzew.

- Teraz widzę - powiedział Sam, jakby promień dodał jego głosowi mocy.

Ale i tak ledwie go słyszała. Skoro próba zdławienia światła przez ciemność nie miała na celu rozdzielić jej i Sama, to czemu służyła? Heather znów zrobiła krok w tył, a promień zareagował, sięgając jeszcze głębiej - i wtedy uświadomiła sobie, że wycofuje się w stronę Goodmanswood. Nie tylko to zrozumiała: poczuła głód tej istoty, czymkolwiek ona była; głód każący jej popychać Heather w tym kierunku, głębszy i potworniejszy niż żarłoczność pochłaniająca jej światło. Być może wszystko, co do tej pory widziała w lesie, zostało zaaranżowane w celu wywabienia bądź wygnania jej stąd. Coś chciało, aby wyniosła je lub jego wpływ na zewnątrz, na świat.

- Dokąd idziesz? - zaprotestował Sam, lecz ciemność stłamsiła jego słowa. Heather nie potrafiła powściągnąć intuicji, która pozwalała jej widzieć zbyt wiele. Zaczynała pojmować kwintesencję lasu, który wyrósł tylko po to, by przywołać i ukryć to, co istniało pod osłoną ciemności.

W pierwszej chwili wyglądało to, jakby całe otoczenie wywróciło się do góry nogami: zamiast tkwić w ziemi, drzewa zakorzenione były w mroku rozciągającym się za znajomym

niebem. To zupełnie zdezorientowało Heather, wywołując zawroty głowy, które objawiły jej jeszcze więcej. Otworzyła usta, tak jak otworzył się jej umysł, ale nie wiedziała nawet, czy chce krzyknąć czy tylko zaczerpnąć tchu. Istota, której głód wyczuwała, wykorzystywała las, by sięgnąć po nią i po cały świat. Las był kończyną o tylu palcach lub czułkach, ile było drzew. Był końcówką gigantycznego ramienia ciągnącego się w czerni, o której bała się nawet myśleć. I niezależnie od tego jak niematerialne w jej kategoriach pojmowania było owo ramię, zdobywało jakiś rodzaj substancji. Ciało, do którego należało, pełzało wzdłuż niego jak pająk. Perspektywa spojrzenia w górę odstręczała Heather, lecz jej głowa bezradnie się odchyliła, jak gdyby coś trzymało ją za kark niczym marionetkę. Lada chwila mogła ujrzeć twarz tego monstrum.

- Co się stało? - zawołał Sam, a ona pomyślała, że to przerażająco komiczne.

Słyszała tupot jego kroków stłumiony przez liście - o ile były to tylko liście - i nagle się przestraszyła, że coś uniemożliwi mu dotarcie do niej. Bała się, że coś może mu się stać, ale najwyraźniej obca siła całkowicie skupiła się na niej. Ogłuszona uczuciem, że ona i Sam są jak małe robaczki uwięzione pod łapą wielkiego kota, uniosła wzrok ku ciemności, która nie była już zwykłą ciemnością nocy. Jakąś częścią świadomości wiedziała, że Sam jest blisko; zatrzymał się o kilka stóp od niej, mamrocząc „O Jezu!”. Czyżby to, co działo się z jej umysłem, zarazem uczyniło ją niewidzialną? Kiedy rzucił się na nią i owinął ramiona wokół jej szyi, pomyślała, że chce ją udusić. Jednakże nawet to zdawało się nieważne w obliczu tej czerni, która schodziła coraz niżej, by osiąść na niej lub zmiażdżyć ją w swym uścisku. Po chwili zrozumiała, że Sam usiłuje odzepić od jej karku jakiś przedmiot.

Poczucie przytłaczającego ogromu natychmiast się rozmyło, pozostawiając tylko ciężar na jej ramionach. Uświadomiła sobie ucisk cieniutkich rąbek na swym karku na moment przed tym, jak Sam oderwał je i zrzucił istotę, którą dźwigała na ramionach, odkąd przestąpiła próg najniższej komory wieży Selcoutha. Uderzywszy o ziemię, leżący na plecach stwór zaczął się bezsilnie wić, bijąc powietrze niedorozwiniętymi kończynami jakby w poszukiwaniu Heather. Był blady i na wpół uformowany, z całą pewnością przedwcześnie narodzony, co nie przeszkadzało mu wykształcić nieproporcjonalnie wielkiej głowy. Tylko tyle zdążyła zauważyć - nie miała nawet czasu skierować nań światła, Samuel bowiem wyrwał jej latarkę z rąk.

- Sam!... - wykrztusiła.

Zrozumiała jego zamiar, ale było za późno, żeby go powstrzymać, nawet jeśli powinna była to zrobić. Promień latarki zakołysał się i padł na twarz istoty. Nie można powiedzieć, żeby była do niego całkiem niepodobna, a jednak zdawała się zarazem onieśmielająco stara,

oczy zaś, wypełnione po brzegi ciemnością głębszą niż jakakolwiek noc, zmieniły ją w maskę. Czy stwór szczerzył bezzębne dziąsła w uśmiechu czy też jego wykrzywione usta miały oznaczać coś zgoła innego? Gdyby dano Heather chwilę, może by to odgadła, lecz dwa ciosy latarką natychmiast roztrzaskały jego kruchą czaszkę.

Gwałtowny wdech zdławił rosnący w jej gardle krzyk. Każde drzewo w zasięgu wzroku wyciągało się ku niebu w rozpaczliwych konwulsjach, które ogarnęły cały las, gdy umierające stworzenie traciło swą substancję. Już po chwili zniknęła z niego skóra, następnie poczęło się odkształcać, a potem została już tylko połyskująca mgielka, która wsiąkła w spowitą mrokiem ziemię. Przez kilka sekund w powietrzu utrzymywał się nieznaczny słodkawy aromat, po czym Heather wyczuła wycofywanie się owej przytłaczającej obecności - nie wiedziała, jak daleko ani w którą stronę. Kiedy ośmieliła się spojrzeć w górę, słysząc, że drzewa ze skrzypieniem wracają do swych zwykłych kształtów, zobaczyła gwiazdy udające, że na niebie ani poza nim nie ma nic oprócz nich.

- Odeszło - mruknął Sam, dotykając palcami swego czoła, jakby coś stamtąd zniknęło. Heather, wciąż odruchowo wstrząsając ramionami, poleciała mu, by wyprowadził ich z lasu.

EPILOG

Strażniczka

- Sam.
- Skąd wiedziałaś, że to ja?
- Nie wiedziałam, ale miałam nadzieję. Co u ciebie?
- Nieźle. A u ciebie?
- Jak nigdy. Jestem ostatnią osobą, o którą powinieneś się martwić. Tylko nieźle?
- Nie, w porządku.
- Matki nie oszukasz. Co się dzieje?
- To tylko praca.
- Nie sprawia ci takiej przyjemności, jak myślałeś.
- Sprawia. Nie ma nic, co bardziej chciałbym robić. I nic nie wydaje mi się bardziej wartościowe. Ale czasem bywa frustrująca.
- Na przykład?
- Mamy tu pewną rodzinę, w której ojciec najprawdopodobniej wykorzystuje wszystkie córki, i nie potrafimy żadnej namówić, żeby to powiedziała.
- Wyobrażam sobie, jak musisz się z tym czuć.
- Nie myśl, że wolałbym robić coś innego. Właśnie do tego czuję się powołany.
- Zauważyłam. A jak myślisz, dlaczego?
- Bo to są najgorsze sprawy. Sprawy, które najbardziej wymagają interwencji.
- Pewnie tak. Sam...
- Wciąż tu jestem.
- Ciągłe się zbieram, żeby cię zapytać, ile pamiętasz. O ile masz ochotę o tym rozmawiać.
- Ile pamiętam z czego?
- Z tego, co było, zanim przeniosłeś się do Londynu.
- Chodzi ci o czas, kiedy nie potrafiłem wyjechać? Myślę, że połowicznie wynikało to ze świadomości, iż praca, którą chciał mi załatwić tata, nie jest dla mnie.
- O tym nie pomyślałam. Sądzę, że jest dumny z tego, co robisz teraz. Pamiętasz coś

jeszcze?

- Chodzi ci o Sylwię?

- Możliwe.

- O to, jak ją znaleźliśmy, gdy pozbyła się dziecka, a potem zgubiliśmy się w lesie i nie mogliśmy wyjść przez całą noc?... Ciągle żałuję, że nie poszłaś na terapię, jak ja.

- Ważne, że ty to zrobiłaś. W przeciwnym razie może nigdy byś sobie nie uświadomiła, że chcesz pomagać ludziom. Sam to powiedziałaś.

- Ale gdybyś ty poszła...

- Daj spokój, nie marnuj czasu na zamartwianie się o mnie. Jestem taka jak ty. Znajduję się dokładnie tam, gdzie chcę być i gdzie być powinnam.

- Mamo...

- I nie mów takim tonem.

- Czy w takim razie mogę cię o coś zapytać?

- Zawsze możesz, a nawet powinieneś.

- Dlaczego tak ci zależało, żeby zabetonowano miejsce, w którym znaleźliśmy Sylwię?

- Chyba nie chcemy, żeby jakiś dzieciak się tam zabłąkał i coś sobie zrobił, prawda? Nikt ani nic nie przedrze się przez beton.

- Zgoda. Jeśli tylko o to chodzi.

- A niby o co jeszcze?

- Zastanawiałem się, czy to miało coś wspólnego z książką, którą Sylwia podobno znalazła.

- Ciągle mi mówisz, że nigdy jej nie widziałeś. Nie musisz się posuwać aż tak daleko, Sam.

- Kiedy to prawda.

- Cóż, teraz już na pewno jej nie zobaczysz. Ale to żadna strata, skoro przez nią Sylwia skończyła tak, jak skończyła. Chyba się ze mną zgodzisz.

- Nigdy nie rozumiałem, jakim sposobem książka mogłaby na nią wpłynąć tak bardzo, jak twierdzisz.

- Więc się tym nie przejmuj. Przyjmij, że to po prostu dziwactwo twojej matki.

- Wolałbym, żebyś przestała tak o sobie mówić. Słuchaj, muszę zaraz lecieć. Umówiłem się z kimś na kolację.

- Mam nadzieję, że z kimś, kto by mi się spodobał.

- Myślę, że tak. Może kiedyś przyjadę z nią, żebyście się poznały.

- Lepiej tego nie rób, Sam.

- Niby dlaczego?

- Skoro już się stąd wyrwałeś, nie ma sensu wracać. Nic tu po tobie, tylko by cię to przygnębiło, a ja martwiłabym się, czy dotrzesz cało. Jeszcze mniej bym spała. Nic nie poradzę na to, że jestem twoją matką.

- Mówisz, jakbyś nie chciała, żebym kiedykolwiek przyjeżdżał do domu.

- A co by było, gdybyś znowu odkrył, że nie możesz wyjechać, kiedy tyle osób w Londynie cię potrzebuje?

- To się już nie zdarzy. Nie teraz, kiedy zrozumiałem, co było przyczyną.

- Nie bądź zbyt pewny, Sam. Wiem, co możemy zrobić w zamian. Chcemy zobaczyć, jak mu się tam żyje, co, mamó? Może wkrótce go odwiedzimy?

- Margo jest z tobą? Pozdrów ją.

- Samuel pozdrawia.

- Cześć, Sam.

- I pogratuluj odzyskania popularności.

- Dobrze. Jak myślisz, czemu to zawdzięcza?

- Mody przychodzą i odchodzą. Czemuż innemu?

- Więc nie uważasz, że świat w jakiś sposób się zmienił.

- Tylko w tym stopniu co zawsze. No dobrze, naprawdę muszę lecieć, ale nie pozwól Margo prowadzić przez całą drogę do Londynu, jeśli nie jesteś absolutnie pewna, że sobie poradzi.

- Radzi sobie lepiej niż kiedykolwiek, odkąd przerobiła samochód. Powinna się nazywać „Margo ze Zmodyfikowanego Auta”. Chcesz z nią pogadać?

- Następnym razem. Do usłyszenia wkrótce!

- Spij dobrze, tej nocy i każdej następnej. Samuel przeprasza, ale musi już lecieć.

- Ja chyba też powinnam, Heather. Lucinda ma dzwonić w sprawie zakupu kolejnych moich prac. Nie musisz mi mówić, że nie mam biec.

- Uważam, że jesteś ewenementem. Gdybym musiała przejść przez to co ty, nie miałabym nawet połowy twojej energii.

- Z uprzejmości zapomniałaś dodać: „i gdybym była w twoim wieku”. Ty też wiele przeszłaś i wiem, że sobie z tym poradzisz.

- Podoba mi się to podejście. Price'owie zawsze patrzyli w przyszłość. No, ale ścigają cię. W każdym razie Lucinda. Dzięki za wszystkie wieści.

- Znasz mnie. Uwielbiam plotki.

- Wszystko mi powiedziałaś?
- A co jeszcze chciałabyś wiedzieć?
- Jakież nowe dzieciaki w mieście?
- Nie słyszałam, żeby komuś się coś urodziło. Heather, chyba nie zaczynasz znowu?
- Nie wiedziałam, że w ogóle przestałam. Ale nie chodzę tam, jeśli to masz na myśli.
- Całe szczęście. Wiesz, co ludzie o tym myśleli.
- Cóż, teraz pewnie już się mnie nie boją.
- Nie musisz mi mówić, że ktokolwiek miał kiedykolwiek powody, by się ciebie bać,

ale wiesz, co o nas wygadywali. Nadal nie rozumiem, dlaczego uważasz, że musisz się trzymać tak blisko.

- Nie przejmuj się tym.
- Nie będę, skoro mówisz, że ci lepiej.
- Z każdym dniem jestem bardziej sobą.

Margo westchnęła bezgłośnie, jakby chciała coś skomentować albo dać do zrozumienia, ile wysiłku kosztuje ją wstanie. Gdy już jej się to udało, bez słowa skargi pokuśtykała o lekkich kulach do samochodu. Dała je Heather do potrzymania i usadowiła się w fotelu kierowcy.

- Więc nadal chodzisz do lasu? - zaryzykowała Heather.
- A wolałabyś, żebym tego nie robiła?
- Nie wiem, jak miałabym cię powstrzymać.
- Nie powinnaś, bo próbuję złożyć hołd twojej siostrze.
- W jaki sposób?

- Znajdując w lesie jej ślady. To, jak przechylała na bok głowę, gdy myślała o jakiejś swojej tajemnicy. To, jak rozkładała ręce, gdy zamierzała nam ją powierzyć.

- Twierdzisz, że ona wciąż tam jest?

- Twierdzą tylko, że być może nikt oprócz mnie nie zauważał tych rzeczy, ale właśnie dlatego to robię: żeby pokazać je innym. Jeśli widzę, jak rośnie jakiś ciekawy kształt, maluję go; jeśli jest martwy i mogę go dotaszczyć do auta, rzeźbię w nim. - Margo gestem przywołała ją bliżej, po czym szepnęła: - Ciągłe szukam śladów jej dziecka. Czuję, że muszą tam być, skoro maleństwa nie odnaleziono.

Zamrugnęła na widok reakcji Heather, lecz szybko się pozbierała, udając, że nie czuje się nią dotknięta. Sięgnęła po kule i położyła je obok siebie, po czym na pożegnanie wysiliła się na coś optymistycznego.

- Myślę, że zostałam ponownie odkryta właśnie dlatego, iż wyrażam w swojej sztuce

to, co czuję wobec Sylwii.

Heather dla dobra matki ukryła swój niepokój.

- Żegnaj, ale nie na długo - powiedziała, całując ją w czoło, po czym patrzyła, jak samochód wyjeżdża przez bramę. Na pewno nic poważnego się nie zdarzy; rozpowszechnianie wizji Margo było niewątpliwie mniej niebezpieczne niż rozsiewanie ziaren, które wydostały się z lasu, choć stanowiło kolejny powód, dla którego Heather musiała być czujna.

Szła już w kierunku pokoju ojca, gdy ją zatrzymano.

- Heather?...

- Tak?

- Słyszałam, jak rozmawiasz z matką. Możemy pomóc.

- W jaki sposób?

- Rodzice umieszczają w lokalnej gazecie informacje o narodzinach, prawda? Możemy ją zaprenumerować. Nikt nie musi wiedzieć, że to dla ciebie ani dla czego.

- To byłby jakiś początek, ale...

- Wiedzialabyś, gdzie szukać, albo mogłabyś nam powiedzieć, czego dokładnie mamy szukać. Nie mogą pilnować nas wszystkich przez cały czas. No i jest coś jeszcze lepszego.

- Co takiego?

- Zgodzili się zabierać nas codziennie na spacer do lasu. Ciebie też, a nawet jeśli cię z nami nie będzie, opowiemy ci o wszystkim, cośmy widzieli. Pamiętaj, że teraz ty tu dowodzisz. Ty najwięcej widziałaś. No i zostawiłaś w lesie więcej bliskich osób niż ktokolwiek.

- Dzięki, Delio - rzekła Heather do kobiety, która nie przestawała szarpać się za policzki, jakby miało jej to pomóc zobaczyć większy obszar lasu jednocześnie.

W drodze do swego pokoju - dawnego pokoju ojca - obdarzyła recepcjonistkę wystudiowanym uśmiechem. Nawet jeśli nie powinna się tu znajdować - jeśli była tu głównie po to, aby się schronić przed plotkami - nie mogła odrzucić pomocy przyjaciół ojca teraz, gdy zajęła jego miejsce. Nie wolno jej było nie doceniać lasu, tak jak zrobił to Selcouth, do końca nie uświadamiając sobie, że został doń zwabiony, aby wzmocnić jego potęgę. Być może chwilowo została ona rozproszona, lecz Heather nie miała wątpliwości, że tkwiąca tam siła kiedyś znów będzie gotowa, by podjąć kolejną próbę wejścia do świata.

Drzewa wyprostowały się ospale, żeby odwzajemnić jej spojrzenie, gdy przechodziła przez pokój, nie przestając poruszać ramionami. Kiedy unosiła okno o kilka cali, bo dalej się nie dało, do środka wdarł się słodkawy aromat. Choć las zdawał się sparaliżowany

sierpniowym popołudniem, zapach gnicia zdradzał toczące się wewnątrz procesy. Teraz jednak przynajmniej w koronach kręciły się ptaki, a może to były czarne odłamki jakiejś znacznie większej aktywności?

Kiedys będziesz musiał się pokazać - szepnęła i usadowiła się, by obserwować.